

ANATOL KRZYŻANOWSKI

Nr 25 42

ODRODZENIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Wincenty Szubronski

Wasyliński du. 15/XII-20r.



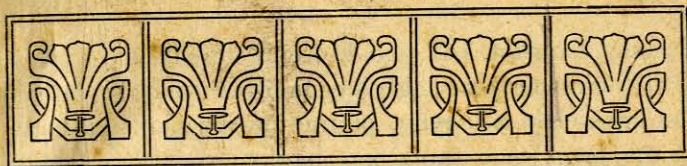
Str. 17.

NAKŁAD KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO
W WILNIE 1907



77043

K-M7/77/83384



112

KOMITET GOSPODY KRESÓW WSCHODNICH
TYDZIAŁ OPIEKI NAD POLNI
Warszawa, Długa 80.

„Jeden tylko, jeden cud, —
Z szlachtą polską polski lud,
Dusza żywa z żywym ciałem,
Zespolone świętym szaleń;
Z tego ślubu jeden Duch.
Wielki naród polski sam,
Jedna wola, jeden ruch.
O! zbawienie tylko tam!”

(Z. Krasiński — Psalm miłości.)



I

ociąg kurjerski, kolei Wiedeńskiej w szalonym pędzie dobiegał Warszawy.

Na równinę podmiejską, w śnieżne puchy spowita, a błyszczącą w słońcu blaskiem djamentów, na biel jej nieskalaną, dziewiczo czystą, czarne cielsko żelaznego potwora miało z wściekłością ślepej siły snopy iskier ognistych, krwawych nieledwie. Jednocześnie pióropusze pary, wyrzucanej co chwila, pięły się śmiało ku górze, aż kłęb ich sinawy w zetknięciu z mroźną atmosferą rozpraszał się w wąty obłoczki, w cień niepochwytne a rozwiewne.

Zgrzyt łańcuchów, głuchy łoskot potężnej maszyny, doprowadzonej do najwyższego rozpędu, war-

czenie i turkot kół, pod którymi ugięła się ziemia, świst wreszcie przeciągły sygnałów zlewały się w hałas piekielny a jedyny, jakim cywilizacja, upostaciowana przez tego sapiącego, ogniem ziejącego smoka, zakłócała spokój krajobrazu, pogrążonego w cichym półśnie zimowym.

Sen ów w miarę zbliżania się ku stolicy nabrał podwójnej, na pozór sprzecznej cechy, z jednej bowiem strony—zaniepokojenia, z drugiej—martwoty.

Publiczność, zebrana tłumnie przez pociąg na stacji węzłowej, zdradzała zewnętrznymi oznakami zdenerwowanie, połączone z jakimś gorączkowym nastrojem. Nieznajomi nawet szepotali grupami na korytarzach, zadając półgłosem dyskretne pytania konduktorom, odbierającym bilety. Odpowiedź jednak, przy której wstrząsanie głową i wymowny ruch rąk potwierdzał słowa: „Nie wiem o niczem!”—nie zadawała nikogo. W powietrzu krzyżowały się z cicha oderwane, niedomówione zdania i wyrazy: „Strejk...“ „Bezrobocie...“ „Zajścia w Petersburgu...“ „Solidarność...“

— Dzieci mam w mieście. Codzień jeżdżą do szkół. Jakże je puszczać same?—biadała jakaś zafrasowana pani.

— Tyle innych drogę te odbywa!—pocieszano.

— Tak; ale moje to drobiazg.

— Zabrać do domu, bo i tak koleje staną! — zawyrokował ktoś z boku.

I znów grupy zbliżały się więcej, zniżając głos do szeptu nieledwie.

W krajobrazie zaś w miarę zaniepokojenia podróźnych coraz większa zalegała martwota.

W Pruszkowie tylko, który pociąg mijał bez zatrzymania się, całym pędem pary, gromady robotników, zebranych na stacji, machały rękami, dając jakieś znaki widocznie. Ale smok żelazny, pluący ogniem i parą, był już daleko, biegnąc w przestrzeń śnieżystą, cichą, zmartwiałą... Od Włoch ku miastu sterczały zimne fabryczne kominy, a gmachy tych wielkich ognisk przemysłowych czyniły wrażenie pustki i niebytu.

Głowy podróźnych w oknach wagonu pochyliły się znów ku sobie.

Wyraz „strejk“, wymawiany, jak wobec zmarłego, z jakąś zabobonną trwogą, zawisł raz jeszcze w powietrzu.

Lękliwe jego echo, przedostawszy się przez drzwi uchylone, wtargnęło do przedziału pierwszej klasy. Tu jednak, w atmosferze względnego komfortu i zbytku, przeszło nie spostrzeżone, tracąc swą cechę grożącego nędzą upióra.

Pan w bogatym futrze, o kołnierzu z lśniących bobrów kameczackich, nie zauważył nawet intruza. Zmora „bezrobocia“, tak ważna dla tamtych z korytarza, dla rodzin pracowników kolejowych przeważnie, tutaj, jako rzecz podrzędna, nie doszła do świadomości silnie zbudowanego i dobrze odżywianego mężczyzny. Ręka jego lewa przytrzymywała kosztowny płed, rozłożony na kolanach; dłoń prawa dzierżyła ostatni numer *Figara*.

Francuski dziennik nie pochłaniał jednak całej jego uwagi. Bystre oczy, przekradając się ponad płachtą zacernionej bibuły, biegły od czasu do czasu badawczo ku stojącej u okna parze młodzieńczej. Snadź ten ciemnowłosy podłotek, pochylony ku wysmukłemu chłopcu w mundurze gimnazjum rządowego, żywiej zajmował poważnego pana od nadsekwaiskiej gazety.

— Czy słyszałeś? — podjęło półgłosem dziewczę. — Na korytarzu mówią o powszechnym strejku w Warszawie. Pan Jerzy miał rację widzieć.

— Moja Zosiu — przerwał pan z *Figarem*, — nie używaj, proszę, wyrażań, których nie rozumiesz; to niestosowne w ustach panienki twojej sfery. Co cię to może obchodzić? Kwestja strejków czy bezrobocia to rzecz ludzi dojrzałych i doświadczonych; w żadnym zaś razie nie należy ona do pańienek lub młodzieży.

Przez usta gimnazysty, lekkim już przysłonięte puszkami, przewinał się uśmiech lekceważenia; z oczów jego pobiegł ku ojcu błysk zimny, niechętny prawie.

— Proszę papy — tłumaczyła się ulegle, — ja tylko powtarzam Wiciowi, co usłyszałam przypadkiem, że podobno na ulicach...

— A cóż cię może obchodzić ulica? — powtórzył ten sam zarzut z naciskiem i zniecierpliwieniem. — Panna Prędowska wogóle, a moja córka w szczególności nie może mieć i nie będzie miała nic z ulicą wspólnego. Niech cię Witold nie zaraża, proszę, swoją demagogją. Bratu twemu prędzej to ująć może, bo nawet w rodzinach monarszych na-

stępcy tronu bywają zwykle liberalni. Ta niewinna poza czy choroba młodości idzie w zapomnienie wraz z odebraniem dziedzicznego majątku i stanowiska. Chłopiec, tak, jak odrę i szkarlatynę, musi ją przejść swego czasu; ale dla panienki rzecz to zupełnie nie właściwa.

Brat i siostra zamienili jakieś bolesne, porozumiewawcze spojrzenie.

— Zdaje się, że dojeżdżamy — kończył pan Prędowski zwykłym już uprzejmym tonem. — Chodźcie lepiej, pomóżcie mi złożyć pled i paski zapiąć.

Oddał go dzieciom, a sam pozdejmował z siatki drobne pudełka i torebki, na których widniał herb Leliwa lub cyfry *A. P.*, szlachecką przyozdobioną koroną. Szereg tych zbytkownych przyborów podróżnych, wykwintnych, z najlepszej skóry zrobionych, a w bronz lub nikel okutych, świadczył o zamiłowaniu do komfortu i o estetycznych poczuciach Prędowskiego, tak, jak oczy jego, zatrzymujące się z lubością na córce, stwierdzały nie tylko miłość ojcowską, lecz i zadowolenie z wytwornej sylwetki dziewczęcia, której rys każdy zdawał się zapowiadać niepospolitą na przyszłość urodę.

Świadoma wymagań ojca, Zosia obciągnęła futrzany żakiet, poprawiła wstążkę w długich warokozach i berecik na głowie, a zwracając się z poważną miną ku Prędowskiemu, zapytała:

— Czy pan radca zadowolony ze mnie?

Syn za taką poufałość zostałby skarcony; figlarność jedynaczki rozbijała ojca zawsze. Uśmiechnął się więc tylko, na słowa bowiem nie było już czasu.

Pociąg z hukiem, do grzmotu podobnym, mijał relsy na ulicy Żelaznej, zwrotnice, warsztaty, sylwetki nowych domów przy Alei Jerozolimskiej i zdyszany, drżący cały, zarył się przed drewnianym dachem prowizorycznej stacji na dworcu Wiedeńskim.

Tragarze zabrali pakunki. Zosia, wyskoczywszy z wagonu, ujęła pod ramię brata, pan radca zaś zatrzymał się u drzwi, a puszczać obok siebie tłum rozgorączkowany, pędzący, zaopiniował:

— Czekajcie; nie znoszę tłoku i plebsu. Po co im przeszkadzać w tych wyścigach? My nie potrzebujemy się śpieszyć.

Poczem dodał z westchnieniem ulgi:

— Jednak to miło uczuć twardy grunt pod nogami. A przytem... pół do drugiej, samo południe; należy nam się co prędzej solidne, pozytywne śniadanie. Dobrze, gruntowne pożywienie najlepiej przywraca siły, podróżą wyczerpane.

Wyprostował swoją silnie zbudowaną, do rozkazywania przyuczoną postać, i ruszono naprzód.

W drzwiach poczekalni czekał tragarz z walizkami.

— Oddaj rzeczy te konduktorowi z hotelu Bristol — rozkazał pan Prędowski.

— Niema go, proszę pana.

— Jakto? niema samochodu ani karety z Bristolu?

— Niema.

Pan radca się zasepił.

— Szkoda! Widać duży zjazd w mieście. No, to oddaj szwajcarowi z hotelu Europejskiego.

— Niema go, proszę pana.

— Co? niema? Więc któż jest? z jakiego hotelu?

— Żadnego niema.

Prędowski spojrzał na posługacza, jak na warjata. Ten uśmiechnął się tylko.

— Strejk, proszę pana — objaśnił.

— Aaa! — Prędowski ściągnął brwi olimpijskie i, nie chcąc wobec człowieka tego wrażeń swych komentować, rozkazał krótko:

— W takim razie włóż pakunki na dorożkę parokonną. Wybierz tylko dobre konie.

— „Gumy“ także nie jeżdżą dzisiaj — objaśnił.

Tym razem z oczu pana Prędowskiego strzelił ku człowiekowi w granatowej bluzie piorun gromowładny.

— A więc nieś walizki za nami; wsiądziemy do jednokonki — zdecydował ze sztucznym spokojem.

Wyszli szybko przez opróżnioną już poczekalnię. U podjazdu zupełna panowała pustka. Podróżni tylko, dźwigający własne tłomoki, ze zdwojonym pośpiechem opuszczali dworzec.

Pan radca, pojmując nareszcie położenie, starał się nie tracić równowagi.

— Proszę cię, mój drogi — przemówił o jeden ton grzeczniej, — zawołaj mi dwóch posłańców.

— Kiedy ich niema także, proszę pana. Kazał im zdjąć mundury i zejść ze stacji.

— Kto kazał?

— A no panowie z komitetu, niby „socjaliści“.

Dziś nikomu pracować nie wolno. Tylko nasza kolej idzie jeszcze, ale musi też stanąć.

— Więc co zrobić?

— Chyba, proszę łaski pana, zostawić rzeczy u szwajcara, a ja poskoczę, może znajdzie jakiego choć bez „luberji“, rozebranego dryndziarza.

Jakoż powrócił za chwilę, wiodąc za sobą starą, obdartą dorożkę z żydem w kubraku barchanowym na koźle.

Wszystkie hierarchiczne instynkty zatrzęsły się w panu Prędowskim z oburzenia. Ze względu jednak na córkę potrafił zapanować nad sobą. Wsadziwszy ją do zaimprovizowanego powozu, zajął sam miejsce i, mając syna na przedniej ławeczce, a obdarzywszy hojnie posługacza, kazał jechać do „Brystolu“.

Aliści, za ledwo wehikuł skrzył na Marszałkowską, zastąpiło mu drogę i zatrzymało go kilku wyrostków.

— Jak śmiesz jechać? — huknął jeden na przeżalonego żyda, chwytając konia za uzdę. — Czy chcesz, żebyśmy ci przewrócili i potłukli twoją budę?

Równocześnie inni przystąpili do pasażerów.

— Wysiadać! Proszę natychmiast wysiadać! — Proszę natychmiast wysiadać! — rozkazali.

— Dlaczego? z jakiej racji? — bronił się Prędowski.

Do dorożki przybliżył się otyły, pękaty jakiś człowiek, rzeźnik prawdopodobnie, o wystającym brzuszku, czerwonej szerokiej gębie i fioletowym nosie. Tytuń i piwo buchały od niego na trzy kroki.

Twarz jednak, choć przejęta ważnością akcji i posłannictwa, pocziwa była i dobroduszną.

— No, wysiadać! bez żadnych ceregieli! — zachęcał.

— Ale dlaczego? — upierał się Prędowski.

— Co tu gadać! Kiedy głodne ludzie chodzą zawsze piechotom, to i najedzone mogom się tryndać na własnych nogach! — zaopiniował sentencjonalnie z powagą i wyższością człowieka, który w spokojnych czasach do bractwa pewno należał i, jako dygnitarz przedmieścia, za procesją ze świecą chodził.

Uwaga o „głodnych ludziach“ w zestawieniu z jego utuczoną postacią była wprost komiczną; ruch jednak, wypraszający z dorożki, wraz z krzykami wyrostków wskazywał, iż nie należy z nim żartować.

Prędowski wysiadł z miną detronizowanego Ludwika, a biorąc córkę pod ramię i opiekuńcze swe skrzydła, z chwilą, gdy banda pomknęła dalej, zwrócił się sarkastycznie do syna:

— Czy ta zaciekla a idjotyczna, wywracająca wszelki porządek hałastra to jest ów ruch wolnościowy, z którym tak sympatyzujesz?

— Nie można sądzić o idei z pojedynczych nieuniknionych nadużyć — odciął ostro. — To pierwsze święto ludu; cóż dziwnego, iż słabsze, nieuświadomione głowy upijają się niem, jak nektarem...

— Jak alkoholem, chciałeś pewno powiedzieć... A raczej upijają się świętem, a więc próżniactwem i alkoholem. Wpierw tolerowany jawnie pogrom rzeźmieszków, złodziejów i... — zaciął się, spojrzawszy na córkę, — a teraz pogrom podróżnych, kobiet i mło-

dzieży szkolnej, wracającej do książki. Tak! to ów „ruch sympatyczny“... Piękne „święto ludu“! Niema co mówić!

Głos jego załamał się zgrzytem zjadliwej ironji.

Skręcił ku Chmielnej. Ulica Marszałkowska miała tu zwykły jeszcze wygląd, jakkolwiek z pośpiechem, a więc ze zgrzytem i hałasem zamykano wystawy i wejścia sklepowe. Nagle jakiś człowiek przebiegł pędem ulicę, wołając donośnie:

— Rozchodzić się!... rozchodzić!... Przy Ogrodzie Saskim strzelają do publiczności!

I rzeczywiście tłum biegł gromadnie ku Alejom.

Pan radca Prędowski zatrzymał się bezradnie.

— To rozmysłne wywoływanie paniki — zaopiniował Witold. — Chodźmy śmiało dalej.

Ojciec zwrócił z troską oczy na podlotka.

— Tak — przyznał, — my możemy, ale Zosia?

Żrenice dziewczynki zapalały.

— Papo, ja się wcale nie boję! Przeciwnie, chcę wszystko widzieć. Chodźmy!

Napłynęła znów gromada uciekających. Z tłumy wołano:

— Cofać się! tam są ranni i zabici!...

— Tchórze! — syknął przez zęby Witold Prędowski. — P e - p e - e m y — dodał z pogardą.

— Co to znaczy?

— „Partja pierzynowo-mieszkaniowa“. Na wspomnienie krwi strach im oczy wysadza. Znaleźli się tu przypadkiem, a teraz zamkną się w domu na cztery spusty i będą udawali nieobecnych. Chodźmy, ojcze, dalej; tam z pewnością nie się nie stało.

Słowa jego zginęły w zamieszaniu. Od Ogrodu pędził oddział kozaków; z drugiej strony nadchodził patrol piechoty. Prędowskiemu zamigotało w oczach niebezpieczeństwo dla córki. Pociągając dzieci za sobą, szybkim ruchem cofnął się do rogu — w nadziei, iż znajdzie chwilowe schronienie w cukierni.

Spóźnił się jednak: żelazne żaluzje zasłaniały już wejście. Bezradny, chciał przejść naprzeciw, ku restauracji, lecz konny patrol dragonów przecinał mu drogę. Ulica pustoszała coraz bardziej.

Rozdrażniony, zdenerwowany, ruszył ku Brackiej, gdzie nareszcie udało mu się napotkać pustą dorożkę. Obietnicą hojnego napiwku zjednany, automedon obiecał dowieść ich do hotelu Europejskiego.

Wsiadłszy do lichego powozu, który w tej chwili wydawał mu się deską ocalenia, pan radca spojrzał dopiero badawczo na córkę i syna. Ku jego wielkiemu zdumieniu na twarzach ich nie dostrzegł ani trwogi, ani przestachu. Byli zupełnie spokojni. Oczy ich tylko wśród rysów pobladłych gorzały zwiększonym blaskiem, a młodzieńcze brwi Witolda głęboka ściągnęła zmarszczka.

Echo salwy karabinowej rozległo się nagle w oddali.

Chłopak się rzucił, jak do skoku, i nogę na stopniu już postawił.

— Gdzie? — zawołał Prędowski, syna, jak kleszczami, za ramię chwytając.

— Ojcze, to naszych biją! — wybiegło na zbiele usta gimnazysty.

Pan radca już się opanował.

— Mylisz się — odparł surowo. — Nie są nasi burzyciele spokoju i porządku. Takich każdy rząd, choćby najbardziej wolnomyślny, ma obowiązek usuwać. Bezpieczeństwo własności i życia mieszkańców, oraz gwarancja normalnego biegu pracy i interesów, oto pierwsze zadanie kulturalnego państwa.

Jakaś struna wewnętrzna drgnęła w sercu chłopca i zaszarpała wszystkimi jego nerwami. Opadł w milczeniu na ławeczkę, lecz ramię jego ugięło się równocześnie, oswobadzając się ruchem tym niechętnym od dłoni ojca.

Smutny widok Nowego Świata, na który wjeżdżano właśnie, przerwał dalsze uwagi na ustach pana radcy. Pozamykane, deskami nawet pozabijane sklepy i wystawy, pozrywane szyldy, potłuczone szyby, na środku ulicy nieprzerwany łańcuch patroli, na chodnikach zaś rzadcy wystraszeni przechodnie, — wszystko to czyniło przygnębiające wrażenie.

Uczucie trwogi i teroru zdawało się wisieć w powietrzu.

Pan radca, pamiętny tu zawsze wystaw strojów i eleganckiego tłumy, czuł się wstrząśnięty, ale przede wszystkim oburzony. Wrodzone mu poczucie ładu, porządku i hierarchji było w wysokim stopniu dotknięte i zachwiane.

— Oto, do czego ta bosa hołota doprowadza miasto! — zawołał z pogardą, wskazując ruchem głowy na mijającą ich właśnie gromadkę młodzieży robotniczej.

W bramie najbliższego domu widniał czekający na rozkazy posterunek kozaków orenburskich.

— Tego rodzaju „pogotowie ratunkowe“ wszystko to zło naprawi zapewne — odciał ostro Witold.

Oczy ich spotkały się, krzesząc iskrę elektryczną, właściwą dwom, zbliżonym ku sobie, przeciwnym biegunom.

Dorożka stanęła przed hotelem. W Prędowskim zbudził się ojciec.

— Skoro nie mamy pakunków, to przedewszystkiem do Lourse'a. Zosię trzeba rozgrzać gorącą herbata.

Modna cukiernia zdawała się istną a jedyną oazą na pustyni wyludnionego, wojskiem zalanego miasta. Ciepła, zaciszna, światłem przepojona, miała jednak odrębny, niż zwykle, a smutny wygląd. Roilo się od mężczyzn. Miejsce wykwintnych, barwnych strojów i szykownych postaci niewieści zajęły wyłącznie czarne kapelusze panów. Kogo przewrót ten nagły zaskoczył na mieście, lub kto miał odwagę wyjść na ulicę, biegł tu dla zasięgnięcia języka. Dziennikarze, publicyści, prawnicy, wszystkie sfery inteligencji miały tu swych przedstawicieli, bo każdy wśród chaosu, jaki zapanował w stolicy, pragnął dowiedzieć się od innych, co zaszło i co grozi ogółowi.

Prędowskiego otoczyło kółko kolegów z Towarzystwa Kredytowego. Przysiadł się do nich, umieściwszy wpierw Zosię z bratem przy sąsiednim stolicku.

Zdania, fakty widziane lub słyszane, pogłoski, plotki, jak rakiety, krzyżowały się w powietrzu.

Mówiono, iż na Marszałkowskiej rozpoczął się w tej chwili pogrom sklepów, że w tym celu wypuszczono wszystkich nożowców i złodziei z więzień warszawskich. Ktoś inny dowodził, że ściągiono na dzień ten „pobytowców“ z Mińska Mazowieckiego do Warszawy, że wślawiona rozbojami „krwawa Wola“ idzie ławą całą na żniwo do miasta, że policja, jak podczas rozbijania „wesołych domów“, nie przeszkadza w niczem napastnikom.

— Kamień na kamieniu nie zostanie! Nożowcy i pobytowi, mając *carte-blanche*, urządzają tu piękne „święto ludu“ — dowodził jakiś wszechwiedzący nowiniarz.

— Oto, do czego prowadzi demagogja! — zawyrokował jeden z ojców narodu. — Nazwano nas szyderczo „ugodowcami“, a jednak nasza legalna, lojalna, na gruncie prawnym oparta, a niczego nie żądająca polityka nigdy by do takich nieszczęść, do takiego zamętu pojęć nie doprowadziła. Wszak prawda, radco kochany?

— Tak — przyznał Prędowski. — W naszym położeniu praca jawna, legalna, a od wszelkich bałamutnych mrzonek daleka, to zarówno jedyna dźwignia, jak najwyższy obowiązek obywatelski. Bawienie się w poezje polityczne, w marzenia niedościgłe, a więc karygodne, bo niecałe zamęt pojęć i stosunków, używanie wreszcie haseł, które już nieraz klęską dla kraju się stały, to dobre jedynie dla tych, którzy nie mają do stracenia, a sami niewielką też dla ogółu przedstawiają wartość; to nie lekkomyślność już, lecz zbrodnia po prostu!

Mówił z zacięciem prokuratora, wygłaszającego akt oskarżenia przed trybunałem społeczeństwa całego.

— Brawo, kochany radco! brawo! — przykląsnięto mu z cicha, a kilka zasłużonych w pracy „dla dobra narodu“ łysin, otaczających stoł okrągły, pochyliło się przed nim w uznaniu.

— Za pozwoleniem! — przerwał znany widać tym panom, lecz znacznie od nich młodszy jasny blondyn o myślącym, rozumnym obliczu. — Za pozwoleniem! Obaj panowie powołują się na panujący ogólny zamęt pojęć; otóż, dopóki zamęt ten trwa, nie należy wypowiadać apodyktycznych, potępiających kogokolwiek sądów. Odpowiedzialności za czyny nożowców i złodziei nie wolno kłaść na kark ruchu ludowego. Bo, jakkolwiek większość nas nie rozumie go wcale i nie wie, dokąd zaprowadzić on może, to niemniej ruch ten budzi w sercach ogółu, w sercach młodzieży przede wszystkim nieznaną jej dotąd a zamarłe struny, które, raz powołane do życia, zdolne są ruch ten uświęcić, przestoczyć i cały naród za sobą pociągnąć. Zamiast więc wyroków, które mogłyby między dwiema generacjami przepaść wykopać, powiedzmy lepiej: Cześć polskiemu robotnikowi, jako pierwszemu bojownikowi za ideę wolności...

Skłonił się i opuścił salkę, ścigany wdzięcznym wzrokiem Witolda i Zosi.

— Kto to? — zapytał pan radca. — Spotykałem go, lecz nie mogę sobie nazwiska przypomnieć.

— Lipowiecki, znany patryjota i ideolog — odpowiedziano mu z dwóch stron razem.

Równocześnie młody Witold Prędowski, ożywiony nagle, pochylił się ku siostrze:

— Zosiu — szeptał poufnie, — przyjrzyj się... To Stanisław Lipowiecki... wiesz, *nasz* Lipowiecki, ten, który pierwszy podniósł myśl unarodowienia szkół polskich, który nas wszystkich poruszył i całą akcją kieruje faktycznie.



II

Pan radca Prędowski w coraz gorszem był usposobieniu.

Nie mógł pojąć, iż katastrofa z d. 28 stycznia 1905 roku całą Warszawę zaskoczyła znienacka,—nie rozumiał, czemu nie zapobieżono jej w porę i dlaczego doprowadzono do zamętu, w którym nawet on nie mógł zorjentować się na razie. Nie mógł,—najdalsze bowiem wieści, najnieprawdopodobniejsze pogłoski i najsmutniejsze a sprzeczne nieraz wrażenia krzyżowały się co chwila. Kto tu winien? Kto był przyczyną tej piekielnej tarabandy, jaką drapieżnicy cudzego dobra i wojska wszelkiej broni odprawiały na ulicach wyludnionej Warszawy? Dlaczego strachem, przerażeniem, głodem, a często krwią własną przypłacała zamęt ten niewinna publiczność?

Dlaczego wreszcie on, Artur Leliwa Prędowski, radca Tow. Kredytowego, dziedzic Prędowa, Prędowska, Prędowskiej Woli, miał znosić skutki zamieszania i rozruchów, któremi brzydził się po prostu przez całe życie?—on, dygnitarz kilku poważnych instytucyj,

wyobraziciel zasad równowagi i spokoju, dumny z owocnej swej pracy na niwie społecznej i narodowej, — on, filar konserwatyzmu i „polityki realnej“, stojący zawsze na prawem skrzydle partji ugodowej? Czy na to był komandytowym współnikiem oficjalnego organu swego stronnictwa? czy dlatego wziął udział w finansowej reorganizacji tego pisma, aby dziennik ów, bardzo zresztą poważnie i konsekwentnie prowadzony, nie uprzedził go niczem o wypadkach, na jakie miał trafić w stolicy? I wierz tu publicystycznemu doświadczeniu i politycznej dyrektywie tych panów z prasy!...

Pan radca wytracony był z równowagi. W hotelu dano mu zaledwie dwa maleńkie pokoiki; pakunki zostały na dworcu kolejowym, otrzymać je zaś lub przedostać się do kogokolwiek z rodziny lub znajomych nie było sposobu. Na dobitkę — cukiernię Lourse'a kazano zamknąć, pisma zaś wskutek strejku nie wyszły, — tak, iż jedynym źródłem informacji co do wypadków, zaszłych na mieście, była służba hotelowa.

Opowiadano też niestworzone rzeczy. Rzemieślnicy poza bezrobociem żadnych podobno nie urządzali manifestacyj i żadnych nie urządzali zaburzeń. Bandy zaś to mętów społecznych, naprowadzone na miasto, podpaływały składy monopolowe, rozbijały sklepy i magazyny, tłukły szyby i latarnie, niszczyły wystawy, a wojsko i policja miały jakoby przez palce na to patrzeć. Wprawdzie krążyły oddziały różnych broni po ulicach, lecz gromady złodziejów, zajęte pogromem, ujrzawszy piechotę czy konnicę, odstępowały

na chwilę od rabowania cudzego dobytku, poczem, gdy wojsko przeszło, wracały znowu do dzieła niszczenia. Salwy za to, rozlegające się po ulicach, kierowane były, jak mówiono, wyłącznie do publiczności.

Rzecz prosta, iż Prędowski temu wszystkiemu nie wierzył. Zbyt był człowiekiem wytrawnym i zrównoważonym, aby lada baśń, lada wytwór zgorączkowanej wyobraźni pospólstwa przystęp do niego mieć mogły. Jakkolwiek więc słuchał opowiadań tych z uśmiechem pobłażania i politowania dla ludzi, którzy brednie podobne za rzeczywistość podawać mogli, — jakkolwiek był pewny, iż połowa tych nieprawdopodobnych nadużyć i krwawych tragedij legła się w mózgach prostaczych lub chorobliwie podnieconych, — niemniej denerwowało go to wszystko.

Bo i jakże mogło być inaczej, gdy powtarzano na przykład, iż jakiś żołnierz, upiwszy się przy rozbijaniu składu monopolowego, strzelał następnie bezkarnie do każdego, kto się tylko u wylotu ulicy pokazał. Cytowano przytem dokładnie punkt, w którym się to działo.

Ktoby zresztą spamiętał szczegóły z ust do ust podawane: tu zastrzelono dwie służące, niosące produkty spożywcze; tam przygwożdżono dziecko do ściany; ówdzie znowuż dragoni, pędząc przez miasto z wydobytych pałaszami, płażowali i cieli każdego, kto stanął na ich drodze. O nahajkach kozackich, w ruch puszczonech, nie wspomniano już nawet, jako o rzeczy zwykłej a blahej.

Pan radca miał tego dosyć nareszcie.

Nie był wartogłowem, narażającym się lekko-myślnie na niebezpieczeństwo, ale nie był i tchórzem także. Postanowił więc przekonać się naocznie o stanie rzeczy.

Zostawiwszy też córkę i syna w hotelu, wyszedł na inspekcję miasta. W braku dorożek lub tramwajów postanowił ograniczyć się do bliższych punktów jedynie.

Na Krakowskiem pusto było wprawdzie, ale cicho zupełnie. Oddziały wojska migaly co chwila, lecz szły ulicą spokojnie, dla bezpieczeństwa mieszkańców widocznie, nie zaczepiając nikogo.

Tak,—radca tak to sobie wyobrażał... A jednak ta martwa pustka, wiejąca dookoła, przykre na nim uczyniła wrażenie.

Skreślił w ulicę Czystą i przystanął.

Wszystkie bramy, wystawy, okna, okienice, zamknięte szczelnie, jak wieka pudełek; ale i tu zupełnie bezpiecznie. Kto wie,—można nawet było zabrać Zosię; tak go o to prosiła, tak błagała.

A no, zobaczy dalej i może wróci po jedynaczkę. Niech się dziewczę przejdzie chociaż. Młoda wyobraźnia rwie się do życia, a niezwykle wypadki podniecają ją jeszcze.

Prędowski zwrócił się ku Wierzbowej—i nagle rozjaśniły się jego rysy.

Z zakrętu wybiegła pełnym klusem na Czystą strojną w białe kwiaty i powiewne wstążki kareta ślubna; za nią dążyło kilka innych ekwipaży.

Konie dobre, liberja elegancka, lakiery lśnią się w słońcu wschodzącem, jak lustra. Gdy powoży te

zrównały się z panem radcą, spostrzegł, że są próżne; widocznie odwiozły gości weselnych i wracają do remizy.

— A więc ludzie i śluby dziś biorą i bawią się — pomyślał. — E, tchórzom tylko w garnki dzwonią. I wyprostowany podążył śmiało naprzód.

Zajrzy do restauracji hotelu Angielskiego; może tam spotka kogo ze znajomych.

Nie doszedł jednak i — stanął, jak wryty.

Takiego widowiska w życiu jeszcze nie oglądał.

Trotuarem, po grząskim, bo rozdeptanym i topniejącym już śniegu sunął nieliczny, ale, sądząc po futrach i strojach, do wykwintnych sfer należący orszak weselny. Na czele, w białym płaszczu, śnieżnymi puchami oszytym, w kwiecie pomarańczowym i zwojach rozwiewnej iluzji, jak mgła przez wiatr unoszonej, w lśniącej sukni z ciężkiego białego adamaszku, której długim, dworskim trenem owinęła się, z trudnością go unosząc, szła oblubienica, wsparta na ramieniu pana młodego. Ślubna wiązanka u piersi oraz wspaniałe bukiet z białych róż i kamelij, śnieżną, długą szarfą związany,—bukiet, który nie ona, lecz on teraz dzierżył, wskazywały, że para ta od ślubnego wraca ołtarza.

Za niemi, jak krasne motyle, na szarem, bezbarwnem i bezmiernie smutnem tle ulicy szły parami strojne panie w jasnych sukniach balowych i kosztownych narzutkach obok panów w *chapeaux-claques*ach i futrach, pośpiesznie widocznie na fraki włożonych. Przy czarnych męskich lakierkach błyskały z pod uniesionych spódniczek ażurowe poń-

czoszki, a na zbrukanym śniegu migały, jak skrzydła kolibrów, białe, różowe i błękitne, płytko wycięte atlasowe pantofelki panienek. Gdyby na czele szła muzyka z brzmącą fanfara lub skocznymi, do płasów zachęcającymi tonami, gdyby parę jeszcze rozochoconych maseczek,—możnaby mniemać, że jest to pochód karnawałowy, który, miast staropolskiego kulinu, bieży gwoili ogólnej ucieście ulicą, by w porze zapust oddać się swawolnej, lecz godziwej zabawie.

Ale ulica ta była pusta i martwa,—martwa, jak całe miasto, które w wielu punktach krwią podobno spływało. Z drugiej strony ludzie ci poważni, o pańskich powierzchownościach i dworskich ruchach, nie wyglądali na skoczów, którzyby w barwnem a komedjanckiem lub nieprzystojnem przebraniu dla nędznego zarobku, dla chleba, lżą często zaprawionego, w chwili trwogi i zamętu szli z kuglarskimi hecami na miasto.

Więc cóż to być mogło?

Jeszcze Prędowski nie zdążył sobie na pytanie to odpowiedzieć, gdy orszak przybliżył się ku niemu o tyle, iż przez grzeczność samą należało zejść z bardzo wąskiego w tem miejscu trotnaru, by paniom miejsca nie zabierać. Pan radca cofnął się uprzejmie w zagłębienie pierwszej z brzegu bramy, pewny, że pozwoli mu to przyjrzeć się dokładnie pochodowi.

Równocześnie jednak w powietrzu rozległ się głuchoy tętent, i z Placu Teatralnego wybiegł nagle z błyskawiczną szybkością burzy zbrojny oddział huzarów.

Zanim ktokolwiek zrozumiał niebezpieczeństwo, jeźdźcy, dopadłszy orszaku weselnego, rzucili się z obna-

żonemi szablami na bezbronnych. Trwało to jedną chwilę tylko. Krzyk trwogi ze strony pań i panienek, ścisk, skłębienie się ciał, błysk opadającego pałasza i... krew trysnęła na twarz Prędowskiego.

Gnani przez tryumfalne okrzyki, zapędzani końmi i szablami, goście weselni, pokiereszowani i splątani w jedną zbitą masę, wpadli przez uchyloną furtkę do bramy, gdzie wskutek zamkniętych żelaznych wierzei wojsko nie mogło już na bachmatach swych wierzchem wjechać. We wnęce tej, obok radcy Prędowskiego, który pierwszy się tu schronił, przyparta do muru, a widmowo blada, bledsza prawie od śnieżnej, symbolicznej swej szaty, stała oblubienica dzisiejsza, drżąca, skamieniała z trwogi i serdecznego bólu. W chwili bowiem, gdy pan młody osłonił ją przed niebezpieczeństwem własnem swem ciałem, a cięciu szabli przeciwstawił ów wielki bukiet ze śnieżnych róż i kamelij, ostrze żelaza nie dosięgło wprawdzie jej głowy, lecz, ciąższy w rękę, która ją od ciosu broniła, rozplatało ją tak dotkliwie, iż krew trysnęła nie tylko na twarz Prędowskiego, lecz zarówno na kwiaty, jak na biel ślubną oblubienicy.

Opróżniony zwycięsko plac boju zaległa cisza. Huzarzy, którzy orszak weselny wzięli snadź za tłum buntowniczy, uśmierzywszy go szczęśliwie, pomknęli dalej w tryumfie, dumni, iż misja „uspokojenia zamieszek“ tak dzielnie przeprowadzona i uwieńczona została.

Weselnicy, oprzytomniawszy, rzucili się do ratowania rannych i pokaleczonych.

Teraz dopiero spostrzegł pan radca, iż jeden z družbów, obywatel ziemski z tego samego co on powiatu, należy do dobrych jego znajomych.

— Na miłość Boską! — zapytał go, — co państwo tu robicie? Skąd ta maskarada?

— Prawda? piękna i wesoła maskarada!... — objaśnił. — Strejkujący rozpędzili nam karety przed kościołem i kazali pod groźbą porozbijania ekwipażów wracać stangretom do domu. Cóż mieliśmy robić, wyszedłszy ze świątyni po skończonym obrzędzie zaślubin i nie zastawszy wcale koni? Trzeba było za jakąś cenę, pod groźbą niebezpieczeństwa nawet, dostać się do domu, tymczasowo chociażby.

— Dlaczegoż na dziś ślub naznaczono?

— Bo nikt nie mógł przewidzieć, że w tej dacie wynikną bezrobocie i zaburzenia w Warszawie. A teraz niejeden z nas kalectwem to przyplacić może.

Pożegnali się. Prędowski ze wszelkimi ostrożnościami, lecz pośpiesznie wracał do hotelu. Nie był już ciekawy dalszego osobistego sprawdzania baśni i plotek, powtarzanych bezkrytycznie przez plebs nieoświecony.

Wstrząśnięty na razie i ogłuszony doznaniem wrażeniem, teraz dopiero zaczął pojmnawać stopniowo jego znaczenie i rozważać szczegóły.

— To niestetychane — powtarzał w myśli, — aby w imię bezpieczeństwa państwa działały się takie bezprzykładne nadużycia! Szarża kawalerji na orszak weselny, na ludzi najlepszego towarzystwa, na ko-

biety w balowych strojach!... Nie, gdyby tu nie szło o życie ludzkie, możnaby mniemać, że to efekt, z operetki zaczerpnięty.

I on, wierny zwolennik porządku państwowego, dziś po raz pierwszy w życiu, a bezwiednie prawie, zaczął co do racjonalności porządku tego żywć pewne nieuchwytnie jeszcze wątpliwości.

Gorzej było, gdy, przybywszy do hotelu, stanął przed lustrem i ujrzał ślady krwi na twarzy swej i futrze.

Prędowski zbłądł, usiadł na pierwszym krześle, i jak nerwowej kobiecie, po prostu słabo mu się zrobiło. Zrozumiał, że był w niebezpieczeństwie życia. Widok tej krwi na sobie samym więcej go wstrząsnął od poprzedniego obrazu.

Po jakimś czasie zdjął futro, kazał je oczyścić, obmył się i, zamiast iść do dzieci, zamknął się w swoim pokoju, by przyjść do siebie i myśli zebrać.

Ta krew, jak rdza, padła na jego duszę i, jak rdza, miała w niej przegryzać żelazne rusztowanie wierzeń w nieomyślność porządku państwowego.

Nie przyznawał się jednak do tego, bo wogóle nie umiał sobie zdać sprawy z własnych uczuć. Wiedział tylko, iż obok tamtego kielkującego wrażenia wzrasta w nim jasne i świadome oburzenie na socjalistów, którym kraj zawdzięczał zarówno strejk powszechny, jak wszelkie wynikające z niego skutki.

Nazajutrz, uznając dalszy pobyt dla Zosi w zamkniętej atmosferze hotelowej za przykry i nieodpowiedni, pan radca postanowił oddać ją pod zwykłą jej opiekę.

Od śmierci żony córka jego wychowywała się u ciotki swej w Warszawie. I tym razem na święta tylko przyjechała z bratem do domu. Prędowski, zaniepokojony niepewnymi wieściami, jakie nadchodziły ze stolicy, zatrzymał ich dłużej na wsi. Obecnie jednak z obawy, aby nie stracili oboje roku nauki, a chcąc się przekonać, ile też jest prawdy w „fantazjach“, jakie mu opowiadały dzieci o ruchu szkolnym, sam odwoził córkę i syna do Warszawy.

Nieszczęście mieć chciało, iż trafił tu właśnie na dzień 28 stycznia.

Nazajutrz więc, aby jedynaczki nie narażać, zażądał powozu w hotelu. Życzenie to jednak było niewykonalne, bo stangreci strejkowali. Plebejuszowskie tramwaje nie kursowały również. Za grubymi napiwkami i po długich poszukiwaniach przyprowadzono mu znów starą, rozklekotaną i obdartą dorożkę.

Na mieście, jak zapewniano, spokojniej jest już znacznie. Liczne oddziały wojskowe oraz stałe patrole i posterunki, rozstawione na wszystkich rogach ulic, strzegły podobno „bezpieczeństwa mieszkańców i porządku“.

Pan radca wysłuchał tych objaśnień, lecz na dźwięk słów „bezpieczeństwo“ i „porządek“ jakiś czerw ukryty zaświdrował mu w sercu. Nie był to robak zwątpienia, lecz praojciec jego: mól niepokoju.

Krakowskie Przedmieście smutne było, w publiczność ubogie, wzamian jednak zalane wojskami wszelkiej broni. Ile razy dorożka mijala oddział kozaków, ilekrotnie wyprzedzali ją dragoni lub ułani, Prędowski, wczorajszem doświadczeniem bogaty, ota-

czał plecy i szyję córki własnem ramieniem, jak gdyby ją w ten sposób od ciosu mógł ochronić.

Ulica Królewska, dzięki ogrodowi, z którym graniczy, zwykły prawie miała wygląd. Gdy jednak dorożka skrzyła w Marszałkowską, po bledziutkich licach Zosi, jak sznury pereł, dwa strumienie łez pobiegły.

— Ja się nie boję, ojcze — uspokajała złamanym głosem Prędowskiego, — tylko tak mi żal miasta. To nie ta sama Warszawa... Patrz, to jedna wielka, beznamiętnie wydłużona trumna...

— Po której ciągnie już sznurem cheiwe żeru robactwo — uzupełnił Witold.

— Nie, nie! — broniła. — Trumna jest tylko pustym symbolem, jak przy obchodzie żałobnych pamiątek. Inaczej chory musiałby powstać z letargu i rozbić ją całą.

Pan radca nie mówił już tym razem nic o „bożej hołocie“, która nieszczęście na miasto ściągnęła, lecz był rozmiarem klęski naprawdę zgębiony.

I jechali wolno, w głębokim milczeniu, jak gdyby w rzeczy samej żałobnemu obchodowi towarzyszyli. Jechali z wytężonym wzrokiem, chłonąc w siebie, w pamięć i serce, ten bolesny a niezapomniany widok.

Przed nimi długa, imponująca zwykle rozmiarami swymi, perspektywa ulicy Marszałkowskiej przedstawiała jeden wielki obraz martwoty i zniszczenia.

Brak wszelkiego ruchu kołowego nadawał tej wrzającej zwykle życiem arterji komunikacyjnej ce-

chę ciszy cmentarnej. Po wyludnionych, pustych chodnikach zrzadka tylko posuwał się lekliwie zabłąkany tutaj przechodzień. Zabite zaś deskami okna i zapuszczone żelazne żaluzje przerywały jedynie i urozmaicały otwory zdruzgotanych szyb, potrząskane szyldy lub wylamane drzwi zrabowanych doszczętnie magazynów. Dzieło zagłady i zniszczenia nie pominęło nawet latarni ulicznych, świecących potłuczonymi szklami.

I nie tyle krzywda materialna pojedynczych jednostek, ile to przerwanie tętna życia i ruchu, ta śmierć pozorna olbrzymiego mrowiska ludzkiego, środowiska jego pracy, zabiegów i interesów, czyniła wstrząsające, niezatarte wrażenie.

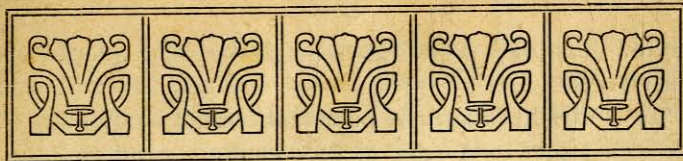
— Miasto po napadzie Tatarów lub Mongołów nie mogłoby gorzej wyglądać — rzucił przez zaciśnięte zęby Witold.

A środkiem ulicy sunął nieprzerwany sznur „ochrony państwowej”. Dragoni i ulani, kozacy orenburscy i kubańscy, artylerzyści o ciężkich pałaszach i dodanych im nahajkach, piechota wreszcie wszelkich pułków mijały się oddziałami na przemian, pilnując teraz murów tych, gdy ich już nikt nie rozbijał, gdy zgraja lotrów uciekła, pozostawiając za sobą, oprócz strat materialnych, zamęt i terror bezwzględnej żywiołowej siły.

Na usta Prędowskiego rwała się ostra uwaga o socjalistach i rozprężeniu, jakie niecili w kraju. Rdza jednak, której kropla wczoraj na serce mu padła, żarła je w tej chwili bólem fizycznie dotkli-

wym. Zamilkł więc, gładząc tylko rękę płaczącej jedynaczki.

— Cicho, Zosiu — pocieszał młody chłopak. — Ziemia i przyroda cała głębiej co zimę zamiera, a jednak jeden promień słońca, promień wolności do nowego, wspaniałego budzi ją życia.



III



świecie poważnej inteligencji warszawskiej, pani Marcelina Korczyńska stanowiła typ niepospolity, a przedziwnie jasny i czysty.

Przybywszy przed kilku laty do stolicy, jako młoda i bogata wdowa po obywatelu ziemskim z Podola, umiała, dzięki stosunkom rodzinnym i własnemu taktowi, wyrobić sobie w towarzystwie tutejszem wyjątkowe zupełnie stanowisko. Bystra inteligencja, poparta wykształceniem, nad rozszerzeniem którego pracowała ustawicznie, gromadziła dokoła niej ludzi wyższej wartości umysłowej i moralnej. Wystarczało też pani Korczyńskiej pokazać się w jakim salonie, by wszystko, co posiadało w niem wybitniejsze cechy, pośpieszyło zgrupować się dokoła uroczej tej kobiety.

Ani jednak rola Sybilli, ani królowej czy lwicy salonów nie zadowalniała serca jej i ambicji. Wycofując się też stopniowo z błyskotliwych sfer tych, stworzyła sobie własne, bardziej pojęciom swym i zasadom odpowiednie środowisko. Nikt, według niej,

nie miał prawa zasklepiać się w egoistycznym szczęściu lub niedoli, bo częśćka każdego z nas do ogółu przedewszystkiem należy. Pozostawiwszy też głośną i patentowaną, a tańczącą i dekolowaną filantropję tym, które ani dzieł miłosierdzia, ani akcji społecznej inaczej nie pojmowały, pani Marcelina w innym a bardziej kulturalnym kierunku działalność swą zwróciła.

Z lat młodzieńczych, spędzonych na wsi, wyniosła wielką miłość dla ludu; brak bliższych węzłów rodzinnych i własnych dzieci kazał jej cudze ukochać. Dwom tym uczuciom służyło za podstawę trzecie, najpotężniejsze, bo fanatyczne przywiązanie do ziemi ojczystej.

Na takim podłożu wyrość tylko mogła i musiała jedna idea, jedno zasadnicze dążenie,—oto, chęć połączenia trzech tych ukochań we wspólne ognisko, w którym miłość ludu i miłość młodzieży przetapiałaby się na szczere złoto pracy dla dobra ich, a więc dla dobra i przyszłości ojczyzny.

Strzegąc wiernie świętego tego Znicza, pani Korczyńska nie zwykła jednak patriotyzmu swego wystawiać na pokaz. Jakkolwiek dom jej był ostoją dla wszystkich tą samą ożywionych myślą i tym samym duchem, dla niewtajemniczonych jednak przedstawiał on tylko zaciszne gniazdko wytwornej kobiety.

I nie była to jedynie owa wstydlivość delikatnej, szlachetnej duszy, nie pozwalająca uczuć swych najświętszych przed obojętnem roztaczać okiem. Nie; działała tu jeszcze mądrość ewangeliczna, która

z jednej strony zaleca w ważnych sprawach słodycz głęboką i ostrożność węża, z drugiej nie każe rzucać pereł... przed niepowołanych.

Na tej też zasadzie pani Marcelina Korczyńska wobec szwagra swego, radcy Prędowskiego, nigdy nie dotykała żadnem słowem ani wierzeń swych i ukochań, ani działalności społecznej i narodowej, której poświęciła życie.

Bo i pocóż? Wszak wobec zasad swych nie mógłby zrozumieć jej, nie mógłby odczuć nawet. Stali przecież na przeciwnych krańcach pojęć i zapatrywań.

Pan radca jednak nie wiedział o tem. Dla niego siostra jego zmarłej żony była tylko kobietą niezależną i bogatą, która, nie mając ochoty ani zamiaru wyjść za mąż, urządziła sobie wygodnie, zbytkownie nawet życie, a faworyzując i wychowując jego Zosię, mogła z czasem cały majątek jej zostawić.

W gruncie duszy może nie lubił nawet pedantycznej sawantki, ale sukcesja... tej niepodobna było lekceważyć. Dla dobra dziecka wiele znieść trzeba...

A przytem cóżby on zrobił z młodą panią tam, w Prędowie, w domu, prowadzonym bez kobiecej głowy i opieki, lub nawet tu, w Warszawie, podczas niebezpieczeństwa tych nieszczęsnych rozruchów?

Ciotka Marcelina była stanowczo opatrnościową w tym razie ucieczką.

Z westchnieniem też ulgi wysiadł wraz z dziećmi przed domem jej w Alejach Jerozolimskich, lecz

w tej części, ku Ogrodowi Pomologicznemu wysuniętej, do której wczoraj nie mógł dotrzeć wcale.

Przyjęto ich, jak zawsze, z wyciągniętymi dłońmi, a Zosię szczerem sercem, do którego przygarnęła ją ciotka.

Pan radca objął tymczasem bystrem spojrzeniem salon. Obchodziło go żywo, czy pani Korczyńska zbytkownymi zakupami (a znał jej zamiłowanie do sztuki i pomnikowych literackich wydawnictw) nie uszczupla niepotrzebnie fortuny, którą, pomimo względnie młodego wieku szwagierki, uważał już poniekąd za własność swych dzieci, a więc tem samem za swoją.

Świeże kwiaty jednak, które lubiła niezmiernie, były tym razem jedyną w lokalu nowością.

Wprawdzie te bzy, te róże uważał także zimną i w mieście za dziecinne, marnotrawne upodobanie, no, ale trudno było kochaną Marcelinkę tak ograniczać; a przytem nie mógł zapominać, że sam należy do sfery, w której kwiaty stanowią nieodłączny atrybut ładnej i wytwornej kobiety.

Uspokojony pod tym względem, ucałował serdeczniej, niż zwykle, rękę pani domu.

— Droga Marcelinko — pytał — powiedzże mi, co się tu u was, na miłość Boską, dzieje?

Spojrzała na niego smutno, bardzo smutno.

— Dzieje się krzywda ogółowi — odparła.

— A więc powstrzymajcie ją, na Boga! Od czegoż prasa, inteligencja, wszyscy?

— Fali spienionej, która rwie wszystkie tamy, nikt i nie nie powstrzyma; nawet przemoc oręża będzie dla niej czasową jedynie zaporą.

— Ale skąd się ta fala wzięła? skąd tak nagle?

Siedzieli już na miękkich fotelikach z Zosią, pieszczotliwie przytuloną do ciotki. Pani Korczyńska spojrzała z kolei na nią, na szwagra i... zawałała się z odpowiedzią.

— Skądże się fala ta wzięła? — powtórzył z naleganiem Prędowski.

Pani Korczyńska przechyliła się i bystro spojrzała mu w oczy.

— Panie Arturze, czy człowiek twego pochodzenia i inteligencji potrzebuje na pytanie to odpowiedzi? Czy miałeś kiedy społeczeństwo całe za obumarłe? Czy wierzyłeś, że kolos taki, jak lud, nigdy się nie zbudzi i nigdy o krzywdy, bądź o dobro swe nie upomni? Chwila ta przełomowa w dziejach, wcześniej, czy później, przyjść jednak musiała.

— No, tak, gdzieindziej... Ale u nas...

— U nas, ma się rozumieć, działo się wszystko jak najlepiej, jak na najlepszym ze światów — uzupełnił sarkastycznie Witold.

Pani Korczyńska powstrzymała gorycz chłopca jednym przeciągłym spojrzeniem. Radca Prędowski udał, że uwaga syna wcale uszu jego nie doszła.

— U nas — kończył — w ostatnich latach kraj rozwinął się niesłychanie pod względem ekonomicznym, dzięki przemysłowi.

— Niemieckiemu — wtrąciła pani domu.

— Być może, że niemieckiemu, ale zawsze podnosił on stopę bogaństwa ogólnego, i gdyby tylko ludzie umieli pracować wytrwale, a cierpliwie...

— Gdzie i na czym? — przerwał ponownie Witold.

Radca zwrócił się tym razem do niego z ostrą, napominającą uwagą.

— Brak pola do pracy to wieczna wymówka próżniaków. Człowiek ambitny, człowiek skrzętny i rzadny, zawsze do niej warsztat stworzyć lub znaleźć potrafi. Otóż — kończył, kierując słowa swe do pani domu napowrót, — gdyby nie bałamuctwa głów niedowarzonych, demagogią oplątanych, gdyby ogół chciał czekać spokojnie, jestem pewny, iż stronnictwo nasze byłoby z czasem wyjednało w Petersburgu na drodze legalnej i prawnej...

— Zanim słońce wszędzie, kochany radco, rosa oczy wyje — wtrąciła smutnie pani domu.

Ta podwójna opozycja rozdrażniła Prędowskiego.

— Marcelinko droga, skarć mnie, proszę — zawołał. — Zaśniedziałem na wsi i, jak parafjanin, zanudzam piękną kobietę polityką; rzecz niedozwolona w salonie.

Z pod przymkniętych rzęs pani Korczyńskiej pobiegło ku niemu mimowolnie mocno ironiczne spojrzenie. Czy gimnazjalisty błysnęły także złośliwie. Snadź ta wieczna taktyka mężczyzn wsteczników i zacofanych, którzy dla podtrzymania swej domniemanej wyższości dają do zrozumienia, iż nie wypada im mówić w kwestjach poważnych z ko-

bieta, jako istotą niższej od ich inteligencji,—taktyka ta, zastosowana przez Prędowskiego do Marceliny, musiała nawet jej samej wprost śmieszną się wydać. A jednak, prócz owego przelotnego spojrzenia, ani jeden muskuł nie drgnął w jej twarzy. Potrafiła zachować całą słodycz i powagę.

— Na pobojuwisku i pogorzelisku niema salonów ani dam, Arturze; są tylko ludzie, którzy powinni czuć i umieć myśleć.

— Czuć i myśleć... frazes to piękny, lecz wierzaj mi, Marcelinko, iż podwójna taka akcja tworzy ciężar za wielki na jedne barki. Myślenie więc zechciejcie nam zostawić, tak, jak my nie wkraczamy w dziedzinę serca, jako w wasze królestwo.

Tyle było w słowach radcy głębokiego przeświadczenia o własnej wyższości, taka biła z nich wielkoduszna łaskawość w zniżaniu się do poziomu kobiety, iż pani Korczyńska, szczerze ubawiona, roześmiała się po prostu.

— Cieszy mnie, żeś się odważył do tego królestwa przywieść własną córkę.

— Ależ ja go nie lekceważę — zapewnił żywo. —

— Przeciwnie, z wysokiem uznaniem czołem przed niem biję. Smutny byłby los Zosi, gdyby, straciwszy matkę, nie miała ciebie, Marcelinko... gdyby nie znalazła w jej siostrze drugiego, macierzyńskiego niedłwie serca. Z całą też głęboką wdzięcznością za nie i z całą ufnością przywożę ci dzieci moje w takiej nawet chwili...

— Dobrze zrobileś, Arturze — wtrąciła, — bo, mimo wszystko, bezpieczniej tu, w murach, niż może być w Prędowie.

— Jakto? nie rozumiem.

— Strejki mają przejść wkrótce na wieś; broń ta zaś w ręku ludu może stać się zaczynem czy rozsądnikiem poważnych agrarnych rozruchów.

— Co? strejki na wsi? Ha, ha, ha! — zaśmiał się radca Prędowski, ubawiony widocznie. — Bezrobocie u chłopów? Może będą rozbijali szyby i budynki? Ha! ha! ha! ha! Nie, Marcelinko! to kolosalny pomysł! Ale ten, kto go stworzył, nie ma pojęcia o psychologji i charakterze naszego ludu. Pozwól, że w tych rzeczach, choćby na mocy doświadczenia, ja lepszym będę sędzią... Otóż nie o urojone niebezpieczeństwo tam, na wsi, lecz chodziło mi o rzeczywiste tu, w mieście. I dlatego zatrzymałem dłużej Witolda i Zosię, gdyż chciałem sam ich odwiedzić i prosić cię osobiście, abyś właśnie powagą serca swego wpłynęła na te fantazje dzikie, jakimi zaraził ich wywrotowy a bezsensowny prąd, panujący rzekomo wśród młodzieży.

— Ojcu chodzi o strejk szkolny, o to, że żądamy wykładów w języku polskim, że pragniemy unarodowienia szkół — odezwała się po raz pierwszy Zosia, jak gdyby tem wyjaśnieniem myśli Prędowskiego chciała nie dopuścić do energiczniejszych z jego strony wyjaśnień, do uniesienia może.

Głos jedynaczki nie rozechmurzył go jednak tym razem, nie powstrzymał słów ostrych, cisnących się na usta:

— Tak, chodzi mi o ruch ten bezprzykładowy, który za zbrodnię ze strony agitatorów uważam. Dzieci, mieszające się do polityki, to ostatni upadek

narodu... to owe przysłowiowe jaja, mędrsze od kur... to wreszcie upokorzenie dla nas, dla rodziców, dla ludzi dojrzałych wogóle. Chyba my lepiej wiemy od podlotków i wyrostków, co dla kraju jest dobre, co zbawienie przynieść może! Chyba nasz patriotyzm, nasza miłość dla ziemi tej poważniejsza daje rękojmię, bośmy ją życiem całem stwierdzili, bo za tendencje te, bo za pracę naszą społeczeństwo nagrodziło nas zaufaniem, powołując na wybitne stanowiska! Ale my, nosząc mundur gimnazjalny, nie wtrącaliśmy się do rzeczy, przechodzących naszą kompetencję, do rzeczy, które do nas nie należały... Uczyliśmy się gorliwie, starali o dobre stopnie, myśleli o przyszłości, o karierze...

— Tak, o karierze — syknął Witold.

— Ma się rozumieć, że przedewszystkiem o karierze, bo to pierwszy obowiązek młodzieńca, trzeźwo myślącego, a spełniającego zadanie swego wieku. O karierze, uczciwie zdobytej, bo nią tylko można odplacić społeczeństwu za wzięty od niego kapitał nauki, a rodzicom za trudy i koszty wychowania, bo nią tylko zdwajamy i pomnażamy bogactwo kraju.

Radca się uniósł. Oczy mu pałały, iskry rzucając. Stał w tej chwili na gruncie niezłomnym dla siebie i niezachwianym, na jedynym, jaki służył za podstawę i opokę własnemu jego życiu. Tu był ład, porządek i fortuna; tu zbawienie, zarówno kraju, jak własne, dowodnie na nim stwierdzone. Wyprostował wyniosłą swą postać i dumnym wzrokiem powiódł do koła.

Na słowa te krew uderzyła do głowy chłopaka.

— Mam więc zaprzeczyć się myśli samodzielnej? — wybuchnął, — wyrzec się niezależności, altruizmu, idei wolności i swobody? mam nie walczyć nawet o język pradziadów i prawa narodowe, lecz gnić w zgniliej szkole, płaszczyć się, ogłupiać i kłamać, by prędzej dojść do chleba, do pieniędzy, do otłuszczenia mózgu i serca? Tego wymaga ode mnie społeczeństwo za dany mi kapitał wykształcenia? tego rodzice za trudy wychowania? Piękne zaiste społeczeństwo i piękni rodzice!...

— Witold! zapominasz się!...

W głosie pana radcy zadrgało uniesienie. Oczy ojca i syna, naładowane elektrycznością, zmierzyły się; w powietrzu zawisł piorun. Zanim jednak iskra jego wybuchnąć zdołała, złożone rączki Zosi zawisły z pieszczotą na ramieniu brata, a proszące spojrzenie i miękki, metaliczny głos pani domu przypomniały panu Prędowskiemu, iż nie miejsce tu i nie chwila do okazywania ojcowskiej przewagi nad synem.

— Czy godzi się, Arturze, brać tak za złe Witoldowi odmienny kierunek zapatrywań i zasad? Wszak to zwykła ewolucja pojęć, której ulega każda poniekąd generacja. Cóż chcesz? jest on tylko dzieckiem swojej epoki, z której prądami i dążeniami solidaryzować się musi pod karą ostracyzmu, jakiemu w przeciwnym razie musiałby uleść ze strony kolegów i... ogółu może.

— Och, Witold nie dla obawy ostaracyzmu, lecz dla własnego przekonania, dla własnego szacun-

ku łączy się z akcją ogólną — zaprzeczyła gorąco Zosia. — Ciocia wie o tem, ciocia wie, że i pensjonaty żeńskie muszą mieć wykładowy język polski, inaczej żadna z nas nie wróci do nich.

Radca oniemiał. Tak kategorycznie nigdy jedynaczka jego nie przemawiała dotąd. Więc i to oczko w jego głowie zarażone było wywrotowymi ideami...

— W takim razie miejsce twoje w murach *Sacré-Coeur* — zdecydował zimno.

Śliczny podłotek podskoczył i obu rękami oplótł szyję pani Korczyńskiej.

— Nie, papo! miejsce moje w Prędownie lub tu, przy ciotce Marcelinie. Wszak sam to nieraz mówiłeś.

I zapomniawszy już o poprzednim wybuchu, tuliła się do ramienia opiekunki, patrząc równocześnie z prośbą i pieczęcią na zaszępionego ojca.

— Wiesz co, kochany radco! nie dręcz się rzeczą, której przeszkodzić ani zaradzić nie leży w twej mocy. Ja na twojem miejscu byłabym, przeciwnie, dumną z tego, iż dzieci moje mają umysł otwarty i serca wrażliwe na przyszłość i szczęście narodu, na prądy najnowsze, jakie wstrząsają społeczeństwem. Wszakże sam nie na próżno Prędownskim się nazywasz.

— No, etymologia tego nazwiska mocno jest wątpliwą — wtrącił nagle Witold.

— Dlaczego?

— Bo może również dobrze pochodzić od „prądu“, jak i od „pręta“ — objaśnił niepoprawny chłopak.

Tym razem nie tylko już ojciec, lecz i pani Marcelina udała, iż złośliwa uwaga uszów jej nie doszła.

— Przrzekam ci zresztą — kończyła, — że, o ile będzie możebnem, postaram się gorące te głowy uspokoić i od pośpiesznych a lekkomyślnych postanowień powstrzymać. Zostaw mi je zatem bez obawy.

— Nie mogę cię przecież obarczać Witoldem; trzeba go odwieźć na stację.

— Za godzinę będzie tu Jerzy Orecki, zabierze go więc pod swe skrzydła i razem już pójdą do wspólnego domu. Zresztą, być może, iż ze względu na Zosię zatrzymam go dni kilka u siebie, dopóki miasto się nie uspokoi i naturalniejszej a bezpieczniejszej nie przybierze cechy. Rzeczy ich z kolei potrafimy tu wydestać; możesz więc, drogi radco, wracać bez troski, a co prędzej do domu.

— Co prędzej? Skądże ten pośpieszny wyrok wygnania?

— Z obawy, by z dnia na dzień oczekiwany strejk kolejowy nie naraził cię później na męczącą i ryzykowną podróż końmi. Chyba, że masz zamiar zabawić dłużej w Warszawie?

— Broń Boże! Wybrałem się na parę dni tylko; muszę wracać. Ta dezorganizacja jednak społeczna, o której wspominasz, wydaje mi się objawem tak rozkładowym a nie do wiary, iż, zostawiwszy pod twą opieką dzieci, pojedę przedewszystkiem do Towarzystwa Kredytowego.

— Zamknięte.

— No, dziś! ale jutro...

— Będzie także podobno zamknięte.

— A zatem do Banku Handlowego.

— Wszystkie banki mają być nieczynne.

— Banki zamknięte? Więc cała wielka a złożona machina przemysłu, handlu i życia społecznego byłaby jednorazowym rozkazem powstrzymana w swym ruchu?

— Niestety, tak ma być podobno.

Pan radca Prędowski chwilę patrzył w przestrzeń, jak gdyby coś groźnego w niej ujrział, potem wyprostował się z podwójną energją i oburzeniem.

— Gdyby się to stać miało — zawołał, — ten, któryby ów wsteczny objaw wywołał, samby się nim na zagładę skazał. Ruch i praca to życie. Bez wład w organizmie jednostki, a tem bardziej w społecznym, równa się groźnej, wyniszczającej chorobie. Śmiertelną truciznę można zadawać w nagłym wypadku pojedynczym osobnikom; kto do n — ednak zmusza ogół, ten zbrodnię popełnia.

— Żal mi wszystkich, którzy w epoce podobnej żyć muszą. Żal mi dzieci własnych — dokończył.

— Podniósł się.

— Pozwól, Marcelinko, że cię pożegnam. Pójdę do wybitniejszych ludzi naszego stronnictwa dowiedzieć się, jak rzeczy stoją.



dwie godziny później, stylowo urządzona jadalnia pani Marceliny Korczyńskiej rozbrzmiewała gwarem licznych głosów młodzieńcych.

Przy marmurowym samowarniku pani domu w skromnej sukni, z aureolą ciemnych włosów nad białem myślącym czołem, sama nalewała filiżanki wonnej herbaty, którą młodzi goście odbierali z rąk jej i rozstawiali wzdłuż stołu.

Służba wykluczona była widocznie z zebrania dla nie tamowania zapewne swobody słowa zaproszonym.

Ukończywszy zadanie swe, pani Korczyńska przywołała skinieniem wysmukłego młodzieńca

IV

„Dość już długo, dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą —
W czynów stal!”

(Z. Krasiński — *Psalm miłości.*)

w mundurze studenta uniwersytetu i kazała mu usiąść na chwilę przy sobie.

— Mój Jerzy — mówiła głosem stłumionym, — oddaję ci w opiekę Witolda i proszę, powstrzymaj możliwie jego zapal prozelity. Skarć go po prostu skłoń, aby, zamiast agitować, przyjął tymczasem wyczekującą postawę. Masz nad nim wpływ wszechwładny, dla Prędowskich zaś jesteś po prostu wyrocznią; wyzyskaj więc stanowisko swe na rzecz mojej prośby.

Jerzy Orecki, brunet o bladych nerwowych rysach, wśród których gorzały tylko czarne, promienne oczy, patrzył ze zdumieniem w piękne oblicze pani Korczyńskiej.

— Czyżbyś chciała, wujenko, by Witold wyłamał się z szeregów i, posypawszy głowę popiołem, poszedł, jak do Canossy, do szkoły rosyjskiej z powrotem?

W poważnych marzycielskich źrenicach kobiety wesoły błysnął chochlik.

— Pozwól, że na pytanie odpowiem pytaniem także: Czy dorosły a inteligentny mężczyzna ma prawo być nieuzasadnionym i pohopnym w sądach?

— Nie! nigdy! Niech więc najpiękniejsza ze ślicznych wujenek wyda rozkazy, a spełnię je na ślepo.

— To zbyt uczucie. Przeciwnie; wytłómaczę prośbę mą odrazu. Przyszło dziś tutaj u mnie do ostrego starcia między Witoldem a jego ojcem. Ja szwagra swego znam dokładnie, mogę więc ręczyć, iż, posłyszawszy o strejku szkolnym i o stanowczym boj-

kotowaniu gimnazjów, a rozgniewany na syna, go-tów byłby w rozdrażnieniu dopuścić się jakiegoś ostatecznego kroku.

— Może, jak hrabia Małopolski, odwoziłby oś-biście jedynaka do szkoły i oddawał go codziennie sam w ręce inspektora...

— Czy to fakt?

— Najautentyczniejszy. Wykłady w klasie tej odbywają się przy drzwiach zamkniętych i pod strażą dla dwóch jedynie słuchaczy: dla syna hrabiego Małopolskiego, jako przedstawiciela lojalizmu i wstecznicstwa w polskiej arystokracji, oraz dla żyda, nazwiskiem Biegele.

— Arystokracja nasza tyle daje w ostatnich czasach dowodów dobrej woli, tyle okazuje poczucia obywatelskiego i narodowego, iż dla zasług tych najlepszych jej wybrańców można nawet przebaczyć oportunizm rozmaitych Małopolskich. Wracając jednak do rzeczy, mój Jerzy, raz jeszcze proszę, wpłyni kojąco na Witolda. Nie chcę wybuchu ani skandalu; niech radca wraca spokojnie na wieś. Gdy zbojkotowanie szkoły i dążność do unarodowienia jej stanie się faktem dokonany, ojciec będzie musiał pogodzić się z zaszłymi już wypadkami. Zresztą Zosia potrafi go rozbroić i ułagodzić.

— Kogo mam rozbroić i ułagodzić? — zabrzmiał nagle głos świeży, srebrzysty, obok zaś pani Korczyńskiej stanęła postać wiośniiana o delikatnie rzeźbionych rysach i długich ciemnych warkoczach, na błękitną spadających sukienkę. I u niej włosy podnosiły się bogatą aureolą nad czołem, z alabastru

wykutem, tworząc barwą swą kontrast z szafirem żrenic, które zdawały się skrawek cudnego nieba w sobie zamykać. Przebrana, wysmuklejsza w obcisłej i dłuższej sukni Zosia Prędowska, z poczwarki zamieniona w motyla, nie była już podlotkiem figlarnym, lecz wcieleniem wiosny i czasu życia, obrazem marzeń i snów młodzieńczych, budzących się dopiero do rzeczywistości.

— Kogo mam rozbroić i ułagodzić? — powtórzyła pytanie, przenosząc promienne spojrzenie z młodej kobiety na dorodną postać Jerzego Oreckiego.

— Mnie, kuzyneczko.

— Alboż pan gniewa się na mnie? — zapytała, jakby strwożona, patrząc mu z niepokojem w oczy.

Płomienne, ogniem zapalnej duszy tryskające spojrzenie młodego mężczyzny przybrało wobec tej naiwnej słodczy i prostoty podlotka dziwnie miękkie, jakby rozrzucony wyraz. I musiało ono dużo powiedzieć ślicznemu dziewczęciu, — Zosia bowiem uśmiechnęła się i ruchem impulsowym wyciągnęła ku niemu rękę.

— Dobrze. Spróbuję rozbrajać i ułagodzić pana, gdy kiedy zajdzie tego potrzeba. Proszę tylko pamiętać, kuzynku, żeś mi sam rolę tę przeznaczył.

— To trochę rola opiekuńczego anioła — objasniła z uśmiechem pani Marcelina.

— Nie, ciociu! tylko zadanie dobrej i...

Zacięła się i zarumieniała silnie.

W sercu Oreckiego zagrały dalsze wyrazy: dobrej i... kochającej kobiety. Jedno wszakże spojrzenie na te cudnemłodzieńczym urokiem, lecz w pół

dziecinne jeszcze rysy, którym zaleknienie czy załopotanie i fala rumieńca podwójnego dodawały uroku, kazało mu cofnąć słowa zbyt silne.

— Panna Zofja ma rację — pośpieszył jej z pomocą. — Misja taka to tylko zadanie dobrej i... słodkiej kobiety.

Podziękowała mu pełnem ufności, wdzięcznem spojrzeniem.

Ten szybki błysk oczów, ten skrawek nieba, odzwierciadlony w żrenicach, stał się dla Oreckiego powtórna pokusa, której nie próbował oprzeć się tym razem. Podniósł rękę drobną, jak ptaszę strwożoną w swej dłoni, i z czcią rycerską dotknął jej ustami.

— Anioł opiekuńczy a słodka i dobra kobieta to synonimy tylko... to jednoznaczne określenie tego samego skarbu, którego wiecznie w niewieściej szukamy duszy. Niechżeż mi wolno będzie zapowiedź jego powitać tym bratnim pocałunkiem i tą podzięką zarazem na życzliwie rzucone mi słowa.

Zosia szybko, gwałtownie prawie, cofnęła rękę. To muśnięcie ust gorących i kruczych wąsów, ten hold, należny dorosłej tylko pannie, dziwnie na nią podziałał. Rumieniec zeszedł nagle z jej lic, a fala krwi gorącej zbiegła do serca, pokrywając rysy bladością alabastru.

Zmieszani, zamilkli oboje. Spojrzenie zaś pani Korzyckiej, w próżnię, jak gdyby w głąb serca własnego zwrócone, zdawało się mówić:

— Szczęśliwa, błogosławiona młodości!... Ty potrafisz wytrwać technienie poezji i wiosny nawet

wśród mrozów północy, potrafisz marzyć i upajać się nawet wśród ulic... krwią zbryzganych.

Nastala chwila, jak mgnienie krótka, chwila ciszy i skupienia, w której dusze ich odbiegały od rzeczywistości—każda w głąb własnego jestestwa, własnej, dla nikogo niedostępnej dziedziny marzeń, żalów i nadziei.

Przerwał je i zakłócił zgorączkowany głos Witolda.

Nastrój rozwiął się i lekkim już tylko obłoczkiem osiadł na duszach, jak smutek na równinach Mazowsza.

— Jerzy!—wołał chłopak niecierpliwie,—dostać straty czasu! Wszyscy już rozgrzali się herbatą; chodź zagać i poprowadzić obrady. Dziś każdy chce przecież jak najprędzej wrócić do domu.

Orecki wyjął skromny studencki zegarek i sprawdził godzinę.

— Chciałbym poczekać jeszcze chwilę; może Lipowiecki nadejdzie.

— Lipowiecki? tu? na naszym zebraniu?

— Tak. Miał przynieść ostatnie wiadomości. Do niego zresztą dyrektywa i kierowanie akcją należy.

Witold cofnął się w milczeniu, jak gdyby mu świętość ukazano.

Jerzy wszakże inaczej się rozmyślił.

— Wujeneczko, dziś jest w rzeczy samej zbyt niebezpiecznie na ulicach, aby kogokolwiek przetrzymać. Chodź, zajmijcie z panną Zofią swe miejsce i rozpocznijmy naradę.

Thumiony gwar, panujący w wielkiej sali jadalnej, umilkł nagle. Młodzież, rozmieszczona dokoła długiego stołu, na widok zbliżającej się pani do mu powstała w części, aby jej zrobić miejsce; wszystkie zaś spojrzenia, jakby wzięte w niewolę, szły ku niej i ku Oreckiemu z gorączką zaciekawienia, oczekiwania lub niepokoju.

Stół, uprzątnięty już z prowizorycznej herbacianej zastawy, a otoczony dorastającą prawie młodzieżą, czynił wrażenie jakiejś wielkiej uczelni lub sali konferencyjnej. Kilku starszych panów i kilku studentów rozmawiało przyciszonym głosem—w grupach, rozrzuconych po dalszych rogach pokoju.

Pani Korczyńska, doszedłszy do zwykłego swego naczelnego miejsca, stanęła i powiodła okiem po zebranych.

Widok chłopców, mniej-więcej rówieśników Witolda, wskazywał, iż należeli do klas wyższych, które rok, dwa może, dzieliły od uniwersytetu lub samostnej w życiu kariery. Rysy ich, różne typem, cechami rasy, pochodzenia i środowiska, z jakiego wyszły, nosiły jedno wspólne piętno przygnębienia. Brak im było tej porywającej siły życiowej, przed którą świat się korzy,—tej pogodnej siły i wiary w siebie, która kruszy przeszkody i wszystko zdobyć potrafi.—brak swobody i ufności fantazji młodzieńczej, która w dumnych swych wzlotach ku chmurom się wzbija i słońcu patrzy w oblicze.

— Dzieci niewoli — wybiegło niechcący na usta kobiety.

— Twórcy upadającego systemu szkolnego — dorzucił stłumionym również głosem Jerzy Orecki. — Patrz, wujenko, na te przygarbione karki i pochylone głowy: to wynik wpajanego w nich służalstwa. Patrz na nieufne spojrzenia, jakimi badają się nawzajem; to skutek systemu szpiegowskiego rosyjskiej uczelni. Chłopey ci tak przywykli bać się i kryć z myślą każdą niemal, iż jeden drugiemu nie wierzy już dzisiaj. A ten fałsz, ten brak szczerości i wiary przekleństwem na duszę im pada.

— Są może pod wrażeniem wypadków ulicznych.

— Zapewne. A jednak zobaczysz, wujenko, ile w sercach tych w ciągu ostatnich miesięcy nagromadziło się materiałów palnych i jak gwałtowny wybuch sprowadzi iskra, przez nas rzucona.

Zajęto miejsca.

Stłumione rozmowy umilkły zwolna. Studenci i starsi panowie zbliżyli się do stołu, stając grupami po dwóch lub trzech poza krzesłami, zajętemi wyłącznie przez mundury gimnazjalne.

Orecki podniósł się i stał przez chwilę, obejmując w milczeniu płomiennym swym wzrokiem szeregi młodzieńcze, jak gdyby chciał skupić uwagę ich na sobie, jak gdyby pragnął mocą swych oczu dusze ich wziąć na własność.

Wszystkie chłopięce głowy zwróciły się z natężoną uwagą ku niemu.

— Koledzy! — donośnym rozpoczął głosem. — Koledzy! Nazywam was tem imieniem, bo od klas wyższych do uniwersytetu krok jeden tylko,

bo łączy nas potrójne koleżeństwo: pracy, dążeń i uczuć. Koledzy! Na zegarze dziejów wybiła dawno przez nas oczekiwana przełomowa godzina, chwila zwrotna w historii ucisku polskiego ducha Okowy, w jakie go od lat 40-tu ujęto, mniej ciężyły starszemu pokoleniu, niż nam... nam, młodym i najmłodszym, których wroga szkoła zakula od pierwszego zarania dzieciństwa w kajdany niewoli i przesładowania. Bo duch narodu, bo jego przyszłość to my... my, dzieci polskie... my, młodzież polska. I nas to znieprawiano fałszem i obludą, nas upadlano ohydą szpiegowstwa, nam wydzierano z serca najświętsze uczucia. Znieważano nasze dzieje, fałszowano fakty, oplwano ideały narodowe. Nie zdolności torowały nam drogę do lepszych stopni, lecz uniżanie się i wyrzeczenie rodowitego języka praojców, którego na korytarzach szkolnych, na ulicy nawet wystrzegać się trzeba było, jak zbrodni. Nie wiedza zapewniała honory i odznaczenia, lecz zaparcie się swoich ideałów, swego Boga, swej Ojczyzny! Koledzy! Jeżeli ojcowie nasi nie mieli dość odwagi, by poszarpać węzły, torturujące i upadlające ich dzieci, my tę odwagę dla siebie samych dziś mieć musimy. Dostyc tego wstydu! dość tej męczarni! Hańba szkole wynaradawiającej nas! hańba profesorom, którzy, zamiast kształcić umysł i ducha młodzieży, znieprawiają go i gnębią, pełniąc w imię zaborskiej polityki rolę policyjnych łapaczów i szpiclów!

— Hańba! hańba! — zagrzmiało echem dokoła.

— Hańba tym, którzy, zamiast uczynić dzieciństwo nasze „sielskiem, anielskiem“, a młodość „gó-

na i chmurną“, zamienili nam szkołę w katorgę, a sami przybrali rolę katów.

— Hańba! hańba! — jak grom, powtórzyły głosy chłopięce.

— Koledzy! My nie chcemy języka polskiego w rządowych lub prywatnych uczelniach rosyjskich; my chcemy, pragniemy i musimy otrzymać szkołę polską, szkołę, któraby razem z nami czuła, z nami modliła się do naszego Boga i naszym językiem, któraby z nami płakała lub radowała się... szkołę, która, będąc nam matką i opiekunką, chowałaby młodzież na dumę i chlubę kraju!

Zatrzymał się i powiódł wzrokiem dokoła, a widząc lica palające i oczy rozgorzałe, błyszczące, dokończył ze zdwojoną siłą:

— Bracia! Krew, przelana dziś niewinnie na ulicach Warszawy, to chrzest nowego życia. Uświęćmy go i uczcijmy postanowieniem, niezatartem w dziejach stuletniej naszej niewoli. Oto od dziś, ktokolwiek praw i uczciwy, w czyjem sercu tli iskra honoru i patriotyzmu, komu nie obce uczucia Polaka, solidarność narodowa, tego noga, bez względu na skutki i niebezpieczeństwo oporu, nie przestąpi więcej progu wrogiej naszemu krajowi, wynaradawiającej szkoły rosyjskiej! Czy zgoda?

Chłopięce głowy, jak łań kłosów, poruszyły się i zafalowały.

— Zgoda! zgoda! zgoda!

— Przyrzekacie?

Ręce podniosły się uroczyście do góry.

— Przyrzekamy!

— Proklamujemy więc strejk szkolny i bojkot szkoły rosyjskiej. Za infamisa, odsądzonego od szacunku kolegów, od czci i wiary, uważany będzie ten, kto się uchyli od solidarności ogólnej, kto złamie karność organizacji, kto wystąpi z szeregu młodzieży, walczącej o unarodowienie szkół polskich!

Studenci zaczęli bić gorące brawa; rączki Zosi, zapatrzonej w mówiącego, jak w objawienie, zatrzepotały także, dając przykład uczniom, — w powietrzu więc zagrzmiały frenetyczne oklaski.

— Za pozwoleniem! — zawołał mężczyzna lat średnich, wysuwając się naprzód. — Za pozwoleniem!... Przedewszystkiem protestuję przeciw oklaskom. Najpierw: nie pora na cyrkowe czy teatralne oznaki zadowolenia, gdy żałoba wisi nad miastem, gdy czarne jej widmo grozi wielu rodzinom. Powtóre: kwestja jest zbyt poważna, a skutki jej za daleko sięgać mogą, aby rzecz całą w tak lekkomyślny załatwiać sposób.

Chłopcy, oburzeni ostrym tonem nagany, chcieli ją zagłuszyć ponownymi brawami.

— Koledzy! — zabrzmiał donośnie, jak dzwon śpiżowy, głos Oreckiego. — Pan Górecki ma rację; proszę się powstrzymać od oklasków. Tu nie o słowa gorące chodzi, lecz o sam fakt, sam projekt. Rozstrzygniemy go więc przez głosowanie. Kto przyłącza się do zbojkotowania szkoły, mającej za cel wynarodowienie polskich dzieci i młodzieży, ten, proszę, niech powstanie i podniesie rękę do góry.

Jednym rzutem ciała, jednym drgnieniem n ledwie wszyscy podnieśli się jednocześnie, a las rąk wyrósł ponad głowy.

Orecki zbadał bystrym wzrokiem, czy choć jednej dłoni nie braknie.

— Projekt przyjęty jednomyślnie przez aklamację — obwieścił. — Dziękuję wam, koledzy. A teraz siadajmy i wysłuchajmy twierdzeń oponenta. Pan Górecki ma głos.

Mężczyzna lat średnich, o ciemnym zarostie i zgryźliwym spojrzeniu, wysunął się naprzód.

— Panowie studenci uniwersytetu — mówił, opierając rękę na poręczu krzesła — byli u nas zawsze źródłem fermentu i pojęć rewolucyjnych. Ponieważ jednak, jako pełnoletni, odpowiadają już za siebie, a przeważnie i pracują na siebie, nikt przeto do przekonania ich nie ma prawa się mieszać. Czy wolno im wszakże, jak to czynią od kilku miesięcy, buntować dzieci i wciągać do spisku chłopców, którzy, będąc zaletni wyłącznie od rodziców, im też są i muszą pozostać podlegli? Czy wolno rozporządzać losem tych, o których jutro nie będą się już troszczyli wcale? Czy godziwem jest łamać karierę, a więc życie, nie tylko jednostek, lecz rodzin całych, dla chwilowych rozruchów rewolucyjnego ducha? Nie! Czyn to lekkomyślny a nieetyczny, przeciw któremu protestuję jak najkategoryczniej!

W kilku punktach sali rozległo się sykanie.

— Panów, którzy do obrad nad losem dzieci, zamiast poważnych argumentów, wnoszą sykanie, proszę, aby, w miejsce tych operetkowych oznak niezadowolenia, raczyli mnie objaśnić, mnie, człowieka nieza-

możnego, pracującego ciężko na chleb dla licznej rodziny i wychowanie syna, mnie, który marzyć nie może o wysłaniu go zagranicę lub o kosztownej edukacji domowej, co mam z nim zrobić, gdy opuści gimnazjum bez możliwości powrotu i uzyskania w niem matury... Czy, zapomniawszy o latach wysilków i pracy, mam go wykreślić z kręgu inteligencji, pozbawić wykształcenia, do którego urodzeniem ma prawo i, spychając proletariąt szlachecki coraz niżej, mam go może oddać do szewca?

Ból i żal tłumiony, ironja, sarkazm i wściekłość bezsilna brzmiały razem w jego głosie.

W sali przejmujące a głuche zapanowało milczenie. Młode głowy pochylili się, jakby pod gnębiącym wyrokiem; starsi milczeli, szanując cierpienie dumy rodzicielskiej i serca ojcowskiego, któremu wobec wywołanego widma niedoli żadnej na razie nie mogli nieść pociechy.

Nagle z szeregu gimnazystów powstał chłopak o rysach bladych i przygnębionych, jakby przedwczesną zjedzony troską, i podnosząc nieśmiało oczy w stronę Góreckiego, zawołał głosem błagalnym, łzami nabrzmiałym:

— Ojcie, jeżelibym miał tam wracać na dalszą poniewierkę, to... to... ojcie, pójdę raczej do szewca!...

Znów głucha zaległa cisza. Zdawało się, iż można w niej było wyczuć silne uderzenie serc tych młodych, nierównem, wzruszonem bijących tętnem.

Wtedy z zagłębienia portjery, gdzie stał, wsparty o framugę drzwi, wysunął się mężczyzna wy-

smukły, o jasnym zaroście, a zbliżywszy się do chłopca, obie do niego wyciągnął dłonie.

— Brawo, Staś Górecki! brawo! — zawołał. — Chodź, niech cię uściskam, niech ci podziękuję za słowa, podyktowane przez dzielne i szlachetne serce.

I ucałowawszy serdecznie gimnazystę, o bladych, smutnych rysach i oczach świecących niezłomnem postanowieniem, dodał:

— Kto woli iść do szewca, niż ugiąć karku pod znienawidzone a zgubne dla ducha narodowego jarzmo, ten zaiste za siłę swych przekonań wart ogólnego uznania.

— Lipowiecki! Lipowiecki! — przebiegło szeptem stłumionym wśród młodzieńczych szeregów.

I równocześnie, wobec impulsu, danego przez przybysza, który im tylko stan własnych serc rozświecił, chłopcy podnieśli się, otaczając owacyjnie Stasia Góreckiego. Wszystkie dłonie wyciągnęły się ku niemu z wyrazem uznania i gorącej koleżeńskiej przyjaźni. Zaskoczony z nienacka wrażeniem, jakie wywołał on, który sądził, iż towarzysze ze szkolnej ławy odwrócić się od niego, stał teraz, jakby odurzony okazanem sobie sercem, i podczas gdy oddawał uściski, dwie grube łzy stoczyły się po szczupłych jego licach.

— To frazes! to uniesienie chwili! — oponował ojciec. — Jakaż jednak będzie bolesna, mozolna przyszłość mego dziecka? Kto trudy jej i upokorzenie bierze na swoją odpowiedzialność? Kto pozbawionego środków i pomocy uchroni od złamania życia?

— O ile leży w ludzkiej mocy, my to uczynimy — uspokajał stroskanego Stanisław Lipowiecki.

— My? To znaczy: kto? Socjaliści, czy anarchiści może, którzy popchnęli młodzież na tę niesłychaną, ryzykowną, a dla zamożnych tylko dostępną drogę?

— Nie, panie. My... to „Organizacja unarodowienia szkół polskich“; my... to społeczeństwo całe, na które spada teraz obowiązek wyzyskania zwycięstwa, jakie szlachetna, bezprzykładna w dziejach krucjata dziecięca całemu krajowi przynosi w ofierze. Cierpliwości, szanowny panie! musimy mieć czas tylko. Maluczko, a powstaną wzorowe szkoły polskie; maluczko, a hojna dłoń ogółu nie dopuści, aby jedno młode istnienie dla braku środków i pomocy w kształceniu zwichnięte być miało. Wszak prawda, pani? — zakończył, zwracając się do stojącej tuż obok niego gospodyni domu.

Pani Marcelina Korczyńska uśmiechnęła się do strapionego ojca z całą swą dodającą otuchy pogodą.

— Pozwoli pan, że, dopóki szkolnictwo polskie nie zostanie systematycznie zorganizowane, koło prywatnych wykładów, do którego należę, weźmie Stasia pod swoją opiekę. I nie pójdzie do szewca, choć woli twardą pracę nad wroga duszy jego szkołę dotychczasową.

Jakby zawstydzony, Górecki o krok w tył się cofnął.

— Mnie nie o pomoc chodzi... Ja jestem legjonem ojców, dotkniętych zachwianiem swej powagi, oburzonych wyemancypowaniem się dzieci

z pod przyrodzonej, przez prawa boskie i ludzkie uświęconej władzy rodzicielskiej.

Lipowiecki zmierzył go chłodnem spojrzeniem.

— Ach, więc panom nie o dobro dzieci, nie o dobro przyszłych pokoleń, wyzwalających się z ucisku zwyradniającej ich szkoły, lecz chodzi jedynie o przywileje swej władzy, o despotyzm odwieczny, którym dopomagacie do paczenia i gnębienia dusz młodzieńczych? A cóż one winne, żeście nie umieli odczuć grozy położenia, żeście się zgadzali na katonię ducha, wobec której (przykład niesłychany w dziejach pedagogji) dzieci kilkunastoletnie w śmierci samobójczej od tortur tych szukały ucieczki.

— Prawda! Ta ohyda, ten srom biurokratycznego systemu szkolnego prawdą jest autentyczną— wtrąciła pani domu.

— I wam, ojcom, broniącym tak zawzięcie swej władzy autokratycznej, te widma młodzieńczych samobójców, te krwawe upiory zbrodni społecznej, jaką jest zła i znienawidzona szkoła, nie nie mówią? nie padają w grozie swej wyrzutem na duszę waszą? — ciągnął Lipowiecki.

Gdy wtem oczy jego zatrzymały się na drobnem, wysmukłym chłopięciu, które, trzymając czapkę uczniowską w ręku, z zaciśniętymi zębami i całym wysiłkiem palców odrywało od niej palmy i monogram srebrny, nad daszkiem umieszczony.

W miarę patrzenia oczy mężczyzny rozjaśniały się. Chłopię, pewne, iż nikt nie zwraca na niego uwagi, a pochłonięte zadaniem swem, odłamawszy

wreszcie blaszki od kaszkietu, rzuciło je na ziemię i z zawziętością miażdżyło obcasem.

— Przepraszam, młody przyjacielu!—zainterprelował go Lipowiecki,— co ty robisz?

Pacholę, o powierzchowności dworskiego pazia, któremu tylko jasne pukle odcięto, podniosło roziskrzane oczy.

— Tyle razy deptano w gimnazjum wszystko, co ja kocham, więc odpłacam to: depecę monogram i oznaki tego samego gimnazjum, w którym urągano mojej wierze i memu narodowi.

— Twoje nazwisko?

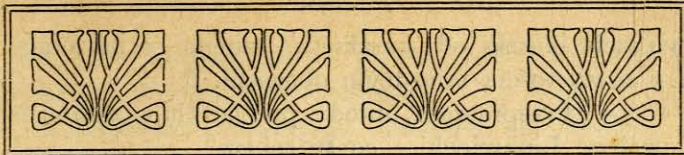
— Andrusz Dowburt-Koniecki — odparł z dumą i dodał:—Gdyby mnie zabić mieli, nie powrócę tam więcej.

— Oto odpowiedź, panie Górecki, na wszelkie pańskie argumenty. Nienawiść i pogarda, szczepiona w sercu dziecka, to nie tylko zbrodnia społeczna, lecz zarazem i bankructwo represyjnego systemu.

Zwrócił się ku pani Marcelinie i zakończył:

— Nienawiść i pogarda w sercu dziecka! Cóż za otchłań smutku i lez!... Ileż będziemy potrzebowali pracy takich białych, jak pani, aniołów, zanim ów pierwiastek goryczy zamieni się w miłość i wiarę, w radość życia, która siły do pracy daje!...

A Andrusz Koniecki miażdżył jeszcze obcasem swoje srebrne palmy i monogram.



V

godzinę później mieszkanie pani Korczyńskiej zwykła zaległa cisza.

Po gorących rozprawach nad dalszymi projektami, w których i przedstawiciele starszej młodzieży gimnazjalnej głos zabierali, zaproszeni rozeszli się stopniowo. Sala jadalna, w konferencyjną chwilowo zamieniona, opróżniona została. W zaciśnym, stylowo urządzonym salonie zebrało się poufne już tylko, domowe prawie kółko.

Ciężkie u okien draperje, w połączeniu ze schyłkiem dnia zimowego, tworzyły tu tę mistyczną, jakby tajemniczą a nastrojową szarą godzinę, nadającą się tak dobrze do skupienia domowego, do marzeń lub rozmyślań. Puszysty dywan tłumil odgłos kroków; grube, miękkie portjery nie dopuszczały zewnętrznych szmerów i hałasów. Wszystko więc obliczone było na to, by wśród miejskiego gwaru i turkotu wytworzyć tu oazę spokoju i ciszy, kojącą dla nerwów, a zachęcającą do pracy umysłowej lub poufnej z serca do serca idącej gawędki. Cenne

meble, piękne obrazy, bronzы i rzeźby mogły zapewne czynić z salonu tego środowisko wykwintnych zebrań towarzyskich,—a jednak jakiś cień niepochwytny w doborze i zgrupowaniu dzieł sztuki, w nikłych, pastelowych tonach obić i mebli, w nagromadzonych książkach i rycinach, w porzuconej obok otwartego pianina robocie ręcznej wskazywał odrazu, że nie miejsce to przyjęć ceremonjalnych, lecz codzienne zacisze rozkochanej w atmosferze intelektualnych i artystycznych wrażeń młodej i wytwornej kobiety.

Ten komfort miękki, któremu bogactwo kwiatów nadawało czar odrębny, ta cisza skupiona a kojąca tak daleko była od mieszczańskiego jaskrawego zbytku, takie harmonijne w połączeniu z panią domu czyniła wrażenie, iż każdemu, kto pobyl tu godzinę, zdawało się, że swobodniej oddycha, że opadły go życiowe troski i niepokoje, a błogość jakaś wstąpiła mu w duszę. Wiedział o magicznym tym wpływie otoczenia i osoby pani Korczyńskiej zatrzymany przez nią Stanisław Lipowiecki, a jednak chmura smutku nie schodziła mu z czoła.

Szara godzina i panią domu przygnębiała dzisiaj,—przeszedłszy więc z gościem do salonu, zadzwoniła o światło.

Dwie wysokie stojące lampy pod różowymi abażurami zabłyśły na dwóch krańcach bawialni.

W półkolu delikatnego blasku jednej z nich zasiedli młodzi Prędowscy, oraz przekomarzający się zwykle z kuzyneczką a dziś poważnie nastrojeni Jerzy Orecki. W świetle drugiej, przy stolicku, za-

rzuconym najnowszymi wydawnictwami, zajęli miejsca pani domu i gość jej uprzywilejowany.

Należał mu się ten tytuł. Wśród narad bowiem i kwestyj, wspólnie ich obchodzących, niejedną spędził tu godzinę. Złączeni tożsamością pragnień, dążeń i celów, spotykali się niejednokrotnie w pracy, którą często razem kierowali lub zjednoczonymi popychali siłami. Nie była to zresztą jedyna linja styeczna tych dwóch niepospolitych natur,—zarówno bowiem urodzeniem, jak środowiskiem, w którym wzrosli, zarówno wykwiśniętym wykształceniem, jak upodobaniami i pojęciami, należeli do tej samej sfery i tych samych kół towarzyskich.

W podobnych więc warunkach pewna nawet zażyłość, pewna poufniejsza stopa byłaby zupełnie zrozumiała i usprawiedliwiona. Lipowiecki wszakże dziwnym był człowiekiem. W kwiecie wieku, bo liczył lat trzydzieści parę zaledwie, o białem czole, rozumnych oczach i regularnych rysach, otoczonych ciemno-blond krótko przystrzyżonym zarostem, o wysmukłej postaci i wykwiśniętych ruchach, był on bezsprzecznie dorodnym, a nawet pięknym mężczyzną. Pomimo tego, kobieta, jako odrębne pojęcie *des ewig Weiblichen*, jako czar i pokusa świata, zdawała się nie istnieć dla niego. Stąd też, lubownik piękna w objawach natury i sztuki, na urodę niewieścią tak dalece nie zwracał uwagi, iż wzrok jego roztargniony, w nieznane snadź przestworza lub w głąb własnej zapatrzonej duszy, bądź ślizgał się po najładniejszych twarzach z taką obojętnością, jak gdyby próżnię miał przed sobą, bądź też zatrzymy-

wał się na rysach kobiet, podobnych pani Marcelinie, z tą skupioną uwagą i życzliwością, którą każdy z nas mógłby obdarzyć bezpłciową nawet, lecz rozumną i zasługującą na szacunek istotę.

Pomimo też zajmowanego wybitnego w społeczeństwie stanowiska, pomimo niezależności finansowej, zawdzięczanej własnej pracy i znacznej sukcesji, otrzymanej po jakimś dalszym krewnym, „mamy“ wszelakich panien na wydaniu pomijały w rachubach swych Lipowieckiego, jako człowieka straconego dla rozkoszy Hymenu. Szeptano o wielkim zawodzie serdecznym, który jakoby zmroził i złamał pierwszą jego młodość; mówiono, iż, zdradzony i zawiedziony w głębokiem uczuciu, poświęcił życie swe kapłaństwu idei, kapłaństwu tak dostojnemu a świętemu, iż moc ukochania, jakie złożył na tych ołtarzach, pochłaniała wszystkie władze serca jego i umysłu.

Było to jeszcze w tych czasach, gdy wyraz „patryjota“ wymawiał się po cichu, z lekliwem dookoła spojrzeniem. A jednak święta i potężna moc, w słowie tem zaklęta, oraz świadomość, iż Lipowiecki stoi na czele stronnictwa, które, bez względu na trudy i niebezpieczeństwo, pracuje u podstaw, wśród ludu, dla dobra i przyszłości kraju, otaczała imię jego nie tylko ogólnym szacunkiem, lecz zarazem pewną aureolą tajemniczości i poświęcenia. Widzano go przy każdej pracy, trudnej, pochłaniającej a często niebezpiecznej, widziano przy każdej na szerszą skalę podjętej akcji społecznej lub ratunkowej. Nic więc dziwnego, iż uważany był za *spiryтус movens* wszelkiej działalności, dążącej do obudzenia i utrwa-

lenia ducha narodowego. Spokojny, wytrawny, a doskonale panujący nad sobą, porywał mocą uczucia, ujawnianą nieraz w płomiennych, pełnych zapału słowach,—imponował zaś równowagą, chłodnem lekceważeniem niebezpieczeństwa i pracą wytrwałą, niezmordowaną. Takim go знаła pani Korczyńska, którą wciągnął w szeregi pracujących nad oświatą i uświadomieniem ludu; takim wielbiła młodzież, dla której był istną wyrocznią w pałacej sprawie bojkotu szkolnego. Lipowieckiemu wreszcie, jak mówiono ogólnie, zawdzięczało społeczeństwo pierwszą konsekwentnie przeprowadzoną inicjatywę unarodowienia szkół polskich.

Pomimo jednak całej niestrudzonej a sprężystej działalności, wszystko to robił tak cicho i dyskretnie, tak bez żadnej ostentacji i blagi, że nawet Korczyńska, której nie obcy był cały zakres niezmordowanej i nieustającej tej pracy, знаła tylko Lipowieckiego, jako człowieka wykwintnych przymiotów towarzyskich.

Stąd też dzisiejsze chmurne usposobienie gościa przykre jej było, jakkolwiek rozumiała, że nie brak mu przyczyn do przygnębienia i smutku.

Milczeli chwilę oboje, tworząc zasepionymi rykami istny kontrast z miękkim otoczeniem salonu, przepojonego wonią kwiatów, a skapanego w różowych blaskach lamp.

— Cóż za martwa cisza na ulicach!—zauważył Lipowiecki.—Wszak to po piątej zaledwo. Żadnego turkotu, żadnego ruchu; nawet odgłosu kroków ludzich nie słyszeć...

Pani Marcelina podniosła kształtną swą główkę i nasłuchiwała czas jakiś, poczem cień niepokoju błysnął w jasnych jej oczach.

— Wyglądamy, jak rodzina w „Intruzie“ Maeterlincka—próbowała żartować.—Ten sam nastrój, ta sama instynktowna obawa, że coś się dokoła nas dzieje, czemu nie tylko przeciwdziałać lub zapobiedz nie możemy, lecz czego ani pojąć, ani wytłómaczyć sobie i innym nie jesteśmy w stanie.

— Bo tu, jak tam, śmierć dokoła nas krąży. Wzrok ludzki nie jest dość bystry, dość z ziemskich więzów wyzwolony, by mógł ją dojrzeć; słuch, pomimo całego natężenia, nie może szelestu skrzydeł jej pochwycić; duch jednak czy instynkt pierwotny, do dziś-dnia zwierzętom właściwy, odczuwa ją w przestrzeni, odgaduje tuż koło siebie. Tak, to rys bardzo prawdziwy i jedna z najlepszych obserwacji belgijskiego poety. Nastrój, przez widmo śmierci wywołany, odczuwamy wszyscy: od pastuszka do inteligencji najbardziej wyrobionej, a więc tem wrzliwszej.

— Sądzi pan, iż ta obawa przed rzeczą groźną a niezbadaną słowa na ustach nam mrozi?

— Bynajmniej. Znam zbyt dobrze i panią i siebie, by nas o małoduszną a samolubną trwogę posadzać. Śmierci nieraz już spojrzałem w oblicze, dla siebie przeto nie lękam się jej wcale. Tu jednak chodzi o niebezpieczeństwo dla tysięcy, o krzywdę ogółu.

Nasłuchiwali ponownie. Nawet młodzież w różowym blasku drugiej lampy milczała także w tej chwili, słuchając z pochylonemi głowami.

Żadnego dźwięku, żadnego ruchu, żadnego życia.

Pani Marcelina poruszyła się żywo.

— Nie! — mówiła. — Ta niepewność, ten nastrój są okropne; wytrącają z równowagi. Otwórzmy po prostu balkon i zobaczmy, co się dzieje na ulicy; wszak stąd widać bardzo daleko.

Chciała zadzwonić, panowie jednak zaprotestowali w imię swobody słowa, z którą dziś liczyć się należało.

Odsunięto ciężkie portjery i stylowe koronkowe story, paniom podano futrzane narzutki i po chwili stali wszyscy na obszernym balkonie wobec smutnego a niezwyklego widoku.

Jak okiem sięgnąć, miasto zalewała nie tylko grobowa cisza, lecz i pustynna ciemność zarazem. Szerokie w tem miejscu Aleje Jerozolimskie martwe były zupełnie: ani jednego przechodnia, ani jednej żywej duszy. Bramy pozamykane; rzadkie tu sklepy, z których w zwykłych warunkach promienie światła tryskały na ulicę, zabito szczelnie deskami lub przysłonięto żelaznemi żaluzjami; latarni wcale nie zapalono. W odbłaskach tylko dalekich kolejowych świateł błyskały mroczną szybą kałuże wody śniegowej i brudne smugi grząskiego błota.

W ponurej, wśród wielkiego miasta niesłychanej i złowieszczej ciemnicy czerwienily się w oddali krwawą łuną i buchały iskrami, z dymem zmieszanimi, dwa ogniska na ziemi rozpalone. W rembrandtowskim ich blasku uwijały się barczyste po-

stacie, obok zaś połyskiwała lśniącymi bagnetami broń, w kozły ustawiona.

To na placyku przed dworcem kolei Wiedeńskiej biwakowało wojsko, które w pogotowiu wojennym na noc tu rozstawiono.

A dalej ciemna, tajemnicza, jak tunel górski, linja Alei, ku Nowemu Światowi biegnących, zaś w przecięciu w czarną noc, jak w żałobę, spowita, wspaiała, życiem i ruchem zwykle wrząca, a dziś zamarta arterja ulicy Marszałkowskiej. Ani jednego światła, ani jednej dorożki lub przechodnia; cmentarna, ponura, pustynna ciemność i cisza.

Na balkonie nikt nie miał odwagi pierwszego wypowiedzieć słowa.

Wstrząśnięci obrazem, z góry widzianym, unieruchomieni wrażeniem, stali wszyscy, jak nieme, w noc tę wrosłe posągi.

Na tle przyćmionej smugi światła, płynącej z salonu, wybiegły wreszcie, jak cień biały, dwie dłonie pani Korczyńskiej i załamały się boleśnie.

Zbudzony ruchem tym do rzeczywistości Lipowiecki pochylił się ku młodej kobiecie.

— Niech się pani nie przejmuję — mówił łagodnie; — nie trzeba rozpaczać. Zapewne, widok jest niezwykle gnębiący i smutny; ale nie należy zapominać, że krwawy blask tych ognisk podwaja dla nas ciemność, parującą na Marszałkowskiej. Pomimo latarni potłuczonych, i tam muszą się palić jakieś światła... i tam, poza murami, które nam widok ich przysłaniają, muszą poruszać się ludzie. Dopóki życie trwa, dopóty bezwład śmierci nie może być zupełny.

Słowa jego przerwało stłumione, głuche łkanie. Zosia Prędowska uciekła z balkonu.

— Oby tylko — kończył — pracą tych ludzi nie było dalsze dzieło zniszczenia.

Głęboką ciszę zakłócił nagle tętent kopyt końskich. Od strony ulicy żelaznej nadjeżdżał nie paterol już, lecz spory oddział wojska, wobec czego cofnięto się do salonu, zapuszczając szczelnie rolety, story i portjery.

— Straszny i bolesny widok — mówił Lipowiecki. — A jednak nie tyle mnie gnębi materialny rozmiar klęski, ile moralne jej znaczenie, ile wpływ zgubny, jaki może i musi wyrzucić na umysły.

— Jakto?

— Represja najskuteczniej przyczynia się do szerzenia idei, przeciw której wymierzona została. Doznana krzywda, padając na dusze pierwotne, budzi w nich chęć odwetu, zapala w żyłach pożar nienawiści, pożar, który może zniszczyć całą sieć idei narodowych. To nie nasz ruch, nie nasze dzieło; a jednak nawet my, zdeklarowani przeciwnicy socjalizmu, wobec ogromu tej krzywdy i tej klęski czujemy dla niego w tej chwili współczucie.

— Rzecz prosta; nie może być inaczej.

— Widzi pani! Jeżeli nas, ludzi uświadomionych, stawiających sobie jasno cel, do którego dążymy, unosi do tego stopnia wrażenie i sentyment, a raczej poczucie ludzkości, coż dziwić się, że tłum, że młodzież nawet, nie zdając sobie sprawy z tego, jest w tej chwili na wpół socjalistyczna. Klęska i krzywda ogółu wywołuje tu wcale niepożądany za-

met pojęć. I zaiste, trzeba będzie wielkiej a morderczej pracy uświadamiania, aby wyprowadzić z tych destrukcyjnych socjalistycznych odmetów zdrową i nienaruszoną myśl polską narodową, aby jej przywrócić należny urok i potęgę.

— Czy pan poza pracą tą, na wskrós ideową, nie ma nigdy żadnych osobistych dążeń i celów?

— Poco i dla kogo? — odrzucił pytaniem na pytanie.

— Nie ma pan nikogo blizkiego na świecie i nikogo, komu pan byłby drogim?

Siedzieli już w łagodnym, różowym blasku lampy. Lipowiecki, słowami jej uderzony, podniósł swe jasne, rozumne oczy i spojrzał badawczo na młodą kobietę, jak gdyby chciał dociec, co jej pytanie to podyktowało.

Spokojne jednak, delikatnie rzeźbione rysy pani Korezyńskiej opromieniały tylko wyraz miękkiego współczucia. Zrozumiał też Lipowiecki, że nie kierowała nią czeza ciekawość, lecz raczej życzliwość, z jaką chciała go oderwać od trosk ogólnych, zwracając rozmowę na więcej osobiste tory.

— Czy nie mam nikogo blizkiego i nikogo, komu byłbym drogi na świecie? — powtórzył. — Niestety, od śmierci matki mojej, która jedna mnie rozumiała i dla której żywiłem cześć głęboką, sam jestem zupełnie. Posiadam wprawdzie siostrę, lecz ta, wyszedłszy za męża, przeniosła się do innej dzielnicy kraju i oddała się niepodzielnie nowym swym obowiązkom i nowej rodzinie. Jestem więc absolutnym panem siebie. Wytwarza to nawet zabawną sytuację

Gdybym bowiem umarł jutro, jestem pewny, iż polowa inteligentnej Warszawy poszłaby na mój pogrzeb. Gdyby mnie jednak zabito lub wsadzono do cytadeli, ani jedna żywa dusza nie zatroszczyłaby się o to, nikt pod słońcem nie naraziłby swego bezpieczeństwa i spokoju dla podania mi życzliwej ręki pomocy czy pociechy.

W głosie Lipowieckiego zadrgała mimowoli nuta goryczy.

— Jaktó? — podjęła. — Nie rozumiem.

— Rzecz bardzo prosta: pogrzeb to czeża forma, zaledwie rozrywka, miejsce spotkania znajomych, miejsce flirtu i towarzyskiego spaceru. Więzienie, kazamaty to niedola, którą odczuć tylko może życzliwie, kochające serce.

— Lub przyjaźń szczerą... Na tę zaś nikt chyba więcej od pana nie zasługuje. A że i ja jestem sama na świecie, bo dzieci cudze, choćby siostry nawet — tu wskazała głową na młodych Prędowskich, — trudno do takiej akcji wciągać, więc możemy sobie przyrzec, iż w razie podobnego wypadku jedno drugiemu nieść będziemy ratunek i słowa otuchy.

Mówiła wpół żartobliwie, jakby dla odpędzenia czarnych myśli mężczyzny, — w głosie jej wszakże drgało tłumione wzruszenie, a w ciemnych źrenicach wilgotny blask się palił.

Prostota i ciepło serdeczne słów tych złamało lody, opancerzające zawsze serce Lipowieckiego. Już tak dawno miękki głos kobiecy jednego dobrego nie powiedział mu wyrazu.

— Czy pani to serjo mówi? — zapytał.

Za całą odpowiedź wyciągnęła ku niemu wążką, białą rękę, o dziwnie aksamitnem, miłym dotknięciu.

Lipowiecki nisko pochylił głowę.

— Dziękuję — wyszeptał, a dłoń, która mu niosła zadatek przyjaźni, z wdzięcznością do ust podniósł.

I pocałunek ten, którego Lipowiecki od lat już wielu nie składał na rękę młodej kobiety, dziwne na nim uczynił wrażenie: oto stopił lody, jakie od dawną mroziły jego serce i ducha, pozwalając mu pełniejszą odetchnąć piersią. Wzrok jego zatrzymał się z wyrazem tkliwości i rozrzewnienia nieledwie na rysach pani Korczyńskiej, nawskroś niewieścim wdziękiem opromienionych. Teraz nie umiałby już mówić z nią sztywno o pracy społecznej lub filantropijnej: stała mu się jakaś bliższą i droższą; patrzył na nią, jak na przyjaciela, który pozyskał prawo do kawałeczka jego duszy, do części myśli serdecznych.

— I pani zdaje się być osamotnioną? — zapytał ze współczuciem.

— Tak. Dopóki Zosia się kształci, mam ją przy najmniej; z chwilą wszakże ukończenia nauk zabierze ją ojciec, a później mąż pewno. Nie umiałam idąc przez życie, skarbić sobie uczuć zdawkowych; nie umiałam rozmieniać własnego serca na drobną monetę, używaną w obiegu salonowych i towarzyskich stosunków. Nad legjon koleżanek, nad zastęp pseudo-przyjaciółek wolę moją samotnię, moje książki, nuty i kwiaty.

— Nie mówi pani o ochronach, o poddaszach i suterrenach, o zastępie działwy, od zguby ratowanej.

— Ach, bo tamto obowiązek, a ta samotnia to wyraz moich upodobań, to źródło największych nieraz umysłowych rozkoszy.

Lipowiecki okiem znawcy ogarnął salon, patrząc z takim zaciekawieniem na artystycznie nagromadzone tu szczegóły, jak gdyby mu dziś w nowem zupełnie przedstawiały się świetle.

— Uroczą samotnia—wyznał. — Indywidualność pani wycisnęła na niej bardzo charakterystyczne piękno.

— Jakie?

— Nie mogąc mieć przed oczyma wiecznie świeżego piękna przyrody, zastąpiła je pani kwiatami, co dowodzi natury marzycielskiej... łagodnemi barwami i tonami, co mówi o miękkości duszy niewieściej... bogactwem książek, które wskazują umysł refleksyjny... Wogóle — dodał weselej — salon ten przypomina mi wnętrze pięknej, z morza wyjętej konchy...

— Konchy? — przerwała zdziwiona.

— Tak, o lśniącem szarawo-różowym blasku... konchy, w której głębi, jak w cennem gniazdku, kryje się skarb, rzadko znajdowany: prawdziwa perła.

Pani Marcelina zaśmiała się, cała zaróżowiona z przyjemności.

— Pan i komplement? Cóż za dziwne zestawienie!

Lipowiecki zastanowił się chwilę. Jego same-

go zestawienie to zdumiło. Podniecony jednak, dokończył z uśmiechem, schylając przed nią głowę.

— Skoro to pani uważa za komplement, niech mi wolno będzie uzupełnić go: mieszkanka muszli jest tem cenniejsza, że ją zaliczyć należy do czarnych pereł, które są klejnotem, nader rzadko w naturze spotykanym.

Roześmieli się oboje swobodnie i żartobliwie. Oczy jednak pani Marceliny pobiegły z pod długich rzęs niespokojnie ku niemu i wróciły natychmiast pod osłonę swych frendzli jedwabnych, jakby zmieszane i zawstydzone. Młoda kobieta cofnęła się i przechyliła w głąb popielatego, w blado-różowe kwiaty przerabianego fotelika. Lipowiecki, wyprostowany już, nie mógł się opędzić myśli, iż jasna jej twarz w bujnej aureoli ciemnych włosów na tem tle różowawem wyglądała naprawdę, jak perła drogocenna.

I rzecz dziwna—ta drobna danina, złożona galanterji salonowej, którą poważne ich natury lekcewały zwykle, dziś, po gnębiących wrażeniach dnia całego jakiś promień jasny, jakieś ciepło serdeczne pozostawiła im w sercach, stając się łącznikiem silniejszym może od dotychczasowego uznania i szacunku, okazywanego sobie nawzajem.

Pod drugim zaś różowym abażurem dźwięczny głos Zosi pytał z niepokojem:

— Więc pojedziemy napowrót na wieś?

— My z Witoldem... tak, gdy tylko miasto wróci do normalnego stanu. Nie mamy tu po prostu co robić. Co do kuzyneczki jednak wątpię, aby pani

Korczyńska, teraz szczególnie, rozstać się z nią chciała.

Wyraz silnej woli zarysował się w ślicznych rysach podlotka.

— Ale ja nie chcę tu bez... bez Witolda pozostać. Skoro pensjonaty zamknięte i lekcje przerwane, wolę także pojechać do Prędowa, wolę pracować tam z wami... Wszak i dla mnie znajdzie się zajęcie.

— Dla panny Zofji... tak; dla córki pana radcy Prędowskiego... nie; nie pozwoli on bowiem nigdy jedynaczce swej zniżyć się do ludu i w bliższe wejść z nim stosunki. To nie rola „białych aniołów“ z pańskiego dworu.

Ze żrenie podlotka iskry się posypały.

— Ja nie chcę być tylko „białym aniołem“ z pańskiego dworu; chcę i pragnę zostać człowiekiem, który z wami czuć, cierpieć i kochać będzie!

— Brawo, Zosiu!

— Brawo, kuzyneczko! — potwierdził Orecki. — Bądź człowiekiem o jasnym umyśle i silnej, szlachetnej woli, a tem snadniej, jako kobieta, białym aniołem zostaniesz.



VI

Prędów należał do najpiękniejszych majątków w okolicy. Nawet w bujnej ziemi gostyńskiej, obfitującej w posiadłości o wysokiej kulturze i dużej wartości pieniężnej, nazywano go jeszcze „złotem jabłkiem“. Złożony z kilku folwarków, stanowił klucz, wspaniale zagospodarowany, którego wzorowe urządzenia były rzeczywistą a zasłużoną chlubą pana radcy.

Wielka burza polityczna, jaka przed 40-u laty rozpętała się nad krajem, gromowładną swą mocą dotknęła i Prędów. Orkan zniszczenia pozostawił tu tak silne ślady, iż pan Artur Prędowski musiał włożyć w odbudowanie rodzinnego majątku dużo pracy, a jeszcze więcej żelaznej woli i wytrwałości. Co prawda, szczęśliwą miał rękę: wszystko mu się wiodło; wszystko, co innych pogrążało nawet, jemu na dobre wychodziło. Z mrzonek, właściwych młodości, wyleczył się bardzo prędko, a postawiwszy sobie za dewizę słynne wyrażenie cesarza Aleksandra: *Point*

de rêveries, dążył konsekwentnie i wytrwale, gromadząc cegielkę na cegielce do założenia podwalin dużej fortuny, do własnej niezachwianej pomyślności finansowej, któraby go wyniosła ponad szary poziom przeciętnego posiadacza ziemskiego.

Tak po obywatelsku, rozumnie pojętej, a z nieugiętym hartem przeprowadzonej idei sam Pan Bóg zdawał się błogosławić.

Wprawdzie ludzie, szczególnie ci, którzy potrzebowali rady, pomocy, lub choćby słowa serdecznego, omijali z początku Prędów, wyrabiając właścicielowi jego opinię nieużytego egoisty; ale ta cecha charakteru, jakkolwiek wrodzona i głęboko w serce Prędowskiego wrosła, później, z wiekiem, a w miarę zwiększającego się powodzenia i zamożności, traciła ostre swe kanty. Pan Artur przez rozum, przez dobrze pojęty interes własny starał się zapanować nad samolubnymi rysami usposobienia swego, ujawniając wzamian obywatelskie dążenia i zapatrywania, które jedynie popularność zjednać mu mogły. Nie zmieniło to bynajmniej postępowania jego, lecz łagodziło szorstkość wyrażań w zastosowaniu do tych, którzy w zabiegach życiowych mniej byli od niego szczęśliwi i mniej uprzywilejowani.

Małżeństwo z młodziutką a posażną panną Martą Horecką postawiło go u szczytu marzeń, pozwoliło bowiem oczyścić i zaokrąglić włości prędowskie dokupieniem straconego niegdyś Prędówka i Prędowskiej Woli. Odtąd, zdawszy na żonę trudy jednania mu stosunków i przyjaciół, sam tem gorliwiej oddał się trosce o udoskonalenie swej wielkiej ma-

szyny gospodarczej. Czynił to wszakże pod innym już hasłem: „Jednostka, wzbogacająca siebie, wzbogaca majątek narodowy, a więc tem samem spełnia najdonioślejsze zadanie i najpoważniejszy obowiązek względem kraju“ — powtarzał dopóty z namaszczeniem, aż zasada ta zanadto w krew mu poszła, by ponad nią rozumiał inny patriotyzm i inne obowiązki społeczne.

W ciasnem zresztą kole jednej sfery, w jakiej się obracał, pojęcia te wystarczały zupełnie. Aksjomat pracy organicznej, idea praktycznego pozytywizmu tak generacji rówieśników jego niezbędną do życia się stała, iż materialistycznych poglądów Prędowskiego nikt za złe nie brał. Pracować legalnie i lojalnie, nie swego nie dać, lecz niczego dla ogółu nie pożądać, godzić się z warunkami panującymi i wyciągać z nich jak największe dla siebie korzyści — oto oportunizm, który przed kilku jeszcze laty nazywany był w pewnych kategoriach trzeźwą i zdrową polityką.

Dzięki jej może, pan Artur Leliwa-Prędowski na znak zaufania i czci współpowietników obrany został najpierw radcą Towarzystwa Kredytowego, poczem już posypały się na niego i inne honorowe tytuły i mandaty. Założywszy w tych czasach wielką akcyjną cukrownię, której rada obrała go na swego prezesa, i podniósłszy zręczną iniejętą przedsiębiorstwa tego wartość majątków swoich, pan radca doszedł do szczytu moralnego i finansowego powodzenia. Teraz fortuna, idąc własnym rozmachem, mogła się już sama mnożyć dalej; on zaś, otoczony

uznaniem i poważaniem współobywateli, a miłością i balwochwalczą czcią urobionej na ten cel małżonki, byłby mógł spocząć na laurach, gdyby losy, znużone widocznie nieustającym pieśczeniem swego wybrańca, nie były mu zesłały pierwszej a, rzecz prosta, „niezasłużonej“ próby.

Pewnego roku, bez opowiedzenia się, zupełnie samowolnie, co jej się zresztą po raz pierwszy w życiu zdarzyło, a że zwykłą kobiecą nielogicznością i niekonsekwencją, pani Marta Prędowska po dwudniowej chorobie umarła po prostu.

Pan radca stał wobec tego niespodziewanego faktu, wobec jej trumny, jak ktoś, komu ubliżono, czyjej władzy w rozporządzaniu faktami, w kierowaniu domem i rodziną nie uszanowano należycie.

Jakby szukając kompensaty za tę nieuwagę zmarłej, rozwinął energję w kierowaniu pompą pogrzebową, której każdy szczegół sam obmyślał i postanawiał.

Gdy jednak gorączka starań tych i rozporządzeń minęła, a zjazd okolicy jeszcze się nie zaczął, wtedy, stanawszy u trumny z dwójgiem czarno ubranych sierot, pojął, że ta cicha a zmarła dziś istota wyrządziła mu krzywdę... Bo przecież faktem śmierci swej przecinała całe mozolnie wzniesione rusztowanie powodzenia życiowego i rzucała cień żałoby na dalsze jego istnienie.

Po świetnym pogrzebie poczucie krzywdy tej wzrastało z dniem każdym.

Teraz dopiero zrozumiał, ile ona mu oszczędzała cierni życiowych,—teraz odczuł, iż nieodzownie po-

trzebną mu była do życia... nie zmarła, lecz owa aureola wielkości, jaką umiała go otoczyć przy ognisku rodzinnem wobec domowników i dzieci własnych nawet.

Zejsć z wyżyn, przestać stapać na koturnach, utworzonych „z ważnych zajęć i wielkich interesów“, a oddać się własnym dzieciom, kształceniu duszy ich i sereca, urabianiu charakteru, choćby chwilowo, choćby w tej przełomowej dobie sieroctwa,—tego ani by umiał, ani chciał uczynić. Co więcej, nie przyszłoby mu to nawet na myśl. Był przecież dobrym, wzorowym ojcem, tak, jak i wzorowym mężem do tąd. Otoczył rodzinę dostatkiem, zbytkiem nawet, do którego zresztą jego żona, jako posażna panna, miała pełne prawo; nie żałował kosztów na edukację Zosi i Witolda, zabezpieczał ich przyszłość i stanowisko, powiększał fortunę, ale więcej ponad to nikt nie mógł żądać od niego.

Gdyby mu kto był powiedział przedtem, że nie zna swych dzieci, obraziłby się srodze; gdyby go zapewniano, że nie wie, co w młodych tych duszach gra i kipi, uśmiechnąłby się z lekceważącym pobłażaniem. A jednak, gdy wówczas, po śmierci pani Marty, stanął wraz z niemi przed katafalkiem, na którego atłasach taka cicha i w marmur zakłętą leżała ich matka, gdy spojrzął na twarz Witolda, jak całun śmiertelny zbielała, i na główkę Zosi, wtuloną ze spazmem rozpaczny w kir, otaczający trumnę, wtedy przyszło mu po raz pierwszy na myśl, iż klucz do dusz ich młodych ta łagodna, niestrudzona

istota uniosła wraz z sobą w lepsze światy,—że zmarła matka bliższa była ich sercom niż ojciec.

Uraza też jego do żony potęgowała się stopniowo. Jak mogła rzucić mu na głowę kłopot wychowania podrastających dzieci i drobiazgowe udrażnienia, z prowadzeniem domu związane? jak mogła popsuć mu tak nagle wszystkie szyki i projekty na przyszłość?...

W żałobie pana radcy nie żał za zmarłą, lecz żał do zmarłej za jej śmierć niewczesną dominującą grał rolę. Powierzył jej zaszczytne stanowisko na czele swego domu, ona zaś rzuciła je niebacznie. Oto, co znaczy zaufać kobiecie! Przybycie na pogrzeb całej okolicy uspokoiło go wtedy trochę. Obecność siostry nieboszczki, pani Marceliny z Horeckich Korczyńskiej, pchnęła myśli Prędowskiego na nowe tory.

Nie śmiał ujawnić ich przed samym sobą nawet, ale, przez pietyzm dla zmarłej zapewne, zatrzymał młodą wdówkę dni kilka w Prędowie, otaczając ją wyszukanyymi względami. Prosił przytem usilnie, by spędziła część lata w domu żałoby.

Pani Marcelina jednak wymówiła się kuracją, dla której miała właśnie wyjechać na czas dłuższy zagranicę.

Lato, spędzone ze sprowadzonym ad hoc całym sztabem nauczycielek, korepetytorów, ochmistrzyń, zarządczyń i innych dygniterek (bo pan radca nie przez pół nie zwykł robić), przekonało go, iż prowadzenie wielkiego domu i wychowanie oraz kształcenie dwojga dzieci dla mężczyzny, obciążonego zarówno własnymi rozlicznymi interesami,

jak honorowymi, powierzonymi mu urzędami, zbyt ciężkiem jest zadaniem.

W kilka też miesięcy po pogrzebie, gdy zimna jesień ostudziła już gorące łzy żalu po „nieodżałowanej a przedwcześnie zgasłej małżonce“, popielatoróżowy salon w Alejach Jerozolimskich był świadkiem niezwyklej a subtelnej w półtonach sceny.

Pani Marcelina Korczyńska przyjmowała w owym uroczem *tusculum* szwagra swego, który, jak zapewniał, przybył umyślnie ze wsi, by hołd należny jej złożyć i po długich miesiącach żalobnego osamotnienia odetchnąć choć chwilę „w atmosferze ciepła rodzinnego“.

To „ciepło rodzinne“ w zastosowaniu do niej i do szwagra, z którym nigdy nie mogła się zrozumieć, którego nie lubiła po prostu i uważała za człowieka zupełnie sobie obcego, wywołało przelotny uśmiezek na świeże usta młodej kobiety.

Pan radca, wyelegantowany, wyświeżony, uroczysty, nie spostrzegł tego, wzrok jego bowiem mocą przyzwyczajenia obiegał w tej chwili z wprawą taksatora umeblowanie salonu, by sprawdzić, jak zwykle, czy „ta droga Marcelinka“ nie marnuje fortuny niepotrzebnymi a kosztownymi zakupami.

— Rzut oka *d'un commissaire priseur* — zwykła mawiać piękna wdówka.

Uspokojony w obawach, Prędowski nastroił słowa swe na ton liryczno-elegijny.

Był sam, był opuszczony i nieszczęśliwy... Coś mu się przecież od życia jeszcze należy... jakaś pomoc w pracy dla dobra ogółu i kraju...

Przez różowe usta kobiety znów się przewinał szybko powstrzymany ironiczny uśmieszek.

— Tak — potwierdzał, — należała mu się pomoc w pracy dla dobra ogółu, dla podniesienia stanowiska rodziny, której kobieta koroną jest i przedstawicielką. Należała mu się chwila osobistego szczęścia... jałmużna choćby tkliwszego uczucia...

— Och! — przerwała żywo, — cóż za złe wyrażenie w zastosowaniu do ciebie, drogi Arturze. Pan radca Prędowski nie potrzebuje jałmużny tkliwszego uczucia; wiele panien i panienek z najlepszych naszych domów poda mu z radością rękę na całe życie.

— Panny i panienki, droga Marcelinko, to nie mój już świat... nie świat człowieka, który przebiegł połowę życia, ma poważne wspomnienia za sobą i obowiązki rodzinne w postaci dwojga podrastających dzieci. Ale tobie, Marcelinko, dzieci te nie mogą być obce. Jako sieroty po jedynej siostrze, są one nieledwie krwią z krwi i kością z kości twojej... są ci tak blizkie urodzeniem, stanowiskiem, fortuną... ojciec ich zaś jest tak dawno znanym i tak wiernym wielbicielem charakteru twego, duszy, umysłu i...

— Ostrożnie, panie radco — przerwała, — bo powiesz... i urody, a toby już nie wypadło między nami.

— W równie blizkim, rodzinnym stosunku — zaprzeczył.

— Właśnie w tak blizkim, rodzinnym stosunku poco te omówienia? Ze słów twych, kochany szwagrze, wnoszę, że masz zamiar ożenić się powtór-

nie. W twojem położeniu, w twoim wieku rzecz to zupełnie naturalna i godziwa.

— Ach, więc zgadzasz się? — zawołał, powstając żywo.

— Ułatwić ci zadanie to? Ależ z całą gotowością. Krępują cię dzieci, które, jak to słusznie zaznaczasz, są mi bardzo blizkie krwią i sercem, a więc, proszę, odeślij je zaraz do mnie; postaram się, o ile to będzie w mej mocy, zastąpić Zosi matkę.

Prędowski powstał i pochylił się nad nią czule.

— O tem tylko marzę, o to błagam, Marcelinko; zastąp im matkę, ale u nas, w Prędowie... Nie odtrącaj i mnie przytem...

Pani Korezyńska wyprostowała się sztywno.

— Daruj, panie radco, ale na wieś nie mam zamiaru się przenieść.

— Dziś, jako wdowa, jako samotna kobieta, rozumiem. Gdy jednak...

— Swoboda jest mi tak miła, atmosfera zaś życia umysłowego tak niezbędna, iż postanowiłam nigdy powtórnie za męża nie wychodzić. Powtarzam to dlatego, abyś w troskliwości swej o moje szczęście nie przewidywał jakichkolwiek zmian w mem życiu i tem pewniej zechciał Zosię mi powierzyć.

Znając dumę pana radcy, wiedziała, iż potrafi on pochwycić w lot ton właściwy i ukryć zawód, jakiego nagle doznał.

Prędowski w rzeczy samej pobladał tylko i cofnął się na swoje miejsce, lecz niczem nie okazał na razie obrazy.

— Wdzięczny za ofiarę, jaką chcesz dla nas uczynić, nie wiem jednak, czy powinienem narzucić ci moją córkę. Jest ładna, ale pod względem charakteru dość trudna do prowadzenia.

— Tylko żywa, impulsywna i wybuchowa, zapalająca się do wszystkiego, co piękne i szlachetne. Taką była i matka jej w pierwszej swej młodości.

— Marta nigdy nie okazywała ani egzaltacji, ani własnej woli.

— Bo się jej wyrzekła dla spokoju domowego, dla ciebie, drogi szwagrze. Zosia jednak, ani ja nie byłabyśmy zdolne do takiej abnegacji. I dlatego bądź spokojny: zdołamy się zrozumieć obie doskonale.

Gdy w chwilę później radca zstępował z marmurowych schodów, wiodących do mieszkania pani Marceliny, rysy jego wykrzywił gniew, nie hamowany już pozorami wykwintnych manier i spokoju.

— Głupia!—syknął przez zaciśnięte zęby.—Miałaby pałac, tytuł radczyni i podwójną fortunę. Szkoda! Trzeba będzie znów spadek po starych Horeckich na dwie dzielić części. A mógł cały zostać w mojem ręku. Miasto przewróciło jej w głowie... Kobieta musi zawsze czuć wolę męską nad sobą, inaczej idzie na manowce.

Pani Marcelina jednak pozostała na manowcach tych, a jakkolwiek stosunek jej do szwagra po owych pamiętnych oświadczeniach nie zmienił się na pozór, niemniej był on w gruncie sztuczny i ceremonjalny, przyczem młoda kobieta z zasady nigdy nie pokaza-

ła się już w Prędownie, nigdy nie zagościła pod dachem pana radcy.

Zosię odwoził zazwyczaj do Warszawy ojciec, wracała zaś na wakacje bądź z Angielką swą, bądź wprost pod opieką starszego brata.

Od tej pory cztery upłynęły lata. Pan radca, uspokojony, iż zarówno majątek pani Korczyńskiej, jak fortuna dziadków Horeckich, i tak przejdzie na jego dzieci, o ożenieniu powtórnie nie myślał, lecz, rosnąc w zamożność i powagę, zadomowił się trochę, wierny zasadom swym i hasłom, a dumny z uzyskanych, dzięki im, rezultatów.

Wypadki styczniowe, zaszłe w Warszawie, a których część, jak to widzieliśmy, Prędowski sam przeżył i własnymi oglądał oczami, szerokiem echem rozeszły się po kraju. Bojkot szkolny zdawał się rodzinom, daleko od stolicy mieszkającym, przejściowym epizodem w ruchu narodowym młodzieży. Gdy więc nastąpiło po nim ostateczne zamknięcie gimnazjów rządowych, fakt ten zaskoczył znienacka wielu ojców, a między nimi i Prędowskiego.

Zawiadomiony przez syna o prawdopodobnym powrocie jego do domu, nie zdziwił się depezy, w której Witold prosił o konie na stację. Nie przyszło mu jednak na myśl nawet, aby wraz z bratem i Zosią przybyć miała do Prędowa.

Gdy więc bez pompy, jaką zwykł był otaczać jedynaczkę, ujrzał ją na wysokiem siedzeniu amerykańskiem, wysłanego po panicza, z oczu strzeliła mu iskra, a olimpijski mars gniewu przeciął dumne czoło.

— Marcelina oszalała po prostu — zawyrokował z oburzeniem.

Zanim zdążył jednak zejść z ganku, już śliczne dziewczę zawisło mu u ramienia.

— Papo, rozchmurz się i nie gniewaj na mnie! — prosiła serdecznie. — Tak się stęskniłam za tobą i za domem, iż uparłam się i nie pozwoliłam, aby Witold sam wracał.

Przytuliła twarzyczkę do ramienia ojca i patrzyła mu błagalnie w oczy. Spojrzeniu temu stoicyzm pana radcy nie mógł oprzeć się nigdy.

— Witold nie miał co robić na razie w Warszawie, ale ty powinnaś prowadzić dalej nauki — bronił się jeszcze.

— Pensje zamknięte.

— Ale lekcje prywatne.

— I te przerwane zostały. Taki już prąd chwili. Papo, proszę się rozchmurzyć i pocałować Zosię.

Z drugiej strony Witold pochylał się także do ręki ojcowskiej.

— Panie radco szanowny — ozwał się za nimi głos jowialny, — a toż grzech opierać się dłużej. Gdybym miał taką cudną jedynaczkę, na kolanachbym jej służył, jak honor piastuję!

Sąsiad i gość chwilowy wiedział, czem trafić w słabą stronę gospodarza domu. Prędowski, ulegając przemocy, przytulił główkę Zosi do piersi i ucałował serdecznie. Gdy jednak dziewczeczka w podzięce za wstawiennictwo wyciągnęła rączkę do pana Świeślińskiego, ojcu jej nowa obawa zachmurzyła czoło.

Począł wszakże, aż Witold i Zosia zdjęli w przedsionku okrycia i, wprowadziwszy ich do pokoju, zwrócił się dopiero do syna:

— Czy sami jechaliście w wagonie? — zapytał podejrzliwie.

— Nie; wraz z nami przybył Jerzy Orecki.

— Jakto, w I-szej klasie?

— Jechał w II-iej, ale przyszedł do naszego przedziału, i gawędziliśmy razem — objaśniła panienska z niewinną minką. — Chcieliśmy nawet zabrać go do Prędowa na obiad.

— To zupełnie zbyteczne — skarcił pan radca zimno.

I on, chociaż nasz blizki kuzyn, to samo powiedział — przyznała Zosia z powagą, pełną anielskiej prostoty.

Radca rzucił na córkę z pod oka badawcze spojrzenie; chciał stwierdzić prawdopodobnie, czy panienska nie pozwala sobie czasem żartować z jego ojcowskiej władzy. Ale Zosia zdawała się być daleką od wszelkiej płochy myśli.

— Papo — ciągnęła, zdejmując rękawiczki, — skoro o tem mowa, powiedz mi, proszę, w jakim stopniu jesteśmy spokrewnieni z Jerzym Oreckim? Bo właśnie kwestja ta...

— W żadnym! — przerwał stanowczo. — W zupełnie żadnym! Jerzy jest siostrzeńcem nie ciotki Marceliny, lecz jej męża; nas to więc nie obchodzić nie może i do najmniejszego zbliżenia nie upoważnia.

— Ale przecież ciocia poszła za mąż w kuzynostwie, więc Oreccy byli krewnymi i naszej matki — wtrącił Witold.

— A cóż mnie to obchodzić może? — oburzył się pan radca. — Nie jestem starą kumoszką, która by wiecznie doszukiwała się na prawo i lewo jakichś domniemanych pokrewieństw. Ta manja staropolska dobrą była wtedy, gdy wielkie fortuny pozwalały na żywienie wszelkich darmozjadów, jacy się pod powinowactwo podszywali. Dziś falanga krewnych to kula u nogi pracowitego i rządneho człowieka. I bez nich dosyć dokoła hołoty!

— Papo!

Głos, pełen wyrzutu, przywołał go do rzeczywistości. Prędowski spostrzegł, że uniósł się wobec osób obcych.

— No, nie stosuję przecież tego do Oreckich — poprawił natychmiast wywołane poprzednio niemile wrażenie. — Dom to staropolski, zacny i zdawna tu osiadły. Mogę się nie zgadzać z nimi w zasadach i przekonaniach, lecz na równi z całą okolicą umiem ich szanować. Uwzględniając jednak bezkrytyczny szowinizm narodowy rodziców, nie mam obowiązku zachwycać się niedowarzoną demagogją ich syna, który, zamiast przyłączać się do demonstrancji i awantur w uniwersytecie, lepiejby skończył wprawdzie studia i z dyplomem w ręku wykierował się przede wszystkim sam na użytecznego i porządnego obywatela kraju. Oto byłby najlepszy dowód patriotyzmu.

Młodzi, zamieniwszy szybko porozumiewawcze spojrzenie, przyjęli ostre słowa ojca milczeniem, które mogło oznaczać zarówno szacunek dla zdania, jak cichą i niemą opozycję.

To znów rozbroiło pana radcę.

— Zosiu — przemówił ze zwykłym już dobrym humorem, — mamy gości na obiedzie: paru sąsiadów, którym zastępca mój pokazuje w tej chwili nowe maszyny gospodarcze, sprowadzone z Warszawy. Proszę, rozgość się w swym pokoju, popraw strój podróżny, skoro rzeczy miss Florence jutro dopiero przywiezie, i zejdź do sali jadalnej, gdy tylko będziesz gotowa. Każę obiad wstrzymać tymczasem.

Było to wielkie ze strony pana radcy ustępstwo. Córkę nieraz prezentował sąsiadom z okolicy. „Podlotek — zwykł mawiać — to poczwarka, której nie należy pokazywać światu, dopóki nie przeistoczy się w barwnego motyla, to jest w dorosłą, powabną kobietę. Inaczej, kiedyż możnaby znaleźć czas na kształcenie serca jej i umysłu? Zresztą, gdzie nie ma matki i pani domu, tam nie miejsce na zebraniach dla młodej panienki.“

Pozornie przyznano mu rację. W poufnych wszakże uwagach, poza plecami Prędowskiego czynionych, podsuwano słowom jego inne zupełnie pobudki: Dumny jakoby ze starego nazwiska i wielkiej fortuny, nie widział w całej okolicy stosownej partji dla posażnej swej a pięknej jedynaczki. Strzegł też zazdrośnie dorastającą panienkę od wszelkiego spotkania, któreby na szali przyszłości jej zawżyć mogło. Radca, jak mówiono, miał wła-

śnie w tym względzie matrymonjalne projekty dla Zosi, a przyszłego zięcia upatrywał z wrodzoną sobie miarą i realnym rozsądkiem nie w kołach złotej młodzieży lub zbankrutowanej arystokracji, lecz w sferze z dawna osiadłego, równie, jak on, możnego i wpływowego ziemiaństwa. „Równy z równą, natus et possessionatus“ — oto miała być jego dewiza.

Znała ją może i Zosia, — z niemalem bowiem podnieceniem i rozbłysłem ciekawością oczami schodziła do sali jadalnej.

Gdy stanęła na progu, cudna w swych długich, ciemnych warkoczach, w popielatej podróżnej sukience, rozjaśnionej jedynie wielkim kołnierzem koronkowym, na sali, rozbrzmiewającej przed chwilą męskimi głosami, nagle zapanowała cisza. Grupa, złożona z kilku panów, rozmawiających u okna, zamilkła, a oczy ich, zawisłszy na wchodzącej, zdawały się witać w niej jakieś niepojęte zjawisko, — zdawały się nieść hołd uosobieniu piękna i wiosny.

Zosia, której zaróżowione lekko lica odbijały od białości koronki, jak poranna jutrzienka od śniegów puszystych, zatrzymała się i, chcąc snadź zbadać, kto jest wśród zaproszonych, wysłała najpierw na zwiady przeciągle spojrzenie swych głębokich, szafirowych źrenic.

Był to ruch bezwiedny, pełen zaleknienia, prawie dziecięcy, a w każdym razie bardzo dziewiczy. Niemniej wytrawna nawet kokietka nie byłaby w tym razie postąpiła inaczej. To długie, choć trwożliwe spojrzenie przepysznych gwiazd szafirowych

wzięło znów zebranych w okowy, przedłużając nagłe ich milczenie. Bo przecież olśnieni promieniami niespodzianego meteoru zaprzestaliby także swych agromicznych dociekań i, urwawszy suche rozprawy, utonęliby wzrokiem w blaskach nieoczekiwanego zjawiska.

Jeżeli jednak śliczne dziewczę nie rozumiało może niemego oddanego mu hołdu, pan radca pojął doskonale genezę tego objawu. Oczy jego błysnęły dumą i zadowoleniem. Przybliżył się też do córki, a wsunawszy rękę jej pod ramię swe, poprowadził ją ceremonjalnie ku zebrany.

— Spotkała mnie dziś miła niespodzianka — objaśnił. — Wraz z synem, którego oczekiwałem, przybyła z Warszawy i jedynaczka moja, którą, jako nie starą wprowadzić — dodał z uśmiechem, — lecz dawną znajomą, przypominam pamięci i życzliwości panów. Panienki tak szybko rosną, iż bez tego objaśnienia pierwszy pan prezes nie poznałby może w dzisiejszym podlotku widzianej przed kilku laty niedużej Zosieńki.

Teraz Zosia zrozumiała od razu sytuację. Byli to dalsi sąsiedzi Prędowa, których nie spotykała tutaj podczas dorywczych swych a krótkich pobytów u ojca. Trzech z nich skłoniło się głęboko, lecz w milczeniu, czwarty zaś, do którego Prędowski mówił bezpośrednio, o wykwintnych a szczerych i rozumnych rysach, ujął z uśmiechem obie dłonie dziewczęcia.

— Panienki rosną szybko, to prawda — przyznał. — Kwiat wszakże jeszcze szybciej wspaniała

wystrzela koroną, a niemniej poznajemy go wszyscy... Jesteś, dziecko, jak dwie krople wody, podobna do twej matki, gdy miała lat szesnaście. Znałem ją, kochałem i szanowałem głęboko; niechże mi więc wolno będzie i na ciebie przelać trochę tego uczucia.

I rączkę podlotka serdecznie a ze staroświecką galanterją do ust podniósł.

Zosia stanęła w płomieniach.

— Prezesie szanowny, psujesz mi córę — protestował Prędowski uprzejmie. — Zażenowana, nie umie nawet wyrazić, jak wysoko ceni pamięć przyjaźni i pokrewieństwa, wiążącego cię z nieodżałowaną jej matką.

— Ho, ho! Wynajdujemy powinowactwa, „jak stara kumoszka“... Widać tym razem nie o „hołotę“ chodzi — syknął do siebie stojący z boku Witold.

Pan radca Prędowski, podjął tymczasowo z boczego stolika wiązankę róż i podał ją córce.

— Za niespodziankę, zrobioną twoim przyjazdem, niespodzianka w postaci świeżych kwiatów, wyrosłych tu, w oranżerji prędowskiej. Powinny ci być miłsze od nicejskich, jakimi napawa się Warszawa.

Śliczne oczy podlotka radością zajaśniały.

— Róże! Ach! co za przyjemność. Tak dawno róż nie miałam!...

— Co? W stolicy, a w dodatku u ciotki Marceliny, róż ci brakło? Chyba źle słyszę? — zaoponował Prędowski.

Zosia wyprostowała się, spoważniała nagle i jakby urosła. Po ślicznych, delikatnie rzeźbionych ry-

sach jej przebiegł wyraz smutku, kładąc piętno myśli samoistnej na młodziutkiem czole. Zawahała się, a podnosząc ku Prędowskiemu łzą nabrzmiałe oczy, odrzekła z prostotą:

— Gdy krew się leje na ulicach, gdy żałoba i niedola zawisła nad wielu rodzinami, nie czas na kwiaty, papo. Zapomniałyśmy o nich od dawna.

Była uroczą niewinnością, porywająca uczuciem i zapalem.

Od grupy panów oderwał się młody ciemnowłosy mężczyzna i skłonił przed Prędowskim.

— Nie wolno mi powołać się na przywilej dawnej znajomości, może więc pan radca raczy mnie przedstawić swej córce.

Prośba skwapliwie spełniona została.

— Zosiu, pan Tadeusz Rolicki, syn łaskawego prezesa, który tak życzliwie przed chwilą matkę twą wspominał.

Pan Rolicz-Rolicki nisko pochylił głowę. Zosia jednak, widząc zupełnie młodego człowieka, rękę do niego wyciągnęła.

Dłonie ich złączyły się, oczy pobiegły ku sobie śmiałym spojrzeniem. W źrenicach dziewczęcia widniały zainteresowanie i życzliwość; w oczach mężczyzny — jawny zachwyt i podziw.

— Proszę jaśnie pana, obiad podany — zameldował w tej chwili służący.

Rolicki skłonił się ponownie i podał ramię młodziutkiej pani domu.

— Cóż, radeo? nam, starym, wypadnie własnem kontentować się towarzystwem — zaśmiał się dobrodusznie pan Rolicki senior.

Ruszono parami do stołu.

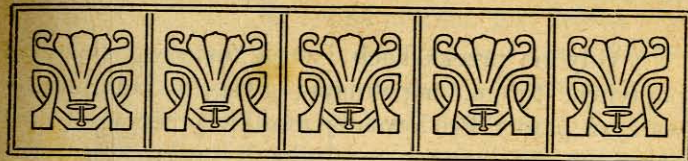
Dwaj panowie, którzy w scenie tej grali niema rolę komparsów, nachylili się teraz poufnie ku sobie.

— No, sąsiedzie, nic dziwnego, żeśmy dziś zeszli na szary koniec, bo tu bodaj gruba gra idzie.

— Ba! stawka nielada!... Jedynaczka krociowa. Rolicey zaś też nie pierwsi-lepsi; sięgnąć mogliby po każdą partję.

A Witold tymczasem, zamykający pochód, przeżuwał pasję tłumioną, powtarzając sobie w duchu:

— Dziś jeszcze opowiem wszystko Jerzemu.



VII

Znalazszy się u wykwintnie zastawionego stołu, Zosia zatrzymała się, niepewna, jaką rolę przyjąć powinna wobec zebranych.

Pan radca Prędowski pośpieszył jej w lot na pomoc.

— Córko kochana, ponieważ przybyłaś dopiero do domu, jesteś dziś więc miłym gościem u ojca. Zwalniam cię też najzupełniej z obowiązków wicegospodyni naszej. Siadaj, ot tu, na zwykłym miejscu; odpoczywaj po męczącej podróży i baw mi pana Tadeusza Rolickiego, by go nasze rozprawy agronomiczne zbytnio nie znudziły.

Uwolniona od pierwszego miejsca i uwagi, jaką by ono na młodą parę ściągało, Zosia schodziła do należnej jej roli młodziutkiego dziewczątka. Pozwoliło to jej odosobnić się trochę i gawędzić swobodnie, bez względu na starszych i należne im honory, którymi pan domu dyskretnie, lecz stanowczo otaczał prezesa Rolickiego.

Gdy po przekąskach i kupie rozmowa żywszym popłynęła torem, napelniając gwarem jadalnię, towarzyszył panny Prędowskiej umilkł, przerywając banalną, na potocznych ogólnikach opartą rozmowę, jaka zwykle nawiązuje w towarzystwie nieznajomości między dwojgiem nieznanych, a dopiero co przedstawionych sobie ludzi.

Te zdawkowe frazesy nie zadawałniały go widocznie; nie lubił komunałów.

Wysoki, smukły, o polskich rasowych rysach, ozdobionych starannie utrzymanym wąsem, miał w wyrazie ust i w owalu twarzy kobiecą nieledwie łagodność, a w oczach siwych, głęboko osadzonych i silnemi ocienionych brwiami, odblysk nieuchwytny iście słowiańskiej tęsknicy.

Ta cecha, rzadko spotykana wśród tężyzny wiejskiej młodzieży, a połączona z refleksyjnym zamysleniem białego czoła, z pewną powagą, bijącą mu z obliza, oraz z wykrintem ruchów i stroju, zwracała od razu uwagę na Tadeusza Rolica, jak go przez skrócenie zwykle nazywano.

Wogóle od miękkiego, melodyjnego głosu do białej, wypieszczonej ręki—robił on wrażenie człowieka, który więcej miał w życiu do czynienia z książką, nauką i kulturą, niż z uprawą pól rodzinnych swych włości.

I teraz też, po chwili milczenia, marzycielskie jego oczy zatrzymały się dłużej na wiazance róż, jaką Zochna przy talerzu swym położyła.

W uszach brzmiały mu jeszcze gorące jej słowa:

„Gdy krew leje się na ulicach, gdy żałoba i niedola zawisły nad wielu rodzinami, nie czas na kwiaty, papo. Zapomniałyśmy o nich od dawna“.

Zdanie to w młodziutkich dziewczęcych ustach znamionowało jedno z dwojga: szlachetne serce i poważny nad wiek umysł, lub po prostu zdolność papugi i pamięć, godną fonografu, który powtarza wierne nawet to, co przypadkiem zasłyszał.

Taka była jednak śliczna, taka w wiosennym wdzięku uroczą, a od trzepoczących się i szczebiotliwych rówieśnic swych różna, taka jasność i prostota zdawały się promienieć z szafirowych jej źrenic, długą, ciemną okoloną rzesą, iż reszta sceptycyzmu pierzchła z myśli Rolickiego.

— Pamięta pani słowa, wyrzeczone na widok tych róż? — zapytał, pochylając się ku niej.

— Tak. Wiazanka sprawiła mi radość, lecz zarazem przypomniła smutne wrażenie ostatnich czasów.

— Smutne wrażenia u majowej jutrzeńki? Czy nie za wcześnie? Któżby śmiał zasępnąć niemi zaranie budzącego się do rzeczywistości istnienia?

Spojrzała mu poważnie w oczy.

— Przedewszystkiem sieroctwo — odparła z prostotą.

— Aa! przepraszam — pochylił nisko głowę.

— A następnie... życie — uzupełniła spokojnie.

— Sieroctwo i niewola — przyznał — to dwa trujące czynniki, których ból każe zwykle wcześniej dojrzywać duszy ludzkiej. Ale życie?... Czyż byłby

ktos dość okrutny, aby, zdarłszy osłonę z iluzji, ukazał pani rzeczywiste janusowe jego oblicze.

— Och, wiem, że mądrość życiowa daleką jest ode mnie; mówiłam jednak o tem tylko, czego świadkiem byłam w Warszawie.

— Jakto? naocznym?

— Rzecz prosta. Przecież czuję i myślę; jakżebym więc mogła, mieszkając w sercu Polski, bo w jej stolicy, oddzielić się murem chińskim od wszystkiego, co ją boli i gnębi?

Tym razem nie fonograf już mówił, lecz gorąca a nadwrażliwa dusza tego słiczego dziecka. Sam dźwięk jej głosu, sam płomień, jasnym błyskiem rozświetlający oczy, wskazywały dostatecznie, iż struna uczuć patriotycznych, doprowadzona do najwyższego napięcia, za najbliższem dotknięciem drgała silnie w jej sercu.

I to była córka pana radcy Prędowskiego?... jego umiłowana a można jedynaczka? Zaiste — myślał Rolicki, — los czy Nemezis uczuć, po macoszemu traktowanych, dziwnie niekiedy płatała ludziom figle.

Poczem zwrócił się już do Zosi, nie jak do ładnego dziecka, lecz jak do równego sobie myśłą i sercem człowieka.

— I ja ostatnie tygodnie spędziłem w Warszawie — wyznał; — i mnie nie obcą jest anarchja, jaka zaczyna panować w wielu dziedzinach jej życia. Gdy burza nadciąga, a ma żywiołową swą siłą zniszczyć trujące miazmaty i uwolnić przyrodę od palącego znoju, w którym wszystko usycha i zamiera, nie

czas wtedy liczyć złamane przez wichur drzewka przydrożne.

— A gdy burza w orkan się rozkielzna? — zarzuciła, — gdy zmiecie wszystko, co spotka na swej drodze?

— To jest prawie niedopuszczalne tym razem. Zresztą pocóż przepowiadać ostateczności? Miejmy nadzieję, że zniweczy ona tylko złe posiewy, że da nam możliwość odetchnięcia i wleje nowe siły do duszy. Brat pani porzucił szkoły nieodwołalnie?

— Tak. To pierwszy dobry posiew — objaśniła z uśmiechem, zapożyczając od niego porównania.

— I przyjechał na dłuższy pobyt na wieś?

— Zapewne. Pragnie bowiem rok ten, dla szkoły zmarnowany, poświęcić pracy nad oświatą ludu i uświadomieniem narodowem wsi polskiej.

— W takim razie spotkamy się we wspólnym zakresie działania.

— O, dla Witolda nie obca to dziedzina. Poświęcili jej wraz z kuzynem Oreckim od lat kilku całe swe wakacje. Lud w okolicy zna ich tak dobrze, iż posiadają tu nawet wpływ znaczny. Tylko obecnie brat mój będzie miał niełatwe zadanie: papa nie pozwoli mu pewno pozostać w Prędowie i nie dopuści do żadnej ideowej pracy.

— Czy jest jej z gruntu, z zasady przeciwnym?

Fala krwi gorącej przepłynęła przez delikatne lica Zosi i zbiegła do serca napowrót, a w oczach trwożny ukazał się wyraz. Doznała wrażenia, że niebacznie odezwaniam się rzuciła może wobec

obcego człowieka cień jakiś na charakter i postępowanie ojca.

— Ależ, broń Boże! — zaprzeczyła. — Papa jest tak szlachetny, iż pragnąłby wszystkich dobrych rzeczy na świecie... Tylko... tylko...

Pod starannie utrzymanym wąsem Rolickiego mimowolny przewinał się uśmiech.

— Tylko — uzupełnił, — jako starszy od nas wiekiem, należy do generacji, która w kwestji tej ma odmienne, niż my, zapatrywania. Rzecz prosta i naturalna. Od razu tak słowa pani zrozumiałem.

Zwróciła ku niemu z poza rzęs długich wdzięczne, serdeczne spojrzenie.

— Jeżeli pani sobie życzy, spróbuję sprawę tę podnieść tutaj i rzucić na szalę przekonań pana Witolda własnych trochę zapatrywań i własnego zapалу; może to ojców naszych rozgrzeje nieco. Czy zgoda?

— Jaki pan dobry — uśmiechnęła się rozkosznie.

— Ale wprawdzie jedno niedyskretne pytanie: kto panią tak czuć i myśleć nauczył? kto w wieku, w którym inne panienki na pozór o nauce, w gruncie zaś o strojach i zabawie tylko myślą, kazał ci kochać lud i kraj własny nad wszystko?

Pochylony, patrzył bacznie w jej oczy, jak gdyby dla przeniknięcia tajemnicy tej chciał zajrzeć do głębi młodziutkiej jej duszy.

Dziewczę zamyśliło się chwilę z tem skupionem spojrzeniem, które kazało mniemać, iż duch jej zstąpił do tajników własnej wewnętrznej istoty, by sobie sprężyny poruszające nią wyjaśnić. Pytanie

to zaskoczyło ją zniecierliwioną, lecz moc czystego uczucia dała na nie natychmiast odpowiedź.

— Kto mi kazał kochać lud i ukochać kraj własny? — powtórzyła zwolna. — Ależ Bóg sam, który pierwiastki miłości tej w krew mi zaszczerpił. To nie wynik jakiejś nauki lub teoryj historycznych. Tu, w Prędomie, wszystko do mnie przemawia, wszystko jest mi drogie: i słońce, i śniegi, i ziemia, i ludzie... wszystko w serce mi wrosło. A zakątek ten rodzinny to kraj w minjaturze, to skrawek owej wielkiej ojczyzny, która tem potężniej do siebie przykuwa, że jest nieszczęśliwa, że, miast purpury królewskiej, cierniową nosi koronę. Uczucie dla ziemi ojczystej płynie po prostu w prądach tej ziemi, w atmosferze jaka ją otacza, jest silniejsze od rozumowań, jest prawem bożem...

Oczy jej wzmożonym jaśniały blaskiem; lekki rumieniec licca okrasiał.

— Czy pan nigdy nie doznał olśnienia na widok przyrody polskiej, witającej wschód słońca? czy nie odczuł pan wzruszenia wobec pięknego kwiatu, wyrosłego z naszej ziemi?

— Olśnienie i wzruszenie takie nie jest mi obce; w tej chwili podwójnie je odczuwam — zapewnił, pochylając przed nią głowę.

Nie zrozumiała nawet ukrytej w słowach Rolickiego intencji. Głośny toast, wznoszony na cześć prezesa, jako rzadkiego gościa w tej okolicy, przerwał dalszą ich rozmowę.

Z właściwą jednak miarą, a ze względu na charakter przeżywanych czasów, gospodarz oszczę-

dził zebranych dalszych toastów, gawędkę na ogólne kierując tory.

— Powiedz nam, Witoldzie — zagadnął syna, — co słyhać właściwie w Warszawie? Bo z depeszy twojej, proszącej o konie na stację, nic zrozumieć nie mogłem, a pisma nader skapo i ogłędnie podają wiadomości.

Chłopak, ku któremu ojciec rzadko zwracał mowę przy osobach obcych, z obawy, aby niepohamowany jego temperament i „krańcowe poglądy“ nie wypłatały mu jakiego figla, zaskoczony pytaniem, zmieszał się na razie, lecz zaraz śmiało podniósł głowę.

— Na pozór nic się nie zmieniło. Gazety nie mają co donosić, bo, formalnie biorąc, nic się nie dzieje. Z jednej strony martwa cisza, z drugiej stan wojenny, policja, patrole, posterunki wojskowe, piechota, konnica, artylerzyści, kozacy, huzarzy, ułani, dragoni, wszystkiego potrosze... na zmianę; dla urozmaicenia zaś rewizje i aresztowania, na ulicach nawet. Wobec tego każdy wychodzi wtedy tylko, gdy go interes zmusza. Publiczności też mało, a ta, którą się widzi na mieście, wygląda, „jak okradzioną“, jak gdyby się własnego bała cienia.

— No—przerwał pan radca z niesmakiem,—już poetyzujesz, już cię zapał unosi. Tak źle chyba nie jest.

— A przecież ojciec sam to widział.

— Zapewne... w wyjątkowej chwili... Po kilku tygodniach stan podobny trwać nie może.

— Syn pański wcale barw nie dodaje i nie przesadza—wtrącił Tadeusz Rolicki. --Wracam z Warszawy po dłuższym pobycie i wszystko to na własne

oczy widziałem. Faktycznie, w mieście spokojnie, bezprzerwane wszakże represje przygnębiają ludność, a w kołach rewolucyjnych, to jest w partji socjalistycznej i wśród terrorystycznego „Bundu“, budzą chęć odwetu, popychają do nowych zamachów i dalszej zgubnej dla kraju walki. To błędne koło, z którego w tych warunkach niema po prostu wyjścia.

— Owszem, jest jedno: oto silny rząd, któryby do podobnych nadużyć nie dopuszczał wcale, któryby taki zamęt pojęć i takie rozprzeżenie umiał zgnieść w porę i unicestwić.

Głos pana Prędowskiego brzmiał przy tych słowach ostro, zdawał się jak stał zimnym i nieugiętym.

Młody Rolicki śledził z zaciekawieniem grę jego rysów.

— Mam nadzieję, iż pan radca stosuje zasadę tę jedynie do zamachów terrorystycznych, do objawów anarchji, nie zaś do ruchu wolnościowego?

— Nam nie przystoi dla chimerycznych ruchów wolnościowych, dla fantazji żaków szkolnych ryzykować wszystkiego, na cośmy od czasów ostatniego powstania przez lat czterdzieści pracowali; nie przystoi narażać lekkomyślnie na szwank, na zgubę może tego, co mamy.

— Przepraszam! co my mamy?

Prędowski wyprostował się.

— Jeżeli nie siłę moralną i ekonomiczną, to podstawę do niej, bo podnoszące się z roku na rok bogactwo i zamożność kraju. To podwalina, na której przy dobrych stosunkach z Petersburgiem możemy uzyskać z czasem lepszą dolę i pomyślność

dla kraju. Nowe zaś zamieszki pogrążą go tylko w odmet dawnej nędzy i upokorzeń.

— A z kimżeż pan radca utrzymywałby te „dobre“ stosunki w Petersburgu, skoro rząd, przez wojnę z Japonją w powadze i władzy swej poderwany, może lada chwila runąć pod naporem wrzenia rewolucyjnego, jakie się w całej Rosji objawia?

— Nie przesadzajmy wypadków. Gdyby zresztą doszło nawet do tego, w co wcale nie wierzę, tem większy mamy obowiązek pracą skrzętną a podwójną gromadzić siły, by nam ich w przełomowej chwili nie zabrakło.

— Nie uważasz więc, radco, obecnej chwili za przełomową? — wtrącił prezes Rolicki.

— Nie. To czas przejściowy, poświęcony załatwianiu wewnętrznych, czysto rosyjskich spraw państwa, do których my nie powinniśmy się mieszać. I dlatego uważam za grzeszną wprost względem kraju całą tę agitację, która doprowadziła do bojkotu szkoły państwowej.

— Lepiej, aby ona nas znieprawiała, wynaradawiała i upadlała — wybuchnął Witold.

Radca skarcił go wzrokiem surowym.

— Nawet zła z gruntu szkoła jest jeszcze lepszą od żadnej — zawyrokował. — A przytem dla samego podtrzymania powagi rodziców, która jest podstawą wszelkiego porządku społecznego, w kwestji takiej nie powinna rozstrzygać młodzież, lecz ojcowie, bo oni mają tylko prawo kierować wychowaniem synów.

— Przepraszam — wtrącił z mimowolną ironją Tadeusz Rolicki. — Zdaje mi się, iż bystry sąd pański nie docenia w tej sprawie jednej rzeczy: oto, iż przy poruszeniu i przeprowadzeniu jej nie chodziło nikomu o zasadę utrwalania władzy i powagi rodzicielskiej, lecz o ocalenie wszystkich przyszłych pokoleń polskich od niewoli ducha, od kajdan, gnębiących poczucie narodowe.

— Mój Tadius — zaoponował pojednawczo pan Rolicki senior, — sędzę, iż wszelkie dyskusje w tym względzie są jałowe, bo spóźnione. Pan radca ma bezsprzecznie rację. Niemniej fakt doniosły bojkotu szkoły rosyjskiej został już dokonany, za infamisa bowiem ma być uważany ten, kto próg jej przestąpi. Zastanawiać się więc można jedynie nad tem, co nasza młodzież ma robić po opuszczeniu rządowych gimnazjów.

Jeden z dwóch panów, którzy rozmowie tej przysłuchywali się w milczeniu, poruszył się żywo.

— Mój syn — zawołał — po powrocie do domu postanowił na równi z organizacją młodzieży, do której należy, rok ten poświęcić nauczaniu i oświeceniu ludu.

— I jabym pragnął — zaczął Witold.

— Ty pojedziesz zaraz do Krakowa kończyć tam nauki i zdawać na maturę — zawyrokował oschle ojciec.

Rysy chłopca posmutniały; usta zacięły się boleśnie.

Tadeusz Rolicki zwrócił ku towarzyszcze swej spojrzenie, które zdawało się przepraszać ją i mówić:

— Jestem bezsilny! Nie mogę nic w tej kwestji poradzić.

Zosia jednak pod przykrem wrażeniem rozmowy takiej tak nisko pochyliła twarzyczkę, iż dojrzał tylko białe jej czoło i spiętrzoną nad niem bujną aureolę włosów ciemnych, w długie spływających warkocze.

— Panie radco — nalegał milezący dotąd współuczestnik obiadu, — chwila jest jedyna w swoim rodzaju. Jeżeli nie będziemy przeciwdziałali wpływowi socjalistycznemu i nie poprowadzimy dalej energicznej akcji i uświadomienia narodowego ludu, z wiośnią wybuchną, jak Bóg na niebie, strejki rolne, a później ruchy agrarne. Któż może lepiej wywiązać się z tej misji od naszej młodzieży? Nam, starszym, nie pozwalają na to ani czas, ani kłopoty, ani może brak zaufania, jaki do niektórych lud żywi. Młodzież o gorących sercach łatwiej też do prostych, lecz uczciwych serc przemówi. Wszak bez uświadomionych a zwartych mas wieśniaczych, bez siły narodowej, jaką one stanowią, nie wolno na burzliwe fale dzisiejszej polityki puszczać się nam.

Gospodarz domu poruszył ręką, aby mu przerwać.

— Przepraszam, nie skończyłem — ciągnął nieniechętnie stary, ile przygarbiony pracą i troską pan Świeśliński. — Z wprowadzeniem języka polskiego do gminy my sami sobie damy radę. Szeroko jednak zakreślona, a od dawna prowadzona akcja oświaty to rzecz młodych, zaś sprawa o tyle ważna, iż wartoby poświęcić dla niej tak już przerwany rok szkolny.

Wiem od mego syna, że młodzież tej okolicy, wracając obecnie na wieś, związana jest w ścisłą organizację, która pracę tę wzięła sobie za główne zadanie i cel życia. Pocóż więc ma pan Witold łamać solidarność ogólną? poco wyrywać go z koła rówieśników, z którymi później na ziemi tej musi życie całe spędzić? Wszak to obywatelska i patriotyczna działalność.

W miarę zapału, jaki ogarniał mniej zamożnego, lecz gorąco czującego ziemianina, radca Prędownski sztywniał i stawał się chłodniejszym.

— Cała rzecz w tem, łaskawy sąsiedzie, iż pracę obywatelską i patriotyczną niejednakowo pojmujemy. Sądzę, że i ja służbie społecznej znaczną część życia poświęciłem... ale to ja, człowiek skończony i dojrzały. Jako taki, a zaszczytany niejednokrotnie zaufaniem mych współobywateli, winien jestem baczyć, by głowy niedojrzałe i młodzieńcze wybuchowe zapaly nie wnosily do poważnej tej dziełziny zgubnego rozegzaltowania uczuć. Syna mego pragnę kształcić na rzeczywisty, realny pożytek kraju i dlatego właśnie wysłę go natychmiast zagranicę, by, dojrzewając, zdala od zamętu pojęć, przyszedł kiedyś ze zrównoważonym umysłem zająć moją placówkę. Mam nadzieję, że potrafi on wtedy rozszerzyć skromny zakres mego działania, a oddawszy siły swoje na służbę społeczeństwa, godniej odpowie zadaniu prawdziwego obywatela, niż ci, co nie mając wiele do stracenia, tak lekkomyślnie obalamucają dziś umysły liberalnymi a niedościgłymi majakami.

Skończył ze stanowczością, nie dopuszczającą repliki, poczem, zwracając się do córki, dał hasło do powstania od stołu.

— Zosiu, prosz panów na czarną kawę do salonu.

Na znak podziękowania zaczęły się ukłony i uściski dłoni. Gdy córka przybliżyła się do niego, Prędowski w uzupełnieniu poprzedniej dyskusji, pocałowawszy ją, dodał głośno:

— I ciebie, moje dziecko, najchętniej widziałbym w tych czasach wśród bezpiecznych murów *Sacré-Coeur* w Pradze Czeskiej. Trudno! obowiązki względem ciotki Marceliny nie pozwalają na to. Zatrzymam cię jednak, o ile można, najdłużej na wsi.

Było to powiedziane widocznie dla Rolickich.

Gdy służba rozniosła czarną kawę i likiery, młodzi, zgrupowani przy małym stoliczku, znaleźli się znów razem.

— Zazdroszczę ci, że zostajesz tutaj — zwrócił się Witold do siostry.

— Żał panu wyjeżdżać z Prędowa? — zapytał ze współczuciem Rolicki.

— Ale cóż znowu! — oburzył się chłopak. — Prędów wraz ze swymi lokajami, obiadami i całą ceremonjalną chińszczyzną to najnudniejsza dziura pod słońcem!

Tadeusz Rolicki rozejrzał się dokoła krytycznym okiem.

— No, jak na „dziurę“, wcale ładna rezydencja — przyznał z uśmiechem.

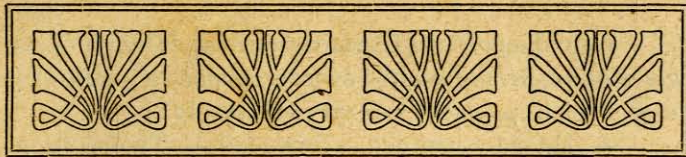
Witold spostrzegł tymczasem na dolnej podstawie stolika przyniesione świeżo pisma, a podnosząc je w dwóch palcach, odczytywał tytuły:

— Ma się rozumieć — dowodził — „Tygodnik petersburski“, jego „Polski“ dodatek i „Mowa“... same sztabdarowe wydawnictwa „ugodowców“. Prawda, przecież ojciec należy nawet do akcjonariuszów „Mowy“; to „obywatelski“ organ... Wstyd doprawdy!

Nie słuchano go, odwrócił się więc i odszedł.

A Rolicki, pochylony ku Zosi, pytał głosem szeptanym:

— Skoro pani pozostaje w Prędowie, czy wolno mi będzie powrócić niedługo?



VIII

Droga, wiodącą od stacji kolei do Orecka, toczył się szybko skromny, ale świeży i starannie utrzymany wolancik. Para rosłych kasztanów parskiała wesoło, w takt zaś lekkiego klusa ugiwały się miękko resory, kołyszące do marzeń podróżnego.

Jerzy Orecki zamyślony był w rzeczy samej. Oczy jego ślizgały się po runi zielonej, ozłoconej wiosennem słońcem,—obejmowały z miłośnem spojrzeniem rozległą równinę, ciemnymi obramowaną lasami, wolną już od śniegu, jeszcze na pół uśpioną, a jednak tak jasną, tak żywą, iż czuleś, że łono ziemi dyszy od spodu, że krew jej zaczyna pulsować, aż jeden gorętszy pocałunek słońca zbudzi ją z zimowego letargu, niecąc potężne technienie życia dokoła.

Tak, była to przedwstępna chwila zmartwychwstania. Jakkolwiek też kalendarz wskazywał za ledwo schyłek lutego, w przyrodzie, wolnej tego roku od kajdan śniegu i mrozu, przebiegał dreszcz nieuchwytny, zwiastun nieśmiertelnego Odrodzenia.

Głębokie, marzące oczy Oreckiego rozrzuśnięciem zabłysły. Zdawało mu się, że widzi już tę piękną a świętą ziemię swoją w przepychu królewskim wiosnianej jej szaty, w stroju oblubienicy, z kwiatów i zieleni utkanym,—że objawia mu się z aureolą zorzy różanej u czoła, a później w złotolitym płaszczu cesarskim, z promieni słońca złożonym; śmiała się do niego całą gamą barw i blasków tęczowych, każdym kwiatkiem, każdym technieniem potężnego swego istnienia; wyciągała ramiona, by stroskanego a wyczerpanego znojną pracą życiową przytulić, ukoić i nową natchnąć mocą. Potężna była w swej sile, upajająca, nieśmiertelna, a wiecznie młoda.

— Tak, to zmartwychwstanie fizyczne—myślał Jerzy.—Kiedyż jednak ducha twego zdołamy z kajdan uwolnić? kiedyż, cudna a święta ziemio nasza, potrafimy wywalić ci moralne i narodowe odrodzenie? kiedyż święto tej wiosny życiodajnej zabłyśnie nad twemi niwami?

Powiódł wzrokiem dokoła. Jakkolwiek słońce przygrzewało już z siłą marcową, a ptaszyny świergotały w krzewach przydrożnych, zagony poza ruiną ozimin nagie były i ciemnymi znaczyły się skibami.

— Tu i tam szaro jeszcze i smutno — wyszeptał.— A może ten promień wiosniany zawiedzie, zsyłając nam nową śnieżną nawałnicę? W czym wtedy szukać oparcia?

Myśl jego roztargniona, znów wstecz pobiegła, a przed oczyma stanęła inna wiosna, uosobiona w owalnej szczupłej twarzyczce o dużych szafirowych

oczach i długich, ku ziemi spływających, ciemnych warkoczach. Widział ją przed sobą, jak żywą, na tle ponsowego aksamitu w wagonie I-szej klasy; widział wysmukłą młodzieńczą postać i granatowy berecik na włosach, otaczających bujną aureolą białe, niskie czoło; czuł spojrzenie jej trwoźnych, jakby w poddaństwo idących źrenic, zwracane ku sobie; poruszył nawet nozdrzami, zdawało mu się bowiem, iż wraz z ostrym zapachem wilgotnej ziemi płynie ku niemu smuga perfum, subtelna woń fjołków parmeńskich, jakich używała zwykle.

Zmarszczył brwi niecierpliwie.

— Ależ to opętanie istne! — bronił się w duchu. — Skąd mi się to wzięło? Nie pora teraz chyba na zabawy i flirty z panienkami.

Smutne oczy dziewczęcia spojrzały na niego z wyrzutem.

— Flirty? — bronił się sam przed sobą. — Alboż w stosunku do dziecka tego przyszedł mi kiedy flirt na myśl? Bóg świadkiem, nigdy! Zanadto poważnie ją traktowałem. Na igraszkę i zabawę nie pozwalał szacunek dla ciotki Marceliny i względy dla jej domu; serjo zaś rzeczy brać nie mogłem, bo wiedziałem, że Prędowscy to za wysokie progi na moje nogi.

Unoszące się przed nim w przestworzu szafirowe, długimi rzęsami okolone źrenice Zosi Prędowskiej znów z wyrzutem w oczy mu spojrzały.

Jerzemu gorąco się zrobiło.

— Po prostu halucynacja! urzeczenie jakieś! — gniewał się zgryźliwie, a serce miękło mu, jak

wosk rozgrzany, duszę zaś zalewało dziwnie rzewne uczucie.

— To widok stron rodzinnych tak mnie rozmarzył; ale on też właśnie powinien mi sobą wszelkie inne przysłonić wrażenia. Dosyć tego!

I postanowił zwrócić myśl siłą woli na bliższe tory.

W tej chwili jeden z koni zarżał donośnie.

— Cóż, Adamie — zapytał stangreta, — konie rżą i parskają; widać w domu radzi mi będą?

Służący zwrócił się ku niemu z życzliwym uśmiechem.

— Pewnikiem, panie — Toż starszy pan nie może wytrzymać i naprzeciw nas konno jedzie; dla tego lejcowa zarżała.

Jerzy jednym rzutem podniósł się i stanął w wolancie.

Tak, to dobrze mu znany złotogniady wierzchowiec, a na nim wysoka, szczupła postać pana Jana Oreckiego. Pochylony naprzód, pędził dziarskim kłusem, a równocześnie starał się widocznie wzrokiem skrócić przestrzeń, dzielącą go od pojazdu, by upewnić się, czy tylko syn na pewno do domu wraca.

Ujrawszy Jerzego w wolancie, dotknął konia ostrogą, a zarazem na znak powitania białą chustkę podniósł do góry, powiewając nią w powietrzu.

Młody człowiek rozrzuwionem ścigał go okiem. Teraz widział już dokładnie szczupłą twarz ojca, o suchych, rasowych rysach i długim jasnym wąsie, na którym jesień życia położyła pierwszy szron swój w postaci srebrzystych nitek.

Za chwilę wierzchowiec zrównał się z zaprzęgiem. Jerzy podskoczył do konia tak, że, gdy pan Orecki nogę na ziemi postawił, ojciec i syn padli sobie w objęcia.

Ten uścisk długi, serdeczny był najlepszym wyrazem wzajemnego ich stosunku. Uprzytomniał on nie tylko węzeł krwi i wspólność przekonań, lecz stwierdzał obok głębokiego przywiązania zaufanie i rzeczywistą przyjaźń, jaka ojca z synem łączyła. Żadnej pozy na powagę rodzicielską z jednej strony, z drugiej szczerzy, nie z formy, lecz z treści uczuć płynący szacunek, a na podwalinie tej serdeczne, wzajemne ukochanie i koleżeński nieomal stosunek.

Jan Orecki po długim tym uścisku odsunął nieco syna i, wstydzając się własnego wzruszenia, otarł dwie grube łzy, spływające mu po policzkach, poczem raz jeszcze ujął Jerzego w ramiona i ponownie ucałował.

Młodemu człowiekowi pod tym gorącym prądem ojcowskiej miłości łza także zakręciła się w oczach.

— Nie myśl, że zbabiałem — tłumaczył się poniekąd, — ale, widzisz, w dzisiejszych czasach mogłem cię wcale już nie zobaczyć. Tyle razy mówiliśmy o tem z matką. Patrz, ciągła obawa o ciebie dokonała tego, czego piąty krzyżyk, dźwigany na barkach, zdziałać nie potrafił: posiwiałem z troski o ciebie, moje dziecko.

Jerzy teraz dopiero dojrzał ów szron pierwszej jesieni, na włosy ojca rzucony.

— Ależ, na miłość Boską — zawołał, — trzeba mnie było w takim razie odwołać, zawezwać...

Przyjechałbym natychmiast, choćby na dni parę tylko.

— Odwołać w takiej chwili z placówki?.. po co? żeby cię kto z niechętnych o dezercję posądził? Zła byłaby dla ciebie przysługa. Ale, widzisz, tyłu was podobno brano do cytadeli, tyłu aresztowano!... Wszystkie więzienia, jak mówią, przepelnione są w Warszawie, a i tu rząd nie głaszcze, nie oszczędza porządnych ludzi. Nic więc dziwnego, żeśmy nieraz ciężkie przebywali chwile w trosce o ciebie...

Uścisnęli sobie dłonie w milczeniu.

— Jedźmy! — zakomenderował, — bo tam matka oczy wypatrzy.

Wierzchowca kazał przywiązać, a sam zajął miejsce obok syna.

— Patrz! — mówił weselej już, — nie widziałem cię od wakacyj tylko, a ileż te miesiące zmian przyniosły! Sądziłem, że nam wrócisz skończonym doktorem medycyny. Ale nie żałuję roku straconego. Dyplom i tak zdobędziesz; wiem zaś, że stałeś na czele ruchu, że cię tam, jako dzielnego bojownika, ceniono i szanowano, iż spełniłeś obowiązek obywatelski. Własna krew i część własnej w ciebie przełanej duszy nie zawiodła mnie. Dziękuję ci za to.

Jerzy pochylił mu się do ramienia.

— Czy mogłoby być inaczej? — zapytał.

Spojrzeli sobie przeciągle w oczy i dla ukrycia wzruszenia uśmiechnęli się obaj.

— A tutaj co słychać? — spytał syn po chwili.

— Żyjemy, pracujemy, czynimy, co do nas należy. Ale o tem pomówimy w domu... z matką razem... Patrz, koniec lutego dopiero: śniegu ani śladu, a w powietrzu czuć wiosnę.

— Wiosnę-odnowicielkę — wtrącił Jerzy.

— Pierwszą od wielu lat wiosnę, w której swobodnie oddycham, w której wieści, lecące tam od was, żywiej krew poruszają w żyłach. Powstaje za ledwie oddalona nadzieja lepszej doli dla kraju, a mnie się zdaje, że odżyłem, że marzenia lat dawnych, a wraz z nimi młodość mi powraca.

Konie skreśliły w tej chwili w obręb zabudowań Orecka.

Przez bezlistne jeszcze konary drzew przebiegały malowniczo czerwone, z cegły wzniesione, a dachówką kryte mury budowli folwarcznych, kosztownych, a w doskonałym utrzymanym porządku. Z każdego zakątka widniały ład, czystość i duży nakład zarówno pieniędzy, jak pracy, ze strony zawodowego, rozmiłowanego w pracy swej ziemianina.

Dwór zato, jakkolwiek zatopiony wśród kłębów i cofnięty w głąb ogrodu, a więc uroczy pewno latem, był typowym okazem skromnej, starszszlacheckiej rodziny.

Wydłużony, o bocznych, dzikiem winem oplecionych werendach, od frontu witał przybyłych obszernym gankiem, wspartym na czterech murowanych kolumnach. Przez bluszcze szare jeszcze w tej chwili świeciły białe tynki. W dużych, nisko idących oknach białe również błyszczały firanki. Dom był wygodny może, ale bynajmniej nie okazały. Ot,

zwykły zamożny dwór wiejski, w którym ład i porządek przedewszystkiem uderzały. Na schodach ganku stała kobieta lat średnich, wysoka, doskonale zbudowana, o kruczych splotach i rysach szlacheckich, noszących ślady niepospolitej piękności. Ciemne, wielkie jej oczy, którym lata i życie nadały wyraz łagodności i spokoju, musiały za młodu tryskać ogniem gorącej, południowej natury. Starannie ubrana, wykwiwna w ruchach, nosiła pani Julja Orecka cechy kobiety dobrego towarzystwa, a pociągała wyrazem rozumu i niepospolitej dobroci.

Nadzwyczajne podobieństwo matki i syna, oraz oparte na niem wspólne rysy charakteru łączyły ich tem serdeczniejszym wzajemnem ukochaniem. Dla pani Oreckiej Jerzy, jeżeli nie bożyszczem życia, to stał się głównym jego celem i główną troską. Dla młodego człowieka matka, ta do dziś-dnia piękna jeszcze matka, po której odziedziczył południową urodę i wrażliwość, była wyrocznią nieledwie.

Powitanie też obojga wstrząsało skoncentrowaną siłą uczucia, jakiej bynajmniej nie ukrywali; ciche było, lecz nader wymowne.

Raz tylko wyraz dziękczynienia i skargi zarazem wybiegł na usta pani Oreckiej:

— Jerzy, mój Jerzy! lękałam się, że cię nie zobaczę już więcej! — stłumionym mówiła głosem.

Syn, zasłuchany w słodkie, metaliczne jego brzmienie, jak w echo szczęśliwej dziecięcej przeszłości, podniósł ku niej oczy, te same, jej własne oczy, młodością tylko promienne, a głębią uczucia błyszczące.

— Przeszedłbym wtedy tam, gdzieś ty mnie iść uczyła, gdzie w obronie swobody i wolności, a dla dobra kraju najlepsi z synów Polski kości swe złożyli. Śmierć nie jest nieszczęściem, szczególnie w takiej sprawie; z wygnania zaś wraca się dziś prawie zawsze. Archangielsk, Wołogda, czy Syberja przestały być niedostępną, śmiertelnością krainą.

— Tu, czy tam, pojechałabym natychmiast za tobą.

Ucałował białe, miękkie jej dłonie.

— A co by się w takim razie stało ze starym ojcem, o to nikt już nie dba — skarżył się żartobliwie dla zamaskowania wzruszenia pan Jan Orecki.

Po chwili siedzieli wszyscy troje przed ogniem, trzaskającym wesoło na kominku w buduarze pani Oreckiej. Po półrocznej rozłące i wzajemnem stęsknieniu pytania i odpowiedzi, wynurzenia i opowiadania toczyły się nieprzerwaną falą. Jerzy musiał zobrazować wszystko, co się działo w stolicy, całą pracę intensywną narodową, cały rozłam, jaki jej niesły podówczas kosmopolityczne hasła socjalizmu. Mówił o ożywionem dążeniu do wolności, które, zbudziwszy ducha w masach, zacierało narazie różnice partyjne. Wszyscy ci, którzy, odczuwając ohydę niewoli, walczyli z jej objawami, braćmi byli i braćmi się czuli, budząc najgorętsze współczucie w tłumie, z chwilą, gdy za działalność swą ulegli karze lub krwawym często represjom.

— Tak, przemoc, wywierana nad bezbronnymi, przemoc za wolność przekonań powinna w kultu-

ralnem społeczeństwie wywołać zawsze ogólne współczucie. To objaw naturalny i słuszny. Czy dobrem jest jednak, aby płynące z Rosji i Niemiec hasła kosmopolitycznego socjalizmu gorączkowały tłumy, spychając w nich na plan drugi uczucia i dążenia narodowe? Temu każdy prawy Polak, temu szczególnie wy, młodzież, powinniście ze wszystkich sił przeciwdziałać.

— Czyż obca ci, ojcze, psychologia duszy polskiej? Gorączkują się dla wszelkich hasel wolności, bo są one dla nich równoznacznikiem, synonimem zarówno stuletnich walk i aspiracji, jak i odwiecznych praw narodu. Pozwól jednak ujawnić naszą działalność, pozwól rozwinąć sztandar biało-amarantowy, niech w powietrzu zaszumi orzeł nasz srebrnopióry, a zobaczysz, czy jedno nie ugnie się przed nim kolano, czy z milionów piersi nie wybuchnie równocześnie fanatyczny okrzyk: „Niech żyje Polska, wolna i niepodległa!”

— Prawda! prawda! — przyznała z ogniem gorącego uczucia pani Orecka. — Przed orłem białym kraj cały pochyli głowę i ugnie kolano.

„A kto odwróci od Ciebie twarz swoją,

„Jeśli miał ojców, z grobów się wyroją
Cienie ich blade, jak nieczarna z motka.

Gdy konać będzie — te widma straszliwe
Pluną krwią ciepłą w jego oczy żywe.“ *)

Pan Jan Orecki podniósł się i wyciągnął z uniesieniem ręce przed siebie.

*) K. Gliński.

— Hej, hej, miły Boże! Dzięki Ci, żeś mi tej chwili dożyć pozwolił! żeś mi serce rozszerzył nadzieją, żeś zbudził ze snu umarłych dumy młodości! Teraz wierzę, iż sny te nasze „górne a chmurne” w rzeczywistość się zamienia, i przysięgam, że wiarę tę z życiem tylko wyrwać z serca swego pozwolę!

Szczupłe jego lica gorzały, oczy jasnym paliły się płomieniem.

— Warto było — mówił — siać kości nasze po polach Mandzurji; warto znać krwią polską placówki Jalu, Laojanu, Portu-Artura, Mukden; warto ginać w odmętach bitwy pod Cuszyną za tę jedną chwilę nadziei, za zorzę lepszej doli, która duszy polskiej znów odżyć pozwala.

— Tak — przyznał Jerzy, — to było zarzewie, rzucone na podziemny ruch wolnościowy Rosji od czasu Dekabrystów, a więc od lat stu prawie przemocą duszony. Od zarzewia tego palne materiały wybuchnęły z siłą żywiołową, która państwo całe wstrząsnęła w posadach. Dziś jasnego płomienia ich nie stłumić nie zdoła. I dlatego, jak sędzę, i nam wolno będzie zapalić własną pochodnię jawnej pracy kulturalnej i narodowej.

W tej chwili dano znać, iż obiad na stole.

Jerzy, rozgrzany rozmową i ogniem kominkowym, podniósł się, a oczy jego padły na ścianę buduaru, zawieszoną barwnymi kilimkami, ubraną robotami ręcznymi i tablicami do nauki poglądowej.

— Co to, moja matko? — zapytał.

Pani Julja zbliżyła się do syna ze swym promiennym, porywającym uśmiechem.

— To są okazy robót, wykonanych przez dzieci chłopskie w pierwszej ochronie i pierwszej szkółce polskiej, założonej w Orecku. Czy sądziłeś, że tylko wy, młodzi, umiecie wśród ludu i dla ludu pracować? Widzisz, my z ojcem też zakrzatneliśmy się oboje, i oto rezultat zabiegów naszych przez zimę ubiegłą.

Witold ręce matki ze czcią całował.

— Przytem — uzupełniła żartobliwie — mam zaszczyt donieść panu doktorowi, iż niema w całym Orecku jednego chłopskiego dziecka, któreby nie umiało już dobrze czytać i znośnie pisać po polsku.

— I to jawnie, czy potajemnie?

— Ech, z czemże się tu kryć? Przecież ja nie złego nie robię i na niczyje dobro nie dybię; spełniam wprost przyrodzony, a przez zdrowy rozsądek, przez prawa Boskie i ludzkie wskazany obowiązek. Jako zamożniejsza i inteligentniejsza od otaczającego mnie ludu, szerzę wśród jego dzieci zasady uczciwości, religji i elementarnych podstaw cywilizacji. No, a że to dzieci polskie, więc chyba rzecz naturalna, że je w tej mowie czytać i pisać uczymy.

— No, a cóż na tę argumentację zdrowego rozsądku mówią strażnicy?

— Ojciec się tak urządził, że oni tego nie widzą wcale.

Roześmieli się wszyscy, a śmiech ten, rzuciwszy do rozmowy weselszą nutę, sprowadził ją na bardziej osobiste tory.

Przed wieczorem do buduaru, w którym ogień kominkowy zgromadził znów dookoła siebie rodzinę Oreckich, wpadł, jak burza, Witold Prędowski.

Przywitawszy pośpiesznie wujowstwo, wybuchnął od razu żalem osobistym do przyjaciela i kierownika swych myśli zarazem.

— Jerzy, ojciec nie pozwala mi pozostać na wsi, nie chce dopuścić do żadnej pracy ideowej; żąda, bym natychmiast jechał do Krakowa i bez straty czasu przygotowywał się do zdania na maturę.

Zatrząsł się cały w żalu i rozdrażnieniu na nieugiętość Prędowskiego.

— Jerzy! ja nie wytrzymam! Ja nie chcę być nędznym, bezdusznym karjerowiczem, który w płonącym domu, zamiast ratować wszystko, co kocha, wykuwałby maturę z ciasnym egoizmem samolubnego burżuja, dlatego, że ona mu osobiście do powodzenia w życiu dopomódz może. Niech ojczyzna zginie, niech się świat zapadnie, byle splendor Prędowskich nie ucierpiał czasem. Tfu! — splunął z pogardą i oburzeniem.

Jerzy śmiał się głośno.

Na chłopaka ognie uderzyły. Szarpnął na pierśiach srebrne guziki, zdobiące mundur rządowego gimnazjum.

— Czegóż się śmiesz, u szatana? — wybuchnął. — Czy dlatego, że chciałbym tę plugawą szatę z galonami jak najprędzej zedrzeć z siebie, a własny ojciec tamę mi w tem stawia?

— Śmieję się, bo cię lubię z tym ogniem, bo mi jesteś drogi bardzo... za to właśnie wyłamywanie

się śmiało z szablonu, w jakim cię usiłują zamknąć. A jednak ani zapalczywości twej, ani śpiesznych postanowień nie mogę i nie chcę zachęcać.

— Tak, oczywiście, masz rację... Niech się krew leje, niech inni idą na Sybir, byle pan Witold Leliwa-Prędowski nie miał przeszkód w edukacji! byle zdobył maturę, przepchał się dla olśnienia świata przez uniwersytet zagraniczny, odziedziczył Prędów i został jakim radcą lub prezesem. Z czasem może mu się uda, jako luminarzowi partji ugodowej, „w trosce o dobro narodu“ pojechać z „patriotyczną“ delegacją do Petersburga, dostać order, a nawet dla uwiecznienia zabiegów kilku pokoleń i dla uświetnienia ojczyzny może zdoła kupić w Rzymie papieski tytuł hrabiowski!

W rozdrażnionym głosie chłopaka ironja i gryzący sarkazm o lepsze walczyły.

Jerzy dla rozbrojenia go raz jeszcze żartu spróbował.

— Dajże pokój prochom umarłych! Wszak ś. p. ugodowcy zakończyli szczęśliwie swój pełen zasług żywot.

— Wiesz o tem dobrze, że zmienili nazwę, jak zbrukana szatę, lecz nie skórę, nie naturę, nie tendencje i przekonania. Jeżeli ci jednak o to chodzi, powtarzam, że nawet z orderem petersburskim i tytułem, w Rzymie kupionym, nie chcę być ozdobą w partji „polityki realnej“. Niech sobie ojciec mój zajmuje w niej kurulne krzesło. Ja nie mogę w tej chwili dla osobistych widoków kraju opuszczać; nie przystoi mi i nie chcę zrywać z wami solidarności.

— Dzielne z ciebie serce, Witoldzie! — przyznała pani Orecka, całując go z macierzyńskim uczuciem w czoło.

Chłopak pochylił się do rąk jej z wdzięcznością, słowem serdecznem ujęty i wzruszony.

— Jerzy, ty mi musisz w trudności tej dopomóc.

Młody Orecki podniósł się i wyciągnął rękę do gimnazysty.

— Nie gniewaj się, jeżeli ci przykrość sprawię, ale, skoro się odwołujesz do mnie, muszę ci według sumienia swego, a szczerze i poważnie odpowiedzieć. Twój ojciec ma rację; posłuchaj go, jedź za granicę i kończ nauki... kończ nie dlatego, abyś był filarem ugodowców czy realistów, lecz, abyś z sobą przwiózł nam technienie nauki, zdobytej wśród wolnych narodów Zachodu. Wierzaj mi, że pierwiastek ten, że zaczął nowych idei, stamtąd przyniesionych, będzie nam bardzo potrzebny. Postępując w ten sposób, nie zerwiesz solidarności z nami i z resztą rówieśników, lecz po prostu spełnisz zadanie, jakieście sobie za cel postavili, bo przysparzając jednego wykształconego a gorąco kraj kochającego obywatela, do dobra ogólnego się przyczynisz. Z tych, co szkołę opuścili, niewielu może kończyć edukację i kształcić się zagranicą, oświata zaś to ważny czynnik w narodzie.

— A cóż zrobisz ci, których nie stać na wyjazd i kończenie nauk? — zarzucił chłopak z głębokiem w głosie współczuciem.

— Pójdą między lud, do chat i fabryk, nieść „oświaty kaganiec“ i budzić prąd nowych idei; pójdą wskrzeszać w sercach maluczkiech odwieczne a w dobie znoju i niewoli stłumione chwilowo uczucia; pójdą budzić olbrzyma, który nie „ziemi i woli“, jak w Rosji, lecz wolności swej ziemi zażąda. Z ciemnego, szalbierczo nieraz bałamuconego ludu polskiego uczynić światłych, uświadomionych obywateli kraju to tak szczytne, tak święte zadanie, iż wobec niego wstydem byłoby myśleć o własnej zwichniętej lub powstrzymanej w rozwoju karierze!

Rysy Jerzego tchnęły głębokiem przekonaniem; oczy płonęły ogniem szlachetnego uniesienia i zapалу.

— Dlaczegoż więc każesz mnie postępować inaczej?

— Bo nie wszyscy mogą na tej samej drodze służyć krajowi; społeczeństwo potrzebuje różnolitych jednostek. Idź za wolą ojca.

Witold urażony zegnał się pośpiesznie z Oreckimi, stanawszy zaś przed ich synem, rzucił, jako ostatni argument:

— Skoro tak, to ci powiem, że ojciec wysyła mnie z domu nie dla nauki, lecz dlatego, abym mu nie bruździł w swatach, jakie urządza celem wydania Zosi za bogatego Rolickiego. Cała ta cna paczka siedzi właśnie w Prędomwie... Wyprawiał dziś nawet ceremonialny obiad dla nich.

Jerzy zbłądził nagle. Wszystka krew do serca mu zbiegła, a wśród lic zbiegających czarne oczy rozszerzyły się jeszcze. Zaskoczony objawem tym i po-

słyszany niespodzianym faktem, stał ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, jakby we własną zapatrzoną duszę.

Witolda nie było już w pokoju.

Zmiana, zaszła w rysach syna, nie uszła uwagi rodziców. Ciemne źrenice pani Oreckiej zawisły z trwogą i niepokojem na pięknym a posmutniałym obliczu jedynaka.

— Jerzy — wyszeptała słodko, — co ci jest? czyś widmo zobaczył?

Przeciagnął ręką po czole i uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Zgadłaś, matko droga; tak, widmo egoizmu — o mało nie dodał — i własnego szczęścia.

Usiadł napowrót przy kominku, z zadumą patrząc w płomień.

— Biedny Witold ze swoją nadwrażliwą, pełną zapału duszą! — podjął pan Orecki. — Szkoda, że nie ma matki; Prędowski, urodzony karjerowicz i oportunist, zwichnie szlachetne zadatki jego charakteru.

Jerzy milczał.

— Tak, radca Prędowski to nie nasz świat — przyznała pani Orecka. — Nie karjerowicz, jak mówisz, bo na to zbyt bogaty, lecz próżny, chciwy zaszczytów i odznaczeń, żaden podniesienia rodu; w tem będzie szczęście dzieci widział.

Jerzy milczał. Zapatrzony w płomienie ogniska i w jakąś marę własnej wyobraźni, którą może myślami ścigał, nie słyszał pewno wcale zdania rodziców, nie rozumiał zamkniętej w niem przestrogi.

— A propos wyjazdu Witolda, cóż będzie, synu, z twoją medycyną? — zapytał go ojciec bezpośrednio.

Zbudzony głosem tym z zadumy, wyprostował się i, jak człowiek, który z innego wraca świata, ręką parokrotnie po oczach i czole przesunął.

— Co będzie z moją medycyną? — powtórzył. — Nie; pójdzie w kąt... Na razie posłuży mi tylko za klucz do tych progów niskich i ciasnych, którychbym inaczej przestąpić nie mógł. Nam na ostatnim kursie wolno już leczyć w razach nagłych; a w izdebkach robotniczych bardzo lekarskiej pomocy potrzeba.

— Czy jednak nie szkoda tylu lat pracy przerywać na ostatnim kursie właśnie?

— Nie mogę przecież rad, dawanych dzieciakowi, stosować do siebie, dorosłego i pełnoletniego mężczyzny. Hańbą byłoby dla własnego dobra, lub... własnego szczęścia wyłamać się z szeregów, do których w imię idei zaciągałem innych! hańbą myśleć o sobie tam, gdzie dobro ojczyzny, gdzie wyrwanie z kajdan tysięcy dusz ludzkich winno być na celu.

Był już sobą — energicznym, zdecydowanym, pewnym siebie. Oczy tylko, jakby zamатовane, nie miały dawnego blasku.

— Cóż więc zamysłasz robić?

— Zorganizuję tu w miarę sił i przy waszej drogiej pomocy akcję oświaty i uświadamiania ludu, a złożwszy je w wybrane ręce, wrócę do Warszawy i zaciągnę się do takiej samej pracy w fabrykach. Wobec nowych zapowiedzianych strejków i przesile-

nia ekonomicznego, jakie grozi krajowi, jedna to z najważniejszych placówek narodowych.

Pani Orecka, która przed chwilą stanęła przy synu, dłoń swą teraz na głowie jego złożyła.

— A niebezpieczeństwo, Jerzy?

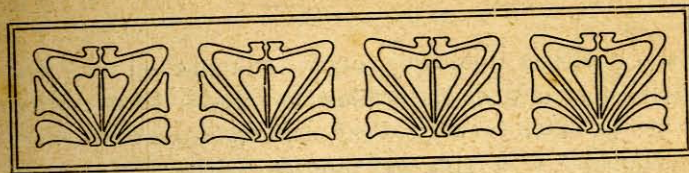
Podniósł ku niej śmiałe spojrzenie.

— Nie uczyłaś mnie słowa tego, matko; powtarzałaś mi zawsze: „ojczyzna i obowiązek“... aż dwa te hasła w duszę mi wrosły.

Otoczyła mu szyję ramieniem i głowę jego do piersi przytuliła.

— Ojczyzna i obowiązek! — powtórzyła. — Idź, synu, pod ich sztandarem, a serce i błogosławieństwo nasze zawsze towarzyszyć ci będzie.

I matce-spartance, która w imię honoru, w imię przyszłości Polski, gdyby tego zaszła potrzeba, na bój, na śmierć nawet gotowa była własne błogosławić dziecię, lza jednak oczy zaćmiła.



IX

kilka dni później gospodarza kancelarja pana Jana Oreckiego świąteczny przybrała wygląd.

Długi stół dębowy, czarną ceratą pokryty, na którym skrzątny właściciel niedużego majątku sam zwykle zapisywał rachunki i prowadził rejestra ekonomiczne, wysunięty został na środek. Księgi, kwintarjusz, próbki zbóż, oraz rozmaite drobiazgi, uprządkowane i rozsegregowane, przybrały wyraz nie tylko ładny, lecz nawet elegancji, którą podnosiły jeszcze dwa kwitnące hjacynty, postawione tu własną ręką pani domu. Nie chodziło zaś jej tym razem o estetyczne jedynie względy; kwiaty bowiem przybrane były w ażurowe wazoniki, wyrobione z białych i błękitnych precików, co skromne, lecz harmonijne czyniło wrażenie. Przez ciemną ceratę biegł

pas z płótna domowej roboty, zakończony sutą frendzlą, a zahaftowany w bławaty i maki, jakby świeżo z pól polskich zerwane. Przy stole stał kosz na papiery, wykonany w miejscowej fabryce. Obraz Najświętszej Królowej Korony Polskiej, zawieszony między oknami, miał ramy, przez młodocianego snycerza z oreckiej szkoły misternie w drzewie rzeźbione, a w kłosa i kwiaty przybrane. Barwne kilimki zdobiły główną ścianę i zwieszały się nawet w ręcznie upiętych festonach ponad białymi firankami. Dokoła stołu i pod ścianami biegły zydle i stolki z drzewa naturalnego koloru, starannie heblowane i nacinane, domowego również wyrobu.

Zgromadzenie tych przedmiotów oraz wdzięczne zgrupowanie ich tutaj miało cel specjalny, do którego pani Julia Orecka świadomie dążyła. Oto chciała ona nie tylko wywołać miłe wrażenie, lecz usiłowała wzniesić w ten sposób zarówno uczucie dumy, jak szlachetnego współzawodnictwa w zaproszonych, jacy się tu zgromadzić mieli.

O oznaczonej godzinie przed dworem stanęła gromadka odświętnie ubranych włościan.

Na progu ganku ukazali się równocześnie obaj Oreccy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powitano ich chórem.

— Na wieki wieków! — odpowiedział pan domu. — Sąsiedzi-gospodarze, proszę bliżej, do środka.

Zatupotało w przedsionku od otrzepywanych starannie butów, rozjaśniło się następnie w pokoju

od malowniczych granatowych kapot i barwnych czerwonych kamizel.

— Niech będzie pochwalony! — zabrzmiało raz jeszcze po staropolsku od progów.

— Na wieki wieków! — odparł tym razem Jerzy Orecki, który, wyciągając rękę do młodego, starannie od innych ubranego włościanina, dodał równocześnie:

— Jak się macie, kolego! Powiedziano mi, że was niema we wsi, żeście wyjechali na dłużej.

— Jeździłem rozejrzeć się trochę po ludziach i zasięgnąć języka, bo tu do nas dziwne ze świata dochodzą wieści. Wróciłem dziś właśnie, a dowiedziałem się, że pan doktor był w chacie...

— Co mi tam za pan i co za doktor! — przerwał żywo Jerzy. — Kpicie chyba, kolego.

— Piękny ze mnie kolega — bronił się chłop dorodny, o jasnych, inteligentnych rysach. — Jakżeż mi się równać? ja skończyłem cztery klasy, a pan... uniwersytet.

Jerzy ponownie wyciągnął rękę.

— Ale zapominasz, Karolu, że przez te cztery klasy na jednej siedzieliśmy ławie, że spędziliśmy razem dzieciństwo i pierwszą młodość, bratając się nie tylko w figlach, ale w pracy, w duchu i we wszystkich tych myślach, które i dziś jeszcze najdroższe nam być powinny. Takie koleżeństwo na życie całe obowiązuje.

Tym razem dłoń jego, ujęta krzepką prawicą chłopca, złączyła się z nią w długim, szczerym uścisku.

— Tak, tak! — zawrzało dokoła. — Pan do-
 kór sprawiedliwie, mądrze mówi. Wszyscy przecież
 wiemy, że przez pięć lat był razem z Karolem Het-
 manikiem w szkołach.

— A przedtem tu, we dworze, też się razem
 chowali — dorzucił głos inny.

Młodzi ludzie stali tymczasem dłoń w dłoń, oko
 w oko, patrząc na siebie z serdeczną życzliwością,
 z rozrzewnieniem nieledwie, jakie wywołują zwykłe
 tłoczące się do myśli wspomnienia dalekich już lat
 dzieciństwa.

I porywający zaiste tworzyli obraz. Jerzy Ore-
 cki w uniwersyteckim mundurze, ze śmiało podnie-
 sioną piękną swą głową, o gęstwinie kruczych wło-
 sów i białem myślącym czole z płomieniami, czar-
 nemi oczami, zasnutemi w tej chwili mgłą serdecz-
 nego wspomnienia, — Jerzy, o delikatnie rzeźbionych
 rysach i nawskroś nerwowej budowie „inteligenta“,
 obok niego zaś smukły, jak topola, silny, jak dąb
 młody, złotowłosy i niebieskooki typowy chłop pol-
 ski, w sukmanę jeszcze przybrany, lecz noszący już
 w swych regularnych, rasowych rysach Słowianina
 piętno kultury umysłowej, cechę uczciwego serca
 i jasnej rozumnej myśli. Dwóch synów jednego szcze-
 pu, odmiennych na pozór, lecz uczuciem, duchem
 i krwią związanych, — dwóch pracowników na wspól-
 nej ojczyźnej niwie, z których pierwszy niósł jej tra-
 dycje zasług rycerskich i cywilizacyjnych, drugi ra-
 mię silne, w znoju codziennym zahartowane, i krew
 młodą a zdrową, — obaj zaś serca wierne, jednymi

ideałami, jednym gorącym uczuciem dla ziemi tej
 przejęte.

— Hej, hej! mili Boże! Jak to już dawno by-
 ło! — mówił Hetmanik zwolna głosem, w którym
 żal głęboki przebijał, — jak to dawno!... Smutno mi
 zawsze, gdy wspomnę te czasy... Wtedy bowiem i ja
 marzyłem o uniwersytecie... i mnie się roziło, że pójdę
 w świat za wiedzą, za światłem... A potem co? Wy-
 rwany z 4-tej klasy, objąłem 15 mórg ojcowskich
 i własną orzę je ręką. To każdy mógł zrobić...

Dłoń Jerzego spoczęła na ramieniu rówieśnika.

— Nie każdy, Karolu. W Orecku... ty jeden!
 ty jeden mogłeś stanąć na placówce, których oby-
 jak najwięcej było w Polsce! I skarżysz się jeszcze?
 Wszak, zamiast szukać światła, stałeś się ogniskiem,
 niecałem je dokoła; wszak, jako wierny syn tej zie-
 mi, poszedłeś tam, gdzie cię wzywał obowiązek,
 gdzie praca twoja mogła się stać najbardziej owoc-
 ną, najdonioślejszą, gdzie cię wołała świętość spra-
 wy i ukochanie ludu, którego krew z krwi i kość
 z kości stanowisz.

— Prawda, prawda! On nam potrzebny; bez
 niego dziś wieś nie nie znaczy — ozwały się znów
 głosy.

— A widzisz! Nie darmo nazywasz się Hetma-
 nik. Lepiej tu panować i hetmanić nad sercami, niż
 w mieście zdobywać marny dyplom i w szarej, cięż-
 kiej walce odzyskiwać dla sprawy naszej dusze,
 trudne nieraz do uratowania.

— A ty, Jerzy?

— I ja, dopełniwszy podjętego zadania, przyjdę z czasem pracować wraz z tobą. Obecnie jednak tam mogę być użyteczniejszy, a tu ani ojciec, ani ty nie potrzebujecie mej pomocy.

Podali sobie znów dłonie.

— Chodźmy teraz do ogólnej narady; później pomówimy poufniej.

— Proszę pana doktora — ozwał się jeden ze starszych gospodarzy.

— Nie jestem jeszcze doktorem — zaśmiał się młody Orecki.

Wieśniak zafrasował się i w głowę podrapał.

— Jakżeż to? Przecież rezydent pana doktora przyjmujom w aptyce. No, i tyle lat nauki — namyślał się chwilę. — Łukaszowom pan latoś wyleczyli, i stary Onufry znów na oczy przejrzał...

Zdumiony temi sprzecznościami, spoglądał pytająco na Jerzego.

— Widzicie, Mateuszu, z mojem doktorstwem to tak, jak gdybym, dajmy na to, pojechał do powiatu, zapłacił podatek, a nie zdążył przed zamknięciem biura odebrać kwitu. W sumieniu jestem czysty, bo się ode mnie nie należy... świadkowie mogą stwierdzić, że zapłacił; ale kwitu rządowego nie mam. Ja więc naukę skończyłem, leczyć mogę, ale dyplomu czyli kwitu rządowego na doktorstwo nie zdążyłem odebrać, bo tymczasem przestaliśmy do szkoły moskiewskiej chodzić, żądając, żeby nas tu, na polskiej ziemi i za polskie pieniądze, po polsku wszystkiego uczono.

— Sprawiedliwie! tak być powinno! — zawołano chórem.

— A na diabłaż tam paniczowi moskiewski kwitek? — zadecydował, zrozumiawszy objaśnienie, Mateusz. — Będom polskie szkoły, to wydadzom, jak się patrzy, świadectwo.

Wezwanie pana Oreckiego do zajęcia miejsc prze-rwało przedwstępne gawędy.

Młodzi gospodarze rozsiedli się na przygotowanych stołkach lub zydlach; dwóch starszych i Karol Hetmanik zaproszeni zostali do stołu, przy którym Oreccy utworzyli rodzaj prezydium.

— Sąsiedzi-gospodarze! — rozpoczął pan domu. — Wobec wiadomości, jakie syn mój przywiózł z Warszawy, zaważwałem was tu, jako najbliższych i najlepszych swoich przyjaciół, aby się z wami naradzić w sprawach, które nas na równi obchodzić powinny.

— Dziękujemy! Bóg zapłać! — odezwały się pojedyncze głosy.

— Wpierw jednak pragnąłbym przypomnieć wam, że Oreck od lat dwustu jest w rękach naszej rodziny. Dziadowie i pra-dziadowie moi orali tę ziemię, pracowali i kości swe na niej składali obok dziadów i pra-dziadów waszych. Złana ona krwią ich i stokrotnie użyżniona potem. I burze, i wichry, i głód, i niewola przeszły nad krajem, a my i wy przetrwaliśmy obok siebie na polach Orecka. W miarę klęsk i niepowodzeń kureczył on się tak bardzo w rękę ostatnich trzech pokoleń, iż z dużych dóbr pozostało mi do przekazania synowi dwadzieścia kilka włók zaledwie. Nie żałuję tego jednak; ziemia

ojców bowiem nie przeszła we wrogie, ani w obce, żydowskie lub niemieckie ręce. Kurczyły się dworskie pola Orecka, a wyciągały i zaokrąglały się wzajemian wasze siedziby. Przyrastało chłopom oreckim dzieci; gleba była żyzna, gospodarze pracowici i oszczędni, z zarobionego więc grosza dokupili dla synów działki dworskie, aż wieś wyciągnęła się na wiorstę długości, a porządnie zabudowana, otoczona ogrodami, do najpiękniejszych i najzamożniejszych w okolicy należy. Tam, gdzie dziedzice Orecka, jako właściciele dużej posiadłości, musieli ponosić ofiary na cele krajowe i publiczne, wy, sąsiedzi, wolni od nich, a nie skazani, jak mój ojciec na przykład, na długą tułaczkę i wygnanie zagranicę, mogliście pracować normalnie i rozszerzać swe pola. Dobrobyt wasz był nam zawsze wielką pociechą. Pragnęliśmy tylko, spełniając obowiązek obywatelski, udostępnić wam najszlachetniejsze a jedyne dobro człowieka, dobro, którego ani ogień nie spali, ani woda nie zabierze, ani więzienie nie zabije, ani katorga nie wydrze; pragnęliśmy otworzyć wam furtkę do nauki, do oświaty, do praw i przywilejów człowieka-obywatela.

— Prawda, prawda! — przyznało kilka głosów.

— I oto Bóg nam dał wielką nagrodę i pociechę. Hetmanik jest najświatlejszym włościaninem w całym powiecie; wy, sąsiedzi, czytacie pisma, rozumiecie, co się dzieje w świecie, pojmujecie krzywdy naszej ziemi i jesteście na równi ze mną oddanymi jej synami; dzieci wasze wreszcie, których wyroby macie tu przed sobą, mnożąc dziś już skrzętną pra-

cą dobrobyt w chacie, rosłą na waszą chlubę, a na dzielnych obywateli kraju.

Podniósł się chłop lat średnich, o jasnej, czerstwej twarzy i mądrych, siwych oczach. Znać w nim było ten spokój i równowagę, jaką daje czyste sumienie, byt, uczciwą pracą zapewniony, i obcowanie z naturą. Rozum samorodny a refleksyjny, trochę lechickiego marzycielstwa i bystrość sądu, maskowana przybieranym nieraz pozorem dobroduszości, stanowiły główną cechę tej fizjonomji, prostej na pozór, a jednak dla bystrego psychologa złożonej.

— Proszę pana dziedzica — przerwał Orekiem, który na żadne inne tytuły nie pozwalał, — proszę pana dziedzica, co tu mówić? Toż my wiemy, że dwór był nam zawsze nie macochą, nie matką też, bo mu na to własne obowiązki nie pozwalały, ale bratem starszym, przychylnym i sprawiedliwym. Odkąd zaś pani dziedziczka weszła w te progi, dzieci nasze zyskały w niej serdeczną a mądrą opiekunkę. Wiemy, że i ona i pan Jerzy, nasz pan doktor, narażali się sto razy na kary, na odpowiedzialność, na więzienie nawet, byle w ciasne lby chłopskie wlać trochę światła, które przed nami ukrywano...

Wyrażał się poprawnie, jak człowiek czytany, który dla dosadności tylko prostszych słów używa.

— My to wiemy... I wskutek tego ziemię polską, która nam była drogą dla chleba, dziś sto razy więcej miłujemy, bo rozumiemy, czem ta żywicielka jest dla nas i czem my dla tej naszej rodzonej być powinniśmy, jaką obroną i strażą wieczną! A światłomocność tę zawdzięczamy właśnie starszemu bratu,

dworowi, który przed nami światła nie chował, lecz na prawa i obowiązki wskazywał.

— O te prawa właśnie polskiego chłopu i o obowiązki jego chodzi mi dzisiaj — odparł Orecki.

— A no, proszę łaski dziedzica — wtrącił jeden ze starszych gospodarzy, — my ta od razu domyślili się, o co idzie, i dlatego niechaj Błażej mówiom, bośmy się wczoraj naradzili, a Błażej majom za nas powiedzieć.

— Co takiego? kończcie, proszę.

Ten sam chłop, o dobroduszej twarzy i mądrych, siwych oczach, postąpił krok naprzód.

— A no, jako zdrajcy bylibyśmy, gdybyśmy dziedzicowi nie zameldowali, że niedobrze słychać w gminie. Kręcą się po wsiach, a było już paru i u nas, jakieś tajne agenty, jakieś niemiaszki czy żydziaki, i precz buntują naród. Podatków, mówią, nie płacić; do dworu na robotę nie chodzić; parobkom inwentarza nie dać oprzątać; do zasiewów nie dopuścić... to wszystkie grunty dworskie rząd nam odda, a szlachta zubożeje i precz pójdzie. Teraz, powiada ją, królowanie ludu; teraz naród będzie panował.

— A tymczasem gadzina wyzdycho, jarzyny nie zasiejom, kartofle nie zasadzom; przyńdzie głód i takie bandzie panowanie, psia jego para! — wybuchnął jeden ze starszych.

— Chcom zamęt na świat sprowadzić, żeby się sami obłowić, a chłopu zubożyć — wołał drugi.

— A jużci, darmo grunt! A jakby mnie kto ziemię chciał wzionć, to jabym dał, czy co? Za durni nas widać majom, a same som durnie.

Poruszyły się namiętności; wszyscy mówili naraz. Zawrzało, jak w ulu.

Nad grube, mało kulturalne głosy wybił się jeden, donioślejszy od innych.

— Przychodzi ci taki obieżyświat do chaty i mówi do nas: „Towarzysze!“ A cóż to ja za jego towarzysz? Cóż to ja za towarzystwo, czy znajomość z nim miał? Czy to mój somsiad, czy brat, czy swat? Może kum, abo co? Ja tu z dziada-pradziada na roli siedzę, a un może gdzie Żydom w piecu palił, abo co gorszego, i bandzie nam „towarzysze“ gadał!

W słowach tych odbił się cały wrodzony, może na pozór nieprawdopodobny, a jednak niejednokrotnie stwierdzany arystokratyzm chłopu polskiego. Uznaje on tylko powagę ludzi osiadłych na roli, i to w okolicy znanych, a osiadłych zdawna. „Obieżyświat“ choćby go słodkimi mamił słówkami, choćby mu schlebiał i mówił „Towarzyszu“, a ludził nawet taką Mekką, jak nadanie nowych gruntów, nie znajdzie zazwyczaj ani posłuchu, ani wiary.

— Mówią: „Strejk!“... „nie nie robić?“ — skarżył się jeden z gospodarzy. — Jak będzie strejk, to cysarz się złęknie, dwór się złęknie, cenę najmu podwyższom i ziemię dadzom. A cóż to cysarzowi szkodzi, że ja sobie przed wiosną płoty grodzę? Czy mają mi kurniecznie świnię wszędzie lazić? Nie chodzić na najem? A skąd na sól, na okrasę, na buty?

— Kiedyż to ci ludzie byli? — zapytał Orecki.

Zmieszane bezładne głosy umilkły, a na czoło zebranych wysunął się ten sam Błażej Sosna.

— Byli ci oni już parę razy, ale najwięcej dogadywali wczoraj, że pany chcą nas zgubić, że starają się o przywrócenie pańszczyzny, że trzeba, abyśmy sami sobie zrobili sprawiedliwość, że chłopom należy się wszystka ziemia na świecie, bo prawa ludu nakazują, aby temu była oddana w posiadanie, kto ją własną ręką uprawia i zasiewa...

Siedzący dotąd za stołem w milezeniu Karol Hetmanik pochylił się ku Oreckiemu.

— Proszę, niech mi pan pozwoli przemówić do nich.

— Hetmanik ma głos — obwieścił pan domu.

Staął, wysmukły, silny, wyprostował się w poczuciu swej fizycznej i moralnej mocy, objawwszy zaś zebranych badawczem a serdecznem spojrzeniem, zapanował nad nimi pierwszymi już słowami.

— Panowie gospodarze! Starszym należy się zawsze uszanowanie. Gdyby nie to, gdyby nie wiek mój młody, ja miałbym prawo, jak sądzę, zawołać do was: Towarzysze! Z jednego wyrosliśmy pnia i jedna karmi nas gleba. Ojcowie moi wśród was żyli i pośród was pomarli. Tu mój dom, moja ojcowizna, a z niemi jednoczy się pierwsze poczucie, pierwsze pojęcie ojczyzny. Łączą mnie więc z wami węzły pokrewieństwa, wspólnego pochodzenia, wspólnej doli i niedoli, wspólnej wreszcie pracy na tym samym zagonie. Pomimo zdobytych, dzięki pomocy dziedzica, okruchów wiedzy, pomimo gorącej chęci kształcenia się dalej, nie sprzeniewierzyłem się wam, lecz, jak mi obowiązek nakazywał, wróciłem do chaty rodzonej, by w niej żyć i w niej umrzeć,

poświęcając dla dobra braci moich ten promień światła, jakim książki i nauka własny mój umysł rozświetliły. Jestem więc waszym z krwi i kości... i właśnie, jako taki, jako chłop polski, błagam was i proszę, strzeżcie się obcych poduszczeń. Niech nam radzą, niech nami kierują ci, którzy z narażeniem własnego życia i własnej swobody pracowali z ludem i rozjaśniali nam życie wtedy, gdy wśród ciemnicy niewoli jarzmo jej najsrożej chłopu zwyrodniało. Precz z obieżyświatami, którzy teraz, gdy Bóg obiecuje promień wolności, przychodzą tu, by szerzyć zamęt, nienawiść i rozdzielenie. Podły ten, kto sieje burzę tam, skąd przy pierwszym piorunie sam ucieknie, wystawiając niewinnych na skutki swego obłędu! Ojcowie! wy rad ludzi nieznanym nie potrzebujecie, bo jesteście światłymi włóścianami, którym nie obca ani książka, ani gazeta. Pytam więc was, czy możliwe są takie nikczemne brednie, że panowie chcą przywrócić pańszczyznę teraz, gdy świat cały do wolności dąży. Odpowiedzcie, proszę!

— Juściż, że to brednia.

— A więc ja, nie obieżyświat, lecz wasz brat i, jak wy, chłop polski, powiem wam, czego chłopu naszemu, czego narodowi naszemu potrzeba. Oto szkoły polskiej i gminy polskiej! Trzeba, abyśmy się sami u siebie rządili, sami u siebie gospodarowali i własne dzieci po bożemu w polskiej szkole na polskich obywateli wychowywali. Trzeba, żebyśmy umieli skorzystać z walki ogólnej o wolność, przed którą rząd będzie musiał ustąpić... żebyśmy umieli upomnieć się o swe prawa, podźwignąć wspól-

nemi siłami nieszczęśliwą ojczyznę z poniżenia i nędzy, w jaką ją wrogowie wepchnęli! Precz z rosyjskim językiem z gminy i ze szkoły! Jesteście obywatelami kraju, któremu nadano samorząd gminny, od was więc uchwała ta zależy. Wziąć sobie za zasadę życia, za punkt honoru polskiego chłopca, aby odtąd zaprowadzić szkołę polską i gminę polską, jako pierwszą cegielkę, pierwszy fundament, na którym się oprze znękana ojczyzna!

Zamilkł. W pokoju głęboka panowała cisza.

— No, a jakże z grontem? kto da nam gront?
— ozwał się głos z kąta.

Hetmanik jasnym swym wzrokiem odszukał oponenta.

— Pietrzak! — zawołał donośnie, — ciebie szatan chciwości opętał. Gdyby nawet kiedy rozdzielano ziemię, tybyś jej nie dostał, bo byłaby dla bezrolnych i małorolnych, i ci jeszcze za nią płaciłby musiel, a ty jesteś najbogatszym osadnikiem we wsi i znanym sknerą.

— Sknera czy nie sknera — podjął obrażony, — a pójde za tymi, co dać obiecują. Ja tam nie dworski wychowanek, żebym za dworem gardłował.

Gospodarze oburzeni podnieśli się groźnie. Powstał zamęt, zażegnany dopiero donośnym głosem Jerzego Oreckiego.

— Ojcowie, zostawcie Pietrzaka, pozwólcie mu słuchać dalej, a sam ze wstydem słowa swe cofnie. Zresztą, kto taki łapczywy, iż radby wydzieńczyć sąsiada, by samemu więcej zagarnąć, by jego łzami i krzywdą siebie wzbogacić, ten niechaj, jeżeli

chce, obcym poduszczeniom ulega i od swoich się odłącza. My nikogo niewolić nie będziemy.

Pietrzak, ku któremu wszystkie spojrzenia ironicznie pobiegły, zamiast się podnieść i zebranie opuścić, siedział, jak przygwożdżony do miejsca.

— Ja ci ta nie taki znów ostatni — bąknął w zawstydzeniu. — Ale co gront... to zawsze każdemu potrzebny.

Po zaciętym wyrazie jego twarzy znać było, iż, pomimo ugodowej na pozór tendencji, chciwej żądzy pomnożenia ziemi nic mu z serca wydrzeć nie zdoła.

Jerzy Orecki, nie zniechęcony tym drobnym dysonansem, ciągnął tymczasem dalej:

— Gospodarze! Przyjeżdżam z Warszawy, która, pomimo klęsk poniesionych, oddycha tylko jedną myślą, jednym pragnieniem, jedną, droższą nad życie nadzieją. Oto wobec srożącej się w Rosji rewolucji, wobec walki o wolność, która państwo całe płomieniem objęła, Warszawa, jako stolica i serce Polski, marzy o zdobyciu lepszej przyszłości dla naszej ojczyzny... przyszłości, opartej na ludzie polskim, jako na rdzeniu narodu. Aby jednak lud ten wpłynął zbawczo na losy kraju i aby je potem dzierżył poniekąd w swych rękach, musi on być mądry i oświecony, musi czuć się wolnym obywatelem polskim i znać obowiązki swe wobec kraju; musi nim kierować nie chciwość o kawałek gruntu, lecz pojęcie dobra ogólnego, lecz miłość do tej świętej ziemi naszej i gotowość poświęcenia się dla zdjęcia z niej

kajdan niewoli, dla kruszenia łańcuchów, jakimi ją opłątano.

Słuchano go uważnie, z natężeniem nieledwie.

— Kto więc kocha Polskę naszą i chce przyłożyć rękę do jej przyszłej pomyślności, ten musi dopomódz do budowania jej od podstaw, od podwalin. I dlatego zebrałem was, by zapytać, czy chcecie, aby w Oreku była stworzona szkoła polska, w którejby wychowywano nasze dzieci na dzielnych i śmiałych a mądrych obywateli kraju?

— To się wie, że chcemy!... Chcemy, chcemy—zabrzmiały głosy.

— Szkoła może se być, ale ja ta nie będę płacić na nią podatku — zaoponował Pietrzak.

— Szkołę przez pierwsze trzy lata utrzymywać będą swoim kosztem dziedzice Oreka — objaśnił krótko Jerzy. — Nie wymagamy więc od was ani kosztu, ani zachodu. Organizacją jej i urządzeniem zajmie się Karol Hetmanik i on też będzie jej kuratorem na przyszłość. Nauczyciela sprowadzimy, który, zamiast dręczyć uczniów obcą mową, nauczy ich wszystkiego, co światły chłop polski umieć powinien i co mu w życiu potrzebne być może. Zdolniejszym z waszych synów ułatwi to kształcenie się dalsze, o ileby który wyższej nauki pożałował.

Zebrani słuchali z natężoną uwagą.

— Wzamian jednak — ciągnął Jerzy — żądamy zobowiązania uroczystego z waszej strony, że dzieci wasze przez te trzy lata bezwarunkowo posyłać do

szkoły będziecie i że tej pierwszej szkoły polskiej nie dacie za żadną cenę i pod żadnym pozorem odebrać sobie ani zamknąć, lecz, że, uważając ją za świętą swą własność, jak świętości bronić będziecie.

— Będziemy, panie, będziemy! Własnym życiem bronić jej będziemy!

— Co do gminy, w której musimy wprowadzić jak najprędzej język polski, o tem, gospodarze, musimy się naradzić innym razem, bo ta sprawa już nie do pana doktora, lecz do nas starszych należy — wtrącił Oreki.

Z gromady powstał chłop o sędziwej, trzęsącej się głowie i bez względu na wiek swój pochylił swą błyszczącą, siwymi kosmykami okoloną czaszkę nisko, aż do kolan Jerzego.

— Panie — zapytał głosem drżącym, — panie, czy ja też doczekam na tej ziemi polskich rządów jeszcze?

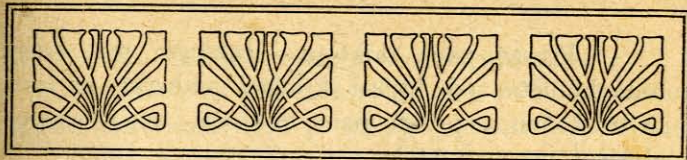
Po licach jego, głębokimi brózdami zoranych, dwie grube łzy się toczyły.

— Bóg jeden odpowiedzieć na to może; przyszłość w rękę jego. Ale gdy wszyscy całym sercem, całą duszą pragnąć tego będziemy, wtedy i Bóg do prośb się naszych przychyli. A tymczasem pracujmy i przysposabiamy się skrętnie, aby nas ta chwila, bliska może, nieprzygotowanymi nie zastała.

Otoczony gromadką zapatrzonych w niego chłopów, Jerzy wymawiał słowa te z nieukrywanym wzruszeniem.

Uniesiony tem samem uczuciem, Karol Hetmanik wyprostował swą postać młodego dębu i dodał głosem natchnionym :

„Za to, że naród na szkaplerzach ludu
Zachował w kaźni swe myśli promienne,—
Za to, że ufał w moc twardego trudu,
Że krwią i potem szedł przez dni więzienne,
Za Twą Golgotę i za nasze Kroże,
Jeśliś jest Ojcem, wybacz dzieciom, Boże !“



X

wyciągnięta wzdłuż gościńca wieś Oreck nosiła na sobie cechę wyraźnej za-
możności. Bogata, bujna gleba i wrodzona skrzętność
pozwoili chłopom tutejszym zagospodarować się do-
statniej, niż w innych okolicach kraju.

Chaty były większe, o dużych oknach, sadami
otoczone; stodoły i obórki porządnie zbudowane
i oparkanione. Nawet drogę główną wysadzono drze-
wami, których, o dziwo, nikt tu nie wylał i nie
zniszczył.

Chaty te białe, w blaskach słońca skąpane,
ciągnęły się, jak sznur pereł olbrzymich, ujętych
w czarną drzew oprawę.

Szmaragdowa emalja zieleni musiała latem do-
dawać im malowniczości i poezji. Obecnie jednak
widok ich stwierdzał raczej istnienie ładu, dobrobytu
i spokoju.

Takie przynajmniej wrażenie odnosił Jerzy
Orecki, idący przez wieś, a witany z każdego „obej-
ścia“ życzliwym uśmiechem i ukłonem.

— Proszę pana doktora — zabiegła mu drogę młoda kobieta, od której krasnej chustki aż luna biła w słońcu, — proszę pana doktora, mój czegoś słabuje i po nocy stęka.

— Czemuż nie powiedzieliście mi wczoraj?

— A no, zabacyłam — przyznała się, szczerząc zdrowe, białe zęby w szerokim uśmiechu.

— Cóż mu jest? czy leży?

— E, gdzieżby tam! — oburzyła się szczerze; — pojechał do lasu, ale ino go widać... zaraz wrócom.

— Dobrze. Wstapię do was za godzinę.

— Dzięki Bogu, ci już zrozumieli korzyść z pomocy lekarskiej i do znachorów na pewno nie pójdą — myślał Jerzy z zadowoleniem, gdy wtem wzrok jego padł na kilkoletnie boso dziecko, bawiące się samopas na drodze.

Zbliżył się do chaty, mniej od innych porządnej i gorzej utrzymanej, a stukając laską w drzwi zamknięte, zawołał donośnie:

— Grzelowa, Grzelowa!

Na progu stanęła baba o ostrych rysach, z zakasany w górę rękawem i ręką, ubrudzoną aż po łokieć.

— Grzelowa, dlaczego wasze dziecko, zostawione bez opieki, bawi się w błocie na drodze i boso na takie zimno chodzi?

— Adyć mu ta nie nie bandzie! — objaśniła niechętnie. — W chałupie nie usiedzi, to niech ta idzie na drogę. Bede se dzieciakiem zawracała głowę, kiej dla świniaka warze, mięsom.

— To świniak wam pierwszy, niż dziecko?

— Juści, ze pirsy, kiej go przed Wielganocom zgonnik zabierze, abo ja go na jarmark popendze.

Jerzy popatrzył na nią tylko, żadnego na odpowiedź tę nie znajdując argumentu.

— Dlaczego wasza dziewczynka nie jest w szkółce? dlaczego jej nie posyłacie z innemi dziećmi? Czy lepiej jej w błocie przydrożnem, niż w czystej, ciepłej izbie?

— Ja ta nie łakoma na cudze nauki — odrzuciła hardo. — Ma ta ochroniarka nad dzieciakiem wydziwiać, to wole, żeby w chałupie ostało.

Wobec zuchwałego jej tonu młody Orecki cofnął się, powiedziawszy tylko:

— Pomówię z waszym chłopem, bo widzę, że z Grzelowej zaciekla i zła baba.

Posmutniał jednak. Wieś wydawała mu się mniej piękna, zamożność jej mniej znamienita i pomysłna.

— Co się to musi dziać w gniazdach ciemnoty — mówił do siebie, — jeżeli tu, gdzie od tylu lat pracujemy nad niemi wszyscy, znajdują się jeszcze takie wsteczne, wstyd cywilizacji przynoszące okazy.

Zboczył z gościńca i od chat, wzdłuż niego szeregiem wyciągniętych, by się skierować ku wsuniętemu w głąb dużego ogrodu owocowego, a stojącemu nieco na uboczu dworowi.

Z ganeczkiem, opartym na bielonych słupach, i ze śnieżnemi w oknach firankami, oddalony od gwaru drogi publicznej, a ukryty w drzew zaciszu, miał on w sobie jakiś arystokratyzm ducha, jakieś ciche

skupienie domu, w którym nie tylko ciało żyje, lecz i umysł ludzki pracuje.

Jerzego ujrzano snadź zdala przez duże, błyszczące od czystości szyby, bo, gdy zbliżył się do furtki, na ganku stał już gospodarz zagrody, Karol Hetmanik.

Dłonie ich zbiegły się w serdecznym uścisku.

— Poczciwy Jerzy! nie zapominasz o mnie. A tak dziś czuję potrzebę serdecznego, życzliwego słowa — mówił Hetmanik, wprowadzając go do świetlicy.

— Czy cię jaka przykrość spotkała?

— Nie. Ale, widzisz, książka i myśl własna, nie zawsze wystarczają. Robót w polu jeszcze niema; przyroda, najlepsza przyjaciółka i smutków wszelkich pocieszycielka, nie otrząsnęła się dotąd z zimowej martwoty, więc wpływ jej szlachetny a kojący traci swój urok i swą siłę. Bez niej zaś gdzież dusza chłopca może się zwrócić? gdzie ma szukać oparcia i podniety? gdzie zrozumienia myśli swych i uczuć?

— Biedny Karolu! Ty, taki silny, doznajesz zdenerwowania, czy zniechęcenia i upadku woli?

— Silny! Ha! ha! ha!... Dobryś sobie z podobnem pojęciem siły... Czyż najmocniejszy z nas a mocny fizycznie i duchowo nie ma chwili, w którejby, jak dziecko, wziął głowę w dwie ręce i płakał nad samym sobą? Czyż ów szablonowy atrybut siły nie jest ironją wtedy, gdy mężczyzna czuje się czasem taki mały, taki biedny, że dłoń, któraby tę skolataną głowę jego utuliła i ukołysała, z wdzięcznością do ustby przycisnął?...

— Sentymentalizm! czułościowość, Karolu!

— Nie! tylko dusza i nerwy, jako wierne jej struny. Jeżeli tego nigdy nie doświadczasz, w co nie wierzę, to tylko dowód, że jesteś w otoczeniu świata równego sobie duchem i umysłem, że nie wiesz, co samotność... nie ta szlachetna samotność w towarzystwie mądrej książki lub w obliczu życiodajnej przyrody, bo taka podnosi i wzmacnia, bo daje poznać siebie i w normalnym człowieku rozwija najlepsze cechy charakteru, lecz bolesna samotność we własnem środowisku i otoczeniu, wśród tej gromady ludzkiej, z którą nas bratnie wiążą węzły.

— A idea, Karolu? Czyż to nie najważniejsza podwalina siły moralnej? Wszak wracając do chłopskiej zagrody i nie opuszczając jej, pomimo samodzielnych a poważnych studjów naukowych, dałeś dowody, że ci ta zagroda i jej otoczenie milsze są nad wszystko.

— Bo chłopem jestem! bo się tem szczycę nawet, że jestem chłopem polskim! bo pragnąłbym wszystkich mych współbraci podźwignąć do godności uświadomionych obywateli kraju, którzy rdzeniem narodu być powinni! bo ta chata i ten zagon rodzinny to nie tylko święta spuścizna po ojcach, lecz placówka społeczna i cywilizacyjna, a zarazem moja racja bytu wśród ludu; inaczej lud ten patrzyłby na mnie z niedowierzaniem, jak na obcego przybysza. Żyjąc zaś jego życiem, dzieląc jego troski, radości i nadzieje, mogę codziennie, ciągle, przy każdej sposobności szczepić wśród niego wszystko, co dobre i szla-

chetne, co prostym a prawym tym sercom światem i pochodnią stać się może.

Mówił z ogniem i wiarą nie już trybunów, lecz śmiałych apostołów, którzy krew własną za umiłowaną ideę dać gotowi.

— Ty nie uwierzysz, Jerzy — dodał, wyciągając ramiona przed siebie, — jak mnie boli każda ciemnota, każda nieprawość, spotkana wśród swoich! jak jabym pragnął otworzyć im na oścież wrota szkół, założyć szereg bezpłatnych uczelń, dać światła, światła, światła!...

— Mówisz, jak Goethe: „Mehr Licht“! Ale on umierał wtedy; przed nami zaś, Karolu, życie całe... do nas się śmieje nadzieją, nam rozjaśnia trud i mokoły zorza lepszej przyszłości. Światła? Tak, cały kraj trzeba pokryć siecią szkół i szkółek, cały uczynić ogniskiem jednej wielkiej organizacji oświatowej. Dziś już przygotowujemy w Warszawie grunt pod Macierz Szkolną, zakreśloną na wielką skalę.

— I ja tu czynię, co mogę. Twoja matka zagarnęła pod opiekę dworu dzieci; ja przez całą zimę, nie w formie wykładów, lecz w rodzaju sąsiedzkich poufnych pogadanek, kształciłem, jak mogłem, dorosłych... byle dalej, byle wyżej, byle w czyn wprowadzić ideę, iż kraj podźwignąć tylko można nie przez rozterkę i rozdwojenie, lecz przez uszlachetnienie ludu, który dotąd, w moralnych okowach i ciemnocie trzymany, nie wiedział nieraz, jakiej Ojczyzny jest synem.

„Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Dusząom wszystkim — myśli z nieba!

Nie nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie.
Tak Bóg czyni we wszechświecie,
Bo cel światów — szlachetnienie!“

Jerzy spojrział na oczy Hetmanika, natchnieniem rozbłyśnię, na jego rasowe polskie rysy, zapalemem tchnące, i zauważył po chwili namysłu:

— Jaką ty masz bogatą naturę, Karolu! W tobie działacz i apostoł walczy o lepsze z poetą. I z tak wyposażoną duszą, silny, młody, pełen hartu i wiary, skarżysz się jednak na osamotnienie?

— Moralne tylko... Cóż chcesz, homo sum, człowiekiem jestem. A gdy duch rwie się w przestworza, życie w tych czterech ścianach smutne bywa niekiedy...

Orecki rozejrzał się po starannie wybielonej izbie. Wolna od barwnych obrazów świętych i kraśnych ozdób, miała w sobie prostotę celi anachorety.

Białe firanki jedynym były tu zbytkiem. Duży stół pod oknem, zasłany papierami i książkami, służył Hetmanikowi za biurko; książki również widniały na półkach i wyzierały skromnymi oprawami z za szyb szafy oszklonej; drugi stół na środku, zwykłymi krzesłami otoczony; w rogach pęki zbóż i kraśną jarzębiną przeplatane wieniec z pszenicy — oto całe umeblowanie. Uzupełniał je tylko sztych stary, pociemniały, na głównej ścianie zawieszony, a na nim Ecce Homo w bolesnej cierniowej swej koronie. Oczy Jego, od cierpienia przygasłe, boskiej dobroci i męki ludzkiej pełne, zdawały się patrzeć wproś

na obu młodych ludzi z wyrazem smutku i niewypowiedzianej słodyczy.

Mieszkanie, jak dola Hetmanika, proste i spartańskie, było widocznie stworzone do pracy samotnej.

— Czy wiesz, Karolu? robisz na mnie wrażenie chłopca przyszłości.

— Bo też takim jestem. Za lat dwadzieścia jednak powinno nas być legion.

— Tymczasem dla rozweselenia twojej samotni właśnie powinienbyś się ożenić.

— Dla mnie żona nie urosła jeszcze. Cóż chcesz! oświata wytwarza wymagania, wyrabia pewien arystokratyzm ducha. Ze zwykłą, ograniczoną wiejską dziewczyną ożenić się nie mogę, bo w związku tym ani ja, ani ona nie bylibyśmy szczęśliwi. Kobieta, równa mi inteligencją, nie pójdzie doić krów, ani pracować w polu, nie poprzestanie na życiu średnio-zamożnego włościanina, a więc tem samem staje się dla mnie marą niedościgłą. I lepiej tak, nowe bowiem obowiązki mogłyby odwrócić część mojej pracy i moich sił od jedyne go celu, jakiemu powinienem je poświęcić. Jestem, jak to słusznie zauważyłeś, „chłopem przyszłości“. Wywalczyć też lepszą przyszłość chłopu polskiemu, uświadomić go i uspołecznąć... oto jedyne moje marzenie i jedyna racja istnienia. Z chwilą, gdy w każdej chacie widnej, czystej i zamożnej, oprócz półki z książkami, zaśwień obok kosy Orzeł Biały, tacy, jak ja, pracownicy będą mogli spocząć w pokoju.

— A matka twoja? Cóż ona na to?

— Matka? To najszlachetniejszy typ gołębiej prostoty i praktycznego rozumu. Choć „nie poszedłem na księdza“, jak o tem w głębi ducha marzyła, przez miłość dla mnie prowadzi energiczną ręką gospodarkę, by mi starczyło na książki i bym miał więcej czasu dla siebie. Prosta, lecz święta kobieta, dla której głębokie żywienie uczucie! Ale dosyć o mnie. Teraz, jeżeli pozwolisz, zdam sprawę panu doktorowi z postępów, jakie nasza organizacja oświatowa poczyniła w okolicy. Oto szczegółowe cyfry i dane.

Wyjął zwój papieru, nad którym pochylili się obaj.

Narada sprawozdawcza, połączona z rozważaniem projektów przyszłości, długo trwała. W końcu Jerzy w słowach pełnych ognia zaznajomił Hetmanika z ruchem społecznym i narodowym Warszawy, z prądami, nurtującymi w świecie robotniczym; tłumaczył mu walkę, toczoną przez rozmaite odłamy rewolucyjnego socjalizmu o duszę polskiego proletariusza. Tak, dotąd ruch socjalistyczny szedł ręką w rękę z ludźmi, dźwigającymi w górę sztandar narodowy. Jeżeli więc nie „Bund“, nie „Socjal-Demokracja“, to w każdym razie „Polska Partja Socjalistyczna“ zaliczała do swych postulatów autonomję Polski, oraz nie tylko ekonomiczne, lecz narodowe i duchowe odrodzenie kraju. Stąd ogólna a gorąca sympatja dla bojowych drużyn socjalistycznych,— stąd cześć dla biorących w niej udział robotników, jako bohaterów w walce o ogólną wolność narodu.

— Z zagranicy jednak—ciągnął—zaczynają dochodzić głosy ostrzegawcze. Rzekoma narodowa cecha „Polskiej Partji Socjalistycznej“ ma być tylko fałszy-

wym pozorem, manewrem taktycznym, pod którego osłoną organizacja ta chce szerzyć w miejskich i wiejskich klasach pracujących zasady międzynarodowego skrajnego socjalizmu, oparte na nienawiści do wszystkiego, co polskie, a zaprzeczające nam praw do samostanowienia narodowego bytu.

— Wiem coś o tem — przyznał Hetmanik. — Idea ta jednak nie przyjmie się nigdy wśród ludu wiejskiego.

— I w mieście nurtuje ona dotąd pokątnie tylko. Socjaliści nie śmia jeszcze podnieść przyłbicy i odsłonić jawnie obcych narodowi naszemu tendencji. Ci uwielbiani jednak bojownicy idei mogą stać się jutro jawnym wrogiem kraju. Temu trzeba przeciwdziałać, Karolu. Inaczej lud ten, tak gorąco przez nas ukochany, który powinien mieć jedno hasło, jedną myśl, jeden cel, mógłby z czasem stanąć przeciw sobie z nożami, zaostrzonymi do bratobójczej walki.

— O to niema obawy. Chcesz, przyprowadzę ci kiedy, lub tu zawezwę paru bystrzejszych i rozumniejszych gospodarzy, abyś sam z nimi pogadał.

W tej chwili stanęła na progu wieśniaczka lat średnich, ubrana z pewną surowością w ciemną spódnicę i kaftanik i w takąż na głowie chusteczkę, z pod której wychodziła drobno wyrurkowana szlarka białego czepeczka. Taka sama kreza otaczała szyję jej, nadając rysom wyraz pogody i dobroci.

— Niech będzie pochwalony! — wyrzekła od progu. — Karol nie dał mi znać wcale, że panicz są u nas.

— Matusiu, dzień dobry! — zawołał Jerzy, powstając i pochylając się do jej ramienia. — No, cóż tak z daleka? Proszę mnie pocałować pocziwie w głowę, jak dawniej.

— E, skądże! ja prosta kobieta, a panicz już podobno doktorem został.

— Proszę mnie zaraz pocałować — nalegał. — Czy dlatego, że mi wasy urosły, to mam być gorszy od Karola? Przecież dawniej matusia nie robiła między nim a Jurkiem różnicy, kojąc nasze smutki, broniąc od kary, a osłaniając figle i psoty. Ja to dobrze pamiętam, jaką w Hetmanikowej opiekunkę zawsze miałem.

Chłopka ujęła głowę jego w dwie ręce i serdecznie ucałowała.

— Niechże cię Bóg błogosławi! — zawołała wesóło, zaprzestając ceremonji.

— A teraz — dodała, siadając na podanem jej przez Oreckiego krzesło — mam do ciebie prośbę, Jurku. We dworze, u was, jest nasza krewniaczka, Marynia Kołkowska, sierota, której gospodarstwem my tu zawiadujemy.

— Wiem o tem — przyznał Jerzy. — Pamiętam ją dzieckiem. Wyrosła na ładną dziewczynę. Pomaga matce mojej w zarządzie domem i w prowadzeniu szkółki.

— Ta sama — przyznała stara wieśniaczka, podczas, gdy jasne, piękne rysy Hetmanika spochmurniały nagle. — Otóż, mój paniczu drogi, wpłynięcie na dziedziczkę, żeby nam jej na panią nie chowała. Mój syn uczony przecież jest, do gazet pisze... sama

jego nazwisko wydrukowane widziałam... a nie wstydzi się z plugiem i kosą iść na pole lub łąki. I Marynię też nie innego nie czeka. Ma swojom ojcowiznę, nie sprzeda przecież, bo to grzech. Ja już stara jeźdem; mnie ciężko jednemu gospodarstwu podolać, a coś dopiero dwom. Tymczasem Marynia coś bardzo w pańskim życiu rozsmakowała; w kapeluszu i rękawiczkach chodzi... A to źle! W pańskich dworach dosyć jest panienek uczonych, ale w chłopskiej chacie to mądrej kobiety nie poświęć. A kto ma naprawdę rozum, ten nad swój stan nie wychodzi. Tak!

— Moja matko — bronił Hetmanik, — przecież i Marynia coraz przychodzi tutaj dowiedzieć się, co z jej gospodarstwem się dzieje.

— Aha! wpada, jak ogień, a dusza jej już cała we dworze. Ja to widzę i czuję. Jeżeli tak lubi uczyć dzieci, może to i w swojej robić chacie. Nie ostawili jej ojce, jak podrzutka, bez dachu; a ja nie chcę, aby jej później chłopska strzecha śmierdziała... bo kiedy dziewczyna uczona, to strzechę swoją tem więcej miłować powinna.

Jerzy powiódł okiem od chmurnego oblicza Karola do jasnych, siłą woli nacechowanych rysów Hetmanikowej i zrozumiał macierzyńską jej troskę nie tylko o sierotę, lecz o dolę własnego syna.

— Dobrze — potwierdził. — Wytłumaczę to mojej matce i postaramy się nie wyrwać waszej krewniczki z koła, w którym się urodziła i wzrosła.

Nazajutrz, gdy Oreccy kończyli obiad, na progu stanął niemeldowany przez nikogo, Karol

Hetmanik, z jasną, pogodną twarzą, prowadząc za sobą Błażeja Sochę.

— Przepraszam, jeżeli przeszkadzamy — mówił na wstępie, — chciałem jednak uspokoić państwa i uprzedzić złą nowinę, zanim zdąży dojsć tutaj.

— Co się stało? co się stało? — zawołali równocześnie Oreccy.

— Była u mnie przed chwilą rewizja. Chatę otoczyli strażnicy i żandarmi; przetrząśnięto nie tylko dom od piwnicy do strychu, lecz nawet zabudowania gospodarcze, nawet siano na wyżkach nad stajnią.

Przy mówiącym stali już Jerzy i Marynia Kołowska.

— Czy znaleźli co? — pytał pierwszy.

— Nie zrobili ci co złego? nie grozili więzieniem? — badała z trwogą druga.

W oczach młodego chłopca rozrzewnienie zabłysło. Wzrok jego przeniósł się z wdzięcznością z towarzysza lat dziecięcych na młodą, gibką dziewczynę w skromnej czarnej sukience i białym fartuszkę gospodarczym, — dziewczynę, której drobne, szlachetne rysy zdobiła krasa pierwszej młodości.

— Dziękuję, Maryniu... Nie zrobili mi nic złego i nie zaaresztowali jeszcze tym razem.

— Zabrali jakie papiery? — nalegał Jerzy.

— Ja nie mam żadnych papierów — zapewnił. — To, co jest w mieszkaniu, może być rewidowane trzy razy dziennie.

Rozśmieli się obaj.

Powitany serdecznie, jak ten, kto uniknął jawnego niebezpieczeństwa, Hetmanik wraz z Sochą poproszeni zostali do stołu, przyczem musieli opowiadać na przemian szczegóły rewizji. Polegała ona głównie na upartem poszukiwaniu broni i przetrzaskaniu książek, przyczem podręcznik fizyki i gramatyka polska, jako rzeczy podejrzane a niebezpieczne, skonfiskowane zostały bez pardonu.

— Cóż im mógł szkodzić podręcznik fizyki? — pytała pani domu.

— Pomieszczone w nim rysunki maszyn elektrycznych wydały im się wprost podejrzane. Przypuszczali widać, że to wzór nowych maszyn piekielnych.

Marynia, krzątając się tymczasem koło niespodzianych gości, sama podała im talerze i przyniosła półmisek. Gdy znalazła się obok Karola, główka jej, uwieńczona koroną ciemnych warkoczy, pochyliła się ze współczuciem ku niemu.

— Czy wujenka bardzo się przeraziła? — spytała.

Hetmanik podniósł znów ku niej serdeczne a wdzięczne spojrzenie.

— Dobre masz serce, Maryniu. Nie niepokój się jednak; ta ponowna rewizja była przez nas przewidywana, oczekiwana nieledwie; nie zaskoczyła nas też z nienacka.

Dziewczę pierzchło, a pan Jan Orecki zadzwonił równocześnie w szklankę.

— Karolu — mówił. — Wychowywałem cię razem z synem moim, ale też kocham, jak syna prawie; z pracy zaś twojej owocnej, pełnej zaparcia sie-

bie, a dążeń społecznych i narodowych dumny jestem, jak gdybyś naszym własnym był dzieckiem. Więcej takich włościan-obywateli, a z chaty chłopskiej zniknie ciemnota i obojętność na sprawy narodowe, chłop zaś polski stanie się tem, czem być powinien: kamienną opoką, której żaden wróg nie poruszy... niezłomną podwaliną i koroną odrodzonej, zdemokratyzowanej Polski. Czem ci groziła dzisiejsza rewizja, wiemy wszyscy; wiemy, że wisiała nad tobą na włosku kaźń długa a niebezpieczna, katorga może... Im silniej prądy wolnościowe przenikają państwo całe, tem srożej oszalała ze strachu biurokracja gnębi najszlachetniejsze, najszczytniejsze z uczuć ludzkich, bo miłość do ziemi, która nas wydała. Ceniąc w tobie jednego z najwierniejszych jej synów, wznoszę tę szklankę na cześć twego ocalenia, na szczęście dla dalszej twojej pracy!

Hetmanik podniósł się żywo z rozjaśnionem obliczem, z oczyma rozbłysłymi zapalem.

— Nie! nie! — zaprzeczył, podnosząc rękę do góry. — Jam niewart takiego zaszczytu! Gdy pod plon przyszły przygotowuje się rola dopiero i pierwszy zasiew na świeże skiby się rzuca, nie czas obliczać, kto najwięcej nad uprawą gleby pracował, bo miarę trudów wszystkich żniwo wykaże jedynie. Na cześć więc plonów przyszłych godzi się tylko wznosić toast, na cześć ziemi, która je wyda, tej naszej świętej rodzonej ziemi. Niech żyje Polska, wolna i niepodległa!

I podniósłszy szklankę pieniacego się piwa, duszkiem wychylił ją do dna.

Nie było tu tokajów, starych małmazyj, ani perlistego szampana,—zwykle piwo tylko, zastępujące miód dawny, a czyniące zadość lechickiej gościnności i ogólnemu zwyczajowi wyrażania uczuć. Niemniej w oczach obecnych łzy zabłysły.

Wypiwszy, Błażej Socha postawił szklanę, otarł starannie wierzchem ręki w pianie umaczane usta i zwolna a z namysłem powiódł mądrymi, siwymi oczami dokoła.

— Niech żyje Polska, wolna i niepodległa! — powtórzył z naciskiem—A jakże żyć ma, gdy ja wszystko gnębi dokoła i gdy sama gnębi się przez własne dzieci? Pan dziedzic powiedział, że lud powinien być kamienną opoką i niezłomną podwaliną kraju. Z opoki samej nie zrobi się podwaliny; tu potrzeba jeszcze i wapna, i cegły, i cementu, i drzewa, i żelaza, i przedewszystkiem mądrej głowy, któraby budowę rozumiała. Bez tego nie będzie gmachu, ani kościoła; bo gdyby robotą kierował partacz jaki bez nauki i kalkulacji w głowie, toby się budowla zawaliła i pracowników jeszcze przygniotła. Tak samo, myślę, jest z narodem: opoka, cegła, cement to są różne stany, które powinny być kształcone, uczciwe i mocne, jak materiały do budownictwa... muszą być w dobrym gatunku; a budowniczowie to ci, co najmądrsi, najbardziej uczeni są w narodzie. Jeżeli to wszystko połączymy, jeżeli nie damy szczuć jednych na drugich, to zbudujemy taki mur, że go nikt nie obali, że z za niego będziemy dopiero mogli wołać: „Niech żyje Polska, wolna i niepodległa!“ Ale tymczasem życzymy sobie pierwiej: Niech żyje

zgoda i jedność wszystkich stanów! Niechaj dwór polski, tak, jak ten, wyciąga wszędzie do chłopu polskiego dłoń życzliwą, niech mu będzie przyjacielem i doradcą!

Mówił zwolna, z namysłem, z przekonującą logiką, dobywając słów z głębi sereca widocznie.

— Macie rację, Socho! macie rację! — zawołał oboje Oreccy, wyciągając do niego ręce.

On swoją czerstwą, uczciwą twarz pochylił nisko, całując dłoń pani domu, dziedzicowi zaś bez fałszywej uniżoności uściśnął tylko prawicę.

Jerzemu tymczasem, który przemówień tych słuchał w milczeniu, gorzały oczy myślą nateżoną, a słowa rwały się na usta. Biorąc też z rąk Maryni napelnioną świeżo szklanę, powstał z mocą przyzwyczajenia, z publicznych obrad wyniesionego, i powiódł przedewszystkiem badawczem okiem dokoła. Widok szczupłej zebranej przy stole drużyny uderzył go snadź nagle charakterystycznym swym doborem,—zatrzymał bowiem wzrok na pięknej, poważnej swej matce, na głowie ojca, przypruszonej pierwszym śniegiem siwizny,—przeniósł go następnie na mądrą, spokojną twarz Sochy, na dorodne oblicze towarzysza lat chłopięcych, z jego ściśle ludowem, wpół marzycielskiem, a jednak energicznym obliczem,—musnął w przelocie ładne rysy Maryni, tego typowego znów dziecięcia chaty wiejskiej,—aż zawisł skoncentrowanem spojrzeniem na zdobiących jadalnię wielkich portretach dziada i pradziada, z których jeden w zbroi i szyszaku, drugi zaś w bogatej delji karmazynowej,

a z buławą w rękę, zdawali się strzedz gniazda swych synów.

— Socha ma rację—zawołał,—ma rację, biorąc rzeczy z realnej, dotykanej strony, bo ta jest najbardziej zrozumiałą dla ogółu, dla pracowników, przyuczonych do twardego fizycznego trudu. Socha ma rację, zalecając jedność przy budowie, bo jednością narody stoją. Ale zapomniał on dodać, że niewszystko cyrklem i kielnią zbudować można... niewszystko! Najpotężniejszym we wszechświecie czynnikiem, najsilniejszym twórcą praw bożych jest wielka miłość. Nie dla realnej korzyści, jaką jedność daje, poświęcają się dzisiaj szeregi ludzi tajnej patriotycznej robocie, narażając się na prześladowania, śmierć lub katorgę, bo ogół nie łączy się z nimi i nie wie nawet o ich istnieniu. Miłość wolności przyświeca im jedynie; miłość sprawiedliwości osładza niebezpieczeństwo; miłość swej ziemi skrzydeł im dodaje. I zaiste, przed tymi, którzy dla wielkiego, świętego jej ukochania nie drżeli, idąc pod knuty zbirów, lub nie wahali się siać kości swych wśród lodów Syberji, powinniśmy ze czcią pochylić głowę. Im bowiem zawdzięczamy switającą jutrzeńkę lepszej przyszłości; ich groby mówią nam, iż najświętszym talizmanem, który wszystkie klasy złączyć i zjednoczyć, wszystkie sfery zcementować i niezwalczonemi uczynić może, jest wielka, potężna, nad śmierć silniejsza miłość Ojczyzny!

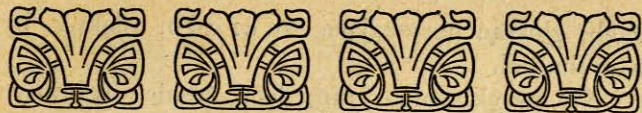
Z ogniem zapалу w młodzieńczych szlachetnych rysach, z duszą całą skoncentrowaną w płomiennych

oczach, głosząc porywające to credo, piękny był, jak archanioł.

Nie przykłaśnięto mu, lecz źrenice zebranych wilgotnego nabrały blasku. Pani Orecka skinęła, by przybliżył się ku niej.

Szedł wyprostowany, od zapалу jeszcze drżący, z hardo podniesioną głową; za nim zaś, jakby w jas-syr wzięte, posuwały się niewolniczo przykute do urodziwych jego rysów, łzą błyszczące źrenice Maryni. Był w nich zachwyt jawny i ciche poddaństwo duszy prostej, którą to dziecię chaty wieśniaczej, pomimo kilku lat nauki, nieskażoną a czystą zachowało. Żaden królewicz z baśni, jakie jej w dzieciństwie przy ognisku i kądzieli opowiadano, nie mógł dorównać Jerzemu, nie mógł, jak on, być bohaterem, półbogiem nieledwie.

Myśli te tak jasno się malowały na wyrazistej uroczej jej twarzyczce, iż śledzący ją bacznie Hetmanik ze smutkiem na piersi pochylił głowę.



XI

Pomimo schyłku lutego i kończącego się karnawału, Warszawa w roku pańskim 1905-m czyniła wrażenie nie stolicy rozległego kraju, lecz tylko dużego prowincjonalnego miasta. Prócz koniecznego, pracą zawodową lub codziennymi potrzebami wywołanego ruchu, głucha cisza zalegała tak bardzo zwykle ożywiony gród syreni. Styczniowe wypadki, ów pierwszy strejk, wszystkim pamiętny, a połączony z pogromem ulicy Marszałkowskiej, rzucał cień na umysły. Bezrobocie kolejowe nie przyszło wtedy do skutku; zato teraz, w lutym, obiecywano je w całej pełni. Obawa zająć nowych i masowych represyj, widmo głodu, jaki mógł grozić całemu miastu, nie usposabiała bynajmniej wesoło. Echa samosądów, wykonywanych przez delegatów czy członków partyj socjalistycznych nad mętami moralnymi wielkiego miasta, szerzyły postrach i przerażenie dokoła. Bo jakkolwiek samosady te miały dowodzić,

że chciano wytepić wśród proletariatu jednostki, przynoszące mu ujmę, iż pragniono, aby w walce o wolność sztandar jej czyste tylko dzierżyły dłonie, niemniej wyroki terrorystyczną swą cechą dawały przedsmak rozprężenia i anarchji.

Egzekucje też, dokonane na Woli, gdzie po pogromie ulicy Marszałkowskiej robotnicy, zrobiwszy ścisłą rewizję, wieszali i zabijali jakoby każdego, u kogo znaleźli towary skradzione ze zniszczonych sklepów, nie uspokoiły nikogo. W wyrokach tych bowiem i sposobie wykonania ich uwydatniało się znów piętno samowoli i zarzewie rewolucyjnego teroru, który mógł zczasem w bezwzględności swej i okrucieństwie przewyższyć komunę paryską.

Ciągła obecność siły zbrojnej na ulicach nie przyczyniała się także do powrotu normalnych warunków życia. Posterunki wojskowe na wszystkich rogach, oraz liczne krążące patrole zbyt się wsławiły puszczeniem w ruch kolb, aby błysk ich bańnetów miał budzić zaufanie.

Teror i ciągły postrach, z którymi miasto żyć się nie mogło, bo nie tylko człowiek, lecz nawet zwierzę każde łaknie spokoju i swobody,—teror i ciągły postrach nie usposabiały nikogo do uciech karnawałowych. Dawniej, lat poprzednich, Warszawa hasała nieraz w zapusty aż do utraty pamięci. Ale to były inne czasy. Wzrastająca zamożność usposabiała do zabawy; hasła pracy organicznej i długotrwała niewola, jako czynnik rozkładowy, zacierały w ludziach pewne subtelności uczuć obywatelskich i narodo-

wych. Sclavus saltans z całą swą krwawą ironją bywa nieraz godłem upadłych.

„Upaść jednak może naród wielki,—zginąć tylko nikiemny“^{*)}. Pierwszy też podmuch wolności oprzytomnił z haszyszowego upojenia „skaczącego niewolnika“. Warszawa odetchnęła głębiej, skupiła się w sobie, spoważniała... Krew, przelana po latach czterdziestu kilku na jej ulicach, padła, jak chryzmo „Odrodzenia“ na dusze,—zbudziła marzenia młodości, rozżarzyła ogień w żyłach... nie ten płomień słomiany, który grozi krótkotrwałym wybuchem, lecz cichy ogień ofiary i samopalenia,—ogień, który może przestać istnieć tylko wraz z ołtarzami, za ofiarniki służącymi. Żywym tym zaś ołtarzem było w tej chwili serce miljonów.

I szły one w ciszy i skupieniu, świecąc swą pracą narodowi, zachwianemu w podstawach, pogrążonemu w ciemności. Aby mógł przebyć je, dążąc do błyszczącej w oddali gwiazdy nadziei, niejedno serce uczciwe starało się nieść mu w dłoni wzniesionej „kaganek oświaty“, niezbędny do życia, a przez złe siły wydzierany.

W akeji tej brała czynny udział i pani Marcelina Korezyńska.

Ostry wiatr, tak częsty u schyłku lutego, powitał ją zimnym podmuchem, gdy, wyszedłszy z ulicy Smolnej, przedostała się przez bramę przechodnią w Aleje Jerozolimskie u spadku ich ku Wiśle.

Linja ta komunikacyjna, ustronna i pusta, skracająca jej drogę, a przytem dawała złudzenie szersze-

^{*)} Pamiętne słowa Staszica.

go horyzontu i oddalenia od gwaru miasta. Młoda kobieta przystanęła, a odetchnawszy głęboko, ogarnęła spojrzeniem przestrzeń całą, aż hen, ku łąkom i polom, szarym jeszcze, lecz nad którymi niebiosa rozpięły już wiosenny nieledwie błękit.

— Ach, uciec gdzie! — pomyślała. — Uciec tam, w przestworza ciszy i odradzającego się życia... uciec od bagnetów i żołdactwa, od krwi i teroru... uciec od tej całej walki ciemności ze słońcem, skrzydatego ducha ludzkiego z okowami żelaza i kajdan...

Patrzyła chwilę ku polom, ku Wiśle, poczem smutnie wstrząsnęła głową.

— Uciec? Gdzie? do kogo? Niema na szerokim świecie duszy ludzkiej, którąby losy moje obchodziły, którąby opieką i ostoją, czy źródłem siły dla mnie być mogła. Gdzież więc jechać? Chyba pod włoskie niebo... rzucić się w nieśmiertelne ramiona sztuki-pocieszycielki i pić z jej czary aż do zapomnienia wszystkiego, co się tu dzieje.

Raz jeszcze potrząsnęła głową.

— Niewolno! Uciekać ze skromnej choćby placówki to podłość i tchórzostwo. A zresztą czyżbym tam wytrzymać mogła? czyżby moje serce i dusza nie rwały się tu, ku temu kawałkowi zagrożonej ziemi, do której każde drgnienie ich należy? Wyjeżdżać w takiej chwili mogą tylko ludzie obcy jej krwi i pochodzeniem: kosmopolici i oportuniści.

Przysłoniła twarz woalką i zwróciła się ku miastu.

— Trzeba iść—zadecydowała rezolutnie. — Inaczej jaki rycerz o pomarańczowych wypustkach

uzna zatrzymanie się moje za „nieprawomyślne“ i, przywoławszy bagnety na pomoc, podda mnie rewizji lub zaaresztuje.

Bardzo skromnie, ciemno ubrana, szła szybkim elastycznym krokiem, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Niemniej przy przecięciu Nowego Światu i Marszałkowskiej wytworna jej sylwetka mimowoli pociągała ku sobie oczy przechodniów, a kilku panów zerwało szybko kapelusze, pochylając przed nią głowy z szacunkiem.

Przyszedłszy wreszcie do domu, zmieniła prędko skromny granatowy kostjum na miękki szlafrok z bladuróżowej flaneli, białymi ozdobiony koronkami, i schroniła się do swego ulubionego, zielenią palm przysłoniętego zacisza.

Nareszcie mogła odpocząć!

Wracała z długiej a mozolnej lekcji. W zorganizowanych przez siebie i Lipowieckiego kursach bezpłatnych dla dorastającej młodzieży, które przypominały „latający uniwersytet“ z czasów smutnej pamięci rządów Apuchtina, objęła własnowolnie parę godzin codziennej pracy. Na próżno tłómaczono jej, iż będzie to trud zbyt ciężki może na jej siły.

— Jestem niezależna — dowodziła, — łatwiej mi więc poświęcić czas, niż tym, którzy na chleb pracować muszą. Skoro zaś przyłożyłam rękę do bojkotu szkolnego, niechże pomogę niezamożnym, w miarę własnych zdolności, do uzupełnienia nauki, tak niespodzianie przerwanej. Nacóżby się zresztą zdążyły te całe lata, książkom oddane, gdybym nie potrafiła

dziś chociażby okruszków wiedzy w młodszych od siebie przelać?

I nie licząc pieniędzy, dawanych hojną dłonią na pierwsze ukryte jeszcze szkoły polskie, pieniędzy, których cyfra byłaby mogła przypisać radcę Prędowskiego o atak apoplektyczny, sama przedpołudniowe godziny poświęciła na wykłady historii i literatury polskiej. Nie lekcje jednak, lecz to jeżdżenie i deptanie po dalekich nieraz ustronnych ulicach, to wchodzenie do coraz innego cudzego domu, oraz ukrywanie się ze zwykłym nauczaniem rodzinnego języka i skarbów jego duchowych, jak z karygodną, występłą działalnością, niewypowiedzianie ją zużyło.

Znalazłszy się też w blado-różowym salonie, pełną odetchnęła piersią. Nie komfort i zbytek potrzebny jej był do zadowolenia, do szczęścia, lecz to poczucie bezpieczeństwa i jawności, ta pewność, iż brutalna siła, panująca na ulicy, mniej tu ma władzy nad nią.

Przyszło jej na myśl poetyczne porównanie Lipowieckiego. Tak; tu, jak perła, zamknięta w swej konsze, była sobą; tam, wyrzucona na fale ulicznego tłumu, stawiała się marną muszlą, którą wrogi przechodzeń mógł zgnieść i zdeptać.

Był to odruchowy z lat dawnych sybarytyzm, za który zgromiła się srodze.

— Pan Lipowiecki — zameldowała u progu pokojowa.

I równocześnie prawie gość zapowiedziany stał już w obramowaniu popielatej, w różowe kwiaty

portjery. Wzrok zaś jego, do artystycznych wrażeń przywykły, zdawał się porównywać te wysmukłe, na adamaszku uwypuklone kielichy z żywym, blado-różowym o ciemnej koronie kwiatem, który na znak bratniej zyczliwości dłoń ku niemu wyciągał.

Stanisław Lipowiecki zatrzymał się sekundę u progu, napawając oczy harmonją spotykanego obrazu,—poczem, zbliżywszy się, rękę pani domu do ust podniósł.

Był to już dzisiaj zwykły sposób, w jaki młody człowiek witał panią Marcelinę. Kładł on na ich urzędowy, etykietalny dawniej stosunek piętno serdeczniejsze,—nadawał mu cechę nie dwóch współników w pracy, za zgodą wzajemną podjętej, lecz dwóch przyjaciół, dwóch towarzyszy, których zbliża ku sobie dzieło, łącznie prowadzone, a gorąco ukochane.

— Idę ze Smolnej — objaśnił Lipowiecki, — gdzie wstąpiłem umyślnie, aby panią do domu odprowadzić.

Marcelina, zaskoczona tą uwagą, zaróżowiła się nieco.

— Ja zwykle sama chodzę po mieście — odparła z wahaniem.

— Jak ta odpowiedź maluje panią! — zarzucił Lipowiecki z uśmiechem, — jak na wskrós jest kobiecą! Troska o formy świata, o rygor towarzyski raczej, bierze górę nawet nad względami bezpieczeństwa, i to w takiej, jak obecna, chwili. A przecież przyrzekliśmy poza salonem traktować się, jak towarzysze pracy, i wzajemną nieść sobie pomoc.

— Przepraszam! — uśmiechnęła się słodko. — Ale świadoma, iż nikt się o mnie nie troszczy, przywykłam po prostu sama sobie dawać radę. Dla kobiety, pozbawionej rodziny, warunek to nie tylko form świata, lecz godności osobistej.

— I bardzo ładny rys charakteru, przed którym chętnie chylę głowę — przyznał Lipowiecki. — Niemniej, ponieważ wiem, że pani nie ma tu nikogo z blizkich, a wyrzucam sobie, że ją poniekąd w te „latające“ wykłady wciągnąłem, spostrzegłszy więc dzisiejszy burzliwy nastrój miasta, podniecany jeszcze proklamowanym ponownie strejkem kolejowym, zaniepokoiłem się żywo i poszedłem na Smolną, aby, jak wierny towarzysz pracy i przyjaciel, ułatwić pani bezpieczny powrót do domu. Czy zgrzeszyłem bardzo?

Delikatnie rzeźbione rysy pani Korezyńskiej promienny rozjaśnił uśmiech.

— Dziękuję! — wyrzekła serdecznie.

— Wina przebaczona? zupełnie? z serca? samorzutnym porywem? — pytał żartobliwie Lipowiecki, pochylając swą twarz poważną a dorodną, okoloną jasnym, krótko przyszyronym zarostem, by spojrzeć w rozbłyśniętym źrenice młodej kobiety.

— Nie tylko przebaczona, lecz zapisana do księgi rachunków życiowych, jako dług wdzięczności.

— Skoro pani tak szczegółową prowadzi buchalterję, proszę domniemany dług ten zrównoważyć, równocześnie zaś wzamian obciążyć w dwójnasób moje konto zapłatą, jaką, wchodząc tu, otrzymałem.

— Zapłata? — powtórzyła, otworzywszy szeroko swe śliczne oczy.

— Tak, a raczej nagrodą... wrażenie bowiem harmonji, spokoju i artystycznego piękna, jakiego doznaje, stojąc na tym progu, bywa dla mojej skolataniej, przepracowanej duszy, w tych czasach szczególnie, wyrazem najwyższego ukojenia, cichą przystanią, w której po wielu latach sam siebie odyskuję napowrót.

Nie brzmiała w słowach tych najłżejsza nuta komplementu, nie widniał cień nawet pochlebstwa lub flirtu. Była to spowiedź szczera duszy udręczonej „aż do śmierci smutnej“.

Pani Marcelina odczuła różnicę tę, jeżeli nie intuicją i taktem wrodzonym, to instynktem szlachetnego serca.

— Cieszę się z podobnego wrażenia i dziękuję panu za miłe dla mnie wyznanie — odparła z serdeczną prostotą. — Zmniejsza ono winę własnego mego sybarytyzmu, o którą oskarżałam się gorzko przed chwilą. Karciłam sama siebie surowo za upodobanie, z jakim od pracy społecznej, która mnie całą pochłaniać powinna, wracam tu, zasklepiając się w miękkim egoizmie własnego gniazda.

— Zupełnie niesłuszny zarzut—zaprzeczył mężczyzna poważnie.—Kto próbował wszczepić w umysł pani tak radykalne a mylne pojęcia? Praca społeczna nie wyłącza miłości ogniska domowego, lecz raczej wzmacnia ją i potęguje. Egoizm własnego gniazda, jak się pani ładnie wyraziła, to podstawa rodziny, a więc pośrednio i społeczeństwa; estetyczna

zaś i artystyczna harmonja, przez nie wywierana, to podstawa kultury, to czynnik cywilizacyjny i uszlachetniający, którego nam szczególnie lekceważyć niewolno. Gdyby praca społeczna, dziś tajona, podziemna, jutro jawna, miała zniwelować u nas wszystkie czynniki inne, zgnieść dążenia do piękna, unicestwić zamiłowanie do literatury i sztuki, w takim razie destrukcyjne jej w tym kierunku działanie cofnęłoby kraj wstecz o całe dziesiątki lat. Niewolno nam się cofać, niewolno zapominać, że jesteśmy narodem o tysiącletniej kulturze, który w pochodzie ku światłu kroczył zawsze równomiernie z innymi na czele cywilizacji łacińskiej Zachodu.

— Sztuka, literatura!... cóż za wielkie słowa w zastosowaniu do mojej małej osoby!

— Bo takie, jak pani, nawskróś zharmonizowane i uduchowione kobiety są kwiatem cywilizacji danego społeczeństwa.

— Panie Lipowiecki! ton podobny w ustach pańskich przykrość mi sprawia.

— Ton? — spojrzał na nią poważnie, a ze zdumieniem. — Pani może sądziła, że ośmielałam się ubliżać jej zdawkowym frazesem? Nie, to wyraz głębokiego mego przekonania. Znałem kobiety bardzo piękne, a jednak dla braku charakteru i dyrektywy moralnej, dla braku duszy po prostu stawały się one przekleństwem tych, którzy je na drodze życia swego spotkali.

Oczy mężczyzny pobiegły w dal, jakby w przeszłość, dawno minioną, a dla niego tylko, dojrzaną szachetne zaś rysy, dotknięte skrzydłem zadu-

my czy smutku, postarzały nieledwie. Zdawało się, iż dziesięć lat przybyło mu w tej chwili.

W salonie dłuższa zapanowała cisza.

Pani domu odczuła, iż nad myślą jej gościa przebiegło widmo dojmującego bólu, że jakiś upiór, od dawna zapomniany, dotknął jego serca lodowatymi szponami.

— Kobieta, jak każdy człowiek, jest wytworem środowiska, jakie ją wydało — próbowała bronić nieobecnej i nieznajomej. — A że wychowywano nas dotąd w bardzo niekorzystnych warunkach, nie należy więc potępiać bezwzględnie niektórych.

Łagodny, delikatny dźwięk jej głosu obudził z zadumy Lipowieckiego.

— Potępiać? Nie, przenigdy! Miałem matkę nieskazitelną, której pamięć czczę głęboko... Znam panią przytem... I znów ze czcią pochylam głowę... Ale, gdy patrzę na kobiety-Polki, które, trawestując nieśmiertelne słowa Kartezjusza „*Je pense, donc je suis*“, wzięły za dewizę „*Je dépense, donc je suis*“, gdy widzę, jak, pchane żądzą stroju, zabawy i błyszczenia, życieby własne dla nich zaprzedały, gdy słyszę, jak, wiedzione próżnością i próżniactwem, rzucają na kartę cześć swoją i honor rodziny, wtedy pytam się ze zdumieniem, z jakiego kamienia wykute są te dusze, w które ani krew, ani łzy, ani kajdany niewoli nie były w stanie natchnąć poważniejszej myśli, zbudzić w nich szlachetniejszych uczuć?

— Teraz na mnie kolej zapytać: kto panu temi paradoksami zatrął ducha? Jeden życzliwy uśmiech kobiety powinien gorycz ich rozproszyć.

— I już rozproszył — przyznał Lipowiecki, uśmiechając się ponownie. — Pamięć ludzka to rodzaj arfy eolskiej, z której lada podmuch bolesne czasem wydobywa tony.

Pani Korczyńska wyciągnęła ku niemu rękę, a w ślicznych, ciemną oprawą otoczonych, szafirowych jej oczach błyszczało szczere, serdeczne współczucie.

— Żal mi pana — mówiła głosem słodkim, stłumionym. — Życie musiało dać panu jakiś bolesny zawód?

— Czy wolno mnie, mężczyźnie, mówić o nim, gdy pani tak dzielnie znosi swe osamotnienie?

— Przywykłam do pustki i ciszy. Miałam lat 17, gdy wydano mnie za mego, chorego już wtedy, kuzyna. Pragnął podobno tego związku; mówił, że mu ostatnie osłodzi chwile, i w rok niespełna umarł. W pamięci mej pozostało dla niego gorące współczucie, a żal do rodziny, która dziecko niedoświadczone tak bolesnej poddała próbie. Odtąd jestem zawsze sama. Zwiedziłam Europę, kształciłam się lat kilka, aż stopniowo umiłowanie idei narodowej i pływające z niej obowiązki wypełniły mi życie i rozszerzyły jego widnokręgi.

— Tak, idea narodowa, ta wielka pani, dla której służba u nas kapłaństwem nieledwie się staje, to dźwignia wszystkich smutków osobistych, to potęga, wobec której własne bóle maleją i nikną. Sama myśl naprawienia krzywd, od wieku przez miliony cierpiących, podnosi już ducha i życie sobą wypełnia. A jednak...

Z pod rzęs długich, cień na policzki rzucających, oczy młodej kobiety pobiegły z pytaniem ku niemu.

— A jednak — kończył, — gdy widzę istotę młodą, delikatną, jak pani, nie mogę się wtedy opędzić wrażeniu, że przeznaczeniem jej nie udział w walce o prawa społeczne i narodowe, lecz ciche szczęście przy ognisku rodzinnem.

Szafirowe źrenice pani Korczyńskiej zapalały; fala krwi gorącej przebiegła rysy jej rzeźbione, doskonale piękne.

— Myli się pan — zaprzeczyła żywo. — Grzechem byłoby odsuwać kobiety od pracy obywatelskiej dlatego, że nie mają mięśni ze stali. Wszak można je zastąpić wolą żelazną i sercem gorącym, na śmierć sprawie oddanem. Marna to rola myśleć o własnym zadowoleniu i spokoju, gdy nasi najbliżsi i ukochani co dzień, co godzinę narażają się na najwyższe niebezpieczeństwo. Nie, i ja jestem dzieckiem tej ziemi, i ja chcę żyć jej życiem, i ja mam prawo brać udział w historycznej a doniosłej chwili przełomu, jaka wstrząsa podstawami jej bytu.

Była tak piękna z ogniem zapалу w wielkich szafirowych źrenicach, taka siła woli promieniała z jasnego czoła, otoczonego bujną aureolą ciemnych włosów, taki urok kontrastu bił od tej cieplarnianej postaci, strojonej w miękki szlafroczek i puszyste koronki, a tętnącej mocą ducha i odwagą kobiety-obywatelki, iż Lipowiecki nie mógł od niej oczów oderwać.

— Pani ma rację — przyznał po chwili. — Duch niewieści młodszy jest co do działalności swej społecznej od naszego, mniej znużony... Gdy raz rozwinie skrzydła do samoistnego lotu, nie należy mu ich kępować, bo na skrzydłach tych białych może w odmęcie burzliwej epoki unieść i uratować niejedną zbłąkaną, a nawet zgubioną duszę.

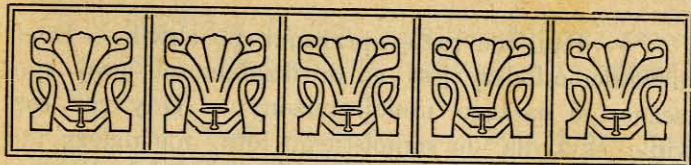
Zatrzymał się chwilę z namysłem, poczem ciągnął dalej:

— Skoro pani pragnie zobaczyć naocznie tryby wielkiej maszyny rewolucyjnej, w ruch puszczonej, mogę jej być w tem pomocny. Mam właśnie bilety na wiec polityczny... tajny, rzecz prosta, jaki się dziś odbędzie w jednym z mieszkań prywatnych. Czy chce pani wziąć w nim udział?

— Z największą chęcią i gorącą wdzięcznością.

— A więc przyjdę po panią o 7-ej. Bo — dodał z uśmiechem — dopóki mamy tylko „wolę żelazną“, lecz nie „mięśnie ze stali“, nie możemy chodzić same na wieczorne zebrania robotnicze.

I, pożegnawszy ją, po żartobliwych tych słowach opuścił salon.



XII

Gdy pani Marcelina Korczyńska, możliwie skromnie i ciemno ubrana, znalazła się wraz z Lipowieckim na ulicy, serce jej biło mocniej, niż zwykle. Tajemnicza wycieczka wieczorem w towarzystwie obcego mężczyzny wydawała się jej czemś niesłychanem. Z drugiej wszakże strony pojmowała doskonale, że nie czas to i nie chwila do stosowania w życiu prawideł towarzysko-salonowych. Szli szybko i w milczeniu. Raz jeden tylko Lipowiecki, dojrawszy przez gęstą woalkę rysy jej, bledsze, jak mu się zdawało, niż zwykle, zacytował zartobliwie:

— „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar według sił.“

Uśmiechnęła się, podnosząc ku niemu pełne ufności spojrzenie.

Ta wiara w słowo jego i opiekę, to zdanie się na jego łaskę i niełaskę rozumnej i odważnej, lecz bądź-

co-bądź obcej twardym warunkom życiowym, cieplarnianej istoty dziwnie go za serce chwyciły. Szła z nim na jawne niebezpieczeństwo, nie pytając się nawet, dokąd ją prowadzi; szła, jak prozelitka za przewodnikiem idei, pewna, że ku dobremu wieść ją tylko może. Lipowiecki, wyższy o głowę, patrzył z miękkim uczuciem na regularny, śliczny jej profil, już to w świetle latarni białością swą błyskający, już mknący w półmroku i załamach czarnej woalki.

Tak dawno, dawno żadna ręka kobieca nie opierała się z ufnością i wiarą o jego ramię. Tak dawno... może nigdy... może nigdy... Wątpliwość ta, z przeszłości poczerpnięta, kazała mu spoglądać z serdecznym w oczach blaskiem na szczupłą, wysmukłą postać, idącą cicho a elastycznie obok niego.

Skrećwszy w boczną mało uczęszczaną uliczkę, stanęli u drzwi jednej z prywatnych sal gimnastycznych. Otworzono je z wewnątrz za pierwszym odgłosem dzwonka. Bilety ich zato podległy ścisłemu obejrzeniu; obawiano się snadź niepożądanych intruzów.

Dość duża sala, z której usunięto pod ścianę przyrządy gimnastyczne, pełna już była.

Lipowiecki, rzucając ukłony na prawo i na lewo, z trudnością torował drogę dla swej towarzyszki. Wkońcu jednak znalazło się i krzesło w pobliżu mównicy, które podał pani Korczyńskiej, sam stojąc opodal.

Nie było tu właściwie estrady. Czarny prosty stolik na pewnem wzniesieniu, a przy nim trzy osoby, jako ukonstytuowane już widać prezydium.

Na sali kilkanaście rzędów krzeseł i ławek, a dalej każdy się mieścił, jak mógł, stojąc w przejściach, siedząc we framugach nawet. Publiczność różnorodna, przeważnie jednak robotnicza; dużo ostrych semickich rysów, zarówno męskich, jak kobiet; dużo czarnych, błyskotliwych, o świdrującem spojrzeniu oczów; wogóle—las głów, gorąco i zaduch, nagromadzeniem ciał i brakiem powietrza wywołany.

Pani Korczyńska badała otoczenie ciekawem, lecz dyskretnem wejrzeniem. Uderzyło ją przede wszystkim, iż kobiety, biorące udział w zebraniu, są bardzo młode: podlotki, lub zaledwie dorosłe dziewczyny, o czarnych, przeważnie kędzierzawych włosach, upiętych w secesyjne lub wyzywające fryzury, a przysłoniętych zawadjackimi beretami. Wśród mężczyzn semickiego typu przeważały także osobniki niepełnoletnie jeszcze. Była to widocznie najmłodsza i najzacieklejsza generacja żydowskich rewolucjonistów.

Garść polskiej inteligencji i rzemieślnicy w codziennych od pracy ubiorach stanowili tu mniejszość.

Przewodniczący uderzył w dzwonek.

Na sali rozgwar, złożony z uwag, powitań i gawęd poufnych, umilkł stopniowo.

— Obywatele! — zagaił głosem donośnym. — Obywatele! Sam fakt, że zgromadziliśmy się tutaj tak licznie, świadczy już, jak bardzo czujemy wszyścy potrzebę solidarności i wspólnej narady w tych ciężkich dla kraju chwilach. Że z prostą tą akcją,

mającą na celu jedynie zorientowanie się w grożącym nam niebezpieczeństwie, z akcją, do której ma prawo nie tylko każdy człowiek, lecz każde żyjące stworzenie, musimy, jak ze zbrodnią, ukrywać się, to wstyd już tylko zastarzałym prawom i przemocy, jaka nami rządzi.

Grzmot oklasków przywitał pierwsze gorące te słowa.

— Obywatele! — ciągnął ten sam pan o wielkich wąsach i zamaszystej powierzchowności zawadjackiego mieszczanina.—Klęska, zadana Rosji przez wojnę japońską, zachwiała podstawami starego systemu rządu. W całym imperjum wre i kipi walka o nowe prawa, walka o wolność. Nie widzimy jeszcze świtu owej wolności, lecz patrzymy na zmierzch starej Rosji, która w ciemność zapadnie się niezadługo.

Ogłuszający grzmot oklasków stwierdził po raz wtóry sympatię, wywołaną przez mówcę wśród słuchaczy.

— Zanim nowa, krwią walki o wolność z nieprawości swych i zbrodni obmyta Rosja konstytucyjna i parlamentarna stanie przed nami, zanim uzyskana autonomja Królestwa Polskiego pozwoli nam wyleczyć własne rany, trzeba, jak sądzę, naradzić się nie tylko nad dalszym udziałem w ogólnym ruchu rewolucyjnym, lecz i nad zagadnieniami najbliższej chwili. Należy do nich przedewszystkiem strejk, zawieszony ponownie, jak groźba piorunu, nad Warszawą. Czy mamy go odrzucić lub poddać się niszczyielskiej jego sile, to wykażą właśnie mówcy, zapisani do głosu. Nie odmawiamy go nikomu w ce-

lu wszechstronnego wyjaśnienia opinii ogółu oraz uszanowania przekonań każdego stronnictwa i każdego obywatela.

Zatrzymał się, lecz tym razem wobec braku jaskrawych wyrażen silne dłonie wyrostków i podlotków nie uderzyły mu już brawa.

— Pani Goldberg ma głos—obwieścił i wśród głębokiej ciszy zajął dawne miejsce.

Na estradzie stanęła kobieta trzydziestoletnia może. Nikła i nieładna, w skromnej, źle skrajanej czarnej sukni, czyniła bardzo niepozorne wrażenie. Mimo to w sali zerwała się istna burza oklasków. Prelegentka podziękowała za nie ukłonem i szero kim, odsłaniającym zęby i dziąsła uśmiechem, poczem przez chwilę stała w milczeniu, czekając, aż się publiczność uciszy.

Młodzież, a szczególnie panny o secesyjnych lub kędzierzawych czarnych fryzurach i fantastycznych beretach zerwały się z miejsc swych i cisnęły ku mówczyni, otaczając zwartem kołem estradę.

Skorzystawszy z ruchu tego, Lipowiecki zajął opróżnione obok pani Korczyńskiej krzesło.

— Kto to? dlaczego ukazaniem się swem taki wywołuje zapal? — spytała pani Marcelina szeptem stłumionym.

— Znana Egerja socjalizmu, przewodczyni trybun i zarazem chluba Żydów warszawskich. Wtajemniczeni dowodzą, iż płatna jest, i to hojnie płatna za każdy występ. Wróciła świeżo z cytadeli... stąd zdwojona owacja.

Z estrady popłynęła tymczasem fala zwartej, szybkiej, jak potok toczącej się wymowy. Z początku miało to cechę trywjalnej gadatliwości niewieściej; stopniowo wszakże mówczyni rozgrzewała się; na przywiedle, bezbarwne jej lica wystąpił rumieniec zapалу; słowa siekły ironją, kłuły sarkazmem, nabierały piekającej goryczy i piorunowej siły.

— Szanowny przewodniczący w krótkich wyrazach, otwierających wiec, wygłosił, bezwiednie zapewne, monstualny paradoks. Stwierdziwszy bowiem, iż w całym Cesarstwie wre i kipi rewolucja, która, pokonawszy stary system rządowy, pławiący się we krwi i w zbrodniach, ma powołać do życia Rosję odrodzoną, na podstawach konstytucyjnych opartą, stwierdziwszy fakt ów znany, a dla logiki męskiej zdumiewający widzieć i niepojęty, oraz rzucając umizg ulicznego Don Juana w stronę autonomji polskiej, pan przewodniczący wzywa nas równocześnie do skomplikowanej narady: „czy mamy odrzucić strejk, wiszący, jak groźba piorunu, nad Warszawą, lub poddać się niszczyielskiej jego sile?” Zaiste podobne rozumowanie byłoby potworną pułapką, gdyby nie teńnęła z niego naiwność, godna czasów pasterskiej prostoty uczuć i pojęć... Panu przewodniczącemu i całemu jego stronnictwu zapewne podoba się myśl o ogólnej wolności, o Rosji konstytucyjno-parlamentarnej i o autonomji Polski. Ale czekałby na te dobre czasy, schowawszy się za plecy władzy dzisiejszej... czekałby, aż my, socjaliści i rewolucjoniści, zdobędziemy mu krwią naszą swobody wolnego obywatela i człowie-

ka, aż wydrzemy własnymi rękami — tu wyciągnęła przed siebie dwie gwałtownie zaciśnięte pięści — z gardła wrogiej biurokracji te prawa i przywileje, za które gotowi jesteśmy ostatnią kroplę krwi oddać; słaby nas bez poparcia do katorgi i na Sybir, sądząc, iż w zdobytej przez waleczny proletarijat „autonomicznej Polsce“ otworzy się mnóstwo drogo płatnych stanowisk i synekur, które członkowie jego stronnictwa raczą zająć wtedy. Po trupach proletariuszów, po rzekach krwi robotniczej, po nędzy wiekowej ludu, a mękach, znoszonych przez nas w kazamatach i cytadelach, do własnych kroczyć celów, do własnego dobrobytu i wyniesienia... oto myśl główna zeszlachconej i znikczemniałej „inteligencji“ dzisiejszej.

Głowy zgromadzonych dookoła estrady zachwiały się i zakolysały, jak łan zboża.

— Hańba! hańba! hańba!... — wybiegło z kilkudziesięciu młodzieńczych piersi.

Piorunni, jak dzwon grzmiący głos mówczyni zniżył się teraz do kłującej ostrzem szpilek ironji.

— „Czy poddać się niszczylińskiej sile strejku?“ — cytowała z sarkazmem. — Zaiste dzikie, jeżeli nie dziecinne pytanie! A cóż to ona panom burżujom zniszczy? Nie będą mieli świeżych bułeczek do kawy? I to nieszczęście, godne historycznej, przełomowej epoki! Ha! jacy bojownicy, takie zwycięstwa i takie klęski! Ty, proletariuszu, gnij w lochach fortecy; ty, robotniku polski, szerniej z nędzy na zimnem poddaszu, lub w ciemnej, wodą ociekającej suterenie, byle takim dobrze było!

— Hańba! hańba! hańba!... — zagrzmiało znów dookoła.

Nastrój stawał się gorący i burzliwy. Prezydium za stołem na estradzie miało minę ludzi obitych i wyrzuconych za drzwi, — przez poszanowanie jednak dla wolności słowa milczało stoiczenie z oczami w dół spuszczone. Pani Korczyńska wobec groźby podniecenia ogólnego przysunęła się bezwiednie bliżej do Lipowieckiego.

— Więc czemżeż to ci panowie myślą walczyć o wolność, jeżeli i strejk odrzuca? Może posiadają zorganizowaną armję, armaty? Prosimy, niech nie robią tajemnicy ze swej siły zbrojnej! Bo my mamy tylko do rozporządzenia, prócz ciał i dusz własnych, w służbę rewolucji oddanych, bierny opór i bezwład kamienny. Skala nie wytopia, nie morduje kroczącego naprzód wrogiego i uzurpatorskiego rządu, a jednak on może się o nią potknąć i rozbić, roztrzaskać czerep swój na zawsze!... Towarzysze! Każdy rząd jest wrogi i uzurpatorski, bo kierownictwo losami ludu tylko do ludu należeć powinno! Zamieńmy się więc w tę skalę, której wróg przebić nie zdoła! Niech bierny opór i bezwład kamienny ogarnie kraj cały! niech strejk powszechny przerwie puls życia! niech zamrze ten olbrzym pozorny, krwią waszą utuczony! niech pozna siłę i potęgę zjednoczonej woli uciśnionego proletariatu!

Burza oklasków przerwała dalsze słowa. Ponad ogłuszającym ich echem zdawał się jednak górować

spizowy głos jej, rozbrzmiały w rozedrganych atomach upalnego powietrza sali.

— Towarzysze! Strejk to jedyna broń przeciw wrogom proletariatu; nie dajcie jej wydrzeć ze swych dłoni! — wołała z siłą. — Potęga wydziedziczonych polega na ich łączności i solidarnem działaniu. Komitet robotniczy rosyjski proklamował strejk, i my więc w imię jedności na odezwe tę strejkiem odpowiedzieć musimy. Ogólne bezrobocie, ogólny le-targ ekonomiczny na obszarach wszech ziem caratu! Niechaj, czekając na swą autonomję, burżuje kłaniają się rewirowym i chowają za ich plecy. My nie uznajemy polityki podłych tchórzów. Rewolucja nie prosi, lecz zdobywa; nie skamle o prawa, lecz bierze je sama. Nie czekając więc na nieczyje pozwolenie, ustanawiamy prawo strejku, bo ono stanie się najpotężniejszą bronią w ręku zwycięskiego proletariatu!

Skończyła wśród entuzjastycznych oklasków i głuchego pomruku garści niezadowolonych z owacji tej słuchaczy.

— Boże, ileż ona rzuciła kłamliwych twierdzeń! ile zgubnych, fałszywych doktryn! Czyż nikt tego nie zbije? — pytała z cicha pani Marcelina wśród wzrastającej wrzawy i oklasków.

Przeciągły dzwonek przewodniczącego przywrócił nareszcie spokój.

Na estradzie stanął z kolei mężczyzna ryży, bez wąsów, o typowo garbatym nosie i świdrujących oczach.

— Szanowna przedmówczyni — zaczął śmiało, — wspominając o autonomji Polski, zapomniała dodać jeden komentarz: oto, że autonomia ta nas, przedstawicieli ludu, nie obchodzi.

— Ludu izraelskiego chyba? — wtrącił ktoś głosem donośnym.

— Nie uznajemy narodowości! nie uznajemy żadnej ojczyzny burżujów! — odrzucił wyzywająco głos z estrady. — Skoro kajdany, ucisk i przemoc kapitalizmu są lotrowstwem i zbrodniami, gnębiąciami warstwy wyzyskiwane we wszystkich krajach, więc i my mamy prawo łączyć się w międzynarodowy związek proletariatu, który zna jednego tylko Boga: „Lud“ i jedno hasło: „Wolność i sprawiedliwość dla pokrzywdzonych!“ Polska i jej przyszłość nie istnieją dla nas.

— Dosyć! dosyć! — zawrzały gniewne głosy wśród tłumu.

— Nie istnieją dla nas! — powtórzył czelnie. — Chimeryczne zaś orły jej białe, czy inne ptaki i symbole potrafimy zdeptać, gdy nam staną na drodze do zbudowania państwa przyszłości, pełnego chwały królestwa proletariatu!

— Precz! precz! precz! — rozległy się krzyki ze wszystkich stron sali, a równocześnie groźne postacie robotników o żyłastych, muskularnych dłoniach rzuciły się wraz z przedstawicielami inteligencji ku zaimprovizowanej estradzie, otaczając ją zwartem kołem.

— Precz! Nie chcemy słuchać dalej! Odwołaj bluźnierstwa! — wołano.

Ryży pan o świdrujących oczach skrzyżował ręce na piersiach, odrzucił w tył głowę i bluznął gryzącem szyderstwem:

— Kulturalny naród umie szanować wolność przekonań i wolność słowa... Piękne byłyby prawa w tej waszej odrodzonej Polsce!... Jeżeli towarzysze z pod czerwonego sztandaru wysuwają naprzód jej autonomję, czynią to może z taktycznych względów; ja jednak należę do odłamu, który nie uznaje takiej taktyki, nie uznaje waszej tyrańskiej, pańszlacheckiej Polski i zdepce śmieszne jej orły, gdy dobro ludu będzie tego wymagało.

— Dosyć! Nie chcemy słuchać!—powtórzono.—
Precz!

— Precz! — podjął z nienawiścią ryży mówca:

„Precz ze zdziercami, precz z tyranami!
Niech ginie stary, podły świat!
My nowy świat stворzymy sami
I nowy zaprowadzim ład“.

— Brawo! — huknęła z dzikiem uniesieniem młodzież. — Brawo!

I podjawszy z zapalem słowa jego, śpiewała chórem:

„Dalej więc, dalej więc, wzniesmy śpiew!
Nasz sztandar płynie ponad trony;
Niesie on zemsty grom, ludu gniew,
Przyszłości rzucając siew,
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew“.

Sala dziwny przybrała wygląd. Na estradzie obok uderzającego gwałtownie w dzwonek prezydującego wyprostowany wyzywającym ruchem ryży faun czy satyr zdawał się stawiać czoło tłumowi mężczyzn, których oczy pały oburzeniem, a pięści zaciskały się kureczowo w gniewie bezsilnym. Mogli go wprawdzie zgnieść i zmiążdżyć, lecz na to nie pozwalały elementarne prawa parlamentaryzmu, wrodzone im, bo w krew polską tradycją wszczepione. Żyd wiedział o tem, pozował więc na bohatera, który w obronie głoszonej idei staje bezbronny, z odkrytą piersią, przed rozjątronym tłumem; podtrzymywał zaś pozę podobną tem łatwiej, iż poza zwartą lawą Polaków, otaczających gniewnie estradę, zbита masa współwyznawców i „towarzyszy“ jego przybierała groźną postawę, powtarzając chórem końcową zwrotkę „Czerwonego sztandaru“.

Wtem zakotłowało się. U wejścia powstał jakiś hałas. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę.

— Patrol! policja! — rzucił ktoś z tłumu.

Ryży bohater przygarbił się nagle ku ziemi i, zeskoczywszy błyskawicznym ruchem w tył estrady, salwował się ucieczką, niknąc chyłkiem w zwartych szeregach swoich współwyznawców.

Zamęt wzmagał się, grożąc katastrofą. W niektórych rękach błysnęły brauningi.

Lipowiecki powstał, osłaniając sobą panią Korczyńską. Zmierzywszy okiem salę, zrozumiał, że alarm był fałszywy. Kto wie?—może manewrem tym chciano przerwać nieprzyjazny nastrój dwóch odłamów narodowości, stojących groźnie naprzeciw siebie.

Niemniej Lipowiecki, dzięki znajomości lokalu i jego rozkładu, skierował się ku drzwiom, ukrytym poza estradą, a wyprowadziwszy panią Marcelinę, bladą, jak opłatek, znalazł się z nią wkrótce na cichej uliczce pod wyiskrzoną gwiazdami kopułą niebios.

Blada była, lecz przedziwnie spokojna. Tam już, wśród piekielnego rozgwaru tych karykaturalnych obrad, ani jeden mięsień ślicznej jej twarzy nie drgnął trwogą lub strachem. Lipowiecki stwierdził to z podziwem, lecz równocześnie pojmował, iż same niekulturalne krzyki i wycie tłumu, sam śpiew rewolucyjnego hymnu i błysk rewolwerów musiał szarpać delikatne jej nerwy zgrzytem szatańskim.

— Oto skutki zakazu jawnych obrad i wieców; tajne, ukrywane, zamieniają się w anarchistyczne zbiegowiska. Nigdy nie daruję sobie, że panią przyprowadził tutaj. Ale tyle razy w tej samej sali naradzano się przy pięknych mowach przyzwoicie i względnie spokojnie. Przepraszam z całego serca za pomyłkę, którą mogliśmy drogo przypłacić.

Pochylił się ku niej z serdeczną prośbą w głosie i spojrzeniu.

— Wojska, ani policji nie było. Niemniej samowrażenie tego dzikiego popłochu, sam widok broni wydobytej musiał panią przerazić i wstrząsnąć jej nerwami. Czy mi pani przebaczy lekkomyślne narażenie jej na podobną przykrość?

Podniosła ku niemu blade jeszcze blaskiem zrenie tylko rozjaśnione rysy.

— Balam się o pana jedynie — wyznała.

— O mnie?... pani o mnie? — podjął, dziwnie słowami temi ujęty, własnym niedowierzając uszom.

— Tak. W razie aresztowania mnie nie nie groziło, ale panu...

Jej nie nie groziło! O, naiwności dziecięca!... O, czystości uczuć i myśli dziewiczych!...

On, mężczyzna dojrzały, znający świat i życie, nie obcy pogłoskom o katuszach, znoszonych przez uwięzione kobiety, mógł ją, tę wrażliwą mimozę, tę białą gołąbkę, nie znoszącą śladu pyłu nawet na śnieżnych swych skrzydłach, narazić lekkomyślnie na takie rozdarcie duszy, na taką hańbę i śmierć moralną!...

Zadrzały w nim wszystkie nerwy, a cała krew do serca zbiegła. Poczul, iż, gdyby przypuszczenie to było rzeczywistością, winę swą obłędemby przypłacił.

Pochylił się nagle i ustami przylgnął do ręki, z taką ufnością o ramię jego wspartej.

— Pani, przebacz!... — wyszeptał gorąco.

Ona, pokorą tą ujętą, przysunęła się bliżej ku niemu i powtórzyła z prostotą te same, co wpięrowe, słowa:

— Ja się o pana tylko bałam. Pańska patriotyczna i narodowa działalność tak jest rozległa, iż uwięzienie mogłoby panu poważnem grozić niebezpieczeństwem.

Ten szczerzy a krańcowy brak egoizmu wzruszył jeszcze więcej Lipowieckiego.

Szli czas jakiś w skupionem milczeniu, mijając rzadkich przechodniów i placówki wojskowe. Gdy

dosięgli w Alejach Jerozolimskich domu, zamieszkiwanego przez panią Korezyńską, Lipowiecki odechnął. Tu już nie jej grozić nie mogło.

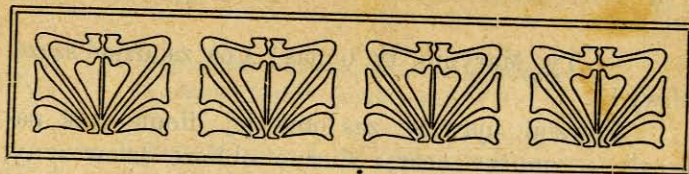
Żegnając ją u progu mieszkania, w ostrem świetle gazowej lampy stwierdził ponownie, iż młodzieńcza, gibka jej postać i delikatny owal, wysuwający się z pod ronda dużego czarnego kapelusza, niepospolitym a szlachetnym tchną urokiem.

— Doznałem dziś, dzięki pani, niezapomniane-
nego wrażenia — mówił, wpatrzony w nią, z wilgotnym blaskiem w oczach. — Spotkałem bowiem kobietę tak czystą, a egoizmu pozbawioną, iż w chwili niebezpieczeństwa, zamiast o sobie, myślała o obcym jej człowieku.

— Twierdzenie nieścisle — poprawiła z uśmiechem. — Pan dla mnie nie jest obcym „człowiekiem“; łączą nas wspólne dążenia i wspólna praca, łączą długie godziny, razem jej poświęcone. Czy się bardzo omylę — dodała, patrząc mu z odrobiną zalotności w oczy, — gdy powiem: łączy przyjaźń, na którą w osamotnieniu swem przywykłam już liczyć?

— Dopóki żyję — zapewnił z głęboką powagą, — może pani zawsze na nią rachować. Biorę ten dar królewski, by wzamian duszą swą za niego zapłacić.

A gdy w tej chwili w odpowiedzi na dzwonek służąca drzwi otworzyła, pochylił się już tylko i, złożwszy na rękę pani Korezyńskiej serdeczny pocałunek, zniknął na schodach.



XIII



o dworku Hetmanika zapukano lekko. Gospodarz, zajęty przy bocznem, na sad wychodzącym oknie, nie słyszał snadź, bo nie poruszył się wcale.

Klamka naciśnięta otworzyła się, na progu zaś stanęła Marynia Kołkowska. Była, jak zawsze, w prostej, czarnej sukience i białym fartuszką. Ciemny warkocz, nad czołem ujęty, wieńczył jej głowę; smutne oczy powiększały jeszcze bladość drobnej, szczupłej, a dziwnie rasowej i delikatnej twarzy.

Zawahała się, poczem, postąpiwszy cicho na-przód, położyła ostrożnie rękę na ramieniu krewnego swego i opiekuna zarazem.

— Dzień dobry, Karolu.

Na dźwięk tego głosu drgnął i obrócił się, a wielka nietajona radość, jaka opromieniła jego rysy, zdawała się rozjaśniać całą świetlicę.

— Ty, Maryniu, ty, u nas? Cóż za dzień szczęśliwy!

Powstał, ujawszy zaś obie jej dłonie, tak patrzył w smutne oczy i śliczne oblicze dziewczyny, jak gdyby chciał wyrzeć je na zawsze w swej pamięci.

Posadził ją na krzesło przy stole, zsuwając równocześnie delikatnym ruchem zamszowe rękawiczki z jej palców.

— Nie lubisz rękawiczek, jak twoja matka — zauważyła z półśmiechem. — Ja zaś nosić je muszę, gdyż inaczej ręce moje, grubiejąc, stają się niezdadne do delikatnych haftów i robót.

— Nie mam żadnych do stroju tego uprzedzeń. Ale, gdy ta skórka nie broni mi rąk twoich, gdy zziębnięte, jak teraz, rozgrzewam w swej dłoni, zdaje mi się, że nie odeszłaś od nas, Maryś, że, jak dawniej, z każdym smutkiem lub radością do mnie przybiegasz...

Odwrociła wpół głowę, poczem, jakby pod nagłym wrażeniem, wyznała:

— Zgadłeś. Właśnie przychodzę szukać u ciebie rady i pomocy. Ale przerwałam ci pracę; może znów piszesz jaką piękną pieśń polską?

— Gdzieżbym tam miał czas! Ważniejsze są teraz rzeczy na głowie. A zresztą czy warto mówić o moich wierszach?

— Jakżeby niewarto! Wczoraj jeszcze pan Jerzy deklamował:

„Cześć ci, szlachetna polska młodzieży!
Za świętą sprawę idź śmiało w bój!

Bóg sprawiedliwość wkrótce wymierzy
I sławąc będzie męka i złość!“ *)

— A potem pan Jerzy powtarzał jeszcze twoją także pieśń:

„Jestem Polakiem i polską mam duszę,
I polskie serce w mej piersi bije.“ *)

Pan Jerzy, pan Jerzy, pan Jerzy — zabrzmiało zgrzytem w duszy młodego chłopca. Twarz mu pociemniała, uczucie zaś dumy z własnych utworów, przez te drobne cytowanych usta, pierzchnęło bezpowrotnie.

— Mówmy lepiej o tobie. Co słyhać we dworze, Maryniu?

Odwrociła od niego głowę, patrząc z zadumą w głąb sadu.

Teraz dopiero, gdy ostre światło wprost na rysy jej padło, spostrzegł, iż ciemne oczy noszą ślady leż świeżych.

Dziwny ból szarpnął mu sercem, a dusza cała zadrgała.

— Maryś, co tobie? Tyś płakała? Może masz już dosyć tej pracy nad dziećmi w szkole? może chcesz wrócić do chaty?

*) „Z pod chłopskiej strzechy“. Zbiorek poezyj F. Ku-rasia. Kraków, 1905.

*) „Białe kwiaty z chłopskiej chaty“. Napisał Jantek z Bugaja, parobek wiejski. Nakład Friedleina w Krakowie.

Głos jego drgał radosnem oczekiwaniem i nadzieją.

Odwrócona w połowie od niego i zapatrzona w ogród, aby rysów jej nie widział, wstrząsnęła przecząco głową.

Ruch ten zdawał się mówić:

— Mnie już nie do chaty...

Spazm fizycznego wprost bólu ścisnął sercem Hetmanika. Pochylił się ku niej, jak gdyby była jeszcze dawną małą dziewczynką, której drobne żale i troski zwykł był utulać.

— Co tobie, dziecko? Czego płakałaś? Powiedz.

Skierowała ku niemu śliczne swe oczy, w głębi których jakaś niewygasła tliła się tęsknica, i odparła:

— Jeżeli mam powieki zaczerwienione, to od wiatru może. Zresztą, Karolu, lzy wylane uspokajają i smutek łżejszym czynią; najcięższe są te, których wypłakać nie można, bo padają na serce i, jak rdza, wypalają na niem ślady... a takich nie brak w żadnem sierocem życiu.

Czuł, że dusza jej wymyka mu się, że ma własny, w sobie zamknięty świat trosk i bólów. I znów cała jego dobroć, cała siła uczucia skoncentrowała się w głosie, jakim zapytał:

— Maryniu, czy w tym smutku twoim nie mógłbym być ci użytecznym? czy nie zdołam w niczem ci pomóc? Pomyśl; jestem twoim najbliższym krewnym; wzrastałaś pod mojem okiem...

— I owszem, Karolu, ty jeden jesteś w stanie marzenia moje urzeczywistnić.

Oczy Hetmanika zabłysły znów nadzieją i radością.

— Powiedz jednak, czy wujenki niema w domu?

— Niema; pojechała do młyna.

— Tem lepiej. Wolę wpierw z tobą pomówić. Karolu, pomóż mi sprzedać grunt po ojcach.

— Grunt? sprzedać grunt po ojcach? Chyba źle słyszę! Maryś, a czy ty wiesz, że kupeczyć ziemią, spuścizną świętą rodziców, to grzech i wstyd? To dzisiaj zbrodnia prawie!

— Większą jest zbrodnią własne marnować życie i własną zatracać duszę.

— Zatracać duszę? Co to ma znaczyć? Gdzież ty znajdujesz dla niej czystsza atmosferę i właściwsze otoczenie? Powiedz, co to wszystko ma znaczyć...

Odwróciła znów głowę, jakby walcząc z sobą, a ciemna purpura oblała brzoskwiniowe jej lica. Wreszcie biorąc na odwagę, wybuchnęła z mocą, niezwykłą u tak cichej zazwyczaj istoty.

— Nie mogę tak żyć dłużej! nie mogę, Karolu! Nie myślcie, że wrócę do chaty doić krowy i hodować kury. Nie mogę! Cała moja dusza rwie się naprzód i woła, iż mam prawo, jako wolny człowiek, zadośćuczynić pragnieniom serca i myśli. Chcę jechać do Warszawy; chcę się kształcić wyżej na nauczycielkę prywatną. Potrzeba mi więc pieniędzy i dlatego proszę cię o sprzedanie gruntu.

— A z czasem, wiekiem i pracą sterana, gdzież schronisz się? gdzież bez własnego dachu znajdziesz oparcie i byt cichy?

— Wszystko jedno. Świat dla sieroty otwarty.

— Wszak od ciebie zależy, by przestać być sierotą...

Nie zrozumiała, czy udało, że go nie rozumie...

— A cóż poczniesz, młodziutka, sama jedna w obcym mieście, bez opieki?

Zawahała się, zacięła, a wreszcie rzuciła:

— Może pan Jerzy dopomoże mi w znalezieniu stosownego pomieszczenia...

— Aaa!... Pan Jerzy!...

Hetmanik zbladł, i głowa mu na piersi opadła.

— Ależ on jest tu, na wsi — zaoponował, czeplając się faktu tego, jak promyka nadziei.

— Chce wracać już do Warszawy. Właśnie dziś pojechał, aby pożegnać się z Prędowskimi.

— Aha, więc i on, i Jerzy wraca do Warszawy...

Hetmanik zbladł bardziej jeszcze. Wąż zazdrości zapuścił mu jadowite swe żądło w samo serce, zatruwając krew odżywcza. Pierwotna natura zbudziła się w nim w tej chwili, kłębiąc w duszy wszystkie złe instynkty i całą wrodzoną nieufność. Jerzy opuszcza dom, a Marynia chce równocześnie przenieść się do Warszawy, gdzie panicz, ów królewicz z bajki, ma jej wyszukać pomieszczenie i dać opiekę... Pozory były tak fatalne, a przytem tak jawne, iż, piętrząc się coraz wyżej, zwartym murem przeciw nim świadczyły.

Towarzysz lat dziecięcych i przyjaciół z ławy szkolnej, któremu zawdzięczał poniekąd to, czem był dzisiaj, a więc wszystko w życiu, bo przebudzenie

ducha i myśli! Druh serdeczny, który mu wskazał najszlachetniejsze cele i wytknął do nich drogę jasną! Och! jakżeż za dobrodziejstwa swoje drogą brał teraz zapłatę! jaki bajeczny kazał sobie złożyć okup!...

Karol ukrył twarz w dłoniach, by mękę swą zataić przed oczami dziewczyny.

Ona, dziecię wzrosłe na jego rękach i od zarańia młodości tak gorąco kochane, ona, droga mu tem, iż, będąc różną od wszystkich chłopek, stanowiła jednak dumę i chlubę jego środowiska, że posiadała delikatny wykwint ruchów i postaci, a wrodzony arystokratyzm uczuć i ducha,—ona, ta żrenica jego oka, stracona na zawsze!

Nie żyć mu dłużej! Nie żyć samotnemu, jemu, „chłopu przyszłości“, w otoczeniu współbraci, gorąco ukochanych, lecz którzy nie rozumieli go najczęściej! Nie żyć, bo istnienie czarą łez i piołunu się stanie!...

I czuł, że łzy te teraz już palą mu powieki, dławiają za gardło i piersi rozpierają.

Umówili się widocznie o ów wyjazd. A może... może Jerzy, oczarowawszy duszę tego dziecka, zbałamucił ją rozmyślnie czułymi słówkami i obietnicami? może dopuścił się względem sieroty hańbiącego czynu?

Krew chłopska zawrzała w Hetmaniku, ogniem na mózg mu padając. Zerwał się i z zaciśniętymi pięściami ku niej poskoczył.

— Maryś!

Stał jednak, jak wryty.

Na tem samem miejscu, z twarzą, ku sadowi zwróconą, siedziała nieruchomo Marynia, a dwa sznury łez po białych jej staczaly się licach. W tym smutku swoim była takim obrazem czystości i niewinności, nie kobietą zwycięską i rozkochaną, lecz takim wydała mu się jeszcze małym, biednym dzieckiem, iż podniecone zmysły i krew wzburzona opadły nagle, a serce Karola dziwnie roztajało w piersi. Patrzył, patrzył długo na perły te, po puszystych, lecz szczupłych spływające policzkach, aż żar, palący mu żyły, ustąpił wobec wzruszającego, dziwnie miękiego, ojcowskiego niemal kochania.

Przybliżył się i dłoń na głowie jej złożył.

— Cicho, Maryniu! cicho! Nie płacz, bo każda łza twoja zarzewiem na duszę mi pada. Nie płacz, maleńka. Nie będę kładł na ciebie żadnego nacisku. Rozumiem tę rwącą tęsknotę do innych światów... i mnie ona kiedyś trapiła; ale wiem również, iż przyjdzie czas, w którym z czcią przyłożyłabyś usta do progu ojców, do własnej chaty... chaty, w której mogłabyś siać szczęście dokoła siebie i takie szlachetne a użyteczne wieść życie. Niemniej, o ile mi przyrzekniesz nie postanawiać i nie czynić nic nagle, bez naradzenia się ze mną, zaręczam, że nie będę w projektach twych stawiał ci tamy, lecz spróbuję dopomódz do ich spełnienia.

Oczy jej z poza łez rzuciły mu spojrzenie głębokiej wdzięczności.

— Widzisz, dziecko jesteś, jak ten, który, zakosztowawszy płynu, chciałby całą czarę jego od razu wychylić... Ale tam, na dnie jej, są męty trujące; bro-

nić cię od nich może tylko dłoń przyjaciela, ocalić tylko dach własnej chaty.

Powstała.

— Nie lękaj się. Pan Jerzy nie dałby mi się gnać po truciznę.

I znów pan Jerzy? Hetmanik cofnął się w tył z zaciśniętymi zębami i zmarszczką groźną na czole.

Zegar z kukułką wydzwonił dwunastą. Dziewczyna porwała się spłoszona i z tłumaczeniem, że musi wracać, oraz z serdecznem skinieniem zwróciła się ku drzwiom.

Nie próbował jej zatrzymywać ani słowem, ani ruchem. Gdy jednak drzwi zamknęły się za nią, wyciągnął ramiona, jak gdyby ją chciał porwać i do samotnej przycisnąć piersi. Stopniowo dopiero ręce jego zwinęły się groźnie w pięści, a z piersi młodego chłopca głuchy pomruk się wydarł:

— Nie dam jej sobie zabrać! nie dam! nie dam!...

W Prędownie, wbrew systemowi wzorowego ładu i porządku, panował pewien zamęt dzisiaj.

Paniez wyjeżdżał na lat parę zagranicę.

Na lat parę... dwa do trzech... Tak zadecydował pan radca, chcąc uwolnić zupełnie syna od styczności z ruchem rewolucyjnym, chcąc go odciąć od zamętu politycznego i wpływu idei wolnościowych, jakie opanowały wszechwładnie ducha młodzieży.

— Przedewszystkiem nauka — powtarzał z głębokim przekonaniem. — Sprawy społeczne i narodo-

we to nie zakres działania dla ludzi niedojrzałych i życiowo niewyrobionych.

— Mieć serce gorące i kochać kraj własny może każdy — bronił się chłopak.

— Zapewne. Ale miłość, choćby najszlachetniejsza, to zawsze poryw uczucia, to sentyment; na sentymenty zaś niema miejsca w polityce, tem królestwie trzeźwego rozumu, chłodnych obliczeń, sprytu i przebiegłości. Silniejszy zwycięzca, a silniejszym w zapasach tych jest tylko człowiek mądry i w doświadczenia życiowe bogaty. Przedewszystkiem więc do wakacyj musisz zdobyć w Krakowie maturę, którą tu pogardziłeś. Przez letnie miesiące pozostaniesz w Galicji, u wuja Radeckiego, który, jak wiesz, jest wybitnym dyplomata i przewodcą stańczyków.

— Och, stańczyków! — wtrącił z lekceważeniem Witold.

— Właśnie... stańczyków — powtórzył radca z naciskiem, — stronnictwa, które, stojąc na czele kraju, prowadzi go po drodze umiarkowanej, konstytucyjno-monarchicznej, lojalnej a mądrej polityki. Niezawodne to filary zarówno tronu, jak kraju, który, dzięki równie wytrawnym mężom stanu, pozyskał nie tylko wolność autonomiczną, lecz i opinię rozumu politycznego. Wszak Polacy stoją tam u steru władzy centralistycznej całego imperjum Austro-Węgier. Skoro więc masz żylkę do spraw publicznych, dom wujowstwa Radeckich będzie dla ciebie cennem źródłem studjów i obserwacji.

— Wolalbym wrócić do kraju.

— Być może. Mojem jednak życzeniem jest, abyś nie tylko szukał nauki, lecz i wyrabiał sobie stosunki, które obok wiedzy są drugą, a potężną dźwignią w życiu. Trzecią, najsilniejszą podstawę powodzenia stanowi fortuna. O tej, na szczęście, ja już pomyślałem. Odziedziczenie jej wszakże zależy w znacznej mierze od twego powodzenia i wyników, jakie w uniwersytecie osiągniesz. Życzyłeś sobie pójść na wydział prawny; nie mam przeciwko temu. Nie wolno ci wszakże wrócić inaczej, jak doktorem praw i administracji.

— Dobrze... za lat kilka. Tymczasem jednak na przyszłe wakacje będę mógł przyjechać do Prędowa.

— Tu się niczego nie nauczysz, bo na agromję czas jeszcze. Przyszłe wakacje spędzisz w Anglji, kraju swobód i wolności, tak przez was kochanej... kraju, który obok mądrego konstytucjonalizmu ubóstwia swego monarchę... w królestwie bogactw, przemysłu i najwyższej kultury.

— Ojciec nie chce mnie widzieć wcale! — wybuchał.

— Ojciec pragnie zrobić z ciebie, zamiast niedowarzonego półgłówka, rozumnego i wytrawnego człowieka.

— Brawo, panie radco! — ozwał się głos od progu. — Cóż za męski a dzielny program! Przepraszam, iż, wchodząc tu, posłyszałem niedyskretnie, lecz przypadkiem, ostatnie jego słowa. Służący jednak wskazał mi wprost drogę do tego salonu.

Prędowski powstrzymał wyraz niezadowolenia. Jowiszowe jego oblicze przybrało tylko cechę chłodu.

Przed nim stał Jerzy Orecki. Zamiast wytartego studenckiego munduru, przywdział dziś ceremonialny strój wizytowy, który go czynił starszym, a zarazem uwydatniał gorący, południowy urok niepospolitej jego urody.

— Cóż za męski a dzielny program! — powtórzył, niezbity z toru sztywnem podaniem ręki ze strony gospodarza domu.

— Można ci powinszować, Witoldzie — dodał, wyciągając dłoń do młodego krewnego i kolegi, — jeżeli ma on być wytyczną twego życia.

Radea, niezadowolony w najwyższym stopniu, że mu przerwano exposé zasad, dawanych synowi na drogę przyszłości, spróbował ukarać natręta dorażnie.

— A jednak pan programowi podobnemu sprzeniewierzył się, opuszczając uniwersytet.

Pod czarnym wąsem Jerzego lekki przewinał się uśmiech.

— Medycyna nie posiada dotąd 6-go kursu, a pięć już skończyłem; pozostaje mi tylko napisać rozprawę doktoryzacyjną, by po publicznej jej obronie otrzymać tytuł doktora. Na cześć tę formułę, która wiedzy mej nie rozszerzy, pozostaje mi rok czasu. Miałem go spędzić w klinikach zagranicznych; wypadki krajowe wstrzymały mnie od wyjazdu.

— Ach, to co innego! — przyznał łaskawiej już Prędowski. — W takim razie pan ma prawo rozporządzać sobą, podczas, gdy mój syn...

— Powinien kończyć nauki. Rzecz prosta; sam mu to mówiłem. Nam tak potrzeba wykształconych ludzi!... Przeszczepienie do nas najnowszych wyników kultury europejskiej...

— I najświeższych jej prądów — wtrącił Witold.

— Tak, i najświeższych jej prądów... jest zarówno obowiązkiem, jak bezsprzeczną zasługą obywatelską. Przywilej to ludzi zamożnych, którzy powinni skwapliwie z niego korzystać. Wytrwała walka o prawa narodowe nie może cofać wstecz kultury kraju na żadnym polu ideowym i cywilizacyjnym... nie może wprowadzać zastoju, ani wpływać ujemnie na rozwój ogólny społeczeństwa; inaczej, zamiast heroldem wolności i postępu, stałaby się rzeczniczką ciemnoty, a więc przyniosłaby krajowi i dziedzinnie duchowej nieobliczone straty.

— Bo też takim jest wpływ jej dotąd — zaopiniował Prędowski surowo. — Ubiegając się za niedościgłymi majakami, szerzy rozprzężenie, bezwład ekonomiczny, martwość i zanik handlu, rozwydrzenie wreszcie i zdziczenie klas pracujących.

Głos jego brzmiał apodyktycznie, jak akt bezwzględnego oskarżenia; oczy patrzyły z zimną niechęcią na siedzącego naprzeciw gościa, jako na jedną ze sprężyn potępianego ruchu.

Jerzy, rozumiejąc doskonale, iż osobiste uprzedzenie względem niego zaostrza sąd powiatowego dygnitarza, wobec tej jawnej dla siebie genezy jego

uczuc postanowił nie podejmować rękawicy poważnej, rzeczowej dyskusji, nie wytaczać w niej dział wielkiego kalibru, lecz sprowadzić rozmowę na lżejsze tory pogawędki o kwestiach bieżących.

— Pan radca najzupełniejszą ma rację — przyznał. — Obraz, przytoczony tu, jest pełen prawdy, groza zaś jego przejmuję smutkiem wszystkich tych, którym drogi jest pomyślny rozwój społeczeństwa. Na szczęście, wytrwała i celowa walka o wolność i sprawa narodowa nie mają nic wspólnego z czynnikami anarchji, szerzonej przez hasła radykalnego międzynarodowego socjalizmu.

— Rewolucja we wszystkich swych objawach jest zawsze źródłem rozkładu, zamętu i chaosu...

— Z którego nowy świat powstaje — uzupełnił Jerzy. — Dała tego dowód wielka rewolucja francuska. Przeszła nad Europą, jak żywiołowa potężna burza, i techniem swem odświeżyła zatęchłą atmosferę, zrównała stare krzywdy, odrodziła narody. Ona to potwierdziła i zamieniła w dogmat zdobycze ducha ludzkiego, do których należy przedewszystkiem uznanie „praw człowieka“. Wpływowi idei wielkich myślicieli, jakie przewrót ten wywołały, zawdzięczamy i my najświetniejszą kartę naszych dziejów ostatnich, bo „konstytucję 3-go maja“. Czy wobec tych danych obywatel tak zasłużony a wytrawny, jak pan radca, może potępiać sumarycznie wszelki ruch społeczny i wolnościowy?

— Wszak pan przed chwilą sam się oświadczył przeciw niemu, przyznając, iż budzi on poważne

obawy o pomyślny rozwój społeczeństwa — zarzucił Prędowski sarkastycznie.

— Nie, panie radco! zachodzi tu pomyłka. Oświadczyłem się przeciw hasłom radykalnego międzynarodowego socjalizmu, lecz nie przeciw dążeniu do pozyskania wolności i praw narodowych. Polakiem jestem, więc los kraju naszego więcej mi ciąży na sercu, niż własne zbawienie... w lepszej jego doli bowiem zbawienie to widzę dopiero.

— A na czem panowie dolę tę opieracie? Czy myślicie w uzbrojeniach swych współzawodniczyć z militarnym systemem trzech głównych mocarstw europejskich?

Głos pana radcy Prędowskiego brzmiał lekceważeniem i gryzącą ironją.

— Nie. Wierzmy jednak, że uczucia narodowe tleć muszą choćby bezwiednie w duszy każdego na ziemi tej zrodzonego człowieka; wierzmy, iż przyjdzie chwila, gdy, bądź pod wpływem pobudek zewnętrznych, bądź pod działaniem sumienia i głosu krwi, która z ziemi tej, prochami przodków użyźniona, czerpała życiowe pierwiastki, uczucie to z martwych powstanie i wielkim głosem wołać będzie o zaślęuczynienie. Czerw taki, toczący serce, budzi się niekiedy, panie radco, w spóźnionych latach nawet — dodał tonem pobocznego komentarza.

Prędowski wyprostował się dumnie.

— Otóż — ciągnął młody człowiek z zapalem — wierzmy jeszcze, że naród, liczący dwadzieścia kilka milionów istnień ludzkich, zespolony jedną ideą,

jednem dążeniem, jedną wielką, nad śmierć silniejszą miłością...

— Miłością Ojczyzny — uzupełnił Witold z rozbłyskami oczyma.

— Proszę cię — przerwał radca kwaśno, — nie nadużywaj wielkich słów; to wprost *mauvais genre*. Obrzydłą ci one aż nadto w ustach i odczwach galicyjskich tromtadratów; oduczysz się wtedy może od dzwonienia w czeze hasła.

— A zatem — podjął Orecki, niezbity zupełnie z tonu — wierzymy, że naród, zespolony jedną ideą, jednym dążeniem, jedną wielką, nad śmierć silniejszą miłością... kraju (skoro pan radca nie lubi słowa Ojczyzna), potrafi solidarnem, nieugiętym dążeniem do upragnionego celu cel ten uzyskać. Ufamy w zdrowy instynkt szerokich mas ludowych, które, raz do uczuć narodowych zbudzone, pojmą, gdzie zbawienie dla nich leży. Zadaniem też naszym jest i będzie nie szerzenie rewolucyjnego zamętu lub moralnego zdzieczenia, jak nas o to pan radca przed chwilą pomówił, lecz budzenie ducha, oraz uświadczenia narodowego wśród opoki i podwaliny kraju, to jest ludu. Idealem naszym: gruntowna jego oświata i możliwe uspołecznienie; celem: pokojowe, szczerze demokratyczne odbudowanie Polski, w której życiu lud ten, dzięki kulturze swej i polepszonej doli, jak największy brałby udział, stając niezwalczonym murem w obronie drógich mu wtedy ideałów ukochanej swej Ojczyzny.

— Ach, przepraszam! — dodał, — zapomniałem, że pan radca nie lubi tego „tromtadrackiego“ czy gminnego określenia

Był to jedyny sarkazm, na jaki sobie pozwolił. Dotąd bowiem mówił właściwym mu, z głębi przekonania płynącym tonem, lecz rzeczowo, spokojnie, unikając dyskusji, która przy różnicy wieku i przekonani mogłaby rozdrażnić i tak już niechętny stosunek z krewnym jego matki.

— Usiłowania pańskie zaczęły podobno w Orecku przynosić pożądane plony; chłopci tamtejsi czytają, jak mi mówiono, gazety i książki, trzymają służące, a niezadługo zaczną swemu dziedzicowi mówić „ty“.

— Och, toby ani mego ojca, ani mnie bynajmniej nie rozgniewało. Gdybym żył w czasach Kilińskiego lub Głowackiego Bartosza, „tykanie“ się z nimi za zaszczytbym uważał.

— Warjat! — przebiegło przez myśl Prędowskiego; — zapalona głowa i zwichnięta karjera. Dobrze, że usuwam Witolda z pod jego wpływu. A szkoda! taki podobny do swej matki, gdy piękność jej, jako panny Julji, wszystkim nam spać nie dawała.

I radca, jak gdyby obecność czy słowa Jerzego poruszyły stare popioły, myślą w przeszłość pobiegł.

Młody człowiek czuł tymczasem, że mu powstać i pożegnać się wypada. Należało nie przedłużać tej pierwszej od paru lat wizyty, tem więcej, skoro przerwał pożegnalną naradę ojca z synem. Z drugiej wszakże strony z młodymi Prędowskimi od chwili zamieszkania ich w Warszawie łączyła go pokrewna, serdeczna życzliwość; chciałby więc porozmawiać poufnie z Witoldem i choć z daleka zobaczyć Zosię...

Gimnazista odczuł snadź myśl, w oczach Jerzego odbita, — widząc bowiem, iż gość powstaje, zwrócił się do Prędowskiego.

— Ojcie, skoro już dziś wyjeżdżam z kraju na lat parę, niechże przynajmniej Jerzy zostanie dłużej niech mogę z nim pomówić chociaż.

— Ależ i owszem, prosz pana Oreckiego. Co do mnie, najszczerzej życzenie twe popieram.

Czuł, iż odmówić jedynakowi takiej drobnostki, i to w dzień wyjazdu, byłoby szorstkością, niczem nie usprawiedliwioną. Pan radca zaś cenil przedewszystkiem dworskie maniery światowca.

Jerzy usiadł z lekkim ociąganiem na dawnym swem miejscu.

Równocześnie tajonym jego chęciom stało się zadość: na progu stanęła Zosia Prędowska.

Zaróżowiona, z chochlikami powstrzymywanego śmiechu w kącikach drobnych ust i w głębi żrenic, jak gwiazdy błyszczących, z włosami lekko przez wiatr rozrzuconymi i rakieta w ręku, była ślicznym a typowym obrazem młodości, wesela i wiosnianego wdzięku.

— Rozbawiona, nie spojrzawszy na salon, wołała już od progu:

— Papo, proszę nam oddać Witolda! Inaczej nie będziemy nawet mogli zagrać z nim pożegnalnej partji tenisa.

— Prosimy o pana Witolda, bo taka dziś wola panny Zofji — potwierdził świeży głos męski.

I równocześnie tuż za pięknem dziewczęciem zarysowała się smukła a wytworna sylwetka Ta-

deusza Rolicza. Jasne jego oczy, silnemi ocienione brwiami, śmiały się także dobrym humorem; uśmiech rozchyłał również łagodne, kształtne usta, pod ciemnym ukryte wąsem.

Jerzy, stojący z ręką, opartą o krzesło, objął obraz ten jednym bystrem spojrzeniem, poczem wzrok jego zawisł jakby z żalem na ślicznym podlotku.

Parę tygodni nie widział jej tylko, a jakżeż się zmieniła!... jaka była porywająco piękna urokiem młodości i budzącego się życia!... ale jaka zarazem inna, jaka rozbawiona, a różna od tej dawnej, eichej, skoncentrowanej w sobie istoty!

Ręka Jerzego zacisnęła się silniej na poręczy krzesła; czuł bezwiedny, instynktowny żal za tę radość życia, jaka zdawała się bić od niej, i rozumiał równocześnie, że jest śmieszny, — bo dla czegoż miałaby wyrzekać się śmiechu i niewinnej zabawy?

Wtem Zosia, postąpiwszy krok naprzód, spostrzegła nowego gościa i stanęła, jakby nie dowierzając swym oczom. Żrenice jej rozszerzyły się; liła pobladły.

Orecki złożył jej w milczeniu ukłon głęboki.

Zawahała się, patrząc na niego oczami spłoszonej gazelli, poczem fala krwi wróciła na jej lica, a żrenice wilgotnym zajaśniały blaskiem.

— Pan Jerzy w Prędowie?!... Co za niespodzianka! — zawołała radośnie, wyciągając ku niemu rękę.

— Przyjechałem pożegnać Witolda i panią; w tych dniach bowiem opuszczam na dłużej okolice.

— Pożegnać się? I pan, i Witold...

Posmutniała nagle i stała w miejscu, jakby bezradna, wobec tej wieści niespodzianej.

Badawcze oczy pana radcy Prędowskiego nie straciły ani jednego drgnienia ze zmian, zaszłych w delikatnych rysach córki. Wzrok jego przybrał blask zimny, a pionowa zmarszczka ściągnęła brwi ku sobie. Pozostawiając młodych, przybliżył się do wchodzącej właśnie, obciążonej raketami Angielki i, znizwszy głos, zamienił z nią kilka słów poufnych.

Syn jego zapoznawał tymczasem gości.

— Pan Tadeusz Rolicz-Rolicki... pan Jerzy Orecki, nasz kuzyn i przyjaciel — wygłosił z dumą.

Nieznajomi złożyli uprzejme ukłony, podając sobie rękę.

— Ktokolwiek bywa w Prędowie, temu imię pańskie nie może być obce, nie schodzi ono bowiem z ust pana Witolda — przemówił z ujmującą grzecznością Rolicki.

— Tylko z ust Witolda... — pomyślał z mimowolnym znów żalem Jerzy. Zamieniwszy też parę zdawkowych wyrazów z Roliczem, zwrócił się ku Zosi; lecz miss Florence trzymała ją już pod rękę, opowiadając szeroko jakieś zajmujące dla siebie zdarzenie.

Jerzy, który widział poprzednie porozumienie Angielki z Prędowskim, zrozumiał cały manewr: otrzymała widocznie polecenie nie opuszczania ani na chwilę ślicznego dziewczęcia. Pan radca nie życzył sobie rozmowy między swą córką a dalekim jej krewnym.

Jakie to płytkie i jakie małostkowe! Obrażona дума zagrała w młodym Oreckim. Skoro tak, nie zbliży się nawet do Zosi, traktując ją, jak się zwykło traktować nie wprowadzone w świat podlotki.

— Pan zamierza osiąść na wsi? — zapytał go uprzejmie Rolicki.

— Tak, zapewne; ale nieprędko jeszcze. Wpierw mam inne prace na celu; później zaś chciałbym rozszerzyć i pogłębić zakres mojej wiedzy fachowej przez odpowiednie studia zagranicą.

— Jerzy! nie potrzebujesz zbywać nas ogólnikami — wtrącił Witold poufnie. — Pan Rolicki jest tak zagorzałym narodowcem, jak ty i ja.

— Pan należy do organizacji?

— Tylko do powiatowej.

— W takim razie zrozumie pan z łatwością, iż obecna chwila nam, starszym od Witolda, nie pozwala na opuszczenie kraju. Po dziesiątkach lat ciemnoty, ucisku i rozmyślnego gnębienia myśli polskiej trzeba rozpoczynać pracę u podstaw, wśród ludu, aby wybuchająca rewolucja rosyjska nie zaskoczyła nas znienacką i nie zagarnęła serc i umysłów pod obcy nam sztandar socjalizmu. Tu, na wsi, łatwiej wpływ wywierać; przywiązanie bowiem do ziemi staje się podstawą uczuć narodowych. W mieście, gdzie względy te nie istnieją, a sposobność do życia i użycia na ciągle naraża pokusy, bieda zaś złym jest doradcą, w mieście trudniej przemówić do serca i przekonania ludzi, których fałszywe apetyty i złe instynkty zdołano już rozpętać. Nienawisć ku kapitalizmowi, podżegana przewrotną agitacją, wzma-

ga się z dnia na dzień. Żywioli, krwią nam obce, ciemne, pozbawione kultury, a wzamian za doznana gościnę ziejące zawiścią do wszystkiego, co polskie, opanowują umysły sfery robotniczej, lub terroryzują ją po prostu, dążąc do rozpętania wojny domowej. To, co nazywają walką z rządem, jest poniekąd walką z naszym społeczeństwem, któremu grozi nieobliczalnymi stratami, zarówno ekonomicznymi, jak moralnymi.

— Pan mówi *en connaissance de cause*, na własnem opierając się doświadczeniu?

— Najzupełniej. Mówię, jako lekarz, mający wstęp do najuboższych sfer robotniczych warszawskich.

— I pan na trudną placówkę tę wraca?

— Tak; uważam to w danej chwili za prosty swój obowiązek.

— A jest to tylko donkichotyzm — zabrzmiał, jak zgrzyt, chłodny głos Prędowskiego, który, nie spostrzeżony przez nikogo, usiadł na kanapie i posłyszał ostatnie słowa ich rozmowy.

— Prosty donkichotyzm — powtórzył z naciśkiem.

Za całą odpowiedź Tadeusz Rolicz wyciągnął rękę do Jerzego i gorąco dłoń jego uściśnął. Byli obaj poruszeni nurtującymi ich uczuciami, świętym zapalem i troską o sprawę publiczną. Wszelkie osobiste względy umilkły. Gdyby im kto podsunął w tej chwili myśl rywalizacji we własnych sercowych sprawach, uważaliby ją za tak dziecinną igraszkę, jak strzelanie do księżycy.

Dłonie ich, złęczone w serdecznym uścisku, stały się dla Prędowskiego cechą znamionną a niespodzianą. Otworzył szeroko oczy i patrzył ze zdumieniem na Rolickiego.

— Jaki? i ten także? — pomyślał. — Więc to epidemja! Syn takiego trzeźwego i mądrego ojca?... Żebym ja się czasem nie zawiódł na paniczku...

Radca Prędowski, pan możny i podziwiany, stojący u szczytu powodzenia i kariery, zasępił się w tej chwili; doznał bowiem po raz pierwszy uczucia osamotnienia, poza którem stoi zwykle widmo starości. Syna chował surowo. Nie znał jego zapatrywań ani pragnień i nie chciał wnikać w nie wcale; zresztą wysyłał go na czas dłuższy z kraju. Młodzież była dla niego jakąś moralną zagadką. Rozegzaltowani, z ogniem zapалу w oczach, szli na walkę z wiatrakami. Mohikanów starego porządku coraz mniej spotykał. Próżnia za to, próżnia moralna, wytwarzająca się koło niego, wzrastała z dniem każdym. Tracił „kontakt“ ze światem współczesnym, idealistyczną gorączką nurtowanym. No, i stracił widocznie bystrość umysłu, skoro takie „błazeństwa“ mógł brać w rachubę...

Pozostawała mu przecież córka. Rzucił śledczem okiem w róg salonu, gdzie panowie dokola niej się zgrupowali.

Tu przynajmniej mógł być spokojnym. Miss Florence doskonale polecenie jego pojęła; wszak siedzi tuż obok bogatej jedynaczki, na tej samej kanapie i z pochyloną naprzód głową słucha uważnie wszystkiego, co mówią. Zresztą rozmowa w pięć

osób nie może być niebezpieczną, a ten Don-Kichot, Orecki, i tak okolicę opuszcza.

Pan radca sięgnął po leżący obok *Kraj* i zagłębił się w nowinach z Petersburga.

A nad młodymi miłość rozpięła tymczasem zdradną tęczę snów swych złotych.

Jerzy w bezpośrednim zetknięciu z promieniami szafirowych źrenic Zosi, takich mądrych i poważnych, a pełnych nieuchwytnej tęsknicy, zapomniał o zadrażnionej miłości własnej i dumie męskiej,—zapomniał o wszystkim, tonąc w spojrzeniu jej z głębią nieświadomego jeszcze siebie uczucia.

— Tak dawno pani nie widziałem — wyrzekł głosem stłumionym.

— Bardzo dawno — odparła ze spojrzeniem niemego wyrzutu.

Aliści miss Florence ciągnęła ją już za rękaw, pokazując jakiś nadzwyczajny strój w ostatnim zeszycie mód paryskich.

— Czy kuzyneczka ma zamiar dłużej tu zabawić?

— Poco? gdy wy wszyscy się rozjeżdżacie? Robić tu mi nie dla nikogo nie pozwolą... czy więc lawn tennis ma zabić wszelką ludzką myśl we mnie?

Angielka, źle rozumiejąca po polsku, a uspokojona, że mówią tylko o grach towarzyskich, rozchyliła duże swe usta w szerokim, pełnym zadowolenia uśmiechu:

— Ah! The lawn-tennis! Very interesting! Very charming! — wołała.

Czarne oczy Jerzego zabłysły nieukrywaną radością.

— Pani pamięta jeszcze nasze posiedzenia u ciotki Marceliny? nasze projekty i plany prac wspólnych? nasze troski i nadzieje społeczno-narodowe? Boże, ile bohaterskich czynów, ile marzeń, nie-dościgłych może, przeżyliśmy razem!...

Miss Florence zaniepokojona patrzyła na nich podejrzliwie.

Zosia za całą odpowiedź ujęła dziennik, leżący wraz z najświeższymi pismami na stoliku.

— Kuzynku, proszę posłuchać...

I czytała swym czystym, jak dzwonek srebrny, a giętkim i miękkim głosem:

Gdy słońca jeden wschód
Przeminie
I zgasi tęczę w wód
Głębinie,
Na dnie tęczowy puch
Zostanie,
A w zgasyłych kroplach ruch
I drganie.

Gdy pierś skał złoty świt
Rozteczy
I strzeli ogniem w szczyt
Z przełęczy, —
Choćby tak w ogniu stał
Na mgnienie,
Zostawi w żyłach skał
Pragnienie.

Gdy w duszy jasny dzień
 Rozdnieje
 I rzuci w nocy cień
 Nadzieję, —
 Na próżno źródła pił
 Duch złote,
 Dzień da mu siłę sił:
 Tęsknotę. *)

Skończyła. Oczy ich złączyły się w przeciągłym spojrzeniu, które, będąc wyznaniem, obietnicą i przysięgą zarazem, dalsze zastąpiło im słowa.

Zamilkli też oboje.

Pan radca wraz ze swą Angielką zapomnieli, że tchnienia wiosny i blasku jutrzeńki nie nie powstrzyma, żadna moc nie unicestwi.

Gdy Jerzy z sercem ukołysanem, głową marzeń pełną i hejnałem w duszy wracał do domu, u skraju lasu oreckiego głos Hetmanika zatrzymał nagle jego konie.

— To ty, Karolu? — pytał zdziwiony. — Czy się co stało?

— Nic. Powiedziano mi, że będziesz wracał niezadługo z Prądowa, wyszedłem więc naprzeciwko ciebie.

— Czy masz mi co pilnego do powiedzenia?

— Tak. Może podejdiesz ze mną kawalek.

*) Wiersz Bożydara.

Jerzy zeskoczył z amerykana i, oddawszy lejce stangretowi, kazał mu pojechać naprzód. Teraz dopiero spostrzegł, że Hetmanik zmieniony jest, ponury i blade.

— Co ci to, Karolu? co się stało?

Chłop spojrzał mu prosto w oczy, a ujmując za ramię, zatrzymał w miejscu.

— Między nami nie trzeba omówień; prawda, Jerzy.

— Żadnych. Widzę, że się zmagasz z jakąś troską ciężką. Co to ma znaczyć?

— Była u mnie Marynia.

Jerzy ani drgnął.

— Czy prawda, że każesz jej rzucać dom, wieś i rodzinę, a jechać do Warszawy dla dalszej nauki? Czy ty jej doradziłeś karierę nauczycielki prywatnej, popychadła w pańskich domach? Czy ty namówiłeś do świętokradzkiego kupczenia ziemią, po ojciec otrzymaną?

— Nie. Ale w chęci kształcenia się nie widzę nic złego; może to uczynić bez sprzedania rodzinnego gruntu.

— Ach, więc tak!... — pięści Hetmanika zacisnęły się groźnie. — Więc według projektu dziewczyna ma jechać do Warszawy, gdzie ty się nią opiekować będziesz i ty jej znajdziesz pomieszczenie? Może u siebie? — zaśmiał się dziko. — Słuchaj! — dorzucił z mocą, przystępując bliżej, — możesz ty ją znieważyć? Ty, panicz, ja, wiejską dziewczynę? Zwykła rzecz przecież! Nie bądź tchórzem; miej odwagę przyznać się.

Teraz Orecki chwycił go za ramię i z mocą nakazującą w głąb oczów mu spojrzał.

— Karolu, upamiętaj się! Nie każ mi żałować długoletniej życzliwości dla ciebie. Gdybym nie wiedział i nie czuł, że cię ból wielki dławi, a krew na mózg rzuca, słowa zuchwałe i potwarcze do gardła wtłoczyłbym ci napowrót!

Głos jego taką brzmiał prawością, taki był stanowczy i rozkazujący, że młody chłop, jak pod uderzeniem moralnego obucha, o krok w tył się cofnął.

— Jak śmiesz rzucać cię potwarzy na imię uczciwej dziewczyny i twojej krewnej? Piękny z ciebie i szlachetny opiekun! Daję ci zresztą słowo honoru, że pierwszy raz o tem wszystkiem słyszę, że z Marynią wcale o tem nie mówiłem i że, zajęty wogóle czem innem, nie zwracałem dotąd na nią uwagi.

— Jerzy, ty serjo mówisz?

— Dałem słowo honoru. Opętaniu twemu więc przypisują tylko, że możesz to samo pytanie zadać mi po raz wtóry.

Zapewnienie to męskie i stanowcze podziało, jak reakcja zbawienna, na najwyższe napięcie nerwowe Hetmanika. Z pod powiek jego stoczyły się dwie grube łzy, ręka zaś, przed chwilą groźnie w pięść zwinięta, pochwyciła dłoń Jerzego, do której gorącemi przyłgnał ustami.

Jerzy zażenowany cofnął rękę, kładąc ją na ramieniu dawnego towarzysza lat dziecięcych.

— Karolu — mówił, — o nic nie pytam i nie wiedzieć nie chcę. Nie wdzieram się w tajemnice

twego serca, bo jej może sam jeszcze nie rozumiesz. Nie dziwię się nawet, że obok wielkich patryjotycznych celów, których jesteś dzielny i rzecznikiem i sługą, w sercu tem tli się iskra osobistych uchań i powstaje potrzeba osobistego szczęścia. Rzecz to naturalna, bo ludźmi tylko jesteśmy. Wzamian jednak za zniewagę, jaką mi wyrządziłeś dzisiaj, pozwolę sobie jedną dać ci radę: nie sprzeniewierzaj się w życiu prywatnem hasłom wolności narodowej i osobistej, za które walczysz; nie więź w klatce ptaka, skoro on o żelazne jej pręty rani sobie piersi i skrzydła łamie; nie nakładaj nieczyjemu duchowi kajdan, bo im bardziej skrupowany, im silniej strzeżony, tem potężniej będzie się wyrывał, tem srożej znienawidzi, zohydzi sobie swego dozorcę i kata.

Hetmanik zgnębiony stał z głową na piersi spuszczoną, a jasna twarz jego, wyzwalając się stopniowo z objęć ducha ciemności, z opętania, bólem wywołanego, chłonęła w siebie, jak ukojenie, rozumné, pełne duchowej równowagi słowa przyjaciela.

— Nie krepuj wolnego ptaka, który do światła chce lecieć. Gdyby nie miał tego dążenia, byłby chyba ptakiem mroków nocnych. Pozwól twojej krewnej kształcić się, skoro taka jej wola; nie poniżaj jej niecnemi podejrzeniami. Wiedza nie znieprawi ci jej, nie zohydzi!... przeciwnie, wdzięczna za okazane serce i pomoc, wróci pod twą strzechę rozumniejszą tylko i lepszą kobietą.

Uściskał dłoń jego i, ujawszy lejce, skoczył zręcz-

nym ruchem na kozioł amerykańską, który chyżo popędził ku domowi.

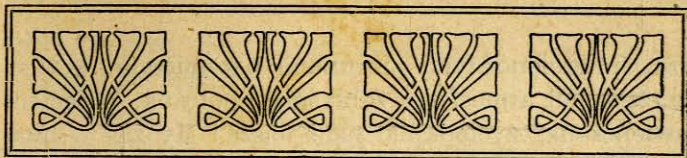
Błękitne niebo wiosny odbiło się w podniesionych ku niemu niebieskich oczach polskiego chłopca, na usta zaś siermiężnego poety i filozofa wybiegło hymnem dziękczynnym:

— Bądź błogosławiony!...

Odnosiło się to do Boga, do kraju, czy Jerzego? — któż mógł wiedzieć. Hetmanik podniósł śmiało głowę do góry, bo czuł, że odnalazł zatraconą chwilowo busolę życia. Nie krępować niczyjej wolności narodowej ani osobistej — to aksjomat, któremu nie tylko w teorii, ale i w praktyce miał na zawsze pozostać wiernym.

Jerzy zaś, otrząsnąwszy się z chwilowego przykrego wrażenia, jechał ku domowi, obejmując rozkochanym wzrokiem zbudzoną ze snu zimowego, a jaśniejącą już wiosnianym urokiem ziemię rodzinną. Bił od niej potężny czar życia, którego lodowe kajdany i śnieżne okowy, wbrew mniemaniu jego, zgnieść nie potrafiły. Słońce, z za chmur północy uwolnione, każdym gorącym promieniem nieciło moc i siłę, która dla ziemi tej przyspieszała erę rozkwitu i dobieg plonów. Śmiały się pola i lasy, śmiało się niebo ku nim, a podnosiły serca w uczuciu wielkiego rozradowania i nadziei. Jeszcze jeden i drugi mroźny podmuch, — jeszcze przejściowa nawała chmur czarnych, niszczycielskim gradem naladowanych, — jeszcze niejedna może, lecz krótkotrwała groźna bu-

rza, śmiertcionośnymi piorunami brzemienista, a w oczyszczonej atmosferze zabłyśniesz potężna, kwieciami uwieńczona, życiodajna pani nasza! My zaś — marzył Jerzy — wołać będziemy: Hosanna! Bądź błogosławiona, święta Ziemio Polska!



XIV

Podczas, gdy słońce rzucało pierwsze nieśmiałe jeszcze pocałunki polom i lasom, otaczając wieś polską urokiem budzącego się życia, na ulicach Warszawy martwa panowała cisza.

Ani wiosna ze swym przeczystym błękitem niebios i wysrebrzonymi wieczorami, ani napływające coraz ważniejsze wiadomości z krwawych pól Mandzurji nie mogły tenąć ducha w miasto, zgębnione ciągłymi omdleniami i złamane ostatnim letargiem.

Stolica, jako wielkie serce kraju, żyła krwią, obiegającą organizm narodowy, a doprowadzoną do tego głównego siedliska ruchu i myśli przez potężne, szybko działające arterje komunikacyjne. Gdy więc zalano wodą ogień pod kotłami lokomotyw,—gdy dworce i linje wszelkich dróg żelaznych, tych dróg oddechowych, zajęło wojsko,—gdy wskutek strejku wszystkie koleje w całym państwie poddano rygorom stanu wojennego,—oddech miasta stał się utru-

dniony, ciężki, a serce narodu utraciło moc podtrzymywania i normowania życia ogółu.

Warszawa, skrzepowana i obezwładniona więzami teroru, popadła w letarg i zamarła nieledwie...

I smutne dni lutowe już się skończyły; marcowe wichry rozganiały co chwila chmury, kryjące słońce, a niemoc jej, wzrastając ciągle, coraz nowe paraliżowała członki.

To kominy zamkniętych fabryk, wygasłe, zimne, mówiły o nędzy tysięcy robotników; to bezrobocie piekarskie skazywało na głód wszelkie sfery i stany, nawet starców i niemowlęta; to strejk zece-rów szerzył głód stokroć silniejszy jeszcze, bo głód ducha, głód myśli, głód czynu! Żadnych gazet, żadnych wiadomości... Znikąd wieści, znikąd wskazówek, znikąd światła! Pisma, grozą teroru parę razy już wstrzymywane, wcale nie wychodziły. Ani więc depesz i opisów ze wschodu, gdzie tysiące braci naszych, siłą przemocy i fatalizmu dziejowego zmuszonych do walki, wśród męczarni, ran i mrozu w krwi się tarzało i krwią własną poilo,—ani więc echa chociażby od tych, żywcem nieraz zakopywanych w mogiłach,—ani pojęcia, co się dzieje naprawdę w głębi zgębnionej wojną, a dyszącej rewolucją Rosji,—ani wskazówki i dyrektywy w sprawach miejscowych... Nic... nie... nie!... Ciemna noc, szerokie pole do złowieszczych i złowróżbnych domysłów, martwota i cisza śmierci. Masa powybijanych szyb, a w miejscu ich ziejące zniszczeniem ciemne otwory, tam, gdzie do niedawna barwne nęciły wystawy; mnóstwo drzwi i okien zabitych deskami, nie jak

w kraju cywilizowanym, lecz jak w opuszczonej fan-zie chunchuzów, lub w pół-dzikiej tajdze mongolskiej; całe szeregi pracowników, do wczoraj rządnych i ucziwych, a dziś wyciągających na ulicę rękę po jałmużnę; ponad tem chychot doktryny socjalistycznej, która ogień rewolucyjny krwią chce podniecać, a ucisk proletariatu zwalczać głodem jego i nędzą.

Idzie więc paru wyrostków, obcych pochodzeniem społeczeństwu, które je przygarnęło, idzie w browningi zbrojnych, a napotkawszy otwarty sklep ubogi, którego targ całodzienny pokrywa zaledwie komorne i daje jakiejś biednej wdowie możność wyżywienia dzieci, oburzeni, sklep ten niszczą, tłukąc szyby i lampy, oblewając kwasem towary.

— Jak mogłaś, nędzniczo — wołają, — zdradzić solidarność strejkową i otworzyć twą budę? Oto kara za wyłamanie się z pod rozkazów organizacji.

— Śmiesz oponować, skarżyć się? Chcesz odpowiedzi?

I błyskają rewolwery, ku niej zwrócone.

— Jedno słowo, a czerep roztrzaskam na miazg!

I odchodzą, pozostawiając zrujnowaną matkę kilkorga dzieci... odchodzą z okrzykiem:

— Niech żyje proletariąt! Precz z uciskiem klas pracujących! Precz z nędzą ludu!

A dalej druga grupa takichże bohaterów wpada do małej piekarenki, gdzie chciano upiec trochę chleba dla najbiedniejszych, i ciasto już gotowe zalewa karbolem, zasypuje jodoformem.

— Chleb dla nędznych, opasłych burżujów? Niech raczej zdychają z głodu!

— Ależ to dla najbiedniejszych!

— Tym da ofiarność publiczna. Strejk musi być powszechny, bo przed takim tylko ustąpi rząd carski, takiego ulękną się kapitalistyczne pasibrzuchy.

I znów rewolwery w górę. I znów trzask! trzask! Kule lecą, trafiając najczęściej w niewinnych, w tych uciśnionych, w tych najuboższych...

Tryumfatorzy zaś, dumni ze swego dzieła, odchodzą z hasłem:

— Niech żyje solidarność proletariacka! Niech żyje poprawa bytu wyzyskiwanych i głodnych towarzyszy!



Oto, jak wygląda idea w zastosowaniu zaślepionych a bezkrytycznych wykonawców. W imię ludu lepszej jego przyszłości depce się prawa do życia egoż ludu,—szerzy się zamęt, nędzę, anarchję, płacz ucisk,—zuboża się przemysł i handel,—zmusza tysiące do wyciągania ręki po jałmużnę,—pograża dziesiątki tysięcy w odmęcie ciemnoty, wichrzycielskich instynktów i moralnego zwyrodnienia.

Warszawa więc, ofiara dzikich tych eksperymentów, smutna była i zgębiona.

Nie dodawał jej zaś ducha stan wzmocnionej ochrony, stan wojenny właściwie, który, nie ukracając bynajmniej anarchji, samosądów, zamachów, wichrzycielstwa i panowania czarnego demona teroru, wydawał mieszkańców na łup jego, uniemożliwiając im obronę własną przeciw tym samozwańczym napadom.

Złoczyńcy rozporządzali zawsze dowolną ilością rewolwerów. Spokojny warszawianin jednak nie mógł

otrzymać pozwolenia na broń, a tak zwana „literatura rządowa“, czyli ogłoszenia władzy, na rogach ulic rozlepiane, groziła mu za posiadanie jakiegokolwiek, chociażby pamiątkowego lub archeologicznego narzędzia obrony karą od 500 do 3000 rubli, lub odpowiednio długiem więzieniem.

Warszawa więc smutna i opustoszała była. Większość mieszkańców starała się bez koniecznej potrzeby nie opuszczać czterech ścian swoich. Sławne wojska zato nie tylko w Mandżuryi, nie tylko nad rzekami Jalu i Szache, lecz i nad Wisłą ciężką miały pracę. Na wszystkich rogach ulic, na każdym ich załamie, przed domami, w których mieszkali dygnitarze, i przed takimi, w których przebywał kandydat dopiero na jakiegoś dygnitarza, jednym słowem—wszędzie i na każdym miejscu błyskały lufy karabinów, groziły bagnety posterunków wojskowych, lub zagrażała drogę warta żołnierska, pełniąc funkcyę policyjne.

Młode, zdrowe, tegie zuchy, których dusza rwała się zapewne na boje rycerskie z gnębiącymi sławę rosyjską Japończykami, — zuchy, które marzyły może o wawrzynach, odniesionych w walce ze zdrazieckim najeźdźcą na ich ojczysty, rodzony Port-Artura, śniły o pomście za Wafangau, Jalu, Laojan i tyle krwawych upokarzających klęsk armii, której byli ozdoba, — zuchy te stały, jak wrosłe w ziemię, dzień cały z plecami do muru przywartemi, śledząc każdy ruch publiczności, mierząc badawczym wzrokiem starców, kobiety, dzieci, idące z niańkami na spacer, a przedewszystkiem pilnując i prześladowając z gorli-

wością prokuratorów zastępy małych, ledwo od ziemi odrosłych roznosicieli pism i gazet.

Biedne chłopięta, łaknące wśród nędzy ogólnej parogroszowego zarobku, jakże uciekać, jak się z handlem swym kryć i wykręcać musiały!... Taka nierówna walka: z jednej strony malec 5-cio lub 6-cio-letni, w suterenie urodzony, a głodem przedwcześnie sterany, ze swoim groszowym zyskiem za sprzedaż „Gońca“, — z drugiej zaś rosły, silny wojownik, ciepło ubrany, zbrojny w mauzerowski najlepszego systemu karabin, śmiertcionośnym bagnetem wzmocniony, w szablę lub tasak, rewolwer Browning'a, w nahajkę wreszcie, której rzemienne pasy, ołowianemi kulkami zakończone, zmiażdżyłyby od razu mogły taki drobny okrucuch ludzki.

Nierówna walka!... Biedne maleństwa!... Biedna dziatwo nędzy warszawskiej, która, pomimo wszelkich niebezpieczeństw, umiała wykazać w ciężkich tych chwilach tyle sprytu i energii!

A potrzeba było zaiste nielada odwagi, aby się prześlizgiwać pomiędzy istną siecią wojsk wszelkiej broni, kursujących po mieście. Ułani, huzarzy, kozacy, konnica, piechota, artylerzyści nawet, miast armat, obwożący po ulicach trzymane w ręku karabinki, a za pasem nahajki, — wszystko to, pomimo placówek na rogach, gęstymi oddziałami zmieniało się, jak w kalejdoskopie, tworząc co chwila nowe grupy i strzegąc ś. p. bezpieczeństwa publicznego, które, od dawna chore na anemię, zamarło wreszcie z osłabienia.

Potężne a zbrojne pogotowie ratunkowe nie mogło „uratować“ porządku społecznego, wywracanego terrorystycznymi rozkazami rozwydrzonych wyrostków.

Innej trzeba tu było siły.

Takie przynajmniej wygłosiła zdanie grupa publicystów, zebranych w lokalu redakcyjnym jednego ze znanych pism warszawskich.

Strejk zecerski zażegnany został szczęśliwie. Publiczność, znękana, chciwa wiadomości, z upragnieniem czekała dzienników.

W powietrzu w niepochwytłych jego atomach drgały pogłoski o wielkiej klęsce w Mandżurji, o polach, zasianych trupami, i rzekach, krwią wezbranych. Odbieranie sił i tak zubożałemu społeczeństwu przez ciągle a długotrwałe bezrobocie wymagało omówienia i dyrektywy, której ogół od prasy oczekiwał. Depesze przytem i wiadomości gromadziły się, mnożąc robotę. Po tygodniowej też przerwie rzucano się do pracy.

W bramie dwóch żołnierzy z karabinami, ustawionych przez władzę gwoli ocalenia drukarni od rozbicia, kolbami i uderzeniami odpychało chłopców, którzy na wiadomość, iż dziennik w ruch idzie, zbiegli się tutaj w nadziei, że pochwycą może jaki nadzwyczajny dodatek.

Aliści, ledwie pióra zaskrzypiały, do redakcji wtargnęło kilku młodzieńców, nakazując natychmiastowe rozejście się personelu oraz przerwanie wszelkiej pracy.

Żądano solidarności w imię walki o wolność; grożono represjami i rozbiciem maszyn.

Współpracownicy rzucili się do telefonów; zadrgały dzwonki. Tak; w innych redakcjach te same zaszły sceny. Pod naciskiem teroru, a poniekąd może przez wzgląd na łączność koleżeńską, zawieszano wszędzie robotę, poddano się bowiem nie faktycznej przemocy, lecz tajnym rozkazom, których źródła nikt jeszcze nie znał podówczas.

W bramie więc kolby „ochrony“, w ruch puszczane, rozpędzały Bogu ducha winnych roznosicieli, niecąc płacz i popłoch dokoła. Na górze cichy rozkaz paru młodzieńców wstrzymywał puls życia i pracę publicystyczno-obywatelską.

Zaiste innej tu trzeba było, niż stan wojenny, siły do rozświetlenia tych ciemności, innego hamulca do zatrzymania trybów, miażdżących organizm narodowy. W opustoszałych salach redakcyjnych zebrało się kilku telefonem wezwanych publicystów i przyjaciół pisma.

— Co robić?

Pytanie to wszystkim cisnęło się na usta.

— Co robić z mrokiem, zalegającym dokoła? Co począć z zastojem życia społecznego, z bezwładem ekonomicznym, z panowaniem przemocy, teroru i gwałtów socjalistycznych, z męką i uciskiem stanu wojennego, na którego grozę ogół mieszkańców niczem nie zasługiwał?

Jak wybrnąć z tej matni? Wszak jasna a konsekwentna dyrektywa wraz z szybkim informowa-

niem publiczności o zaszłych wypadkach była najpierwszym obowiązkiem prasy.

— Do stu kartaczów! wściekłość mię zdławi! — wybuchnął z porywcznością sangwinika naczelny redaktor *Pochodni*. — W najważniejszej chwili te błazny strejk mi urządzają. Rozumiem pierwsze bezrobocie: słuszne, czy niesłuszne, ale miało jakiś sens; chodziło im o polepszenie doli zecerów... Bóg z nimi! Postąpiliśmy, ile tylko było można; ułożyliśmy się z pracownikami polubownie z całą dobrą wolą i dobrą wiarą; mogli się zgodzić, lub warunki, przez nas zaofiarowane, odrzucić. Ale skoro raz umowę przyjęli i podpisali, jakim prawem, jaką logiką rządzą się ci, którzy zawieszają mi robotę wtedy, gdy milczenie popularnego dziennika staje się zdradą nieledwie w stosunku do ufających mu czytelników.

— Rządzą się prawem bezprawia — wtrącił spokojnie starszy, siwiejący już mężczyzna.

— Ależ ja nie jestem obowiązany ulegać bezprawiu! — wybuchnął zapalczywie redaktor.

— To dlaczegoż mu pan uległeś? — zarzucił głos chłodny pana o niepolskim typie i czarnych, ruchliwych a świdrujących oczach.

Zmierzyli się zinnem, niechętnem spojrzeniem. Nerwy wszystkich były tak naprężone, iż każde słowo dolewało oliwy do ognia. Głuszewski, główny kierownik *Pochodni*, zatrzymał się nagłym ruchem w swej gwałtownej wędrówce po niezbyt dużej, prawie nieumeblowanej salce, a spotkawszy stalowy wzrok oponenta, chciał już ostrymi bryznąć wyraża-

mi. Nawyknienie jednak do szybkiego orjentowania się w zawiłych nawet kwestjach wzięło górę i uspokoiło go od razu.

— Dlaczego uległem krzyczącemu bezprawiu?... Uległem dobrowolnie na pierwsze wezwanie, nie dopuszczając, aby te młokosy użyły browningów lub wszczynwały jakiekolwiek hałasy... Panowie, ależ to chyba jasne, jak słońce! Nie mogłem przecież dopuścić do awantury, której odgłos sprowadziłby mi na górę „wojenną ochranę“, jaką policja ustawiła od wczoraj w bramie domu, u wejścia do drukarni. Tak wiekopomnym pomysłem nie miałem zamiaru uwieczniać się w historii rozwoju publicystyki polskiej.

Głos jego ciał ostrzem sarkazmu i ironji.

— Wolę nawet insynuację, że stchórzyłem przed kilku socjalistycznymi wyrostkami, niż pisanie i redagowanie polskiego dziennika pod osłoną artylerzystów rosyjskich.

— Ma rację! ma rację! — przyznało kilka głosów. — W tych warunkach najlepiej się stało, że personel bez oporu i wszczynania alarmu pozamykał biurka i opuścił redakcję.

Nie wszyscy jednak tego samego byli zdania.

— W takim razie — wołał ktoś inny — podajmy się najlepiej od razu pod komendę Bundu lub socjaldemokracji; dopomagajmy do strejków i anarchji, do zubożenia i ogłupienia kraju...

Pan Roch Głuszewski stanął w pośrodku pokoju i powiódł okiem po zebranych. Przyzwyczajeni do prowizorycznych urządzeń *Pochodni*, rozmieścili się i zgrupowali, jak kto mógł, byle podzielić się ży-

wem słowem, byle dojść do źródła wiadomości i nowin ostatnich. Zajęli więc jedyną kanapkę, ciemną skórą czy ceratą obitą, na której redaktor w spokojniejszych czasach drzemką ratował nadwątłone siły; zasiedli na paru giętych krzesłach, na biurku, stojącym w pośrodku salki, na parapecie okna nawet. Fotelu tylko, w którym Głuszewski zwykł był pracować, nikt nie ruszył; był to wyraz nie tyle poszanowania dla praw gospodarza, ile sympatji, jaką się on w tem kółku cieszył. Gęste kłęby dymu zastępowały firanki u okien, łagodząc jednocześnie ostre kontury pustych ścian, na których królował tylko portret Mickiewicza w jednej z najbrzydszych swych reprodukcji.

Głuszewski nie widział otoczenia, gdyż z brakami jego i zaniedbaniem zrósł się już poniekąd. Wzrok jego badał zebranych, jakby dla stwierdzenia, czego po nich oczekiwać może.

— Nie pomagałem nigdy do strejków i anarchji; nie wiodłem do zubożenia i oglupienia kraju — odciał z mocą. — *Pochodnia* była i jest pismem niezależnem, bezpartyjnym. Organem stronnictwa żadnego być nie mogła, bo u nas dotąd stronnictw jawnych niema. Gdy przyjdzie na nie pora, potrafi *Pochodnia* wywiesić sztandar, przed którym wszyscy pochylą głowę. Zresztą sympatje jej, a moje gorące przekonania narodowe nie są nikomu obce.

— Gorące i wypróbowane, Rochu!... wiemy o tem — rzucił ktoś z boku.

Redaktor podziękował mu życzliwem spojrzeniem.

— Sądzę — ciągnął, — że przyszlście do mnie nie dla czecznych sporów, lecz dla omówienia sytuacji i naradzenia się, co dalej robić wypada. Pomówmy zatem spokojnie.

Zajął fotel przy biurku i, spostrzegłszy teraz dopiero, iż dwóch gości siedzi na rogach tego szacownego sprzętu, nacisnął z pasją guzik od dzwonka.

— Ten Józef to istny bałwan! — huknął, dając ujście rozdrażnieniu i zdenerwowaniu.

Lecz do wchodzącego woźnego przemówił już zwykłym głosem:

— Czy Józef nie widzi, że tu potrzeba krzeseł? Proszę przynieść także herbaty i papierosów.

— Cóżś tak spokojnie wobec Józefa? — rzuciono żartem.

— Bo to dzielny człowiek. Ten wie, do czego dąży; nie rozprawia szeroko o ideałach, wolności, postępie... nie chce nie burzyć, nie obalać, tylko trzęsie się na socjalistów, na Bundy, na „ochranę“ i na wszystkie podobne dobrodziejstwa; kocha gorąco ten „szary proch“, tę ziemię rodzoną, dla niej samej, nie dla własnego wyniesienia. Wolę go też nad warszawskich postępowych demokratów. Józef to lud ze swoim nieuświadomionym często, lecz prawym i głębokim patriotyzmem... to opoka, na której będziemy budowali... to siła czynna. Tamci... żywiol negatywny i destrukcyjny.

Spojrzenie jego pobiegło z pewną zjadliwością ku gościowi o typie semickim i powierzchowności pretensjonalnego eleganta, któremu czarny długi tu-

zurek i starannie utrzymana, na dwoje rozdzielona rudawa broda miały nadawać cechę dyplomaty.

— Dajmy pokój dyskusjom. Są już krzesła i herbata. Prosimy teraz o ostatnie nowiny.

Głuszewski, zagłębiony w swym fotelu, wyjął z szuflady plikę depesz i papierów.

— Szalone wiadomości! — wołał. — A ja przez tych błaznów ogłosić ich nie mogę. Dwutygodniowa bitwa pod Mukdenem zamieniła się w jedną straszną klęskę dla Rosjan. Pięcioma armjami japońskimi kierował dzielny Moltke Wschodu, t. j. marszałek Oyama. Zabrano 40,000 jeńców. Liczba ranionych i zabitych nie jest dokładnie znana; w każdym razie dochodzi 140,000 ludzi.

I przerzucając depesze, czytał dalej:

— Japończycy zdobyli 2 sztandary, 60 dział, 60,000 karabinów, 150 wagonów z amunicją, 1,000 innych wagonów, 200,000 pocisków działowych, 25 milionów naboju karabinowych, oraz nieskończoną liczbę żywności i furazu.

Chwycił inną depeszę.

— Wojska rosyjskie cofają się na całej linii ku Charbinowi. Podpisana dymisja generała Kuropatkina.

Złożył papier i spojrzał dokoła.

— Panowie! Po Jalu, Wafangou, Laojanie, rzece Szache i tylu innych klęskach bitwa pod Mukdenem to ostatnie coup de grâce dla Rosji, dla biurokratycznego systemu jej rządów. Niesłychany ten pogrom odwraca bardzo ważną kartę w historii

świata cywilizowanego, kartę, która i dla nas nie pozostanie bez znaczenia.

— Rewolucja rosyjska nabierze podwójnej siły — zawyrokował publicysta, ucharakteryzowany na dyplomatę. — Na szczęście potrafiliśmy zawczasu zjednać tam sobie przyjaciół; jest więc nadzieja, iż stojący na czele jej ziemcy, dzięki naszej interwencji, zechcą i dla Polski coś zrobić.

Głuszewski szarpnął niecierpliwie wąsa; w oczach oburzenie mu zabłysło.

— Przepraszam — przerwał, — ale my z góry rzekamy się tych dobrodziejstw. Panie Kalisz, życie to nie scena, a pochodnie rewolucji i zagadnienia walk dziejowych to nie kinkiety teatralne, nie powikłania mieszczańskich dramatów i dekadencek intryg komedjowych, którym pan dotąd działalność swą poświęcałeś. Psychologja narodów jest bardziej jednolitą w swych dążeniach od psychologji nowej szkoły dramaturgów. Otóż jesteśmy potomkami narodu konstytucyjnego, spadkobiercami wielkiej wolnej Rzeczypospolitej i wielkiego mocarstwa zarazem. Jako tacy, możemy i musimy wobec spodziewanego ogólnego przewrotu w ustroju państwowym żądać należytej nam na zasadzie praw historycznych odrębności konstytucyjnej i narodowej; możemy pragnąć Polski wolnej i niepodległej, lecz nie potrzebujemy łaski ziemców, którzy za nasze umizgi i służalstwo raczyliby może „i dla Polski coś zrobić“. Ta Polska za święta nam jest i za wielka, abyśmy królewską jej purpurę chcieli poniżyć łaską, wyzebraną u ziemców lub u rewolucji rosyjskiej.

— W takim razie ta spłowiła purpura z biegiem lat jeszcze mocniej wam wyblaknie — rzucił zjadliwie pan dyplomata in spe.

— Spłowiła, jak wszystkie bezcenne zabytki dziejowe, bo od wieków trwająca. Gdyby jednak bardziej nawet, jak pan to przepowiada, zblaknąć miała, nie przystroimy jej lachmanem obcej nam duchem rewolucji rosyjskiej. Nie brak jeszcze w żyłach polskich krwi gorącej, która karminem swym potrafi przywrócić właściwą jej barwę.

— Redaktor prowokuje powstanie? — podjął ironicznie.

— Niech mnie Bóg uchroni! Swego nie prowokuje, a w cudzem nie chce brać udziału. Stać nas, jako naród kulturalny, tradycją historyczną mocny, na samoistną politykę. Każde serce polskie współczuje gorąco walce o wolność, jaka się teraz toczy w Rosji; nie nam jednak iść w ogonie jej rewolucji, nie nam przyszczepiać na zubożony grunt własnej Ojczyzny anarchję i nihilizm radykalnych jej pojęć.

— Lepiej hodować na nim tradycje i przesady dawnej szlachetczyzny — zaoponował sarkastycznie miedzianobrody Kalisz. — I owszem, prosimy. Im mniej bowiem w zaślepieniu swem pójdziecie z prądem chwili, tem snadniej i tem prędzej zmiecie was fala ruchu ludowego, tem ciężej dosięgnie mścicielska ręka proletariatu.

Mówił z zacietrzewieniem doktrynera i z jadem nienawiści, która skutek wadliwego ustroju zębów wraz z atomami śliny z ust mu przyskała.

— Mścicielska ręka proletariatu zmiecie kogo?... Nas? którzy także jesteśmy ekonomicznym proletariatem inteligencji? Ech, farsa! A cóżby na tem zyskała? Ostrożnie, panie Kalisz, abyście waszym postępowo-demokratycznym radykalizmem sami na siebie broni nie ukuli!... ostrożnie, aby pobudzony przez was do walki klasowej proletariąt nie sięgnął czasem do waszych licznych banków, lombardów i tym podobnych społeczno-filantropijnych instytucyj. Wszak dziś już patrzymy na pierwszy plan owoców, jakie wydaje protegowany przez was socjalizm.

— Panowie! — przerwał Głuszewski, — dosyć doktrynerskich rozpraw! Mieliliśmy się przecież narodzić, co dziś czynić należy... W Krakowie hr. Tarnowski przypuszcza wobec panującego u nas rozprzężenia możliwość interwencji mocarstw obcych. Pisma petersburskie jawnie już mówią o potrzebie przebudowania państwa na zasadach ustroju parlamentarnego. My tylko, skrępowani idjotycznym terorem bezrobocia, zamiast iść ręką w rękę i urabiać stosownie opinię, tracimy czas na dyskusjach.

— A no, cóż redaktor chce, abyśmy robili innego? — zarzucił szczupły, drobny pan, o zasuszonych, zmęczonych rysach. — Siły zbrojnej nie mamy do rozpedzenia tej hołoty. Gdybym ją posiadał, kazałbym wystawić kartaczońnice i.. fiuu! — zrobił ruch strzelania; — toby zaraz napędziło ludkowi rozum do głowy.

Odwrócono się z niesmakiem.

— Ho, ho! — skrzeczał cienkim swym głosem. — Panom się zdaje, że ja mówię zbrodnicze rzeczy. Po-

lityka to nie romans... rewolucja nie sielanka!... Wszak Stanów Zjednoczonych nikt nie posądzi o wstecz-
nictwo, a jednak i tam do zbuntowanych socjalistów
walał z karabinów na ulicach. Socjalistyczne mini-
sterjum francuskie kazało podczas ostatnich rozru-
chów w Paryżu strzelać bez ceremonji do rozwydrzo-
nych swych „towarzyszów“. Społeczeństwo musi stać
na niewzruszonych podwalinach spokoju i porządku.
Żadnemu też państwu niewolno znosić ani tolero-
wać podobnych gwałtów i zamętu. Ja pierwszy strze-
lałbym kazał.

— Pana powinni zrobić głową stronnictwa re-
akcyjnego...

— To trudno. Jestem konserwatystą; nie za-
pieram się tego. Wasze nowe poglądy nie przylgna
do mnie; stosunki moje i związki rodzinne z arysto-
kratycznymi domami nie pozwalałyby na to.

Nie słuchano go. Znany był, jako filar „ugo-
dowców“ i nieszkodliwy manjak pod względem trzy-
mania się pańskiej klamki.

Redaktorowi *Pochodni* odpowiadał tymczasem
Zbrozek, mężczyzna o poważnych rysach i lekko od
pracy pochylonych plecach, małowówny, skupiony
i w sobie zamknięty.

— Żadnych gwałtów!—mówił głosem skoncen-
trowanym.—Przeczekać spokojnie! Za lud nasz rę-
czę; nie dojdzie on do ekscesów. Pierwsze nieznane
dotąd technienie wolności odurza go, jak haszysz,
i odciąga chwilowo od narodowych haseł... Ale to
przejdzie. Wpajana mu od lat tyłu w serce i rozum
miłość do ziemi ojczystej, przez przyrodzony wzmac-

niona instynkt, oparta na uczuciu, w pierwiastkach
krwi płynącym, zbyt już głęboko zapuściła korzenie,
aby ją dziś z duszy ludu wyrwać można. Wróci on
do niej i jawnie pod narodowym pójdzie

— Pan jest pewny tego?

Zbrozek podniósł głowę, na którą szron życia
i pracy rzucił już białe nici, a skupiona, poważna
twarz jego rozjaśniła się blaskiem wielkiej radości.

— Pewny, jak Boga na niebie!—odparł z mocą.

Powiódłszy zaś rozjaśnionym wzrokiem po
obecnych, dodał:

— I wy wszyscy niezadługo pod sztandarem
tym pójdziecie!... wszyscy: reakcyjniści, konserwatysty,
postępowcy, znaczna część socjalistów nawet... Niech
tylko Orzeł Biały rozwinie nad głowami waszemi
skrzydła swe do lotu, pójdziecie wszyscy, którym
w żyłach krew polska płynie. To prawo natury; to
dziejowa konieczność.

Najbliżsi słuchali proroczych słów jego w sku-
pieniu, bo Zbrozek powagą był w tym względzie.
Wykuty z jednolitej bryły uczuć i zasad, impono-
wał on wtajemniczonym całem życiem twardej,
nieprzerwanej, jawnej i podziemnej pracy u pod-
staw, wśród ludu, któremu on pierwszy może zorzę
uczuć narodowych budził w sercu. Nie o popular-
ność mu chodziło, lecz o ideę, której istnienie swe
poświęcił. Dewizą jego było: mało słów, jedna myśl,
jeden Bóg-Naród, i dla niego tylko działalność,
wszystkie siły pochłaniająca.

Dyplomata in spe, uroczysty w swym czarnym
długim tużurku, gładził tymczasem rudawe wspania-

łe bokobrody, a przyskając w zacierzawieniu atoma-
mi śliny, dowodził zaciekle.

— Tylko strejki partji socjalistycznej rząd po-
konają! Tylko idąc z nią ręką w rękę, wejdziemy
do przyszłego parlamentu rosyjskiego i potrafi-
my, dzięki uległości, okazywanej ziemcom, otrzymać sa-
morząd dla tutejszego kraju, oraz wyższe, bardziej
wpływowe stanowiska dla jej przedstawicieli w Pe-
tersburgu.

I wyprostował się, przyeiskając łokieć do boku,
tak, jakby tulił już do serca tekę ministerjalną.

— Zbrozek! — pochylił się redaktor *Pochodni*
poufnie do znanego pracownika na niwie narodo-
wej. — Trzebaby jednak przeciwdziałać temu opętaniu
socjalistycznemu; szkoda umysłów, idących na ma-
nowce...

• • — Robi się, co można. Jutro walny wiec „ro-
bociarski“.

— Będiesz?

— Ma się rozumieć... z Lipowieckim razem.

— Pójdę i ja z wami. A przyślij mi — dodał,
zegnając go uściskiem dłoni — paru narodowców,
jako straż, do redakcji, gdyż boję się pozostawić pa-
piery i maszyny.

Żegnano się ogólnie.

Drobny, zasuszony, o ptasim profilu publicysta
mruczał, kierując się ku drzwiom:

— Hrabina, ciotka mojej żony, przestrzegala,
żebym się zawsze trzymał „Mowy“, a prędzej czy
później wypłynę na jakieś wyższe stanowisko spo-
łeczne; zalecała, abym się zadawał z dostojnikami

tylko. Pocóż więc, u licha, wlażem między te
holotę?

A na załamie schodów ukazał się raz jeszcze
garbaty nos i miedziane bokobrody przyszłego dy-
gnitarza parlamentarnego, głos zaś jego gardlany
dowodził:

— Sam Rodiczew mówił mi na zjeździe ziem-
ców w Moskwie...

— I poklepał pana po ramieniu? — wtracił ktoś
żartobliwie...

Głośnie śmiechy zagłuszyły resztę rozmowy.

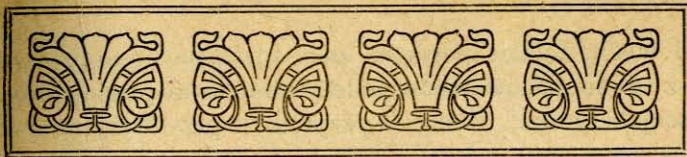
W opróżnionym lokalu *Pochodni* redaktor jej
chodził nerwowo po salce, rozstrącając porozstawia-
ne krzesła.

— Dużo uradzili! — mruknął wreszcie z gory-
czą. — Kłęby dymu... oto cała ich praca. Chłystki
moralne!... Gdyby nie Zbrozek, nie byłoby do kogo
gęby otworzyć.

— Państwo się wstrząsa w posadach — ciągnął, —
a wzrok ich kreci do ciemności niewoli przywykł,
i w tej wielkiej żywiołowej burzy własny tylko wie-
trzą interes. Dotąd pisywali dyletanckie artykuły
o wszystkim: od gwiazd na firmamencie i w bale-
cie aż do wykopalisk pompejańskich; od właści-
wości nowowynalezonego radjum do klimatu w Abi-
synji lub pamiątek muzealnych w Rapperswylu. Dziś
każdy, nawet taki Kalisz, wziąwszy leksykon pod
pachę, czułby się powołanym do reprezentowania na-
rodu polskiego w obcym o losach jego stanowiącym
parlamencie

Usiadł przy biurku i głowę na rękę oparł.

— Biedny narodzie! Czyż nigdy rozmaite stańczyki z opieki cię swej nie wypuszczą? czyż nie potrafisz strząsnąć ich z twych ramion silnych i z królewskiej twej szaty?... Innej tu siły potrzeba do przywrócenia spokoju i należnego dostojęństwa... siły głębokich uczuć i moralnych charakterów... siły sere, na życie i nad życie ci oddanych... siły wielkiej, potężnej miłości, któraby lud twój cały płomieniem objęła i na służbę krajowi do stóp swych rzuciła... siły ducha i poświęcenia bez granic!...



XV

szelkie zebrania publiczne, a więc i wiece były surowo zakazane.

Niemniej wśród ciągłego bezrobocia i strejków, a pod ustawiczną grozą „wzmocnionej ochrony“ lub stanu wojennego mieszkańcy Warszawy tak się w końcu oswoiли z niebezpieczeństwem, iż nie sobie prawie z zakazu tego nie robili. Każdy, wychodząc na ulicę, nie wiedział i tak, czy żyw do domu wróci. A że wobec braku pracy i widma głodu, które wyciągało czarne swe skrzydła nad tysiącami rodzin, koła robotnicze czuły potrzebę narady oraz wspólnego rozważenia dalszych swych losów, pod naciskiem więc agitatorów socjalistycznych, walczących w imieniu swego stronnictwa, dusze te łatwowierne zbierały się chętnie na wiece, mniejsze i większe, zwoływane w różnych dzielnicach miasta.

Były zakazane,—rząd jednak czuł się snadź bezsilnym wobec milczącego, biernego oporu mas lu-

dowych. Ludzie poważni zaś sądzili, iż do najpierwszych ich obowiązków należy zwalczanie propagandy socjalistycznej. Wierzyli przytem, iż przy wzajemnem porozumieniu z jednej strony hasła narodowe odzyskają w sercach ludu należny im hołd,—z drugiej, że trzeźwiejsze umysły wezmą górę nad zapaleńcami „międzynarodówki“ i przyczynią się do złagodzenia lub zakończenia tej głodowej samoofiary wyczerpanego z sił proletariatu. Brali więc również chętny udział w wiecach, naradach i zebraniach, pomimo jawnego niebezpieczeństwa, grożącego ze strony wojska i policji,—rozumieli bowiem, że przecież władze nie mogą całego miasta od razu do więzienia wsadzić.

Na jednej z ulic Powiśla, do hali fabrycznej, przeznaczonej na wykończone już maszyny, a w której na razie nie było żadnych okazów, około 8-ej wieczorem zaczęły się schodzić ciemne, ciche postacie. Ze względów ostrożności zapewne napływały nie fala zbita, lecz pojedynczo, w odstępach, bez zwracania na siebie uwagi. Wysoki mur, okalający narożną posesję, miał bramy i furty od strony dwóch ulic,—a że w obrębie ogrodzenia tego mieszkała część robotników we wzniesionym na ten cel gmachu, nie mogło więc dziwić nikogo, iż pod wieczór, w porze ogólnego powrotu do domu, coraz ktoś zbliża się do furtki, która otwiera się za pierwszym naciśnięciem klamki, wchłaniając nadechodzące w mroku postacie.

Nie brakło wśród nich kobiet, i to przeważnie ze sfer „robociarskich“.

Na uwagę, zrobioną o niepotrzebnem odrywaniu ich od ogniska domowego, słyszało się odpowiedź:

— Jak nam będzie lepiej, to i babom będzie lepiej... więc kiedy my na ulicę, to i kobiety na ulicę... Niech rząd widzi, że cały naród się skarży, że cały naród chce zmiany...

„Naród“, czyli lud, biorąc w swe ręce inicjatywę, dawał w ten sposób pierwsze równouprawnienie żonom swym i siostram; stąd też w poprzednich i późniejszych ulicznych manifestacjach brały one zawsze udział.

Hala, niedostatecznie oświetlona kilku gazowymi palnikami, dla niezwracania bowiem uwagi światłem nazewnał niezysknie zapalono, ożywiała się stopniowo; była jednak tak wielka, iż setka zebranych osób środek jej wypełniała zaledwie.

O krzesłach nie było mowy; stół prosty, niedaleko ściany postawiony, przygotowany był widać dla przygodnego prezydium; dwie beczki, do góry dnem wywrócone, stanowiły mównicę.

Na jedną z nich wdrapał się osobnik chudy, ryży, o piegawatej twarzy i piwnych latających oczach. Wystające kości policzkowe, zaledwie skórą pokryte, nadawały żółtemu jego obliczu wygląd niezmiernej chudości. Strój wytarty, na porę tę zbyt lekki, nie znamionował zamożności lub dostatku.

Człowiek ten rozejrzał się dokoła, jakby chciał policzyć zebranych, i rysy jego, mające z natury już cechę fauna lub satyra, któremu brak było tylko rogów nad czołem, przybrały wyraz zgryźliwego sarkazmu.

— Towarzysze! — zaczął, nietyłe donośnym, ile wyraźnym, szyderczym głosem.

— Towarzysze! Widzę, że was tchórz obleciał. Zamiast wezwanych trzystu, jest was tu ze stu za ledwie; reszta zlekła się nahałki i rewirowego na rogu. Takim zajęczym sercom lepiej leżeć pod pierzyną, lub siedzieć za piecem i. praść kądziel, za babę kartofle skrobać, a nie do polityki się mieszać. Ale dobrze, że zostali, bo tchórz i dureń nie ma tu co robić między nami. Niechaj sobie stójkusów i rewirowych w kumy poproszą, to już się upewnią o ich łasce i nie będą potrzebowali trząść się ze strachu przed nimi.

Wśród zebranych śmiech powstał.

— Towarzysze! a policzcie się i zapamiętajcie, kogo brak dzisiaj. Tchórzów wśród nas, którzy wolność i życie dla dobra ludu w ofierze niesiemy, z nazwiska znać należy.

Ruchliwa jego fizjonomja była w tej chwili groźna i wyzywająca, nieubłagana prawie, jak gdyby na nieobecnych srogi wydawał już wyrok.

— Słyszę na mieście, że wam strejk się sprzykrzył, że w obawie, aby wam brzuchy nie zapadły, macie ochotę wrócić do pracy i poddać plecy pod knut fabrykanta. Pokażcie mi tego szelmę, który was namawia do przerwania bezrobocia. Niech przyjdzie, stanie tu przede mną i śmie spojrzeć mi w oczy; niech powtórzy podle, szpiclowskie swoje słowa, a pięścią wtłoczę mu je do gardła!

Głos jego ostry, groźny wciskał się do najdalejszych zakątków hali, jak na strunie podatnej, igrał na

napiętych nerwach słuchaczy. Trybun ten wiedział snadź, jakich im wrażeń potrzeba, jakimi najprędzej przekona ich argumentami, bo, dołączając do groźby szyderstwo, grzmiał dalej:

— Pewnie narodowcy namawiają was do zaprzestania strejku, bo to krzywda dla ich przyjaciół: burżujów i fabrykantów. No, więc dalej! idź do pracy, bydelko robocze, bez jarzma bowiem wyżyć dłużej nie możesz! Idź! zerwij łączność z braćmi, którzy dla wywalczenia ci lepszej doli krew przelewają i gniją w kajdanach! wyrzeknij się rodzonego ojca nawet, wyprzysiąż wolności, a idź lizać łapę fabrykanta... on zaś, wyssawszy wszystkie twe siły, każe cię wyrzucić za mur ten, abyś na starość zdechl, jak pies parszywy, pod progiem szpitala, do którego cię nie wpuszczą, bo i tam brak zwykle miejsca dla takich, jak ty, bezdomnych nędzarzy!

Parę kobiet zaszlochało głośno na sali.

— Nie strejkuj! nie! — syczał z wściekłością rudy satyr. — Książd nie każe, burżuj i narodowiec się gniewa, a patrol ze stójkowym mógłby cię, broń Boże, wziąć do kozy... I poco ci to? Żarla cię całe życie nędza; dlaczegóż nie ma żreć i twoich dzieci?... Będzie z nich i tak mięso dla carskich armat i gnój dla użyźnienia pól, jakie przemysł przynosi fabrykantom. Zimno ci chodzi po kościach; ale to nic! oni za to mają bogate futra. Wilgoć cieknie po ścianach w twojej izdebce? mała rzecz! tyś przecie przyzwyczajony! Wybudowałeś na to własnymi rękami kapitalistom i burżujom wspaniałe pałace, w których ciepło, miękko i zacisznie... Krwią

twoją i potem wzniosłeś teatry, w których oni się bawia, niosąc kwiaty i brylanty aktorzycom i łajdaczkom, wtedy, gdy ty wieczorem lub w święto zatracasz duszę w szynku!... w szynku, wzgardzony proletariuszu, bo cię do tych wspaniałych gmachów nie wpuszczają... bo spróbuj wejść w twej robotniczej bluzie tam, gdzie się burżuj rozpiera wśród marmurów i aksamitów, a zobaczysz, że cię ogoleni woźni, jak psa, znów wygonią... Nie strejkuj, nędzarzu! nie. Idź lepiej pracować na burżujów!...

— Towarzysze! — zakończył głosem, jak grom donośnym. — Towarzysze! hańba tchórzom, którzy was odciągają od spełnienia powinności! Hańba zajęczym sercom i podłym niewolniczym душom! Niech żyje walka o wolność i lepszą dolę polskiego robotnika! Niech żyje proletariąt i jego dzielni bojownicy!

Huknęły oklaski; rozjaśniły się twarze. Po tej powodzi gryzącego sarkazmu, którego zebrani nie umieliby określić, lecz którego razy i cięcia piekły ich i siekały, odetchnęli wszyscy.

Rudy satyr zeskoczył z beczki. Miejsce jego zajął dostatnio ubrany młodzieniec o silnie ujawnionym typie semickim. Ukazanie się jego na mównicy powitane zostało sykaniem, a nawet kilkakrotnem gwizdnięciem wśród robotników. Wiedzieli oni z góry, ujrawszy znanego sobie agitatora, że mowa poprzednia była niewinnem niemowłęcem kwileniem w porównaniu z tem, co teraz usłyszą. Ten pan nie zwykł w zapale słów swych hamować.

— Towarzysze! — zawołał głosem donośnym. — Sądziłem, że „przedmówca“ mój spotwarza was, mówiąc, iż pragniecie strejk złamać; tymczasem, stając przed wami, słyszę sykanie. Czy wiecie, komu natura, zamiast wszelkiego głosu, dała tylko zdolność syczenia? Oto podłym, jadowitym plazom: węzowi i żmiji, symbolom podstępny i zdrady. Człowiek normalny nie walczy ze żmiją, lecz, kierowany wrodzonym wstrętem do ślizkiej, ohydnej gadziny, miażdży łeb jej obcasem. Zmiażdżyłby też potrzeba lby tym podstępnym, zdradzieckim mężom, którzy, przyjęci raz do bratniej organizacji, dziś pełzają w ciemnościach po ziemi i sykaniem witają jej przedstawiciela! Kto żywi niechęć do tego, co mówię, niech przyjdzie tu jawnie, a gdy skończę, będzie mógł wypowiedzieć, o co mu chodzi.

U drzwi powstał w tej chwili pewien zamęt. Przy okazaniu wpiery już biletów i wymienieniu hasła, mającego zabezpieczać od tajnych agentów lub innych szpiegów, weszło paru studentów, a wraz z nimi Jerzy Orecki, Głuszewski, Zbrożek i Lipowiecki. Obecnie grupa ta posunęła się ku estradzie.

Mówca zatrzymał się chwilę, lecz widząc, że spokój nie został zakłócony, a więc, że bezpieczeństwu jego nie grozi, podniósł głos ponownie.

— Towarzysze! Czy wy sobie zdajecie sprawę, co to jest strejk? To broń, która w waszych pracowanych rękach potęgą się staje; umiejętnie użyta, czyni proletariąt panem położenia i panem dzisiejszego świata. Bezrobocie to cicha, spokojna, lecz najstraszniejsza rewolucja, której ani najemne zbiry,

ani armaty nie przełamia. Ta moc wielka musi królowanie nad państwem całym w wasze oddać dłonie. Gdy bezrobocie powszechne ogarnie wszystkie miasta i całe cesarstwo, zamieniając je w martwego trupa, wtedy koniec waszej wiekowej niewoli, wtedy podyktujemy warunki fabrykantom, kapitalistom i rządowi.

— Wpierw jednak z głodu pomrzemy — rzucił ktoś ze słuchaczy.

— Nieprawda! Za dni strejkowe lon będzie wypłacony; polska partja socjalistyczna zmusi do tego fabrykantów.

— Ale kiedy? — zarzucono na sali. — Głód grozi tymczasem.

— Głód to najlepszy sprzymierzeniec rewolucji, to probierz bohaterstwa i samoofiary. Chcielibyście od razu utyć i w sadło porość, żyjąc bez troski, jak opasli burżuje, którzy się waszą krwią i potem tuczą? A więc walczcie siłą wytrwałego strejku; walczcie, gdy hasło wydane zostanie, ramię przy ramieniu, zjednoczeni pod czerwonym sztandarem, a zdobędziecie równość upragnioną! W socjalistycznym państwie wolności robotnik będzie prawa dyktował, bo on się stanie wszechwładnym panem. Dostyc krwi! dostyc łez, nędzy i krwawej pracy! dostyc ograniczeń prawnych, które szpiclom, zdrajcom i zbirom rządowym dawały nad nami wszechwładzę! Towarzysze! teraz my górą! Nadchodzi czas, w którym pomścimy odwieczne krzywdy ludu! Przedewszystkiem równy dla każdego dostatek. Te pałace, fabryki, domy, ziemia wreszcie w całym państwie, wszystko będzie

wasze, wszystko do podziału! Czy rozumiecie teraz, dlaczego narodowcy zwalczają zasady socjalizmu? czemu was chcą zaciągnąć pod swój księżo-szlachecki sztandar?... Oto dlatego, by nie utracić ze swej wszechwładzy, by was i dzieci i wnuki wasze okuć w kajdany nędzy, ciemnoty i pańszczyznianej pracy. Chcą was ssać, jak pijawki, i tuczyć się dalej kosztem waszej krwi i waszego dobra. Dlatego też musimy prowadzić walkę na dwa fronty: z rządem, który nas uciemnia, oraz z narodowcami, którzyby chcieli ująć władzę nad nami. Precz z obcym jarzmem! precz z burżujami i szlachecczyną! precz z kapitalizmem! precz z Narodową Demokracją, która dąży do osłabienia naszego wpływu i chce kraj opanować! Niech żyje rewolucja! niech żyje wierny jej i niepokonany bojownik, Okrzeja!

— Towarzysze! Bomba, sztylet, rewolwer... oto nasi sprzymierzeńcy! W tem podłem, tchórzowskim społeczeństwie, w którym marzą tylko o dawnej szlacheckiej przemocy, innych nie mamy. Okrzeję musimy uratować ze szponów moskiewskich, musimy wyrwać z cytadeli, gdzie zgnilby inaczej. Niech żyje Okrzeja! niech żyje bomba, sztylet, rewolwer! niech żyje krwawa, nie przebacząca krzywd a zwycięska rewolucja!

Zatrzymał się wyczerpany, lecz, ujrzawszy setki oczów, utkwione w niego z napięciem, dodał jeszcze z zapalem:

— Towarzysze! Ząb za ząb, oko za oko! Śmierć ciemnościom i złym doradcom! Niech żyje bezrobociem wywalczone pełne chwały panowanie ludu!

Byłby zapewne w przystępie swady oratorskiej mówił znacznie dłużej, zaznaczając przynależność swą do Pe-pe-esów, — mocniej prowokowałby zebranych, gdyby na drugiej beczce, wprost niego umieszczonej, nie stanął od kilku chwil już Zbrożek. Wysoka, trochę przygarbiona jego postać, oraz głowa poważna, szronem siwizny lekko pokryta, należała do zjawisk powszednich w świecie rzemieślniczym. Żydowski mówca domyślał się, że ma on tu przyjaciół i obrońców. Przytem garstka inteligencji, około Zbrożka skupiona, i spokojne, uczciwe jego oczy, w oratora utkwione, mieszały mu szyki, paraliżując szalbiercze słowa na ustach. Wytrącony więc z ferworu, urwał nagle.

Słabe oklaski kilku adherentów były jedyną za mowę jego podzięką.

Zbrożek powiódł okiem po zebranych i przystosował natychmiast sposób wyrażania do poziomu umysłowego słuchaczy. Skończony i dyplomowany inżynier, a potem dyrektor wielkich przemysłowych zakładów, rzucił on intratne i wpływowe stanowisko, na którym nazywano go już marzycielem i utopistą, by się poświęcić pracy ideowej wśród proletariatu warszawskiego. Wywalczyć dla niego lepszą dolę, a zarazem podźwignąć go, wykształcić i uszlachetnić przez obudzenie w sercu ludu poczucie narodowych — było jednym z głównych zadań, jakie sobie Zbrożek postawił.

Poważna, nacechowana wyrazem skoncentrowanej siły, spokojna jego postać dobrze była znana w kołach Powiśla.

— Zbrożek! Zbrożek! nasz dawny dyrektor! — szeptało w paru miejscach.

— Tego warto posłuchać; mądrze i uczciwie gada. Zacności dusza! — uzupełnił jeden ze starszych.

A Zbrożek, nie śpiesząc się, w swój powolny, ociężały trochę sposób różniczkował wzrokiem zebranych, oceniając, do jakich stronnictw należą i czem najsmadniej do przekonania ich przemówi.

— Bracia robotnicy! — rozpoczął wreszcie spokojnym, doniosłym głosem. — Naród polski odziedzicza zwykle z krwią ojców, z mlekiem matki zdrowe i uczciwe instynkty. Ciężka praca na chleb, a nie jakieś lekkie, szalbiercze zarobki czy spekulacje, dała mu prosty, zdrowy rozum i poszanowanie własności; religja wyrobiła w nim miłość bliźniego i niepożądanie cudzego dobra. Nie mówię, żeśmy wszyscy święci i aby wśród nas nie było wyrzutków... ale wara nazywać cały lud polski oślizgłym, wstrętnym gadem! wara porównywać go do zdradzieckiego węża lub do żmii, trującym jadem ziejącym! Robotnik i rzemieślnik uczciwy a pracowity to podwalina kraju... to nie pasożyt, nie truteń, żyjący trudem innych, nie darmożjad i ciężar dla ogółu, lecz żywiciel swego społeczeństwa. Jako taki zaś, powinien on mieć i wysoko wyrobione poczucie godności własnej, i ambicję, i dumę szlachetną. Żadne zaś z tych uczuć nie dopuszcza, aby zebrana setka dojrzałych, pełnoletnich ludzi pozwalala pierwszemu-lepszemu przybłdzie lżyć publicznie siebie i swój naród. Któż jest ten pan? jaką moc posiada nad nami, skoro ośmiela się ubliżać wszystkim i mówić, iż, jak wstręt-

nej gadzinie, leć wam zmiążdży obcasem? On, niezany tu młodzieniaszek, wam, obywatelom, ojcom rodzin, rzuca w oczy takie obelgi, rzuca bezkarnie, a wy słuchacie w pokorze i milczycie nawet, gdy znieważa was i wasz naród? pozwalacie splugawiać niecnem słowem żony swe i siostry? Wstyd ci za to teńrziliwe milczenie, polski robotniku!

Głos Zbrozka, oburzeniem nabrzmiały, karcili z surową powagą.

Rzemieślnicy rzucili się ku drugiej beczce, lecz niefortunny mówca przepadł, jak kamień w wodzie.

Zresztą Zbrozek powstrzymał poszukiwania.

— Ten młokos natrzęsa się z was, bracia, gdy prawi, jak niedoświadczonego wyrostkom, iż organizacja jego wywalczy dla was „równy podział dóbr i wszelkiej własności, równy dla każdego dostatek“... że „pałace, fabryki, domy, ziemia wreszcie w całym państwie, wszystko będzie wasze, wszystko do podziału“! To nonsens, w który dziecko nie uwierzy! Powiedźcie, czy na świecie możliwa jest w czem prawdziwa równość? czy dopuszczalna jest chociażby tylko w pracy, dajmy na to, w takiej, jak ta, olbrzymiej odlewni żelaza? Wszak smarownik nie zastąpi wermajstra, a ślusarz głównego inżyniera; wszak robotnik ze szlifierni nie będzie elektrotechnikiem, a szwajcar architektem... Bo każdy z nich, mając inne zdolności i inne wykształcenie, musi też na inne zasługiwać wynagrodzenie. Gdyby Bóg wszechmocny chciał równości i dopuszczał do niej na ziemi, jedyny Syn Jego nie rodziłby się w ubogiej stajence, podczas, gdy Ojciec króluje nad wszechświatem. Gdyby Bóg-

Stwórca żądał równości, nie stawiałby dębu-olbrzyma obok drobnej paproci, nie stwarzałby w świecie zwierzęcym lwa i myszy, muchy i słonia. Nie, bracia! równość jest utopją, przy której społeczeństwo musiałoby się rozpaść i zginąć. Naród to gmach wielki, który się składa z fundamentów, podwalin, murów głównych, ścian, łączących je ze sobą, wiązania i dachu, nie licząc ozdób i zbytekownych, estetycznych wykończeń. W budowie tej przypadła wam pierwszorzędną rolę, bo wy łącznie z ludem rolniczym jesteście fundamentem i podwaliną kraju... jesteście nawet murem głównym... a my, inteligencja, to tylko filary, na których się wspiera sklepienie... to wiązanie, dach podtrzymujące.

— Runąłby jednak — mówił w dalszym ciągu Zbrozek — dach ten i zawaliłby gmach cały, grzebiąc społeczeństwo pod swymi gruzami, gdyby pojedynczych części budowy, gdyby nas i was, gdyby wszystkich klas społecznych nie łączył nierozzerwalnie, nie spajał w jedną potężną całość cement uczucia, silniejszego nad interesy klasowe i sfery stronnice, mocniejszego nad knuty i kajdany, nad śmierć nawet, bo przekazywanego z ojca na syna, z pokolenia w pokolenie... gdyby nas nie wiązało uczucie wielkiego ukochania tej ziemi, która nas wydała, uczucie czystej a świętej miłości dla Ojczyzny! Bracia robotnicy! tylko ten wszechpotężny, szlachetny cement zjednoczy nas i zbrata! tylko on zamieni nas w opokę, której złe moce nie skruszą, żadne wichry i burze nie obalą! A gdy jednością silni, mocą ducha niezwalczeni, odzyskamy Polskę naszą

sze naprawione będą i łyzy osuszone zostaną. Ale nie podziałem cudzego dobra... nie! tylko uprawnieniem was narówni z innymi stanami, udziałem posłów waszych w sejmie polskim, unormowaniem godzin pracy, bezpłatnymi szkołami dla waszych dzieci, wzmoczeniem dobrobytu klas pracujących, podniesieniem robotnika polskiego do godności szanowanego przez wszystkich obywatela tej wielkiej, wymarzonej, ukochanej Ojczyzny, którą on nam odbudować i odzyskać dopomoże.

Zbrozek zatrzymał się i spojrzał po słuchaczach. Żadnej wrzawy, żadnych oklasków; kilku tylko dłonią łyzy ocierało. W hali panowała uroczysta, skupiona cisza. W nateżeniu jej czuleś, iż dwie dusze zbiorowe zmagają się z sobą,—dwa bieguny tego samego elektrycznego prądu, odrębne na pozór i wrogie, dążą żywiołową siłą uczucia do złączenia się, do stopienia w jednej potężnej iskrze, która stać się może źródłem rozpraszającego ciemności światła, motorem ruchu i siły.

Chwila szeptu dusz, chwila niemej wewnętrznej modlitwy, tajnej z własnem sercem narady, przedłużała się. Wtedy, czując, iż w jednych piersiach zmagają się z twardą wolą pracownika płacz i głos w gardle łamie, w drugich bieda i nędza głuchym jeszcze szumią bunt. Na mównicy w miejsce socjalistycznego prowokatora stanął Stanisław Lipowiecki.

Piękna twarz jego jaśniała wyrazem wzruszenia i zapału; z oczów promienie tryskały. Z góry można było osądzić, że, jeżeli Zbrozek przemawiał

do zdrowego, chłopskiego rozsądku klas ludowych, Lipowiecki uderzy w uczucie, w najszlachetniejsze struny duszy, w samą istotę człowieczeństwa i, nie zniżając własnego lotu, słuchaczy na wyżyny podniesie.

— Bracia! — zawołał dźwięcznym, donośnym głosem. — Cała wasza kwestja, źle przez socjalistów postawiona, wychodzi z błędnego założenia. Nauczono was mniemać, że „robotnicy“, że „pracownicy“ to wy jedynie; reszta to wyzyskiwacze, którzy tylko życia używają. Otóż to fałsz wierutny, oparty na rozmyślnem zwynaturzeniu prawdy, bo i my, inteligencja, jesteśmy pracownikami, i my wyrobnikami, z którymi los w kraju, wrogą rządzonym ręką, nie lepiej, niż z wami, się obchodzi. Klasa bogata, często wam obca sercem i pochodzeniem, to zaledwie drobna część społeczeństwa; reszta to robotnicy. A bez względu na to, czy chleb swój zdobywają ślęczeniem w biurach, czy pchają taczkę uciążliwych zajęć po sklepach, warsztatach, fabrykach i innych zakładach, czy służą samoistnie społeczeństwu, jako lekarze, prawnicy, inżynierowie, profesorowie, nauczyciele, literaci lub artyści, każdy z nich zdobywa mozolnym trudem dla siebie i swoich dołę, która często w niedolę się zamienia. Ten wspólny los to jeden więcej węzeł między nami. Dlatego też, jeżeli mamy walczyć o lepszą przyszłość dla wyzyskiwanych i uciśnionych, to, jako dzieci jednej ziemi, idźmy ręką w rękę, ramię przy ramieniu walczyć o tę przyszłość dla wszystkich pokrzywdzonych pracowników, dla wszystkich po macoszemu traktowa-

nych synów uciemiężonej naszej Ojczyzny. To nasz kraj i nasza ojcowizna, której każda grudka ziemi relikwią jest nieledwie dla uczciwego polskiego serca. Niechże więc wszystkie stanowiska w niej będą dostępne dla Polaków! niech miliony, z podatków złożone, idą na was i na wasze dzieci, na szkoły dla nich, a nie na cele obce nam i wrogie! niechaj ten kraj nasz na wzór innych zakwitnie dobrobytem i pomyślnością! Precz więc ze strejkami! precz z dobrowolnem niszczeniem samych siebie! Do pracy, bracia! do pracy! Nie dajcie, by obcy ludzie występni namowami doprowadzili was i przemysł cały do nędzy! nie dajcie, by wrogowie narodu polskiego opłatywali was więzami przemocy wtedy, gdy dążeniem naszym jest wyzwolić się z kajdan wszelkich. Niech przez was przemówi duch Boży! niech ocknie się duma narodowa! Dosyć już niewoli! dosyć upokorzeń! Patrzcie! oto Polska leży u stóp waszych, woła Bożą z letargu ocknioną, i wyciąga rękę, byście jej powstać pomogli. Śmierć pozorna straszna była, i trzeba wysiłku całego narodu, by zmartwychwstającą Panią naszą z kamiennego snu podźwignąć. Duch jej nieśmiertelny już się obudził i, rozstrzelony na wszystkie syny polskie, już ożył, płonąc świętym miłości ogniem ku niej, ku umęczonej. Miliony rąk wyciągają się z gorącym uczuciem, by ją podnieść, by podźwignąć i na królewskie wznieść wyżyny. Ona jednak ociąga się, bo wśród rąk tych brak dłoni najmilszego jej dziecka, dłoni robotnika polskiego, bez której nie wracać jej do żyjących. Spójrzcie! Iza płynie po bladych jej licach... Iza żalu i wyrzutu! A wy się jeszcze namyśla-

cie?... Nie pora na wahania! Posłuchajcie uderzeń serc własnych! Precz z obcym wam żydowskim socjalizmem, który szerzy tylko swary i nędzę, który krzyżuje powtórnie Polskę, szycząc zaś i bluźniąc cześć jej nieskalanej, okuwa ją w nowe kajdany! Mocni jednością, silni duchem, walczmy razem o prawa dla wszystkich, a imię Polski niechaj hasłem i świętym talizmanem nam będzie!

Zatrzymał się. Z ust zaś Jerzego Oreckiego i towarzyszącej mu grupy studentów wybiegł hymn potężny:

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą swej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały.“

Tłum, zaskoczony śpiewem tym, nieoswojony z wszechpotężnym pieśni tej urokiem i wstrząsającą jej siłą, słuchał chwil kilka ze zdumieniem i zmaganiem się w sobie, ze wzruszeniem, wywołanem przez walkę wrodzonych, silniejszych nad wszystko uczuć z zasadami, jakie dotąd jadłem trucizny w serce mu sączono. Wreszcie zatrzęsł się, zakolysał i, ryknawszy płaczem, zawtórował z setek piersi:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam zwrócić, Panie!“

Głowy się pochylały, kolana kobiet do ziemi przywarły. Czterdzieści lat niewoli i zakazywania podniosłej tej modlitwy zrobiły swoje: niektórzy słów jej nie znali, więc podchwytywali tylko melodję i po-

jedyńcze wyrazy. Ale w kieszeniach młodszych, tych może, których socjalizm uważał za wiernych już adeptów, znalazły się kartki z odpisem narodowego hymnu; studenci dostarczyli innych, i pieśń szeroka popłynęła falą.

Gdy garść tych ludzi zbiedzonych ukończyła ją wreszcie, w oczach ich łzy błyszczały; twarda zaciekleść ustąpiła z oblicza.

Dwóch starszych wiekiem zbliżyło się do Zbrozka.

— Panie dyrektorze — przemówili, — juściż swój ze swoim zawsze razem iść powinien. Odżegnaliśmy się socjalistów i do roboty wrócilibyśmy, ale jakże nam pierwszym wystąpić?

— Bądźcie spokojni; jutro pomówię z zarządem; gdyby dla jakichkolwiek przyczyn nie mogli na razie otworzyć fabryki, dostarczymy wam pracy w inny sposób.

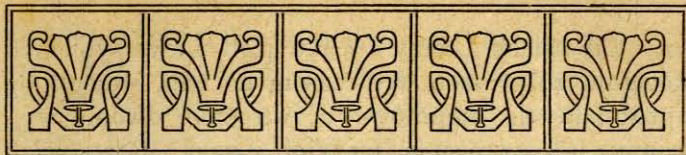
— Masz jaki pomysł? — zapytał Głuszewski.

— Roboty publiczne. Brak tylko na zapoczątkowanie pieniędzy, i trzeba wyjednać upoważnienie władz.

— Jeżeli panowie pozwolą — wtrącił Tadeusz Rolicki, wprowadzony tu przez redaktora *Pochodni*, — pragnąłbym w obu tych sprawach być im użyteczny; dola klas pracujących bardzo mi leży na sercu.

— W takim razie — zaopiniował Głuszewski, — aby kuć żelazo, póki gorące, proszę panów jutro wieczorem na organizacyjną naradę do *Pochodni*.

Lipowiecki, Jerzy i kilku jego uniwersyteckich kolegów, rozproszeni tymczasem po hali, strzegli, by opróżniała się stopniowo a ostrożnie dwoma wyjściami, bez zwrócenia niczyjej uwagi. Rozmawiali przytem, udzielając bardziej przez strejk wycieńczonym doraźnej pomocy, rady lub wskazówki, kierując zaś innych we wszystkich sprawach do komitetu robotniczego, zawiązanego z inicjatywy pani Korczyńskiej, a pomieszczonego przy lokalu jej w Alejach Jerozolimskich.



XVI

W ięc panowie koniecznie mi narzucacie tę niemłą rolę? — pytała pani Korczyńska, zwracając się ku redaktorowi *Pochodni* i młodemu Rolickiemu.

— Najśliczniejsza z wujenek! — odrzucił za nich Jerzy Orecki, — od wyroku, jaki zapadł w tym względzie na ostatniej naszej sesji, niema apelacji.

— Ale może jest kasacja?... I dlatego nie do ciebie, lecz do wyższej zwracam się instancji — żartowała młoda kobieta. — Redaktorze! — ciągnęła z prośbą, kierując swe śliczne oczy ku Głuszczewskiemu, — niech mnie pan raczy zwolnić z przykrej tej misji... Nie znoszę kwest, went i carott'y, trzech rzeczy natrętnych i niedelikatnych, na które w polskim języku niema nawet określenia; nie lubię sięgać do cudzej kieszeni lub dotykać grosza publicznego.

— Trudno byłoby złożyć go w godniejsze ręce, niż pani — zapewnił Głuszczewski z galanterją, szcze-

re zaś, jasne jego oblicze wskazywało, iż wyraża naprawdę głębokie swe przekonanie. — A że sprawa jest nader pilna, obywatelska i ma dla ogółu, a nawet dla naszych uczuć narodowych pierwszorzędne znaczenie, nie wątpię więc, że, wzięwszy ją do serca nie zechce nam pani odmówić.

— A czy nie możnaby osobistej interwencji zastąpić ogłoszeniem składek w *Pochodni*? Te kwesty to taka broń szablonowa, zużyta, a przedewszystkiem drażliwa...

— Oho! wujeneczka-mimoza boi się, aby jej kto niechętnem słowem lub spojrzeniem nie dotknął — żartował młody Orecki.

— Panie Jerzy, proszę cioci nie dokuczać! — broniła z groźną miną Zosia Prędowska, rozpromieniona, prześliczna, cała w oczach i w sile spojrzenia skoncentrowana.

Uśmiechnęli się do siebie i zatopili we własnych źrenicach, aż dziewczę spłoszone skryło iskrzące swe szafiry pod frendzlę rzęs ciemnych.

Nie widzieli się tak dawno, a spotkali tu zupełnie niespodzianie. Jerzy promieniał. Wielkie, czarne jego oczy nabrały miękkiego, marzycielskiego blasku. Od Zosi bił czar wiosny i radość życia. W różowym salonie pani Korczyńskiej aż jaśniej było od uroku tej cudnej młodości, która, chłonąc w siebie najwyższe upojenie, jakie istnienie dać może, blaski, od niego zaczerpnięte, rzuciła bezwiednie dookoła.

Łagodne, myślące oczy Rolicza śledziły grę tę ze skupioną uwagą.

Głuszewski w rozmowie z panią Korczyńską upierał się tymczasem przy swoim.

— Rzecz prosta — mówił, — że *Pochodnia* zamieści bardzo gorący artykuł redakcyjny o nędzy wśród pozbawionych pracy robotników i o świeżo zorganizowanym Komitecie robót publicznych, oraz że własną ofiarą otworzy listę składek na te cele. Odezwa nasza jednak, choćby krwią serdeczną pisana, choćby ognistemi wyryta głoskami, przemówi jedynie do szerokich mas sfery średnio-zamożnej. Te złote serca, te prawe dzieci Warszawy, przyniosą nam zawsze grosz swój, choćby ostatni... Czy pomnik dla wieszczki narodu, czy jubileusz ulubionego pisarza, czy niedola wpisów lub wieża na Jasnej Górze, u stóp Królowej Polskiej, — grosz ich wdowi na wszystko wystarczy. I teraz więc sami zubożeni opodatkują się co żywo dla biedniejszych współbraci.

— A zatem kwestja rozstrzygnięta!

— Nie, pani! Grzech bowiem w chwili takiej wyzyskiwać ludzi pracy, a pozostawiać w spokoju ludzi bogatych. Ci zaś ani na płomienną odezwę *Pochodni*, ani na krzyk nędzy, ani na widmo głodu, grożące pozbawionym pracy, żadnej nie zwróca uwagi. Gdy jednak do filistra takiego zajędzie eleganckim powozem piękna a ogólnie znana i czczona kobieta, gdy wie, że dany jej dar pójdzie pod ocenę ludzi własnej jego sfery, wtedy gotów przypomnieć sobie hojne dary, składane na upamiętnienie wstąpienia na tron cesarza Wszech-Rosji i, otworzywszy szkatułę, zdecyduje się i naszym głodnym udzielić cokolwiek. Naturalnie, nie narzucamy pani całego

miasta, do misji tej bowiem uprosimy damy w każdej dzielnicy. Pani raczy wybrać sobie te sfery i te domy, w których, według własnego mniemania, na najlepsze może liczyć rezultaty.

— Tak brutalnie kołatać w interesie do drzwi cudzych... — zawahała się jeszcze.

— Jestem pewny, iż ci, których progi pani przestąpi, bytność jej za zaszczyt będą sobie uważali. Czyż zresztą pani Marcelina Korczyńska nie trudniejsze w imię dobra publicznego podejmowała już misje?

Mówił szczerze i poważnie, bez cienia zdawkowej grzeczności lub pochlebstwa.

Przekonało ją to nareszcie. W dużych, ślicznych oczach i na białem, z żywego, krwią tętniącego alabastru wykutem czole, nad którym piętrzyła się aureola włosów ciemnych, osiadła chmurka namysłu, poczem, powiódłszy wzrokiem po salonie, młoda kobieta zdecydowała się ostatecznie.

— Niechże się spełni wola redaktora. Pojadę jutro, ale biorę Zosię z sobą dla dodania sobie otuchy i odwagi.

— Cudna wiosna i godne jej, świadome mocy swej lato... głodni więc pozyskają plon obfity — przyznał z galanterją tym razem Roch Głuszewski, całując na znak podziękę rękę gospodyni domu.

Zosia z radości uderzyła w dłonie.

— Ach, jak to ślicznie! Tyle ludzi poznam... Jakaś ty dobra, ciociu!

— O, święte dzieciństwo!... przepraszam, chciałam powiedzieć: O, święta młodości!... — zaśmiała się pani Marcelina.

— Urokiem twym — uzupełnił Rolicki — jest bezmiar dobrej woli, niesionej światu; czarem... samorzutna szczerść, której później wyzbywamy się wszyscy.

Dziewczę zażenowane okryło się zorzą rumieńca aż pod skroń białą, błękitnemi poznaczoną żyłkami. Widząc jednak dokoła życzliwe, uśmiechnięte twarze, Zosia odzyskała śmiałość, a puszyste jej lica naturalną swą, do płatków róży stulistnej zbliżoną barwę.

— Ciociu, musimy mieć delegata i męską opiekę, więc chyba pan Jerzy pojedzie z nami?

Pani Marcelina uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Interesów pieniężnych, szczególnie, gdy chodzi o grosz publiczny, Zosiu, nie załatwia się w rodzinie. „Ciocia“, któraby w towarzystwie dwojga siostrzeńców zbierała dyskrecjonalnie składki publiczne, musiałaby się narazić na drażliwe komentarze, dotyczące naiwności jej, lub... złej wiary.

Panowie chcieli zaprzeczyć.

— To ludzkie i logiczne — zapewniła. — Dlatego też niech mi wolno będzie prosić pana Rolickiego, aby, jako inicjator całego projektu, zechciał wziąć udział w tej wycieczce i być zarazem naszym skarbnikiem.

— Z całą przyjemnością — przyznał Tadeusz Rolicki kłaniając się na znak zgody.

— Tobie, Zochno, przypadnie w udziale zapiśywanie ścisłe składek, których lista zostanie nazajutrz ogłoszona w *Pochodni*.

— Dziękuję, kuzyneczko, za dobre serce; ale wypędzono mnie, dano mi dymisję — skarżył się załłośnie Jerzy, pokrywając żartem własne rozczarowanie i zasmuconą minę dziewczęcia.

— Pan radca Prędowski — zameldował w tej chwili służący.

Na progu stanął równocześnie ojciec Zosi i, zatrzymawszy się sekundę w cieniu portjery, objął bystrem okiem zarówno salon, jak ugrupowanych w nim gości. Przez tę krótką chwilę nie uszło nic jego uwagi: ani olbrzymia palma, kencja, która zastąpiła mniejszą od niej latanję, ani to, że obok jego posażnej jedynaczki siedział demagog i „hołysz“, Jerzy Orecki. Dopiero widok młodego Rolickiego pogłaskał mile jego nerwy.

— Droga Marcelinko — mówił, podnosząc do ust rękę pięknej swej szwagierki, — może się gniewasz na mnie, że tak *sans tambour ni trompette* odesłałem ci Zosię i Miss Florence prosto z pociągu. Ale najpierw: zbyt już długo zaniedbywała lekcje i wykłady; powtóre: wiesz o tej porze nie służyła jej... pobladła mi bowiem i posmutniała z tęsknoty widocznie za serdeczną twą opieką; наконец, co jest rzeczą niemniej ważną, interesa swoje i ogólne powołują mnie na dwa lub trzy tygodnie do Petersburga, niepodobna więc było samą ją zostawić w Prędowie.

— Mogę ci tylko podziękować, kochany Arturze, za miłą niespodziankę — odparła pani Korczyńska, powstawszy ze swej popielato-różowej kanapki. — Brakło mi bardzo Zosi; stęskniłam się za nią.

Nastąpiły powitania. Pan radca zachodził w głowę, skąd się tu wziął Tadeusz Rolicki. Nie mógł przecież przewidzieć, że Zosia dziś przyjedzie? A może z góry rezerwował sobie wstęp do domu jej opiekunki?

— W każdym razie dobry to znak — myślał Prędowski, niczem nie zdradzając swego zdziwienia.

Gospodyni domu przedstawiała tymczasem:

— Radca Artur Leliwa-Prędowski, mój szwagier; pan Roch Głuszewski, znany i ogólnie ceniony redaktor *Pochodni*.

Podali sobie uprzejmie ręce. Pan radca, tak lekceważący zwykle lub sztywno-niedostępny dla ludzi mniej od siebie wpływowych i zamożnych, zwykł był dla przodowników prasy, a więc i przewodników opinii publicznej, wyszukane okazywał względy. W takich panach lepiej mieć sprzymierzeńców, niż przeciwników — radził mu zdrowy rozsądek.

— *Pochodnia* rozumnym, konsekwentnym kierunkiem oraz poczuciami obywatelskimi...

— Narodowemi — wtrącił grzecznie Głuszewski.

— Tak — chrząknął pan radca i... połknął „narodowość“, — oraz obywatelskimi poczuciami — kończył — naprawdę, jak *pochodnia*, przyświeca społeczeństwu. Nasza *Mowa* mogłaby niejednokrotnie brać z niej przykład.

— Stoimy politycznie na krańcowo odrębnych stanowiskach — uprzedził Głuszewski szczerze.

— Och! te polityczne różnice naszych kierunków przy braku właściwego życia politycznego są czczą zabawką poniekąd — tłumaczył uprzejmie Prędowski. — W chwili niebezpieczeństwa lub potrzeby porozumielibyśmy się wszyscy z łatwością.

— Ja też wierzę gorąco, że sztandar nasz narodowy, jedyny, jaki istnieć może dla ucziwego Polaka, powinien zgromadzić i zgromadzi, zjednoczy kraj cały pod swą barwą. Nie wątpię, że ziemianie dobry przykład dadzą — mówił Głuszewski gorąco.

Prędowski i ten „sztandar“ nawet połknął bez zachłysnięcia z miłym uśmiechem. Rozmowa zato z panem, który od razu a bezwzględnie tak silnych używał tonów, wydała mu się pożądaną. Po parotygodniowym pobycie w Petersburgu prędzej mógłby coś powiedzieć; teraz jednak sytuacja zbyt była niezdecydowana, a pojęcia jego i zasady zbyt stanowczo ugodowe, aby chciał je zahaczać jakim niebacznem, zanadto liberalnem słowem. Lubi zawsze konsekwencje i stałość przekonań.

Jakby dla wybawienia ojca z drażliwej sytuacji, Zosia podbiegła w tej chwili ku niemu. Radość z powrotu, zadowolenie, iż wyrwała się nareszcie ze sztywnego, nudnego Prędowa, czyniła ją więcej rozbowioną, bardziej dziecinną.

— Papo! — mówiła żywo, — jak dobrze, że dziś przyjechałam. Czy wiesz? panowie założyli przy *Pochodni* „Narodowy komitet pomocy dla głodnych ro-

botników“ i przyszli właśnie prosić ciocię Marcelinę, aby kwestowała w bogatych domach na rzecz tych biednych, głodnych, którzy szybkiej potrzebują pomocy. Jedziemy więc jutro razem, ciocia, ja i pan Tadeusz Rolicki, w objazd po mieście do arystokracji, finansjerji, wszędzie, gdzie ciocia zna kogokolwiek, a sumy otrzymane ogłoszone będą zaraz w *Pochodni*. Rozumiesz, papo? Zanim „Komitet Narodowy“ zostanie zorganizowany, zanim popłyną drobne składki, pierwszy głód robotników polskich zaspokojony zostanie tem, co my uzbieramy.

Pan radca czuł, że wpada w pułapkę. Córkę jego wciągano do jakiegoś „Komitetu Narodowego“. Ta Marcelina jest wprost szalona!... To go wprowadza w kabałę, kompromituje nawet... On jedzie właśnie, jako przednia straż ugodowców, z delegacją 20-tu kilku w misji poufnej do Petersburga, przy czem wyróżnienie podobne uważa za zaszczyt, na który lojalnością swą od dawna pracował, a tu mu jedynaczkę zapisują do jakiegoś, Boże się zmiłuj! „Komitetu Narodowego“, każą jej publicznie w imieniu tych „narodowych“ składek występować i, jakby na szykanę, jakby dla rzucenia cienia na zabiegi jego w Petersburgu, ogłaszają to jutro urbi et orbi w takiej zwarjowanej *Pochodni*... Marcelina oszalała po prostu!...

Nie! on na to nigdy nie pozwoli!

I podniósł już stanowczo głowę. Wzrok jego wszakże padł nie tylko na córkę, ale i na Tadeusza Rolicza, który, stanąwszy obok Zosi, mówił pochylony, nie dbając na razie, że ojciec jej może słowa te posłyszeć.

— I ja się szczerze cieszę z tej wycieczki. Widocznie jakiś dobry duch nas tu dziś przywiódł.

Nie! Stawka była za gruba! najlepsza partja wśród możnego ziemiaństwa kilku gubernij! Płoszyć takiego rzadkiego ptaka, którego się wpierv łowiło... ależ to nonsens trzeba... zostawić rzeczy własnemu ich biegowi.

Zosia, zwrócona ku młodemu człowiekowi, odpowiedziała żywo:

— Dobrym duchem jest tu bezsprzecznie „Komitet Narodowy“, skoro, dzięki jemu, będziemy mogli nieraz wspólnie pracować, by w chwilach ogólnego przełomu głodnym i nieszczęśliwym nieść pomoc.

Rozmawiali życzliwie, a zupełnie swobodnie zapomniawszy już o Prędowskim.

Radca zaś, stojący o parę kroków, zawisł okiem na smukłej figurce córki. Taka była młodzieńcza gibkość i rasowość w jej postaci, taki wdzięk w doskonale pięknych a delikatnych rysach, iż serce jego dumą ojcowską wezbrało. Przeniósł wzrok na Rolicza. Dorodne jego oblicze wprost promieniało podziwem i żywszem, cieplejszem jeszcze uczuciem.

No, wszystko było widocznie na najlepszej drodze. Dobrze, że przywiózł Zosię tutaj, gdzie ciągle mogli się spotykać; w Prędowie trudne to było do urzeczywistnienia. Ha! stawka za duża by żałować świecy... Niechże im jakiś tam komitet będzie swatem.

Pan radca podniósł tym razem twarz uspokojoną i uprzejmym rozjaśnioną uśmiechem, a zbliżając się do pani domu, rozmawiającej z Jerzym i Głu-

szewskim, i zapomniawszy już, że ją przed chwilą o szaleństwo posadzał, przemówił miodowo-słodkim głosem:

— Kochana Marcelinko! cieszę się, iż Zosia dzień powrotu do twego domu pod dobrą rozpoczęła gwiazdą, pod znakiem miłosierdzia, którego kobieta winna być zawsze, a którego ty jesteś najszlachetniejszą kapłanką. Ponieważ jutro nie będzie mnie już w Warszawie, pozwól, abym dziś dla szczęśliwego poparcia zacnej myśli waszej złożył w twe ręce skromną mą ofiarę na narodowych, czy nie narodowych, dość, że głodnych biedaków.

Pod wąsem Głuszewskiego lekki przewinał się uśmiech.

— Niech pan radca będzie pewny, że i my nie mamy zamiaru o przekonania polityczne ich pytać. Komitet jest narodowy; nędza jednak to rzecz święta, wobec której milkną wszelkie partyjne względy.

Prędowski wydobyl tymczasem piękny portfel, ozdobiony srebrnym monogramem z koroną, a wyjąwszy z niego trzy podługne banknoty z białym szerokim brzegiem i portretem cesarzowej Katarzyny, złożył je na stoliczku przed panią Korczyńską.

Zosia, która od chwili śledziła ruchy ojca, aż poskoczyła ku niemu z radości.

— Trzysta rubli! — zawołała ucieszona. — Papo, jak to ładnie z twojej strony!

I bez względu na obecnych, bez uszanowania dla etykiety, podniósłszy się na paluszki, ucałowała ojca impulsywnie.

Pan radca sięgnął po kapelusz.

— Świat jest przekupny — zawołał żartobliwie; — własna córka za pieniądze człowieka całuje. Uciekam, aby dalszych nie doznać rozczarowań.

I pożegnawszy się pośpiesznie, a pozostawiając zebranych pod wrażeniem hojnego daru, salon opuścił.

Wśród pozostałych chwilowa zapanowała cisza. Głuszewski pochylił się ku pięknej wdówce.

— Czyżby teoria moja przyniosła już pierwsze owoce? — pytał poufnie. — Bo niech się pani nie gniewa na mnie, ale nie dowierzam, aby po przeczytaniu jutrzejszej odezwy naszej szwagier pani przesłał równie dużą kwotę do biura *Pochodni*.

Pani Marcelina milczała; ze wzrokiem w przestrzeń utkwionym, szukała myślą przyczyny, jaka mogła skłonić Prędowskiego do tak niezwykle u niego wspaniałomyślności.

Wtem oczy jej padły na wykwintną sylwetkę Rolickiego, stojącego z różą w ręku obok krzesła Zosi... z różą, którą ona widać upuściła bezwiednie.

— Aa! — wybiegło tylko na usta młodej kobiety; spojrzenie jej zaś zwróciło się ze współczuciem ku osamotnionemu Jerzemu.

Nazajutrz przez puste, patrolami tylko gwoili bezpieczeństwa urozmaicone ulice zamknięta karetka powiozła obie panie i Rolickiego na wyprawę po złote runo.

Pani Marcelina, ciemno ubrana, poważna, nie kryła niezadowolenia, jakie w niej budziła cała ta wyieczka.

— Gdyby nie obawa, że mię panowie posadzą o snobizm—tłumaczyła,—byłabym zaproponowała wczoraj panu Głuszewskiemu, iż domniemany dochód z dzisiejszej kwesty sama z góry złożę, byle nie występować w roli patentowanej filantropki, która chce zasłużyć na wdzięczność ludzką i koronę w niebie za to, że wyciąga rękę do cudzej kieszeni.

Ale Rolicki, posadzony wprost Zosi, która pensjonarski berecik zamieniła dziś na duży, czarny Gainsborough, a której misternie, delikatnem dłutem natury wyrzeźbione rysy wychylały się z pod cienia wielkiego ronda, — Rolicki, w którym zaranie uczucia budziło poetyczne porównania i zachwyty na cześć tego cudu natury, zakłętego w kształty uroczej polskiej dziewoi, aż zadrżał z obawy, iż pani Marcelina może jeszcze kazać konie zawrócić. Zbudził się w nim natychmiast społecznik, ekonomista i ideolog, by trójką całą podążyć na pomoc pocie.

— Pani nas źle zrozumiała i mylnie osądziła—tłumaczył.—Tu nie o sumę chodzi, nie o materialny wynik kwesty, lecz o moralny wpływ jej i znaczenie. Nam szło głównie o obudzenie ideowej solidarności z dążeniami narodowemi, o pozyskanie dla celów naszych tych sfer, które od wszelkiej akcji społecznej stronią dotąd i zdala się trzymają. Tu nie idzie o żadną partyjność, o żadne stronnictwo, lecz o ideę polskości, która wszystkim synom tego kraju drogą być powinna. Nędza jest bezpartyjna, i filantropja bezpartyjna być musi. Jeżeli jednak, dzięki występnym zabiegom socjalistów, chcących zrewolucjoni-

zować, zburzyć i zubożyć kraj cały, tysiące rodzin pozostało bez pracy i bez chleba, a my zakładamy komitet polski, a więc narodowy, celem ratowania głodnych, każdy, kto się czuje Polakiem, powinien w miarę możliwości dopomódz nam w tem zadaniu.

— Dojeżdżamy! — przerwała rozprawy Zosia.

— Jak pan wie—uzupełniła pani Korczyńska,—wyznaczyłam na dziś dwie tylko ulice, lecz mamy na nich, w myśl zasady panów, istny kalejdoskop sfer społecznych: co dom, to inny świat i inni ludzie. Dla Zosi ciekawe to pole dla studjów i obserwacji.

Powóz zatrzymał się przed pałacem, w głąb cofniętym a stanowiącym własność jednej z największych magnatek polskich. Posłano służącego dowiedzieć się, czy pani hrabina jest w domu i czy przyjmuje. Rozmowa tymczasem toczyła się dalej.

— Dama ta, słynąca do niedawna z pobożności i głośnej filantropji—opowiadała pani Korczyńska,—była przez czas długi istną zmorą mego życia. Nie poprzestając na przysyłaniu mi mnóstwa biletów na przeróżne bale i cele dobroczynne, zaszczycała przy każdej okazji skromne moje progi własną osobą, byle ściągnąć ze mnie tą nadzwyczajną popularnością jak największy haracz na rzecz patronowanych przez siebie instytucyj. Ze spokojnem więc sercem rewanżuję się dzisiaj.

— Jeżeli ciocia dawała całe lata, to i nasi gło-dni rzemieślnicy powinni dziś uzyskać ładny zasiłek.

— Warunki się zmieniły. Dama, uprzykrzywszy sobie bigoterję i patentowaną filantropję, zrzuciła

podobno ostatniej zimy czarne szaty tercjarki, a przebrawszy się w paryskie mocno dekolowane toalety. pozuje obecnie, jak mi mówiono, na również patentowaną lwicę salonową.

— Tak, i ja to słyszałem — przyznał Rolicki. — Szczegóły tej głośniejszej psychicznej metamorfozy obiegały przez dłuższy czas miasto.

— Konserwatyści powiedzą, że Nietzsche i Schopenhauer mieli rację: kobieta jest to zwierzę, które musi czuć zawsze rękę pana i kańczug nad sobą — żartowała pani Marcelina.

— Według mnie — zaprzeczył Rolicki, — dany wypadek stwierdza tylko aksjomat, że, gdy niewolnik poszarpie raz gnębiące go pęta, gdy zrzuci ową rękę pana i ów kańczug, wtedy, upojony odzyskaną wolnością, gotów jej nadużyć nawet, popełniając szaleństwa. Hańba więc tym, którzy zbiorowo czy pojedynczo poniżają i upadlają ducha ludzkiego niewolą.

Służący otworzył w tej chwili drzwiczki karety.

— Pani hrabina prosi — oznajmił.

Arystokratka, nosząca jedno z najbardziej znanych w kraju nazwisk, zerwawszy z ewangeliczną prostotą życia, prostotą, narzuconą jej, jak mówiono, przez niesłychane sknerstwo zmarłego męża, otoczyła się przepychem, godnym jej fortuny i stanowiska.

Strojna, ufryzowana, szeleszcząca jedwabiami, a nieobca sztuce kosmetyczno-malarskiej, nie przypominała niezem, chyba brzydota, owej małej, niepozornej dewotki, której czarną ubogą szatę i przylizane gładko włosy znały wszystkie świątynie i bractwa warszawskie. Wspaniała robe d'intérieur

z ponsowego genueńskiego aksamitu, z długim trenem, mającym podwyższyć drobny wzrost jej, przedstawiała zapewne w trójnasób wartość całorocznych dawniejszych jej wydatków. Wraz jednak ze zmianą zewnętrznej powłoki można magnatka zmieniła i sposób zachowania: nadmierna jej uprzejmość i chęć popularności zniknęła, pozostawiając chłodną grzeczność tylko.

Niemniej raczyła pamiętać i wspomnieć obowiązki, zaciągnięte względem pani Korczyńskiej. Z chwilą wszakże, gdy ta ostatnia przedstawiła jej oficjalnie delegata Komitetu Narodowego, p. Tadeusza Rolicz-Rolickiego, oczy strojnej i umalowanej niemłodej damy częściej już spoczywały na dorodnej, młodzieńczej jego twarzy, niż na obu kobietach, ucho zaś, dla przyzwoitości jedynie, a z widocznym roztargnieniem słuchało szczegółów o głodzie wśród robotniczej ludności Warszawy, o zawiązanym w tym celu komitecie i o potrzebie szybkiej pomocy.

Założona tem pani Korczyńska wyluszczyła od razu cel swej wizyty.

Kwestja finansowa, jasno postawiona, sprawdziła damę w genueńskich aksamitach z wyżyn czy nizin dotychczasowego roztargnienia na poziom rzeczywistości.

— Pani pragnie — podjęła z nieukrywaniem zdziwieniem, — abym wpływem swoim w kołach „towarzystwa“ — na wyraz ten położyła lekki nacisk — oraz osobistym udziałem poparła zakładający się świeży Komitet... Komitet... przepraszam, jaki?

— Narodowy.

— Ach, Narodowy!... Narodowy...—powtórzyła z namysłem.—Doprawdy, nie dobrze rozumiem. My te rzeczy wyraźniej określamy. Ale mniejsza o tytuł. Otóż, *chère madame*, takie żądanie ze strony pani niemile mnie dziwi... Pani bowiem wie z doświadczenia, jak bardzo potrzebowałam i potrzebuję dziś jeszcze zapobiegać w imię Chrystusa — tu z dawnego przyzwyczajenia oczy, ołówkiem podcieniowane, w górę podniosła, — tak zapobiegać w imię Chrystusa, aby instytucje, którym patronuję, egzystować mogły. Trudy prezesowej, obowiązki *d'une dame patronesse* w dzisiejszych szczególnież czasach wcale nie są łatwe; to ciężar za wielki często na moje biedne ramiona...

I poruszyła lekko ramionami, jak gdyby były całe obolałe od dźwigania nad możność i nad siły zrzuconych na nie obowiązków.

Dotknięta przeczuwaną odmową pani Korczyńska zdobyła się na krok rozpaczy, bo na ironję.

— Och! olbrzymia, magnacka fortuna pani hrabiny podola mu z pewnością.

Mała dama wyprostowała się, a z wąskich czarnych jej oczu zimny strzelił promień.

— Moja fortuna? A cóż to ma z nią wspólnego? Gdyby w ten sposób rezonować, przyszlubiśmy do zasad komunizmu niezadługo. Chrystus Pan — tu znów westchnęła, a wskutek dawnego przyzwyczajenia podniosła spojrzenie ku żyrandolowi, — Chrystus Pan kazał dzielić się z ubogimi ostatnim srebrnikiem, ostatnim kęsem chleba, obiecując wzajem błogosławieństwo Ojca Niebieskiego... Ale komu ka-

zał? Rybakom i ludowi... nie cesarowi, nie sanhedrynowi, nie kapłanom, nie Marcie nawet lub Marji. Bo, jako Najwyższy Prawodawca świata, chciał, aby hierarchja duchowieństwa, hierarchja rodów i majątków po wsze czasy zachowana została. Możliwym więc zostawił nie nakaz rozdawania i uszczuplania fortun, lecz przykazanie miłości bliźniego.

Olśniony kazuistyką, z oczami, w których łagodnej marzycielskiej toni błyskało szczere ubawienie, Rolicz aż poruszył się i przysunął z krzesłem o cal bliżej. Dama w genueńskich w misterne kwiaty tkanych aksamitach nie obraziła się o to bynajmniej; przeciwnie, wąskie sinawe jej usta rozchylił uśmiech, — ręka, typowa ręka *d'une désoeuvrée*, jak raczyła sama określać, wychylona z powodzi koronek, podniosła się zalotnie ku fryzurze.

— Jakżeż pani hrabina wobec powyższych zasad rozumie to przykazanie miłości bliźniego?

— Głębiej, niż inni, *soyez-en-sûr* — zapewniła słodko. — Należałam do założycielek i dziś jeszcze jestem członkiem wielu doniosłych instytucji: „Stowarzyszenie Pań Św. Wincentego a Paulo“, „Maternité“... pan rozumie... dla rodzących, „Magdalenki“, „Św. Małgorzata“, „Św. Marta“, „Św. Zofja“, „Św. Żyta“, „Św. Kinga“... to wszystko czas pochłania. Trzeba urządzić ciągle sesje, wenty, zabiegi o fanty, starania o pieniądze i składki, rauty, koncerty, zabawy kwiatowe, bale kostjumowe... *Que sais-je enfin*. Tak, arystokracja ma w tym zakresie swoje cele i swoje zasady, które ją zupełnie pochłaniają i wyczerpują.

Pani Korezyńska podniosła się z godnością.

— Wobec tego pozostaje mi tylko przeprosić panią hrabinę, żeśmy sobie pozwolili, jako przedstawiciele komitetu ratunkowego dla głodnych, utrudzać ją swoją bytnością.

— Ale cóż znowu! Bardzo mi przyjemnie. Charmée, charmeé... — zapewniła, spoglądając zalotnie na Rolickiego. — Zresztą nie odrzuca państwo przecież i mojego wdowiego grosza.

Podeszła, ciągnąc za sobą z szelestem wspaniały tren aksamitny, do stylowego biureczka, umieszczonego w rogu buduaru, i ujawszy najpierw przewieszzone przez krzesło długie boa z soboli, zarzuciła je sobie na zwątłone pracą dobroczynną ramiona.

Potem dopiero przekręciła złocony kluczyk, a zapuściwszy w głąb szuflady swą wydelikacaną rękę białą, odwróciła się ku pani Korezyńskiej z trzymaną między dwoma długimi paznokciami zieloną trzyrubłówką.

— Choć wdowi grosik — prosiła z przymileniem.

Młoda kobieta o krok w tył się cofnęła.

— Pani hrabino, przyjmujemy składki, nie jałmużnę; raczy ją pani odesłać do wydziału ofiar w administracji *Pochodni*.

— *Pochodnia, Pochodnia?* Qu'est-ce que ça?

— Jeden z najpoczytniejszych dzienników polskich.

— Aa!... Nie znam. Dobrze, każę tam odnieść.

Podaly sobie czubki palców. W chwili jednak, gdy Tadeusz składał ukłon ceremonjalny, strojna dama zwróciła się wprost ku niemu:

— Roliczowie-Rolicey posiadają w kutnowskim majątek ziemski; czy to pan w nim zamieszkuje?

— Tak, posiadłość ta należy do mego ojca.

— A graniczy z memi dobrami. Być może, że przyjadę tam spędzić parę tygodni tego lata, będziemy więc sąsiadowali.

I podała mu rękę z najbardziej obiecującym uśmiechem.

Tadeusz, przyjąwszy uprzejmość tę mileżącym głębokim ukłonem, podążył za wychodzącymi paniami.

Gdy znaleźli się w karecie, pani Marcelina odechnęła głęboko.

— Cóż za oschłość serca! — wybiegło mimowolnie na jej usta.

— Szkaradna, wymalowana baba! — wybuchnęła mileżąca dotąd Zosia.

— Niech żyje szczerłość, panno Zofjo! Co prawda, w zupełności podzielam pani zdanie — przyznał Rolicki.

W dziesięć minut później konie przed innym zatrzymały się domem. Służący, kierując się powierzona sobie listą, przyszedł po chwili oznajmić, że państwo proszą.

Na drzwiach pierwszego piętra, w które wchodzili, widniała tablica z napisem: „Nicefor Kartezyusz-Hulankiewicz, Członek Sądu Okręgowego i Radca Dworu“.

Na progu przedpokoju czekał już na nich mężczyzna, dźwigający zapewne szósty krzyżyk, lecz krzepki jeszcze, wysoki, o łysiejącej głowie i przyczernionych faworytach. W ukłonie, w każdym słowie i ruchu znać było, iż dba o wywieranie na innych wrażenie, że stara się zachować wytworność salonowca, należącego do wyższych kół towarzyskich.

— *Un vieux beau*—szepnęła Zosia do odbierającego paltocik jej Tadeusza.

Zaczęły się komplementy i powitania. Pan radca, jak się okazało, znał wszystkich, wiedział wszystko. Dziękował pani Korczyńskiej z rycerską galanterją za zrobiony mu przybyciem swem zaszczyt; omal nie padł trupem przed urodą Zosi, przyczem zapewniał, iż ojciec jej należy do najbardziej zasłużonych obywateli kraju; potrzasał rękami Rolicza, twierdząc, że znamienity ród Rolickich bliższy jest jego radcowskiemu sercu nad inne, że stryjem bowiem Tadeusza siedzieli w szkołach na jednej ławie.

Ta wylana sztuczna nieco grzeczność zdawała się znamionować nietyle gorące serce, ile przyswojoną sobie wśród kolei życia trochę „szeroką naturę“.

Dotarto wreszcie wśród tych wynurzeń i powitań do wspaniałego, w zamożności swej nieco przeładowanego salonu.

Zaledwie jednak pan radca dworu usadowił „dostojnego swego gościa“ na kanapie, na progu stała drobna, zasuszona, niebrzydka jeszcze kobieta i, jakby nie u siebie w domu, jakby ją te wielkości i zaszczyty onieśmiewały, lekko posunęła się na-przód.

Pan radca dworu zrobił jej cierpką wymówkę, że się spóźniła, a pani Marcelina powstała. Znała z lat dawnych tę cichą, zafukaną kobietę, która wobec potoków wymowy męża zawsze milczała, a w której oczach wyblakłych, łzom nie obcych, palił się nie płomień buntu, lecz płomyk samozaparcia i rezygnacji.

Po krótkich tym razem powitaniach pani Korczyńska wyłożyła treściwie cel swego przybycia.

— Dla głodnych? To łajdaki! mam ja tam ich w sądzie! buntowniki! — wybuchnął pan Niecefor.

Lecz tym razem, o dziwo, żona ośmieliła się mu przerwać:

— Forciu! — mówiła, dotykając ręką jego ramienia, — tam sąd, a tu... miłosierdzie.

Zrozumiał i — rzecz niezwykłą — nie ofuknął jej nawet.

— Święta racja, pani radczyni! święta racja! Przynieś książeczkę czekową.

Zniknęła, jak cień, za portjerą.

Zosia i Rolicki, pozostawieni sobie, bawili się tym razem wybornie. Pani Korczyńska zaś próbowała, idąc za ideą Głuszeńskiego i Rolicza, wytłomaczyć gospodarzowi domu narodowe cechy akcji ratunkowej.

— Pan radca rzucił słowem ostrem na tych, którzy całe to nieszczęście, całą nędzę wywołali. Chciałabym, aby pan zrozumiał, że i my nie solidaryzujemy się z nimi... że i my surowo potępiamy anarchistyczne eksperymenty socjalizmu, czynione na

zywem ciele polskiego ludu. Lecz dlatego właśnie, że on nie przestał być polskim, być naszym, obowiązkiem jest ratować go od zagłady i wyrwać z odmetów wrogiego dla społeczeństwa kierunku. Akcją więc będzie nie tylko filantropijną, lecz i obywatelską, kierują nią bowiem zarówno względy miłosierdza, jak zasada poczuć narodowych.

— Dla mnie istnieje wzgląd jeden tylko: ten, że pani raczyła sama fatygować się do nas. Uczyni to mi dzień dzisiejszy na zawsze drogim i pamiętnym. Poza tem wszelkie walki stronnice tutejsze są mi zupełnie obojętne; mogą się całować, czy zarzynać... cóż mnie to obchodzi? Jestem, jak pani wie, Litwinem.

— Litwinem-Polakiem? — podjęła pani Korczyńska.

— Nie! Litwinem-Białorusinem właściwie. Kocham tylko polskie kobiety, bo ładniejsze od naszych. Ale koroniarz zawsze chytry, zawsze zwarzany ze swoim nacjonalizmem... Że raz Jagiełło poszedł w poddaństwo do polskich panów, tak oni chcieliby jeszcze dziś przewodzić nad nami... A my nie dopuścim do tego. Niechaj nam książki drukują kirylicą, kiedy nie można inaczej, a my do polskiego abecadła nie dopuścim!..

— Szkoda, że tak piękny pewno i wyrobiony język nie ma własnych liter. Pan mówi po białorusku?

— Gdzieżby tam, pani! Toż chłopski język! Gdzieżby Nicefor Kartezjusz-Hulankiewicz, Członek Sądu Okręgowego i Radea Dworu, miał mówić taką

gminną gwarą? Bronić będę, bo my tak sobie przyrzekli, jeszcze jak ja był w Petersburgu, w urzędowaniu; ale mówić, fi-donc!

Bystre ucho Rolicza pochwyciło tytuły, jakie gospodarz domu sam sobie nadawał.

— Przepraszam pana — wtrącił, — jestem trochę heraldykiem, nigdy jednak nie zdarzyło mi się spotkać przydomku: Kartezjusz. Jest wspaniały, imponujący, ale chyba nie polskiego pochodzenia?

— Ha, ha! ha!... złapał się! — wybuchnął radca dworu wesoło. — Ja szczerzy człowiek i zaraz prawdę powiem. Jak ja był w Petersburgu, był młody, trochę hulał, trochę lubił karteczki, trochę zanafto może lubił karteczki... tak koledzy-Litwini nazwali żartami „Kartezjusz“... i ja już zawsze zostałem Kartezjuszem. Wszyscy tak mnie wołali: Kartezjusz i Kartezjusz. Przyjechał potem do Warszawy, poznał swoją panią i zakochał się. Koroniarze próżne, puste... moda u nich na przydomki; myślę, niech i ja mam przydomek... został więc Nicefor Kartezjusz-Hulankiewicz.

— Forciu, przyniosłam książeczkę czekową — przerwała potoki rozmowy czekająca od dawna żona.

Pan radca dworu spostrzegł w tej chwili, że wywarł pewno złe wrażenie, że powiedział za dużo i mówił złą polszczyzną. Wyprostował się więc, zebrał w sobie i, nakreśliwszy słów parę, dwie wyrwał kartki, a zarazem powrócił do pierwszego salonowo wykwińskiego tonu.

— Panie darują... Czem chata bogata, jak tu mówią w Warszawie.

I składając czek pierwszy przed panią Korczyńską, dodał:

— W podzięce za łaskawe niezapomnienie o nas.

— A podając drugi Zosi, uzupełnił. — Z prośbą, o przypomnienie mnie uprzejmej pamięci papy.

Poczem wśród ukłonów i wynurzeń grzeczności oboje odprowadzili gości aż do progu schodów.

Czeki były równe — po 25 rubli każdy.

— Skąd pani zna tych ludzi? — zapytał bez ceremonji Rolicz, gdy się znaleźli w karecie.

— Miałam z nim do czynienia w sprawie spadkowej po moim mężu. Ale wtenczas nie odsłaniał jeszcze kart tak jawnie; przeciwnie, dawał do zrozumienia, że polskie zapatrywania i uczucia stoją mu na drodze do awansu w karierze urzędowej. A to ładny kwiatek petersbursko-urzędowego litewsko-białoruskiego separatyzmu! Biedna Polsko nasza! Ileż obcych nowotworów i pasożytów ziemię twą znieważa!

— Ciociu! — wtrąciła Zosia, — te 50 rubli dla głodnych wcale mnie nie cieszą. Wracajmy lepiej do domu.

— Nie, kochanie! nie dla przyjemności pojechałyśmy, lecz z poczucia obowiązku, trzeba go więc wypełnić.

— Proponuję — dodała, — abyśmy na każdą dalszą wizytę przeznaczyli tylko 10 minut; inaczej nie wypełnimy zakreszonego na dzisiaj zadania.

— Co do mnie, nie zależy mi na pośpiechu; mogę tak jeździć dni kilka — zapewnił Rolicki.

— Ślicznie. Ale proszę, aby pan rzecz całą wszędzie referował.

— Przenigdy! Pierwszeństwo damie się należy. My z panną Zofją stanowimy tylko straż honorową.

Roześmieli się wszyscy. Konie stanęły właśnie.

— Tutaj czeka nas dom oryginalny — objaśniła młoda kobieta. — Pan Cramer, eks-przemysłowiec, dziś rentjer, człowiek bardzo bogaty. Mieszkałam czas dłuższy w jednej z jego kamienic; stąd znajomość. On, umysł trzeźwy, finansista, hołdujący tylko w sferze rzeczywistej i abstrakcyjnej ściśle realnym walekom, a więc oportunistą i ugodowcem; pani, Polka z urodzenia, typ płytki, stworzony na pociechę dla fryzjera i modniarki; jedyne zaś syn ich, pan Wiesław Cramer, dzielny umysł i szlachetne serce, jest nie tylko ideologiem i nacjonalistą, lecz nawet gorącym polskim narodowcem. Jakim sposobem ta para takiego wychowała syna, skąd wziął on swe przekonania i uczucia, jest to nie tylko dla mnie, lecz dla wszystkich pewno tajemnicą.

Zadzwonila.

Po chwili przyjmowano ich z niezmierną grzecznością. Pan, wysoki, dobrze odżywiony, z grubą, wilgotną wargą smakosza, z wyszukaną elegancją stroju, bronił się widocznie starości, którą poważna łysina najsilniej znamionowała. Pani, znacznie młodsza, pretensjonalnie ubrana, błyszcząca złotem i brylantami, miała minę kobiety zadowolonej ze świata, z siebie i ze swej modniarki.

Na pierwszą wzmiankę o misji, jaka przybyłych tu przywiodła, pan Ludwik Cramer, z firmy „Cramer i Syn“, zmarszczył brwi z niechęcią.

— Nie jestem przeciwny filantropji—mówił to-
nem rezonerskim.—I owszem, mówię nieraz do żony:
Elizko...

— Elżuniu — poprawiła pani.

— No, tak; mówię: Elżuniu, kwestuj, jeżeli cię
poproszą; jest wenta, jest bazar; Elizko, jedź i daj,
ile uważasz.

— Elżuniu — poprawiła znów pani półgłosem.

— No, właśnie; Eliz... Elżuniu, jedź i daj. Ma-
jątek wkłada obowiązki; należy pamiętać o ubogich,
więc zapisz się do szwalni czy do ochrony na opie-
kunkę i daj, co należy. Miłosierdzie, Eliz... Elżuniu,
to rzecz kobiety; na to zbierałem, abys miała co
dawać.

Spojrzał z tryumfem po obecnych, jak gdyby
oczekiwał poklasku lub wyrazów uznania, poczem,
odrzucając ton namaszczony a pełen godności, cią-
gnął dalej:

— Jak więc szanowna pani widzi, ja sam ujmu-
ję się za ubogimi i jestem ich rzecznikiem. Ale
w dzisiejszych czasach „komitet ratunkowy dla strej-
kujących robotników“ wydaje mi się zbrodnią wzglę-
dem własnego społeczeństwa.

— Dlaczego, na Boga? — podjęła pani Kor-
czyńska.

— Za cóż ich ratować? Wszystko, co myśmy
zapracowali, czem wzbogaciliśmy kraj...

— I siebie — wtrącił Rolicki.

— Zapewne, że przedewszystkiem siebie; to
prosta logika wskazuje... Wszystko te zbuntowane
warcholy, ta bezmyślna hołota rujnuje dziś, niweczy

i w nicość obraca. Jeszcze kilka miesięcy podobne-
go bezprawia i zamętu, a właściciele będą zmuszeni
pozamykać fabryki, i runie ów cały kwitnący prze-
mysł, przez dziesiątki lat dźwigany, który stanowił
jedną z najsilniejszych podstaw bogactwa krajowego.
To nie ludzie nieszczęśliwi, nie ofiary, jak pani tak
pięknie powiada!... to zbrodniarze!

— Zapewne, nie są bez winy; ulegli jednak
namowom, ustąpili przed terorem.

— Zwarty tłum robotniczy i rzemieślniczy lic-
niejszy jest i był nad garść nasłanych tu niemie-
ckich i rosyjskich agitatorów. Pani mówi: „Komitet
narodowy“. Ślicznie to brzmi, ale falanga, która kraj
do ruiny, a siebie do nędzy doprowadziła, czyż miała
iskrę poczuć narodowych, gdy łączyła się, wbrew
interesom narodowym właśnie, z rewolucją socjali-
styczną wrogiego nam obcego społeczeństwa, lub
z nieprzejednanym względem rządu, lecz nam rów-
nież wrogim „Bundem“ żydowskim? Brak uświado-
mienia i oświaty? sądzi pani. Nie! Na to nie trze-
ba szczególnego uświadomienia. Każdy wie, czem
i kim się urodził... każdy, zwierzę nawet, rozumie obo-
wiązki względem własnych dzieci; kto więc działa
wbrew interesom swego społeczeństwa, a dzieci swe
spycha w odmet biedy, w przepaść występku nawet,
ten jest wprost zbrodniarzem. Popieranie podobnych
osobników równa się żywieniu darmożjadów kosztem
zubożonego ogółu.

— Czyż mamy im pozwolić z głodu umierać?

— Niech pracują! niech nie strejkują! Trudno
łatwą jałmużną demoralizować dalej próżniaków i wy-

drwigroszy. Wygadują na „opasłych burżujów“; tymczasem do tej nieszczęśliwej burżuazji tak wszyscy wyciągają ręce, że nie wie ona, gdzie dawać, a niezadługo nie będzie już miała nic do dawania. Filantropja to nie ratunek społeczny, nie lekarstwo na nędzę, lecz paljatyw, który w tym razie demoralizuje tylko. Zapędzić strejkujących do pracy... oto jedyna rada.

— Twierdzeniu pańskiemu nie można na wielu punktach odmówić słuszności — przyznał Tadeusz Rolicki. — Cieszy mnie też szczerze, iż poniekąd uprzedziliśmy życzenia pana. Ratunek bowiem dla głodnych to rzecz natychmiastowa, nie cierpiąca zwłoki; poza nim jednak grono znanych działaczy z panem Stanisławem Lipowieckim na czele zbiera jutro posiedzenie w celu ukonstytuowania „komitetu robót publicznych“, któryby tysiącom pozbawionych chleba dostarczył bezzwłocznie pracy uczciwej a stałej, dopóki bezrobocia trwać będą.

— Tak, to pojmuje! — przyklasnął pan Cramer, — to rozumny, obywatelski projekt.

— Trafia on najzupełniej w myśl pańskich wywodów. Skoro więc nie pomoc dla głodnych, może „komitet robót publicznych“ będzie mógł liczyć na poparcie pana?

Głowa firmy „Cramer i Syn“ we własną wpadła pułapkę. Pan o łysej czaszce i grubych, wilgotnych wargach spróbował jeszcze wykreślić się z przygotowanego własną ręką potrzasku.

— Jeżeli się do mnie zwróca, a dadzą głos doradcy, i owszem, służę. Sprawa to ważna.

— Zaproszenie oficjalne jutro zostanie panu przesłane.

A strojna pani Elizka czy Elżunia mówiła tymczasem do Zosi Prędowskiej:

— Wróciłam świeżo z Berlina. Cudne miasto! Co za wystawy! a jak tanio!... Każdy kapeluszyk to wspaniałe cacko. Przywiozłam kilka... Szkoda, że nie mogę paniom pokazać.

Pożegnawszy nieugiętego Katona i jego strojną małżonkę, pani Marcelina zatrzymała się sekundę na schodach. Aliści w tejże chwili drugie, a boczne drzwi, wiodące do tego samego mieszkania, otworzyły się, i na progu ich stanęła siwowłosa, o mlecznych po staroświecku ułożonych puklach, szczupła staruszka, oparta na ramieniu młodziutkiej dziewczynki.

— Pani Korczyńska? — wszak prawda? — zaczęła zniżonym głosem. — Poznałam cię od razu, śliczne dziecko, i przepraszam, że ośmielam się zatrzymać panią. Nie proszę do środka, bo mam tu jeden pokój... mógłby kto wejść. Wszak tam — wskazała głową na drzwi główne i zniżyła głos do szeptu — nie dali? — prawda?... Mój zięć dobry, bardzo dobry człowiek; ale cóż robić! ma swoje poglądy... Elżunia też nie jest wcale oschła, ma nawet litościwe serce, tylko trochę zawojowana. A tu, słyszałam, pani mówiła, że trzeba głodnych ratować, że chodzi o narodowe uczucia ludu...

— Tak, pani — uśmiechnęła się pani Marcelina słodko do tej jakby z portretu zdjętej sędziwej matrony.

— Widzisz, kochanko, ja nie mam pieniędzy... bo pocóżby mnie pieniądze? ale tu jest bransoletka, ostatnia pamiątka po moim nieboszczyku mężu. Elżunia nie zabrała, gdyż dla niej za skromna; zresztą nie chciałam się z klejnotem tym do śmierci rozstać; dostałam go w dniu zaręczyn...

Zamilkła, bo dwie grube łyzy staczały się po włosowych, przezroczystych jej licach.

Staruszka łyzy natrętne pośpiesznie palcami zebrała.

— W takiej chwili, w chwili nowych dla kraju nadziei, których, dzięki Ci, Boże, żem dożyła jeszcze, nie powinno być głodnych... Nie mam nic, prócz tej pamiątki; ale proszę cię, kochanko, weź ją; sprzedajcie i kupcie za to chleba, o ile starczy... W modlitwie mówią: „Bóg się rodzi, moc truchleje“; a ja powtarzam z radością: Polska się budzi, zła moc truchleje!... W takiej dobie każdy powinien oddać dla dobra ogólnego wszystko, co ma, wszystko, co może. Weź, kochanko!...

Podniosła do zwiedlonych ust i z nabożeństwem przycisnęła do nich błyszczące koło miękkiej złotej taśmy z turkusem w pośrodku rozety, a potem bez żadnych wahań podała pani Korczyńskiej tę ostatnią na tym świecie świętą relikwię swoją... tę rzecz droższą nad relikwię, bo skarbnicę wspomnień, cień szczyśliwych snów młodości, które nigdy nie wrócą!...

Młoda kobieta, pojmując moralną doniosłość daru, przyjęła go bez słów podzięki i w milczeniu pochylała się, przykładając świeże swe usta do pomarszczonej dłoni staruszki.

Oczy Rolicza w intensywnej sile spojrzenia nabrały bolesnego nieledwie wyrazu. Zosia, pobladłszy pod ich mocą, stała jakaś cicha, zalekniona, z opuszczoną firanką rzes długich.

— Idźcie już, kochanko, idźcie — prosiła staruszka, — żeby mój zięć nie posłyszał czasem, bo może byłoby mu przykro.

Ale towarzysząca jej panienka, która, zapuściwszy paluszki za kołnierzyk, walczyła tam od paru chwil z jakąś niewidoczną przeszkodą, zatrzymała ich jeszcze.

— Proszę pani — mówiła nieśmiało, zdejmując z szyi cieniutki złoty łańcuszek z krzyżykiem i podając go pani Marcelinie, — proszę pani; niech i to idzie na chleb dla głodnych, na chleb dla sierot może...

— Dobrze, Karolciu! bardzo dobrze! — pochwaliła staruszka, dodając sposobem objaśnienia: — Ona sama sierota... po mojej siostrzenicy.

I cofając się za próg, dodała z miłym uśmiechem:

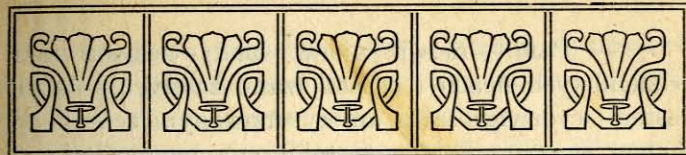
— Gdyby tu był wnuk mój, Wiesław, nie odchodzilibyście państwo z niczem. Ale on sam trafi i do głodnych polskich nędzarzy, i do Komitetu Narodowego.

Gdy wzruszeni znaleźli się przy karetkce, pani Marcelina kazała stangretowi wracać do domu.

— Po takim ślicznym obrazku nie pojedę już nigdzie — mówiła. — Przez te usta sędziwe prawda

życiowa objawiła się w tej chwili. Chętni sami do ubogich lub do *Pochodni* trafiają; zamiast zaś narzucać się niechętnym, wolę składkę za nich złożyć.

Zosia nie protestowała; zdawała się nie słyszeć nawet. Oczy jej, pod długimi ukryte rzęsami, błędziły śnadź po tajnikach własnej duszy.



XVIII



zar wiosny i... głodowe męczarnie! — czyż może być okrutniejsze, bardziej tragiczne zestawienie?

W miarę jednak, jak bezrobocie szersze zakreślało kręgi, a proletarjat warszawski chylił głowę przed teroryzmem agitatorów socjalistycznych, głód coraz groźniej trapił tysiące rodzin robotniczych. Ludzie dobrej woli podwajali też starania, by tej groźnej klęsce w miarę możliwości zapobiedz. A była ona tak bijąca w oczy, tak namacalna, iż wystarczało wyjść na krótką przechadzkę po mieście, by w ciągu pół godziny ujrzeć wyciągnięte ku sobie po jałmużnę dłonie kobiet, starców, dzieci, lub często w pełni sił żywotnych ludzi, wczoraj jeszcze, dzięki stałej fachowej pracy, poniekąd zamożnych, a dziś, po kilku miesiącach przymusowego bezrobocia, nędzarzy, zielonych z głodu, o członkach wychudłych, świecących nagością przez odzież, rozpadającą się w strzępy.

— Pani!— mówił nieraz blady nędzarz taki, o ziemistych licach i oczach łzami zaszłych.—Ja nie jestem wydrwigroszem, ani rytunowanym żebrakiem; byłem zawsze uczciwym, zdolnym rzemieślnikiem; mam poczucie godności własnej i ambicji; wolałbym też życie sobie odebrać, niż prosić o jałmużnę. Ale mam dzieci... moje dzieci chore z głodu, moje dzieci płaczą chleba!...

I sam zapłakał, łamiąc bezsilnie ręce — takie dzielne, a przez wichrzycieli politycznych obezwładnione.

Pani Marcelina Korczyńska tyłu wśród wędrowek swych spotykała ludzi podobnych, biedą złamanych, ciągłymi strejkami wykolejonych, unicestwionych po prostu, że, aby ich w najcięższych chwilach ratować i podtrzymać, zapoczątkowała u siebie własnym kosztem rozdawnictwo najniezbędniejszych produktów spożywczych. Biuro to pomocy doraźnej Komitet Narodowy uznał później za oddział swój, oddając go pod opiekę pierwszej założycielki, a przyczem rozszerzył go do rozmiarów niedostępnych dla osoby prywatnej.

Pani Marcelina prócz tego wynajęła już od dawna na swój rachunek trzy pokoje oficynowe w domu przez siebie zamieszkiwanym.

Jeden z nich zajmowała ochrona, drugi szkołka elementarna dla dzieci ubogich z najbliższej okolicy, trzeci oddany został Maryni Kolkowskiej, która w zamian w godzinach wolnych od własnej, dorywczej, bo w prywatnych „kołach“ pobieranej nauki, pomagała Zosi Prędowskiej w prowadzeniu szkoły,

w rozdawnictwie żywności, przy którym dyżurowali panowie, jednym słowem we wszystkim, w czem tylko użyteczną okazać się mogła.

Gorąca chęć spełnienia obowiązków obywatelskich i dopomożenia głodnym w chwilach dojmującej niedoli była tu troską nieustanną i, jak ratownictwo na wojnie, pochłaniała wszystkie chwile dobrowolnych tych ochotników w pracy społecznej. Nie wypełniano jej wszakże z kwakerską surowością; przeciwnie, wrzało tu życie, skrzył się zapal, gorzała gorąca chęć przeciwdziałania nieszczęściu, łagodzenia klęsk i niedoli, jakimi stronnictwa rewolucyjne, anarchja, rząd i biurokracja chciały zubożyć, złamać, zniweczyć budzące się do życia narodowego społeczeństwo.

A przy rozszerzeniu się serc, przy wzmożeniu uczuć ogólnych, wiosna życia i wiosna przyrody, roztaczając swe czary, opłatywała ich siecią dusze młodzieńcze, rwące się nie tylko do pracy, do czynu, lecz instynktownie i do własnego szczęścia także.

W tej podnieconej atmosferze ducha i myśli dojrzewiała też szybko sercem i umysłem Zosia Prędowska, rozwijając się, jak kwiat wspinały.

Altruistyczne i narodowe uczucia, tak gorąco od dzieciństwa w młodą jej duszę przez panią Korczyńską wpajane, w dzisiejszych warunkach bujnym olśniewały rozkwitem. Powróciwszy z wykładów, własną jej rozszerzających wiedzę, biegła pomagać w szkółce, w której parę godzin sama nauczwała. Gdy zaś wieczorem w tych samych, przez dzieci opróżnionych pokojach Jerzy miewał pogadanki spo-

leczone i polityczne, bądź dla młodzieży rzemieślniczej, bądź łatwiejsze dla analfabetów, Zosia, z boku, w kąci, aby nie przeszkadzać i nie żenować sobą nikogo, słuchała z natchnieniem słów jego, natchnionych nieraz, a zawsze pełnych prostoty, przemawiających do przekonań i rozumu, do serca lub sumienia zebranych.

I, rzecz dziwna, gdy młody człowiek czuł obecność jej obok siebie, gdy, zwróciwszy głowę, zobaczył śliczny rzeźbiony jej profil i szafirowe głębokie źrenice dziewczęcia, ze skupieniem na nim zawisłe, myśl jego nabierała poletu, a słowa skrzydeł, głos zaś, uczuciem drgający, zjednywał i przekonywał najoporniejszych nawet. Stopniowo jedno wielkie święte ukochanie ogarniało mówcę i słuchaczy, — jedno wzruszenie wstrząsało ich sercami, — jeden zapal dla lepszej przyszłości, na prawach narodowych opartej, bił z rozjaśnionych, błyszczących, ku Jerzemu ześrodkowanych spojrzeń.

Pogadanka dzisiejsza była ostatnią z całego szeregu innych, poświęconych wytycznym punktem dziejów Polski.

Na systematyczny wykład nie było ani czasu, ani miejsca; nie chodziło tu zresztą o ugruntowanie wiadomości historycznych, lecz o podniesienie uczuć narodowych. Jerzy musiał przytem brać w rachubę rodzaj audytorjum i nastrój słuchaczy, nie przygotowanych do poważnego odczytu, a jednak rozbudzonych, chciwych światła i wiedzy, spragnionych prawdy o tej przeszłości, którą spotwarzano im w szkołach i szkółkach, głodnych wieści o tej ziemi

rodzinnej a ukochanej, do której miłość, z mlekiem matki wyssana, w krwi odziedziczona, czekała tylko podniety, by strzelić w górę jasnym a czystym płomieniem.

Podnieta zaś istniała w nagromadzonej atmosferze, jaka ich otaczała, i w wysokim elektrycznym jej napięciu.

Bilo ono z rozgorzałych lub pobladłych rysów słuchaczy, tryskało z błyszczących ich oczów, utkwionych w Jerzego. I zaiste, niezwykle był widok tego zastępu młodzieży, wypełniającej po brzegi małą oficynową salkę. Spracowani całodziennym trudem w sklepach, kantorach, warsztatach, biegli po skończonym dniu tutaj, by, jak baśnią cudowną, krzepić się i upajać u nieznanej im dotąd krynicy prawdy dziejowej, u źródła siły ożywczej, odradzającej młodzieńczego ich ducha.

Skupieni, zasluchani, stali ramię przy ramieniu, niepewni grożącego im niebezpieczeństwa, a świadomi tylko otuchy i wiary, mocy i upojenia, jakie na nich ze słów Jerzego spływało. Bluza rzemieślnicza dotykała kurtki ucznia sklepowego, — kubrak robotnika ocierał się o staranniejszy strój praktykanta z kantoru lub fabryki, — wszyscy zaś w zjednoczeniu tem i braterstwie zdawali się tworzyć wielką rodzinę, złączoną technieniem duchowego Odrodzenia.

Jerzy w dorywczych tych lekcjach nie wykladał historii, lecz brał pojedyncze jej obrazy, uwypuklał je barwnymi szczegółami i rzucał, jak na ekran, na ponure tło późniejszej niewoli. Piast, pierwszy kmieć, na tron wyniesiony, i cały naród rycerzy, orzących

rolę w czasie pokoju, a idących własnymi piersiami osłaniać Ojczyznę w dobie wrogiego najazdu; Jadwiga, składająca uczucia swe na ołtarzu dobra kraju i przeprowadzająca mocą ślubów z Jagiellą, wspaniałą pokojową unję Litwy i Polski; Jagiello, podnoszący potęgę Rzeczypospolitej i kruszący moc krzyżacką na polach Grünwaldu; hołd księcia pruskiego na rynku krakowskim; zdobycie przez hetmana Żółkiewskiego Moskwy, oraz wzięcie do niewoli Wasiła Szujskiego i brata jego, Dymitra; świetne ocalenie Wiednia przez Jana Sobieskiego; konstytucja wreszcie 3-go maja, powstanie Kościuszki i bitwa pod Racławicami; wojna 1831 roku i walka pod Grochowem — oto oderwane, pojedyncze, ogromnem uczuciem natchnione obrazy, jakimi Jerzy w ciągu kilkunastu pogadanek starał się uplastycznić tej garści nieświadomych, czem była dawniej ich ojczyzna. Wyjaśniał im powstanie jej, wzrost, oraz olbrzymią potęgę terytorjalną i kulturalną, do jakiej doszła.

Dzisiaj kończył cykl ów dorywczy, lecz malowniczy, a pełen zapалу, porównaniem dwóch narodów, związanych z sobą nierównymi prawami: ujarzmionego i jarzmiającego, — dwóch cywilizacji odrębnych aż do dna swej istoty, dwóch dusz zgoła odmiennych, ożywiających oba ludy.

— Nie jesteśmy dziećmi jakiegoś drobnego państewka, które w zależności od innych cichy, poddańczy wiodło żywot — mówił głosem prawowitą przejętą dumą. — Jesteśmy synami wielkiej, potężnej Rzeczypospolitej, której prawa wolnościowe, kultura i bogactwa przyciągały państwa ościenne i do-

wolnymi łączyły z nią węzłami. Przed tysiącem lat już obieraliśmy swych królów; od wieków posiadaliśmy prawa konstytucyjne i wolność osobistą, aż do swawoli nieraz posuniętą. Nasi poeci, uczeni, politycy i wogóle mężowie stanu, nie mówiąc nawet o słynnych wodzach i rycerzach, znani byli wtedy już cywilizowanemu światu Europy, z którą szli ramię w ramię na drodze do światła i postępu, kiedy dzisiejsza Rosja była drobnym jeszcze księstwem, tonącym w morzu ciemnoty, zabobonu i dzikości. Gdy później, dzięki zbiegowi okoliczności, wzrastała jako państwo, duch jej nie podnosił się równocześnie, nie szlachetniał i nie rozwijał się w warunkach obywatelskiej swobody i mądrości, lecz jęczał w ucisku Iwanów Groźnych, karłał w więzach krwawej przemocy despotyzmu, któremu „Krasnaja Płoszczad” w Moskwie, miejsce wieszkań, kaźni i egzekucyj, do dziś-dnia daje pełne grozy świadectwo.

— Czy więc rozumiecie, panowie — ciągnął z zapalem Jerzy, — jaka musi być szalona różnica między dwoma narodami, których duch wzrastał, kształcił się i dojrzewał w tak odrębnych warunkach? Tamei chcą zburzyć i w proch zetrzeć wszystko, co dała im przeszłość, bo ta przeszłość w kajdany niewoli zakuwała ducha ich i ciało. My, dzieci słońca i wolności, pragniemy wskrzesić to, co chlubą i światłem nam było. Czy pojmujecie więc, jakie wielkie popelnia szaleństwo, do jakich nieobliczonych popycha was kroków ten, kto żąda, byście szli ręką w rękę z rewolucyjnym ruchem rosyjskim? byście

się solidaryzowali z niemiecko-żydowskim socjalizmem?

Oczy zebranych z podwójną skupiły się na nim siłą.

— Jako naród, dla którego tradycja, poczucie i potrzeba wolności chwała są i siłą, musimy praw konstytucyjnych pragnąć dla wszystkich i sympatyzować z każdym ruchem wolnościowym, do praw tych wiodącym. Nie wolno nam jednak dążyć ku bezprawiu, a takim jest socjalizm, który narzuca terror i anarchję, który chce nas okuć w kajdany gorsze od absolutyzmu. Odbiera on nam wszystko, nawet miłość do ziemi rodzinnej, nawet wolność przynależenia do własnego narodu, tych zaś, którzy mieli wśród siebie morderców i skrytobójców, plami ohydą nieustannych zbrodni i krwawych występków. Może izraelski Jehowa każe walczyć zęb za zęb i oko za oko... nasz wszakże chrześcijański Bóg miłosierdzia poleca żyć miłością i prawdą, litością i przebaczeniem. Rycerska waleczność w jawnym boju to cnota, przekazana nam przykładem praociców; rażenie jednak z zasadzki kulami czy bombami i mordowanie niewinnych to zbrodnia, na którą dusza wstrząsa się z oburzenia... Nie nam więc, panowie, iść szlakami rosyjskiego czy międzynarodowego socjalizmu! nie nam maczać ręce w krwi, skrytobójczo przelanej w zbrodniach, napadach i grabieżach! nie nam podtrzymywać terror i anarchję! nie nam szerzyć głód, nędzę i ruinę własnego kraju! Dostojeństwo tradycji, dostojność narodu, który

do niedawna był jedną z potęg Europy, nie pozwala synom Polski na takie poniżenie świętego jej sztandaru. Jak obieg krwi w żyłach, jak powietrze, przez płuca wdychane, niezbędne są do podtrzymania fizycznego życia, tak samo potrzebne jest poczucie godności i dumy, które nie pozwala nam, narodowi moralnie i duchowo samodzielnemu, iść na służbę do rosyjskich rewolucjonistów, lub na naukę pracy społecznej do wywrotowych hasel socjalizmu. Pozostawmy je tym bezdomnym a nieszczęśliwym wygnańcom, którzy, pozbawieni od wieków własnej ojczyzny, a wbici klinem między obce ludy, zatracili wśród wiecznych wędrówek najszlachetniejsze z uczuć człowieczych, bo zdolność ukochania ziemi, która im od tylu stuleci kraj rodzinny zastąpiła. Ta oschłość serca, to ścigające ich przekleństwo niechże nie stanie się naszym przekleństwem i naszym upadkiem! Panowie! precz z obcemi hasłami! precz z obcymi ideałami, któreby nas poniżyły i zgubić tylko mogły! Socjaliści chcą zniszczyć przemysł i handel, ludność ogłodzić, kraj zubożyć, wprowadzić wszędzie rozterkę, grabież, bandytyzm i skrytobójstwa; my, dumni z chlubnej przeszłości, której kilka szczegółów opowiedziałem wam w zarysach, chcemy po stuletniej niewoli odbudować jej świetność, podnieść kulturę, oświatę i dobrobyt klas wszystkich. Dla obcych nam krwią wywrotowców ideałem jest zniszczenie; dla nas kanonem i przykazaniem, obowiązkiem honoru i sumienia: odbudowanie wszystkiego, co nam zła przemoc zniszczyła, co wraża ręka zabrała.

Zatrzymał się, a wiodąc po zebranych wzrokiem, w którym gorzał ogień nieśmiertelnego uczucia, ciągnął z mocą:

— Więc w górę sztandar narodowy! Pochylmy ze czcią przed nim głowę i pracujmy ze wszystkich sił duszy i umysłu dla tej ziemi, której każda piędź, każdy cal użyźniony jest krwią, a uświęcony prochami naszych ojców, dziadów i pradziadów. W górę chorągiew z Orłem Białym! Czas, by z głowy jego i skrzydeł zdjęto cierniowe okowy, by krew, sącząca się ze zranionego serca, obmyta została naszymi łzami. Niechaj, rozwinięty do lotu z kajdan oswobodzone srebrnopióre swe skrzydła, wskaże nam drogę, którą iść mamy ku odrodzeniu Ojczyzny, drogę samodzielnej pracy pokojowej, samoistnej a wytrwalej walki o prawo jawnego rządzenia ziemią, która od tysiąca lat była, jest i musi pozostać naszą własnością!

— Panowie! — kończył, — powiedzcie, wy, silni, młodzi, wy, którzy nadzieją i przyszłością kraju jesteście, czy zrzeklibyście się praw swych do Polski? Bo ja, gdyby mi serce żywcem z piersi wyrwano, jeszcze ostatniem technieniem wołałbym: przenigdy!

— Przenigdy! — zabrzmiało ze wszystkich piersi i jak grzmot rozległo się po ciasnej salce, echem na dalsze idąc pokoje.

— Przenigdy! — powtórzył Jerzy Orecki z mocą. — Dzięki też przebudzeniu uczuć narodowych, tłumionych przez szkołę rusyfikacyjną i długoletnią niewolę, przyrzekamy wszyscy oddziaływać w duchu polskim na jak najszersze dostępne dla nas koła; przysięga-

my, my, wydziedziczeni z praw do ziemi rodzinnej, do wolnej myśli i wolnego słowa, przysięgamy pracować ze wszystkich sił duszy, aż do ostatniego technienia, nad narodowem odrodzeniem świętej naszej Ojczyzny!

— Przysięgamy! — zagrział głos potężny, jakby z jednej wyrzucony piersi.

— Niech żyje Polska! Niech żyje wolność obywatelska uciśnionych jej synów! — zakończył Jerzy. I z dumnie podniesioną głową, z płomienną siłą czarnych źrenic, zapalem ożywionych, nie tylko Maryni Kołkowskiej mógł wydawać się znów w tej chwili pięknym, jak archanioł; wyższa od niej kulturą, wykształceniem i prawami towarzyskimi pan na Zofja Prędowska spoglądała także z dumą na niego... z dumą, bo przecież był jej krewnym, bo łączyły ich tysiączne względy i wspomnienia, bo wzrastali razem, bo, nie analizując zresztą rzeczy tych bliżej, czuła niezawodnym instynktem, iż był on poniekąd jej własnością... I szlachetna дума, nie z własnych tryumfów, lecz z zasług kogoś nam bliższego, poruszyła jej sercem, zorzę rumieńca kładąc na jej lica, a blask wzruszenia zapalając w toni źrenic szafirowych.

W niedoświadczeniu zaś młodzieńczem nie wiedziała, że, gdy kobieta dumna jest z mężczyzny, wtedy w połowie już stał on się panem jej serca.

Gdy więc po dzisiejszym wykładzie Jerzy zbliżył się, a wyciągając rękę na powitanie, wyrzekł:

— Kuzyneczka jest stałą słuchaczką moich po-

gadane. Dziękuję! To mi do nich siły i otuchy dodaje.

Zosia, nie cofając dłoni swej, szczerze i serdecznie spojrzała mu w oczy.

— To ja dziękuję raczej. Dziękuję za siebie i za tę młodzież, do której nikt chyba tak nie przemawiał w życiu. Pan serca i dusze te proste trzyma na uwieży, grając na nich swem słowem, jak na harfie anielskiej.

Uśmiechnęli się tylko do siebie; lecz w uśmiechu tym była wiara i ufność, w spojrzeniu moc i siła, która dwa istnienia na własność sobie oddaje.

W tej chwili z za krzesła Zosi podniosła się wysmukła postać czarna.

— Dobry wieczór pannie Maryni—przywitał ją Orecki.

Była to właśnie Marynia Kołkowska, która na wyraźne życzenie pani Marceliny towarzyszyła zwykle Zosi na podobne wykłady i nie odstępowała jej ani na chwilę.

Oddawszy ukłon Jerzemu, zawiadomiła:

— Pani Korezyńska kazała prosić, aby pan doktor po skończonej pogadance zechciał przejść do mieszkania jej na herbatę.

Brwi młodego człowieka zbiegły się; z oczów jego błyskawica strzeliła. Zrozumiał, iż czarno ubrana dziewczyna przeszkadza rozmyślnie rozmowie jego z Zosią, a takich poleceń od nikogo przecież nie otrzymała. Zbyt wielka wszakże błogość zalewała mu w tej chwili serce, aby mógł niechętnie zachować się względem kogokolwiek.

— Stanie się według woli ciotki — rzucił za całą odpowiedź.

Nie czekając opróżnienia się salki, nad którem czuwała ochotnicza straż bezpieczeństwa, dla wykładów tych zorganizowana, młodzi znaleźli się po chwili w popielato-różowym salonie pani Korezyńskiej.

Spojrzała ona badawczo na zarumienione lica Zosi.

— Ciociu, płakałam! — spowiadało się z wrażeń śliczne dziewczę, podniecone niemi do żywego. — Płakałam... nie dlatego, aby pan Jerzy mówił rzeczy nowe, bo przecież znamy je wszyscy, i nie dlatego, że mówił pięknie — dodała z wdzięcznem ku niemu spojrzeniem.

— A więc?

— Nie mogłam leż powstrzymać, patrząc na jego słuchaczy. Żebyś ty, ciociu, widziała te rożnione lica, te błyszczące oczy, które zdawały się chwytac chciwie każde słowo, nie powiedziała byś już, że to „dzieci niewoli“. Nie! to raczej dusze, mocą czarodziejską słowa i siłą uczuć zbudzone do życia... dusze, którym obrazy, o jakich śniły bezwiednie, wskazują w rzeczywistości. Wargi im drżały, lica płonęły. Oni dziś z Kościuszką bili się pod Racławicami, ze Skrzyneckim walczyli pod Grochowem. W niektórych ustęпах zdawało mi się, iż doznawali takiego wrażenia, jakiego mną wstrząsnęło, gdybym nagle ujrzała przed sobą ducha mamy, ducha zmarłej matki mojej, do której modłę się we śnie.

Po zbladłych już licach jej dwie przezroczyście staczały się perły.

Jerzy miał taki ruch, jak gdyby chciał je zcałować. Szarpnął się i, zapuściwszy paznokcie w dłoń własną, siłą bólu powstrzymał poryw ten niewczesny.

Za to pani Korczyńska, przyciągnawszy ku sobie Zosię, uściśnęła ją serdecznie.

— Szczęśliwe z ciebie dziecko, ale szlachetne i pełne poezji, bo nie za siebie, lecz za innych czujesz.

— Ci ludzie, młodzi przeważnie, a więc skłonni do uczuć gorących i marzeń pełnych zapалу, ci ludzie, w których duszy musiała tlić zawsze popiołami przysypana, lecz niewygasła iskra przywiązania do ziemi rodzinnej, doznali dzisiaj istnego objawienia. Pan tę ziemię, jako idealne dziedzictwo i jako dobro konkretne, będące własnością każdego, wskrzesił dla nich, ubrał ją w należne barwy bohaterstwa, w wieńce z wawrzynu, a potem złamaną zrządzeniem losu, okutą w kajdany niewoli, ją, apostołkę wolności i prawdy, postawił przed oczyma tych synów, przed którymi istnienie jej tajono, jak zbrodnię, jak legendę o upiorze, mogącym zmartwychwstać. Upiór blady, nabierając kształtów promiennych, zamienił się w objawienie, od którego biła taka potęga i dostojeństwo, taka jasność promienna, iż olśnione ich oczy lżą zaszły, a w duszach wstrząśniętych zapalił się ogień wielkiego zapалу i świętego dla pani tej uczucia.

Zatrzymała się, spostrzegłszy teraz dopiero, iż pani Marceliny nie było już przy nich.

— A czy wiesz, kuzyneczko—pytał Jerzy, — co wpłynęło tak nagle na moralne odrodzenie tych ludzi?

— Pańskie słowa... pańskie stopniowe a umiętne budzenie ich ducha.

— Nie, tylko potęga nieuświadomionej dotąd, lecz w głębi serca tkwiącej wielkiej miłości. Gdy się mocarka taka raz obudzi, bierze już duszę na własność, a przypiąwszy jej skrzydła, z człowieka czyni półboga.

Idąc zwolna przez salon, stanęli w tej chwili na tle palmy olbrzymiej, w półkregu blado-różowego światła, spływającego z wysokiej stojącej lampy, koronkowym *abat-jour*'em przysłoniętej.

Delikatny blask ten nadał alabastrowym licom Zosi ton gorętszy, szafirowym zaś ciemnymi rzęsami otoczonym źrenicom wyraz poważny i marzycielski.

— Co za ładne określenie! — mówiła. — Miłość więc, miłość ojczyzny, rzecz prosta, to mocarka, która bierze duszę na własność, a przypiąwszy jej skrzydła, z człowieka czyni półboga. Czy i pan skrzydła takie dostał?

— Daje je nie tylko uczucie dla ojczyzny i nie ono jedno „duszę bierze na własność“ — poprawił Jerzy, patrząc z mocą na śliczne rysy i wysmukłą postać dziewczęcia, odcinającą się malowniczo od ciemnych liści latanji. — Najwyższą w świecie ducha potęgą jest miłość dla kobiety, tak słusznie koroną i uwieńczeniem zwana. Im czystsza, im w idealizmie swym bardziej egzaltowana i szlachetna, tem silniej opanowuje całą istotę, podnosząc ją na nie-

znane przedtem wyżyny. Jeżeli jest więcej ziemską i egoistyczną, wtedy, przechodząc w krew i w ciało, staje się mocą tak tyrańską, iż dla pozyskania przedmiotu swych pożądań gotowa nieraz, jak to historia i życie wskazują, nie cofnąć się nawet przed zbrodnią.

— O tej jednak — ciągnął, widząc, iż Zosia, jakby przestraszona, w tył się chce cofnąć, — o tej tak białe jak pani anioły nie jeszcze wiedzieć nie mogą i nie powinny. Królestwo twoje, kuzyneczko, to owa idealna, poświęcająca się moc uczucia, która gotowa spłonąć w ogniu samoofiary, byle tobie było dobrze, byleś ty była szczęśliwą!..

Kończył szeptem stłumionym, a głos drżał mu widocznie, czarne zaś oczy zawisły z siłą namiętną na białych jak opłatek licach dziewczęcia.

Zosia podniosła oczy spłoszone, cofające się pod osłonę rzęs ciemnych, oczy, które jednak magnes spojrzenia mężczyzny pociągał ku sobie, aż, opanowane tajemną jego mocą, zatoneły we wzroku Jerzego, jak gdyby do dna duszy jego dotrzeć chciały.

Ta cisza, ta spowiedź bez słów, to zmaganie się dwóch serc i dwóch istnień trwało chwilę, trwało wieczność może... Aż Zosia, uspokojona snadź i upojona mocą uczucia, jaka biła z pięknych a wymownych ust mężczyzny, cofnęła swe zalekłe, ozmarzone spojrzenie gazelli, a fala krwi młodzieńczej przywróciła licom jej naturalną znów barwę.

— Nie rozumiem cię, kuzynku — mówiła. — Jeżeli miłość — dziwnie słodko i lekliwie wymawiała

to słowo — ma być szczęściem i koroną życia, pocóż z nią łączyć ideę samoofiary?

— Bo istnieją prawa społeczne i towarzyskie, bo świat stworzył kodeks honoru, który nie pozwala mężczyźnie sięgać po każdą gwiazdę, jaką ujrzy na swym firmamencie. Rzucić kobiecie ukochanej pod nogi fortunę i sławę to rozkosz bogów; ściągnąć ją z wyżyn i przykuć do szarej taczki swego życia to ból srogi, to upokorzenie nawet; cofa się przed niem zarówno duma męska, jak miłość dla ukochanej kobiety, którą nie zniżyć, lecz wywyższyć, nie upokorzyć, lecz chwałą i blaskiem otoczyć chcieli-byśmy.

Mówił gorąco, wydobywając z siebie myśli, które go widać od dawna nurtowały i tręły; rzucił jej pod stopy kawał własnego męką serdeczną skrąwionego serca.

Dziewczę słodko spojrzało mu w oczy.

— Odkądże ty, kuzynku, ty, poeta, masz takie ciasne, mieszczańskie ideały? — zapytała żartobliwie.

— Pani Korczyńska prosi państwa na herbatę — zabrzmiał głos od progu.

W cieniu portjery zarysowała się czarna, gibka postać Maryni. Jak długo tu stała i co z rozmowy słyszała? — któż mógł odgadnąć.

Zosia za całą odpowiedź wsunęła żywym ruchem rękę pod ramię Oreckiego.

— Kuzynku — mówiła, kryjąc wzruszenie pod tonem żartobliwym, — proszę mnie poprowadzić do stołu. Na szczęście jesteśmy tak blizkimi krewnymi, iż możemy sąsiadować przy herbacie i gawędzić, jak

dwoje przyjaciół, bez upokorzenia... mojej lub twojej dumy.

Położyła nacisk na słowach tych i, spojrzawszy mu słodko w oczy, przysunęła się z dziecięcą ufnością do jego ramienia. Jerzy, korzystając z portjery, pod którą stała przed chwilą Marynia, pochylił się, a usta jego gorące spoczęły na długich, wąskich paluszkach, o rękaw wspartych.

Wkrótce później odgłos dzwonka nowych zapowiedział gości.

Traktowani tu na prawach zaufanych znajomych panowie Lipowiecki i Rolicki poproszeni zostali od razu do sali jadalnej.

— Co słyhać nowego? — zapytała pani domu po pierwszych uprzejmych powitaniach.

— Wiadomości, jakie nadchodzą, są względnie dobre — mówił Lipowiecki z rozjaśnioną twarzą. — Depesze wieczorne donoszą, że lada dzień ma być ogłoszony ukaz o tolerancji religijnej, przyczem jawnie już mówią, jako o konieczności, o parlamencie rosyjskim, rozpoczynającym konstytucyjną erę w państwie. Pierwszy krok w tym kierunku będzie „początkiem końca“ dla biurokratyczno-rusyfikacyjnych rządów w Królestwie, będzie godziną tryumfu dla polskiej idei narodowej. Wcześniej bowiem, czy później musimy w takim razie otrzymać autonomję, a więc prawodawczy sejm w Warszawie i własną konstytucję, odpowiadającą naszym wolnościowym tradycjom i stopniowi kultury narodowej.

Piękne jego rysy opromieniał wyraz zapalu.

— I pomyśleć — dodał naraz, marszcząc brwi boleśnie, — iż w takiej chwili znaleźli się „obywatele“, podpisujący służalczy, ugodowy aż do ohydy „memorjał 23-ch“!

— Nasza rzecz akeją zdwojoną oraz wielkimi wysiłkami w pracy narodowej zatrzeć smutny ów dokument oportunistu i niedojrzałości politycznej w pamięci ogółu — mówił Rolicki, śledząc z pod oka ożywioną rozmowę Zosi i Jerzego.

— Ma pan najzupełniejszą rację — przyznał Lipowiecki. — Sądzę też, iż bez względu na powikłania, jakie przejdzie jeszcze idea konstytucyjna w Rosji, nikt z naszego stronnictwa nie porzuci i nie zawiesi pracy narodowej aż do dnia właśnie, w którym sejm polski zbierze się po raz pierwszy w Warszawie. Będzie to doba tryumfu naszej idei i naszej pracy. Zaznawszy słodyczy jej i upojenia, powiem: „Panie, odpuść sługę swego w pokoju!“

— I cofniesz się pan do zacisza domowego? — pytała pani Marcelina.

Rysy Lipowieckiego opromienił wyraz cichej, marzycielskiej zadumy.

— Jeżeli kraj nie będzie już potrzebował obywatelskiej mej pracy, tak, pani. Czuję się znudzonym i wyczerpanym; należy mi się, dla uzyskania równowagi ducha, trochę spokoju i ciszy, w której zresztą czekają na mnie od dawna porozpoczynane prace naukowe z dziedziny historyczno-ekonomicznej. Ale to jeszcze projekty tak dalekie, dalekie... Czy one się ziszczą kiedykolwiek?...

— Pan traci w nie wiarę? — podjęła pani Korczyńska.

— Nie, pani, gdyż z wiarą musiałbym utracić i życie także — brzmiała szczerą, głęboko odczuta odpowiedź.

Równocześnie Jerzy zwrócił się do Zosi, podwójnie uroczej, z krasą rumieńca na licach.

— Czy wiesz, kuzyneczko — mówił głosem stłumionym, — iż od chwili wyjazdu Witolda po raz pierwszy siedzimy obok siebie przy stole i po raz pierwszy możemy rozmawiać swobodnie?

— Okazuje się, że jego zapal prozelity, zasługując na pańską sympatię, był jedynym łącznikiem między nami.

— Lub, że z chwilą jego wyjazdu zabrakło mi tytułu do narzucania się pani.

— Tytułu? Czyżby pokrewieństwo i życzliwość nie wystarczały w oczach pana? Kuzynku — dodała z uśmiechem, — ostrożnie, bo posadzę cię o jedną z dwóch alternatyw: o brak serca, lub o nadmiar dumy.

— O brak serca względem pani?

W głosie jego tak silna a obca mu dotąd zabrzmiała nuta, iż zorza rumieńca spłynęła z lic Zosi, pozostawiając je blademi, niby listek róży białej, oczy zaś, jak zawsze w chwilach załęknienia i trwogi wewnętrznej, skryły się pod osłonę rzęs długich.

Wzrok Rolickiego śledził dyskretnie, choć z widocznym zaniepokojeniem, tę nagłą zmianę jej rysów.

— O brak serca, lub o nadmiar dumy? — powtórzył tymczasem Jerzy zwolna, stłumionym, lecz

spokojniejszym już głosem. — Kuzyneczko, słowa twoje są cześć igraszką. Nie byłabyś kobietą, gdyby wrodzona intuicja nie kazała ci odczuć i zrozumieć niekiedy, co się w duszach innych, a głównie w duszy mojej dzieje. Chowaliśmy się razem, więc znasz mnie tak dobrze. Duma, którą nieraz już dawniej zarzucaliście mi wszyscy, jest tylko godnością, honorem ludzi uczciwych, jest tarczą i dźwignią ludzi ubogich. Szczęśliwa jedynaczka radcy Prędowskiego nie potrzebuje znać jej wcale; ja jednak, który mam zaszczyt zbliżać się do niej, powinienem pamiętać, iż właściciele zmniejszonego przez wypadki krajowe Orecka, wbrew pokrewieństwu, byli i są niechętnie w pałacu prędowskim przyjmowani.

— Czy ja tam rządę? Czy ów „pałac prędowski“ jest dla mnie naprawdę ogniskiem rodzinnym, w którego cieple umysł młody wzrasta, mężnieje i do pracy życiowej dojrzewa? — skarżyła się Zosia.

— „Ogniskiem“... nie, gdyż na to zbyt jest zimny... och, jak zimny!... Niemniej, kuzyneczko, stanowi on twój dom i twoje prawowite dziedzictwo. Człowiek więc, którego tam z trudnością tolerują, nie ma prawa tu, na gruncie neutralnym, narzucać ci swojej obecności. Ty przebaczyłabyś może ów brak godności własnej i dumy męskiej; świat jednak, a przede wszystkim twój ojciec inneby uczuciom tym przypisał pobudki!

— Czyż można mnie czynić za to odpowiedzialną, kuzynku? My i papa jesteśmy dziećmi innej, odrębnej generacji i odtmiennych przekonań. Nas wychowała i przepoiła tęsknota za jaśniejszym,

świętszym pierwiastkiem w życiu, a olśniła zorza wolności i lepszej doli, ku której wyciągamy ramiona; ojciec mój, zrósłszy się z epoką trzeźwości i materialistycznych haseł, wierzy jedynie w realne, praktyczne kierunki.

— I dlatego nie tylko podpisuje memorjały, narzucające krajowi piętno wstydu i niewolniczego służalstwa, lecz jeździ nawet w misjach poufnych do Petersburga.

Zosia głowę na piersi opuszcza.

— Prawda — przyznała z cicha, — iż panów dzieł podstawowa różnica przekonań, przepaść moralna, której brzegów nie łączy.

— Nic, prócz nici złotej, nad życie miłszej, a nad śmierć silniejszej.

Szept Jerzego, wybuchowy, błagalny, był tak cichy, jak gdyby go dla siebie i Boga przeznaczał tylko, a jednak każde gorące jego słowo zapadło głęboko w serce dziewczęcia.

— Nić złota, nad śmierć silniejsza, to wielkie słowo! — odparła, podnosząc białe swe czoło i prosto patrząc mu w oczy.

— Więcej, niż wielkie słowo, bo... przysięga — zapewnił, równie jak ona blady, odpowiadając jej poważnem, szczerem spojrzeniem swych głębokich źrenic.

Pochylili głowy i zamilkli oboje, jak w chwili tajemnych misteryj, jak w godzinę cudu, w której Anioł Przeznaczeń, płynąc w powietrzu, kreśli skrzydłem swem nad naszymi czołami niedojrzalne i nie-

zrozumiałe dla oczu człowieka hieroglify bożych wyroków.

Rolicki, coraz więcej rozmową tą dotknięty i zaintrygowany, zwrócił się z interpelacją do siedzącej obok pani domu.

— Co nasza młoda para taka dziś w sobie zatopiona i przejęta?

Pani Korczyńska, udając, iż nie spostrzega niewłaściwości tego pytania, przybrała najuprzejmniejszy swój uśmiech.

— Wrócili przed chwilą z pogadanki, która ich widocznie zainteresowała, bo słyszę, że mówią o tym nieszczęsnym manifeście realistów i o różnicy przekonań politycznych.

Rolicki spojrzał baczniej na młodą kobietę. Byłaż, jak wszystkie opiekunki, ślepą, czy też karcila go tylko tym zdawkowo obojętnym tonem za niewczesne pytanie?

Na słicznych, całą pełnią rozkwitu jaśniejących jej rysach widniał wyraz słodczy i uprzejmości jedynie.

— Kobiety słyną z intuicji, która pozwala im odczuć nawet myśli ludzkie, a jednak pani złym jest w tej chwili psychologiem — zaoponował Stanisław Lipowiecki, zwracając ku Rolickiemu i pani Marcelinie jasne swe i rozumne, jakby mgłą przelotnego rozważenia opromienione rysy. — Prawa przyrody to rzecz niezłomna; żadne też walki polityczne, żadne aspiracje narodowe zmienić ich nie mogą. Człowiek może oddać wszystko, może poświęcić samego siebie i życie swe całej sprawie publicznej, lecz nie zabierze

mu ona, nie wyrwie zaczajonego w najtajniejszych zakątkach serca pragnienia i potrzeby osobistego szczęścia. Powtarzam: to prawo boskie i ludzkie, to prawo natury przedewszystkiem, to jej poezja i jej siła... Nie pytajmy też nigdy młodych, o czym mówią, o czym śnią i marzą, bo możemy spłoszyć najcudniejsze ze zjawisk ludzkich: zorzę nieświadomego siebie uczucia, tęczę miłości, która świat cały barwnem swem kołem otacza, koi i rozjaśnia.

Filizanka, trzymana w ręku Maryni Kołkowskiej, zadrżała w tej chwili, zakłócając ostrym brzękiem porcelany dyskretny ton Lipowieckiego.



XVIII

an Zbrozek ma głos! Pan Zbrozek referuje! — obwieścił Głuszewski.

W niewielkiej, przepełnionej dymem salce zakotłowało się. Każdy kończył pośpiesznie nieznane wyrazy, każdy oglądał się za kimś znajomym, lub za miejscem, z którego mógłby wygodniej obrad słuchać.

— Pan Zbrozek ma głos—powtórzył raz jeszcze redaktor *Pochodni*.

Wysoki, trochę ciężko zbudowany, o pochyłym karku Zbrozek podniósł swą potężną postać i wzrokiem przygasłym powiódł po obecnych. Gawędzili jeszcze w najlepsze. Poczciwe, zmęczone jego rysy, okólone krótko przystrzyżoną czarną brodą, w której srebrne błyskały już nici, nie okazywały najmniejszego zniecierpliwienia. Może był kontent, że mu dają chwilę odpocząć, że myśli zebrać pozwola.

Ta jego dobroć wszakże, to spojrzenie znużonych oczów podziało silniej od rozkazu. Na sali zapanowała cisza.

— „Komitet Narodowy pomocy dla głodnych robotników“ — mówił głosem zmatowanym, który stopniowo ożywał się dopiero, — nie chcąc poprzestać na wsparciu i jałmużnie, bo datek nie zapobiegnie nigdy nędzy, a często demoralizuje, postanowił wyteńczyć wszystkie siły i poruszyć wszelkie sprężyny w celu zapoczątkowania robót publicznych na większą skalę. Tylko bowiem praca i zarobek, dany tysiącom, zmuszonym do strejków i bezrobocia, mogą uratować zastępy te od śmierci głodowej, a zarazem wyrwać je ze szpon agitacji socjalistycznej.

— To zupełnie niepożądane! To myśl na wskróś wsteczna! — zaoponował gwałtownie miedziarnobrody Kalisz.

Zbrożek ani drgnął. Umilkł tylko i czekał, aż cisza przywrócona zostanie.

— Na takie postawienie kwestji my nigdy nie pozwolimy! — upierał się przyszły poseł i minister in spe.

Przewodniczący poruszył silnie dzwonkiem.

— Uprzedziłem, iż pan Zbrożek ma głos — mówił stanowczym głosem Roch Głuszewski. — Sprawa jest tak ważna i zasadnicza, a rana, którą chcemy goić, tak piekąca, że niema tu miejsca na spory partyjne. Uczucia obywatelskie, oraz obowiązki humanitarne, miłosierdzie wreszcie i litość nad nieszczęśliwymi jedynym tu powinny być wskaźnikiem, jedyną sprężyną działania. Dlatego też, bez względu

na polityczne przekonania, pozwoliłem sobie prosić panów na wspólną naradę, jako kierowników różnych odłamów opinji, którzy, mam nadzieję, zechcą tę ściśle bezpartyjną akcję poprzeć w swych pismach stosownymi odezwaniami. Oto przedwstępna uwaga, wywołana zastrzeżeniami pana Kalisza. Teraz proszę, niech panowie zechcą wysłuchać sprawozdania pana Zbrożka, poczem otworzymy dyskusję zarówno nad projektem, jak nad sposobami wprowadzenia go w życie.

Usiadł. Zbrożek zaś, jak gdyby mu nigdy nie przerwano, prowadził rzecz dalej:

— Zapoczątkowanie robót publicznych na większą skalę — mówił — to rzecz niełatwa. Nie jesteśmy w Wiedniu, gdzie w podobnych warunkach rząd sam kazał zburzyć całą dzielnicę miasta i rozpoczął na Ringach budowę najwspanialszych gmachów, byle tysiącom rąk dać pracę i zarobek.

— A wybić rewolucyjne zachcianki z głowy — wtrącił jakiś pan o długich włosach i jeszcze dłuższym czarnym surducie.

— U nas — ciągnął Zbrożek — nie tylko rząd akcji takiej nie poprze, lecz jeszcze nieuniknione zezwolenie swe uwarunkuje tylu biurokratycznymi trudnościami, iż projekt będzie się włókl miesiące, a dotknięci bezrobociem poumierają z głodu, lub staną się podatnym materiałem dla podburzań anarchji. Wskutek tego — ciągnął dalej po krótkiej przerwie — trzeba było rzecz tak obmyśleć, aby roboty miały cechę przedsiębiorstwa ściśle prywatnego, a je-

dnak dały masie rąk rzemieślniczych pierwszą pracę i pierwszy zarobek.

— To trudno! bo skąd tu wziąć takie olbrzymie kapitały?— rzucono z boku.

— Otóż, gdy nasze krajowe fundusze użyteczności publicznej są zbierane stale na wrogie nam cele, postanowiłem zwrócić się do kapitałów prywatnych, tych, które opinja publiczna uważa za obce dla wszelkiej akcji humanitarnej, za martwe i bezużyteczne dla potrzeb społecznych i narodowych. Łącznie przeto z panem Lipowieckim udaliśmy się do znanego milionera, hrabiego Nickiego.

— I odmówił — przerwano pogardliwie.

— Przeciwnie; interes, przedstawiony wyczerpująco a fachowo, jako doskonałą lokatę dla kapitału, przyjął, zaakceptował i postanowił natychmiast w czyn wprowadzić.

Teraz dopiero zebrani zaczęli słuchać z zaciekawieniem.

— Stanęło więc na tem — ciągnął Zbrożek, — że hr. Nicki, który część planów miał już gotową i zatwierdzoną, każe rozpocząć natychmiast na własnych placach budowę czterech wielkich domów. Pierwsze dwa będą stanowiły na modłę Anglii wzniesione olbrzymie kamienice, przeznaczone na tanie mieszkania dla robotników; trzeci... to dom ludowy z hallą koncertową, salą zabaw, biblioteką, aulą do odczytów i t. p.; czwarty... to według najnowszego systemu zbudowany gmach dla przyszłych szkół Macierzy Polskiej. Z kapitałów więc „nieużyteczności publicznej“, jak je zgryźliwie a ironicznie nazywano, zyskuje-

my, dzięki gorącej wymowie pana Lipowieckiego, cztery milionowe fundacje „użyteczności publicznej“. Oddane miastu z chwilą wprowadzenia samorządu we władanie, za umówioną opłatę amortyzując, staną się one po latach pięćdziesięciu wyłączną własnością Warszawy.

Zbrożek, na znak, iż skończył sprawozdanie, skłonił się i dawne zajął miejsce.

Część zebranych, przeżywając posłyszane wieści, zachowała dyskretne milczenie; dziesiątek rąk jednak złożył się do oklasku, dziesiątek rąk wyciągnął się z uznaniem ku Zbrożkowi.

— Cudu dokazaliście! — wołano.

— Istne nawrócenie świętego Pawła. I ten bogacz gotów jeszcze za czyn dzisiejszy przejść, jak ewangeliczny wielbłąd, przez ucho igielne do królestwa niebieskiego — żartował jeden z młodszych dziennikarzy.

— Panowie! powtarzam, to zasługa wymowy pana Lipowieckiego.

— I fachowych planów a obliczeń kolegi Zbrożka — uzupełnił z uśmiechem Stanisław Lipowiecki.

— Redaktorze, czy teraz wolno już wyrazić swe zdanie? — zabrzmiał ironiczny głos Kalisza.

— I owszem, bardzo proszę — zapewnił Roch Głuszewski. — Wszak po to wezwałem panów, aby wysłuchać uwag ich o powyższym układzie z hr. Nickim, oraz obmyśleć dalsze roboty. Budowa kilku gmachów nie zatrudni wszystkich rąk bezczynnych. Chodzi mi zaś bardzo o to, aby projekty, jakie tu uradzimy, były własnością całej prasy i, jako idea

ściśle humanitarna a bezpartyjna, przez całą też prasę gorąco poparte zostały.

— Jakkolwiek cenię solidarność w zadaniach czystej filantropji, jednakże na tym punkcie przyrzekać jej nie mogę — zasyczał z sardonicznym naciśkiem głos Kalisza. — Jesteśmy przednią a jedyną strażą, postępowo-demokratycznych zasad dla szlachcko-księżego czyli narodowego obozu, zbyt może radykalnych, lecz dla nas niezłomnych; nie możemy więc oddawać zgłodniałego ludu Warszawy w pańsko-magnacką arendę, któraby z niego wyciskała soki, tueząc się i powiększając kapitały potem i krwią wyżykiwanego proletariusza.

— W ferworze djalectycznym używa pan zlej a obosiecznej broni — przerwał Tadeusz Rolicki z leciuchną ironją. — Hrabia Nicki i „arendę“ to dwa pojęcia, których nikt w społeczeństwie nie łączy z sobą.

Grot był wykwinny w formie, lecz tak zatruty, że ręka przyszłego posła i ministra, zamiast pogładzić, szarpnęła mimowoli długą, rudą brodę.

— Racja! — przyznał. — Należało powiedzieć: w magnacką niewolę i pańszczyznę. Otóż ani moje stronnictwo, ani reprezentujący je *Ogarek*, jako organ, dzierżący ster prawdziwego postępu i idei rzeczywiste demokratycznych, na takie zaprzędanie zgłodniałego ludu nigdy nie pozwolą; niech je proteguje narodowo-pańska *Pochodnia*.

Powiódł po zebranych okiem, pełnem dumy i podziwu dla niezłomnej wielkoduszności swych zasad obywatelskich.

Roch Głuszewski, siłą woli hamując porywcza swą naturę, zwrócił ku zapalecywemu postępowcowi ostrze ciętej ironji:

— Panie Kalisz — mówił ze sztucznym spokojem. — pragniemy zmniejszyć nędzę i ratować głodnych, lecz uczuć demokratycznych nie bierzemy bynajmniej w monopol. Skoro więc obecna i przyszła dola ludu polskiego tak gorąco was obchodzi, proszę obmyśleć plan inny; niechaj wasz *Ogarek* da inicjatywę lepszej akcji ratunkowej, a nie tylko *Pochodnia*, lecz i my wszyscy najchętniej projekt ten poprzemy.

Na tę jawną ironję rudobrody trybun ludowy podniósł się wyniośle.

— Zarówno *Ogarek*, jak stronnictwo, które on reprezentuje, zbyt silnie związane jest z ruchem wolnościowo-rewolucyjnym w Rosji, aby miało uczynić cośkolwiek, co proletarijat tutejszy od ruchu tego oddali.

— A więc lepiej, by lud polski kradł i rozbił lub z głodu umierał?

— Niech sobie kradnie i rozbija! niech umiera! Krew i trupy to najlepsze podściełisko dla idei wolności.

I złożywszy po tem bohaterskiem wyznaniu ogólny ukłon, pan Kalisz wraz ze swym długim turkum, długą brodą i nosem, u nasady rasowo skrzywionym, ostentacyjnie opuścił zebranie.

Redaktor *Pochodni* nie potrzebował hamować się dłużej.

— Szlachetny syn Ojczyzny! — wybuchnął, przeprowadzwszy Kalisza wzgardliwym wzrokiem aż do

drzwi.— Na pozór demokrata, demagog, któryby jednak w gruncie rzeczy lud ogłodził i oddał na całopalną ofiarę, zaprzedał w tyraństwo socjalizmu, w niewolę terroru, strejków i bezrobocia, byle przysięgą własną upiec pieczeń, byle się wybić i dostać do przyszłego parlamentu! Dobrze, że odsłonił swe zasady wobec was wszystkich; zrozumiecie bowiem, dlaczego *Pochodnia* odtąd nie ignorować, lecz zwalczać będzie tego pana i jego adherentów.

Powstał gwar ogólny. Podnoszono nielogiczność zarzutów, czynionych przez Kalisza; przytaczano dowody złej woli, z jaką przekręcał zawsze, oczerniał i paraliżował wszelką akcję, wychodzącą z obozu narodowego. Jako kierownik *Ogarka* i przedstawiciel stronnictwa, powołanego do życia przeważnie przez inteligencję żydowską, był wiernym sługą „ziemców”, sprzymierzeńcem rewolucji rosyjskiej, sojusznikiem partyj socjalistycznych, o których względy mozolnie zabiegał, zaciętym wreszcie przeciwnikiem narodowego odrodzenia kraju, choć ten ród jego i plemię gościnnie niegdyś przysparzał.

Gdy po chwili powrócono do narad nad projektami robót publicznych, okazało się, iż samo Powiśle, sam brzeg Wisły mogłyby dostarczyć ich na lat kilka. Z podjęciem wszakże wielkich prac regulacyjnych trzeba było czekać na samorząd miasta, przyczem brak było najzupełniej funduszu, któryby jakąkolwiek akcję ratunkową zapoczątkować pozwolił.

— A więc, chcąc ją umożliwić, pozostaje tylko droga odwołania się do ofiar publicznych—zaopinio-

wał Tadeusz Rolicki, zbliżywszy się zaś do Głuszewskiego i kładąc przed nim podłużną kartkę papieru, dodał:

— Aby je więc otworzyć, pozwalam sobie złożyć w imieniu ojca mego i swoim rubli 3,000, jako pierwszy zasilek na dostarczenie pracy zdemoralizowanym i zrujnowanym przez terror strejkowy robotnikom polskim. My, ziemianie — dorzucił, jakby tłumacząc się z tak dużej ofiary, — powinniśmy bezrobociu zapobiegać, przeniesione bowiem na grunt wiejski stałoby się podwójną klęską dla kraju, który bądź-co-bądź jest dotąd na wskrós jeszcze rolniczy.

Uczynił to z wielką prostotą i ujmującą uprzejmością, jaka go zwykle cechowała. Składał ten hojny, wielkopański nieomal dar dla głodnych współbraci tak, jakby to było długiem obowiązującym, drobnostką, o której mówić nie warto.

A jednak, pomimo całej poprawności jego zachowania, pomimo całej wrodzonej mu naturalności, Jerzego, siedzącego przy Lipowieckim, uderzyła w tej chwili myśl, iż czyni on to dla Zosi,—że Rolicki, ze względu na społeczne i narodowe uczucia dziewczęcia, oraz na żywe zainteresowanie, jakie panna Prędowska okazywała sprawie robotniczej, składał tę hojną ofiarę dla zrównoważenia owych 300 rubli, danych przez jej ojca,—dla zwrócenia wreszcie jej uwagi i zjednania sympatji. Umysł młodzieńki tak łatwo olśnić, tak łatwo, uderzając w szlachetne jego struny, przekupić nawet...

Jerzy pobladał. Wstyd mu było podobnego podejrzania, podobnie nieszlachetnej, choć na dnie du-

szy tylko czającej się insynuacji. Czuł, że krzywdzi Rolicza, a jednak po wczorajszej rozmowie z Zosią, po wzajemnem rozstaniu ich serc, po płomieniu, jaki je objął, drżał, by mu kto tego dobra i szczęścia nie zabrał, by na moralną własność jego nie zrobił zamachu.

Dobro i szczęście? moralna własność? Jakżeż te idealne pojęcia, ten gmach cały wydał mu się w tej chwili nieuchwytnym, niedościgłym wobec owej podłużnej kartki białej, leżącej na stole. Tylko czek na 3,000 rubli! Był on jednak w myślowym procesie Jerzego dowodem rzeczowym, stwierdzającym dużą fortunę Rolickich, znaną i należycie ocenioną, a której Tadeusz jedynym był spadkobiercą.

Myśli te w szybkim swym locie wywołały mimowolną zmianę w rysach Jerzego. Czemuż on nie jest w równie szczęśliwym położeniu, aby mógł rzucić pod nogi kobiecie ukochanej majątek i stanowisko, aby na cele, przez nią popierane, tysiące w ręce jej składać?

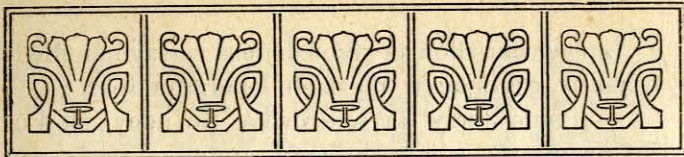
— Proszę pana doktora — odezwał się w tej chwili głosem stłumionym woźny redakcyjny, pochylony ku niemu. — Jakiś robotnik młody z Powiśla aż tu odszukał pana doktora i prosi do swego ojca, napadniętego na ulicy i poranionego śmiertelnie.

Jerzy zerwał się, a podając dyskretnie rękę Lipowieckiemu, objaśnił:

— Wysuwam się po angielsku, aby nie przerywać obrad. Iść jednak muszę, bo tam może o życie chodzi.

Lipowiecki dłoń tę młodzieńczą zatrzymał chwilę i, jakby czytając w myślach lekarza, odparł:

— Panie Jerzy! ta wędrówka po nocy na Powiśle, ta ufność, z jaką ludność tamtejsza zwraca się do pana, pomijając Pogotowie nawet, więcej dla mnie i dla sprawy naszej warta od czeków na 3,000 rubli...



XIX

przedpokoju zastał Jerzy młodego robotnika, wyrostka nieledwie, w wytartej, znoszonej marynarce i w czapce z daszkiem.

— To ja, Walenty Sikora, z ulicy Solec. Dzięki Bogu, że pana doktora znalazłem nareszcie—mówił szybko.—Ojciec umierają!... Przynieśli go poranionego z ulicy. Nie chciał ojciec Pogotowia, bo... mówił... po co hałas i urąganie po próżnicy? po co mają zaraz po gazetach opisywać? „Dosyć waśni i nienawiści... Skocz-no, Walek, po „naszego pana doktora“ i po księdza; jak mnie oni nie uratują, to i Pogotowie nie pomoże“.

— Za cóż oni ojca poranili? — pytał Jerzy, schodząc ze schodów.—Toż nie bogacz, a przytem stary i spokojny człowiek.

— Abo to oni na pieniądze tylko czyhają? Takiemu psikrwi nie podoba się kto jeno, lub myśli, że mu w drogę włązi, to go zaraz zgą nożem, jeżeli

nie z „leworweru“ ustrzelili. Cóż to! mój ojciec zbój, czy co? A dlatego, że nie chciał strejkować i do socjalistów przystać, to go oto ubili. Pięcioro sierot w domu i ja jeden, jak palec, co już do roboty chodzę. Kto teraz na wszystkich zarobi?

Lzy puściły mu się gradem.

— No, cicho, Walek! cicho! — uspokajał Orecki.—Jeszcze ojcu przy bożej pomocy nie nie będzie; byle przedzej dać ratunek i krew zatamować.

Gdy, dzięki mokrej, rozkołatanej dorożce, dobili się po pół godzinie do domku, zamieszkiwanego przez Sikorów, i po trzęsących się wązkich schodach dotarli na facjatkę, oczom Jerzego smutny przedstawił się widok.

W zimnej, prawie pustej izbie, kraciastą chustą i mokrem paltem okryty, leżał Andrzej Sikora, człowiek nie tyle stary, ile przez długie lata pracy i nędzy może postarzały i sterany. Po kątach płakały młodsze dzieci; starsza dziewczynka starała się rozpaść ogień z odrzuconych, bo nieużytecznych kostek brukowych, przyniesionych pewno z innego końca miasta, a przepojonych wilgocią i na płomień odpornych.

Przy chorym krzątała się żona, która, obandażowawszy mu na swój sposób głowę i ręce, uspokajała go teraz, okrywając, czem mogła, od hulającego po izbie zimnego i wilgotnego wiatru.

Jakkolwiek mały kinkiet przez szkło papierem oblepione niewiele dawał światła, niemniej, stanawszy na progu, Jerzy jednym spojrzeniem ocenił położenie Sikorów. Gdy bywał tu, lecząc dzieci ich

na szkarlatynę, mieszkanie to, jak na sferę robotniczą, do zamożnych jeszcze należało.

Bezrobocie wycisnęło na niem swe ślady. Wskutek braku pracy, a więc i zarobku, usunięto stopniowo i zmarnowano wszystkie sprzęty gospodarcze, wszelkie meble; nawet pościel, dostatnia zwykle i obfita, bo służąca w tych kołach za miarodajną a ulubioną oznakę zamożności, zniknęła widać w czełściach lombardu.

Jerzy zafrasował się. Jak tu leczyć, gdy przede wszystkim należałoby okryć, ogrzać i nakarmić całą rodzinę?

Powitany okrzykiem radości, jak zbawca w ciężkiej potrzebie, Orecki rozpakował szybko teczkę z przyborami chirurgicznymi, zażądał wody letniej, która się na szczęście znalazła i, rozwinawszy ranego z rozmaitych galganów i chusteczek, na razie krew tamujących, przystąpił bezzwłocznie do prawidłowego opatrunku.

Był srodze pokiereszowany i poraniony, lecz deszczem przepełnione i oślizgłe ubranie stawiało snadź opór nożowi, rany bowiem nie groziły bezwzględnie niebezpieczeństwem; obmyte wodą i benzyną, obłożone octanem aluminium i watą higroskopijną, obandażowane wreszcie silnie, przy krzepkim organizmie chorego dawały nadzieję szybkiego zrastania się pomyślniej kuracji.

Jerzy umył ręce, poczem, zamykając podręczną swą apteczkę, nalał z płaskiej manierki kieliszek dobrego wina i podał je choremu.

— No, Andrzeju — mówił, — wypijcie dla nabrania sił, a powiem wam, że, choć dużo straciliście krwi, za dwa tygodnie wstawać już będziecie.

Choremu twarz radością zabłysła.

— Pan doktor jeno przez dobroć, a dla pocieszenia tak pewno mówi? — zapytał głosem drżącym, jak człowiek, który chce, aby mu zaprzeczono, powtarzając wieść radosną.

— Mówię najświętszą prawdę. No, a teraz — ciągnął, pochylając się ku choremu — sami swoi tu jesteście, niechże mi więc Andrzej powie, proszę, czy wie chociaż, kto go tak pokiereszował? kto tak zdradnie a po zbójceku nastawał na was, człowieka cichego i spokojnego, a ojca licznej rodziny?

Chory nie nanyślał się ani chwili.

— Wiem, proszę pana doktora. Uderzył mnie nożem zdradziecko, z tyłu, ale, gdy upadłem, pochylił się, aby mnie żgnięciem w bok dobić, i wtedy poznałem go odrazu. A chociaż z powodu deszczu miał kołnierz podniesiony i czapkę nasuniętą na oczy, jednak widziałem go tak wyraźnie, jak Boga przy skonaniu oglądać pragnę.

Jerzy zastanowił się sekundę.

— Czy chcecie zeznanie to powtórzyć przed policją? — zapytał. — W takim razie można zawezwać ją zaraz; spisze protokół, a zbójca dziś jeszcze lub jutro pod klucz się dostanie.

Chory, wyczerpany poprzedniem opowiadaniem, mileżał chwilę, a wśród bandażów jego głowy i zapadłych policzków widać było tylko parę ma-

drych siwych oczu, wpatrzonych badawczo w twarz Oreckiego.

— A czyż to Andrzej Sikora taki już ostatni—odezwał się wreszcie,— żeby mógł swojego przed moskiewską policją denuncjować? Jabym już nie miał później ani śmiałych oczów do ludzi, ani czystego sumienia, panie doktorze. Jeszcze moim dzieciom wypominaliby kiedy, że ich ojciec był moskiewskim szpielem.

Jerzy ujął spracowaną dłoń robotnika i serdecznie ją uściśnął.

— Porządny z was człowiek, Andrzeju! — zapewnił ze szczerem uznaniem.

— I tamten, panie doktorze, nie zbój żaden; był zawdy poczciwym człowiekiem. Dopiero, jak przystał do socjalistów, jak mu zaczęli mówić: „zab za ząb, oko za oko, a kto nie nasz, to wróg“, tak ci go złe opętało i z nożem do mnie.. Jak kiedy oprzytomnieje, to się poprawi. Za cóż go mam gubić? Mnie tam uczyli z maleńkości: kochać ten szary proch i dla niego pracować, a bliźniego miłować, jako siebie samego. Niech mu tam moja krzywda lekka będzie.

Dźwięk dzwonka rozległ się w tej chwili na schodach.

— Jezu Nazareński! ksiądz idzie z Panem Bogiem! — zawołała z pobożnem wzruszeniem kobieta.

Na progu, przed którym Walek trzymał lampkę dla lepszego oświetlenia drogi, stanął kapłan, młody, szczupły, o ascetycznej postaci, która nie do tego należała świata. Jakkolwiek rówieśnik i dobry znajo-

my Jerzego, w tej chwili w świętej swej misji nie widział go wcale, lecz, usunawszy się na bok, czekał i w skupieniu szeptał słowa modlitwy, podczas, gdy kościelny zapalał przyniesione ze sobą świece i gromnicę, przez Andrzejówa podaną, a służącą już paru pokoleniom może.

Jerzy, który przy wejściu kapłana na głos dzwonka przyklęknął, teraz, nie chcąc w ciasnej izbie przeszkadzać spowiedzi, cofnął się ku drzwiom.

— Tu wzrok jego objął raz jeszcze tę ubogą, zimną izbę, którą Bóg nawiedził w tej chwili.

Na stoliku, przystawionym do łóżka, a nakrytym białem płótnem, stał obraz Matki Bożej, uwielbianej Królowej Polskiej zarazem, obok zaś żarzyły się dwie wysokie świece kościelne. Przy stoliku klęczała Andzejowa z wielką gromnicą w ręku. Za matką czworo dzieci, co jedno, to mniejsze, podnosiło smutne, zapłakane buzie ku kręgowi rembrandtowskiego żółtawego światła, podczas, gdy drobne, wynędzniałe ich postacie, na klęczkach do ziemi przytulone, niknęły w mrocznej ciemnicy.

W ponurym blasku gromnic i całunowym odzieniu bandaży spracowany, wychudzony, a z powodu utraty krwi trupio-blady Andrzej wyglądał na pół już martwego. Wśród zapadniętych, zielonawych lic oczu tylko mdłym jeszcze żarzyły się światłem. Uśmiechnął się jednak kornie do łagodnej, ascetycznej postaci księdza, który po zrzuceniu płaszcza w komży i stule zbliżał się ku niemu ze słowami łaski i przebaczenia.

Jerzy ugiął ponownie kolano i głowę nisko pochylił. Bóg sam przychodził nieść pociechę temu biedakowi, którego zli ludzie spychali na dno nędzy, odebrawszy mu zaś jedyną w jego życiu podporę i jedyną dźwignię, bo prawo do pracy, godzili jeszcze w skrytobójczym zamachu na jego życie, biorąc krew nieszczęśliwego, a głód i sieroctwo jego dzieci na swoje sumienie.

I za cóż ta zawiść, ten mord podstępny? Za to, że, odrzucając hasła anarchji, zbrodni i terroru, kochał swoją ziemię i swoje dzieci, że chciał dla wspólnego ich dobra cicho na chleb pracować.

Bóg-Pocieszyciel schodził tam do nędzarza na poddasze, po którym zimny wiatr przeciągał w tej chwili.

Jerzy rzucił spojrzenie ku kominowi. Zzieleniałe, przegniłe resztki kostek brukowych zgasły zupełnie.

Młody człowiek raz jeszcze pochylił kornie głowę i przeżegnawszy się powstał. Ręka jego odszukała już w kieszeni ostatnią, jaką posiadał, trzyrubłówkę. Nachylił się i podał ją ukradkiem Wal-kowi.

— Na wykupienie poduszki dla ojca i na węgiel. Trzeba tu dziś koniecznie przepalić. Na chleb dla dzieci i na mięso dla chorego jutro rano przyniosę.

U progu jednym jeszcze wejrzeniem objął scenę całą. Cóż za temat do obrazu dla takiego Be-rauld'a. Czyż ten starzec, powalony bratobójczą ręką na łożo śmierci i przyjmujący wiatyk w tej

chwili, nie był ofiarą zaciętości, z jaką ludzkość od 2,000 lat prawie krzyżowała codziennie Chrystusa?

W uszach Jerzego zabrzmiał głos Kalisza, gdy na pytanie, czy chce, by lud polski, zmuszony do bezrobocia, a pozbawiony pomocy, kradł i rozbijał lub z głodu umierał, odpowiedział z bezwstydną arogancją:

„Niech sobie kradnie i rozbija! niech umiera! Krew i trupy to najlepsze podścielisko dla idei wolności!“

W przekonaniu stronnictw skrajnych zbrodnia, skrytobójstwo i morderstwo były też widocznie „najlepszym podścieliskiem dla idei wolności“.

I nad kimże znęcali się w zaciekłości partyjnej? Nad pracownikiem, nędzą steranym, o duszy jednak tak kryształowo czystej, iż na samą myśl o wskazaniu władzom państwowym zabójcy wzдрыgnął się, mówiąc: „Jeszczeby moim dzieciom wypominali kiedy, że ich ojciec był moskiewskim szpiclem“.

Poczem tłómaczył zbrodniarza:

„I on nie najgorszy; był zawdy pocziwym człowiekiem. Wmówili w niego socjaliści: ząb za ząb, oko za oko—i złe go opętało. Gdy kiedy oprzytomnieje, to się poprawi... Za cóż go mam gubić? Mnie tam uczyli z maleńkości kochać ten szary proch i dla niego pracować, a bliźniego miłować, jako siebie samego. Niech mu tam moja krzywda lekka będzie!...“

Ta głęboka, ewangeliczna filozofja, jakkolwiek przeciwna prawom ludzkim, miała w gołębiej swej

prostocie piętno prawdy życiowej, tej, która nie krzyżuje ponownie Chrystusa.

Wiara niezłomna i gorące ukochanie ziemi ojczystej były tu punktem, o który odbiła się wszelka wywrotowa, zwyrodniała, zbrodnicza agitacja,—były siłą, mocniejszą nad wszelkie pokusy, potęgą, wobec której groza śmierci malała nawet.

Ludu polski! cześć ci za twoje narodowe uczucia! cześć tym, którzy je w sercu twojem z długoletniego zbudzili omdlenia!

W dwóch niedużych, skromnie urządzonych pokojach Jerzego Oreckiego chłodno było i smutno.

Cisza ich mogła stopniowo ukoić, lecz nie zdołała na razie ożywić młodego lekarza, który dziwnie zgnębiony wracał do domu. Wyszedłszy z poddasza z oczyma przepojonemi sceną, pełną mistycznej siły i namaszczenia, ze współczuciem dla ostatecznej nędzy, a podziwem dla serc tych prostych, przebaczących wrogom swym i mordercom nawet, Jerzy spostrzegł na dole, iż deszcz zamienił się w istną nawałnicę, która siekla rzadkich przechodniów rżęsiłymi zimnymi potokami wody. Tramwajów niema w tej dzielnicy; o znalezieniu dorożki nie mogło nawet być mowy. Młody człowiek szedł więc szybko, lecz, choć przyzwyczajony był do dalekich kursów na Powiślu, niemniej zmęczenie po całodzienniej pracy i panująca tu dziś pustka smutnie go usposabiała.

Opustoszałe od kilku tygodni ulice bardziej się jeszcze wyludniły,—tem więcej, że, pomimo wyraźnej na drzewach kwietniowej zieleni, mroźny wiatr północny hulał po opróżnionem mieście. Zdawało się, że w naturze zwyciężona już zima wzięła znów górę, a zgniótlszy pierwsze przebłyski wiosny, grozi światu reakcyjną potęgą północy i lodowymi kajdanami. Ludzie wiedzieli, że cześć to pogróżki, że cichej siły budzącego się życia żadna przemoc żywiołowemi nawet represjami powstrzymać nie jest w możności. Gdy raz technienie odrodzenia przebiegnie nad ziemią, gdy pod ożywczem działaniem jego otworzy się choć jedna szczelina w powłoce, zmartwiałej pod tyrańskimi rządami zimy, wtedy nie nie zmrozi już i nie sparaliżuje nowego życia, którego odżywcze soki, krążąc we wszystkich jestestwach przyrody, z martwych ją zbudzą i w nowe przystroją szaty. Tylko Bóg jeden, wstrzymawszy bieg słońca, mógłby zniweczyć hejnał zwycięski, jaki świat ten w wieńcach z zieleni i kwiecica na cześć siły swej życiowej i nowego odrodzenia śpiewa mu wtedy.

Tylko Bóg!... Lecz wola Jego zwykła w takiej chwili kruszyć kajdany złych mocy...

Wiedział o tem Jerzy Orecki; wiedział, że prawa przyrody i do organizmów społecznych stosować można; wiedział, że mroźna wichura przeminie, szrony i grady pierzchną, a słońce wiosenne odzyska swą potęgę ożywczą i życiodajną... A jednak ta szarzyzna, ta nędza i głód tam, na dole, te bagnety, błyszczące na rogach ulic, tu, na górze, a rozpasanie zbrodniczych

instynktów dokoła przygnębiająco nań działały,—wydawały mu się zmierzchem, opanowującym świat cały, zmierzchem w dziedzinie realnej i abstrakcyjnej.

Puste mieszkanko i panujący w niem także zmierzch szary nie mogły wrażenia tego rozproszyć.

— Zimno tu i smutno, ale przynajmniej cicho... tak cicho...— pomyślał z zadowoleniem.

Rozebrał się, zapalił lampę i zapuścił story. Zwiększyło to jeszcze wrażenie zacisza i spokoju, działając kojąco na Jerzego, który czuł potrzebę skupienia i samotności. Od dwóch dni już chciał zdobyć w ruchliwym, pracowitem swem życiu chwilę wolną, któraby mu pozwoliła wniknąć w głębię własnej moralnej istoty, porozumieć się z własną duszą i sercem, wymykającem się stopniowo z pod kontroli wiedzy i woli.

Jerzy, jak wszyscy ludzie młodzi, którzy, wstępując dopiero na drogę życia, nie zmagali się jeszcze z twardemi jego prawami i nie szli z dołą w zapasy,—Jerzy miał się za człowieka skończonego, o wyrobionym harcie i mocy charakteru. Sądził on, że wie nazbyt dobrze, czego pragnie i do czego dąży, aby go jakiegokolwiek względy, egoistyczne szczególnie, z raz obranej drogi na włos sprowadzić mogły.

Gorący patrijota, kochał kraj swój głęboko, a pragnąc każdym tchnieniem duszy, każdym uderzeniem serca pracować nad przyspieszeniem wyzwolenia Polski i zbudzenia jej ze sztucznego, wyczerpaniem spowodowanego letargu, chcąc współdziałać z odrodzeniem jej oraz z przygotowaniem doby sa-

moistnego bytu, zaciągnął się dobrowolnie do pracy u podstaw. Wierzył on bowiem, że tylko przez zdemokratyzowanie dotychczasowego społeczeństwa i jego zasad, a więc przez dążącą ku temu oświatę i uświadomienie narodowe ludu, Polska, na zwartych masach jego oparta, zdola samoistność odzyskać, a ludowi temu lepszą dolę zapewnić.

Nie było to u niego grą w popularne hasła, nie stało się czczą zabawką w politykę. Jerzy dlatego wybrał zawód lekarza i pięć lat życia studjom medycznym poświęcił, by, jako doktor, zdobyć prawo wstępu w najuboższe progi, by w chwili cierpienia i trwogi zyskać sobie zaufanie ludu i wpływ na niego następnie wywierać.

Zamiar ten doprowadził do skutku, a bezinteresowny, wytrwały, w działalności swej niezmordowany, do niepospolitych doszedł już rezultatów. Powiśle, które, przy podziale pracy z innymi kolegami, za uprzywilejowany teren swój obrał, znało tak dobrze „pana doktora“, tyle miało względem niego obowiązków wdzięczności, iż znaczna część mieszkańców tamtejszych drewnianych domków, suterren lub poddaszy byłaby w ogień i wodę za nim poszła.

Jerzy był też z obranego pola pracy zupełnie zadowolony, pełen otuchy i nadziei, pełen wiary w te serca proste, lecz często szlachetne, w przyszły plon siejby, jaką na glebę ich rzucił.

Dopiero od powrotu ze wsi opanowała go rozterka duchowa, wróg wszelkiej celowej a wytrwałej pracy.

Skąd to przyszło i co miało za przyczynę?

Siedząc teraz samotny w swem szczupłym, smutnem mieszkanku, wziął duszę własną pod skalpel badacza, by z nieugiętą ścisłością poddać ją drobiazgowej analizie.

Oparł łokcie na stole, a czoło i oczy ukrył w dłoniach, schodząc myślą w głąb własnej istoty, śmiało, nieublaganie.

W duszy tej wszakże istniał w tej chwili jeden tylko punkt świetlany, jasnością swą pochlaniający wszelkie inne wrażenia, a była nim wczorajsza rozmowa z Zosią, wczorajszy niedośpiwany, a jednak głęboko odczuty, na zawsze pamiętny poemat,—ta pieśń bez słów, ta boska symfonia, wstrząsająca do głębi dwie młodzieńcze dusze.

I nagle świadomość tajonego od dawna uczucia, świadomość wyraźna, konkretna zarysowała się przed jego wzrokiem, jak obraz plastycznie uwypuklony.

Poza pracą dla ogółu, dla idei, tała się nadzieja osobistego szczęścia—i tamtej polotu, a nawet sił dodawała. Jerzy nie sprzeniewierzył się obowiązкови, ani danemu sobie słowu,—nie zaniedbał na chwilę działalności publicznej dla snów i marzeń własnych,—bo dwie te odrębne dziedziny nie tylko nie wyłączały się nawzajem, lecz przeciwnie, uzupełniać się zdawały. Trudy bowiem lekarza, prelegenta i pedagoga—to była chwila obecna; zorza uczucia zaś i pragnienie szczęścia—to przyszłość, to nadzieja, nieuchwytna jeszcze, lecz głęboko w serce wrosła, to nagroda za młodość „górną a chmurną“, to uwieńczenie pomyślności, dla kraju zdobytej, to apoteoza

młodzieńczych, przed samym sobą nie wyznawanych pragnień.

Byli krewnymi; od lat kilku rośli i dojrzewali obok siebie. Z początku nie zwracał nawet na nią uwagi, traktując, jako dziecko naiwne. Wypadki ostatniego roku dopiero, wpływając na szybsze rozwinięcie się dziewczęcia, przemieniły ją w oczach prawie z poczwarki w skrzydlatego o cudnych barwach motyla. Metamorfoza ta, zwróciwszy uwagę Jerzego, kazała mu podziwiać obok piękności Zosi szlachetną jej duszę, promieniejącą na zewnątrz w każdym słowie, w każdym spojrzeniu. Wyraźnie okazywana mu przychylność dokonała reszty. Jerzy nie spostrzegł nawet, jak uczucie dla niej z dniem każdym głębiej wrastało mu w serce, wypełniając sobą całą jego istotę.

Była to jednak, jak sobie do wczoraj powtarzał, dziedzina marzeń niepochwytanych, tak oddalonych, iż nie krystalizowały się nawet w żaden projekt przyszłości. Kochał ją, nie wiedząc o tem, nie zdając sobie sprawy, iż w głębi duszy jego wzrastało marzenie, aby w przyszłości, gdy przyjdzie czas na własne szczęście, swoją ją nazwać.

Wobec jednak wszystkiego, co się działo w kraju, wobec zarannej jeszcze młodości Zosi, była to myśl tak oddalona, a tak skrzydlata, że mu tylko dopomagała do wzlotu nad poziom filisterskiego egoizmu.

I byłaby ta pełna poezji, platoniczna sielanka trwała pewno dalej, gdyby Jerzy po powrocie do Warszawy nie spotykał wszędzie i zawsze obok niej Rolicza.

Wskazało mu to, że wtedy, gdy on sam z uczuć własnych nie zdawał sobie sprawy, gdy świeciły mu one w błękitnej dali, jako cel jasny, do którego przez pracę i samoofiara dążyć w przyszłości potrzeba, ktoś inny mógł po cel ten bezpośrednio wyciągnąć rękę.

Świadomość ta rzuciła mu zaczyn goryczy do serca.

Tak, zwykła to kolej rzeczy. Podczas, gdy on, ideolog niepoprawny, w pracy obywatelskiej terający siły, walczył z uczuciem, owładającym coraz silniej jego sercem, uważając je za szczęście niedościgłe, którego nie jest godzien, na które trzeba zasłużyć i zapracować,—przychodził bogaty filister i śmiało, jak po swą własność, wyciągał po nie rękę.

Filister? Nie! Określenie takie, jako niesłuszne i krzywdzące, mogłoby nosić cechę zawiści osobistej. Rolicki, obok gorących przekonań narodowych, był człowiekiem szczerych chęci i najlepszej woli; oprócz znacznych ofiar pieniężnych na cele ogólne, oddawał im własną pracę i własne zabiegi, inteligencją zaś, charakterem i szlachetnością zapatrywał nie tylko górował nad swymi rówieśnikami, lecz był naprawdę Jerzemu sympatyczny.

Przed pierwszym-lepszym, karjerowiczem mógł być bronić Zosi i praw swych do jej serca,—przed Tadeuszem Rolickim... nigdy! Przeciwnie, przyznawał, iż godniejszego mogła na swej drodze nie znaleźć. Jakiemże więc prawem pozwolił wczoraj, by go uniósł zapal młodzieńczy i moc uczucia,—by, oczarowany słowami jej i spojrzeniem, nie umiającym je-

szcze kłamać, wydobyl z duszy akcenty, których wobec niej nie powinien był ujawniać? Jakiem prawem wybiegł mu na usta ów szept gorący o nici złotej, nad śmierć silniejszej? Na jakiej zasadzie zapewnił, iż powiedzenie to jego równa się... przysiędze?

W sferze, do której należeli oboje, taki samorzutny wybuch uczucia, choć nie skontrolowany przez wolę, celów swych świadomą, równał się formalnym oświadczynom, po których pozostawało tylko prosić pana radcę Prędowskiego o rękę jego córki.

Na myśl przyjęcia, jakiegoby doznał, Jerzemu zimno się zrobiło. Cała szlachetna, młodzieńcza jego ambicja, cała duma męska buntowała się przeciw podobnemu upokorzeniu, przeciw fałszywym pozorom, jakieby na siebie ściągnął.

Czemuż nie był w położeniu Rolicza? Ten, niezależny, bogaty, stanowił jedną z najpierwszych partyj w kraju, a przytem miał silne poparcie ojca Zosi,—był więc wszechstronnie pożądanym i mógł, jako taki, zapewnić wybranej przez siebie kobiecie nie tylko szczęście domowe, lecz przyszłość bez troski wraz ze świetnem, wyjątkowem prawie stanowiskiem towarzyskiem.

Cofnięcie się więc wobec takiego rywala nie było teńszostwem, lecz wprost kwestją uczciwości i honoru.

Bo cóż on, Jerzy, mógł przedstawić wzamian?

Serce, gorącym przejęte uczuciem? Tego pan radca Prędowski nie zwykł brać w rachubę.—Karje-

rę naukową, przerwana dla pracy patriotycznej i nie uwieńczoną dotąd dyplomem? w dalekiej zaś przyszłości Oreck na własność, gniazdo swe rodzinne, dla niego święte, dla możnego zaś właściciela rozległych dóbr drobiazg, niewart wzmianki nawet?

Czyż mógł się więc dziwić, że troskliwy ojciec tak niechętnie widział go obok swej córki,—że starał się stosunki między Oreckiem a Prędowem na oziębłej utrzymać stopie?

Nie. Prędowski był w swoim prawie. Każdy na jego miejscu to samoby może uczynił, szczególnie, gdy chodziło o dziewczynkę dorastającą zaledwie, a niezwykle piękną, o jedynaczkę i spadkobierczynię dużej fortuny. Wszak mogłaby ona w przyszłości zrobić wyrzut ojcu, że pozwolił jej związać się na życie całe wtedy, gdy życia tego jeszcze nie знаła, gdy nie rozumiała własnego serca i obowiązków, jakie na siebie przyjmuje,—mogłaby wymawiać gorzko własnemu ojcu, iż dopuścił do tego, aby przez młodzińcze niedoświadczenie, dla dziecinnych, pensjonarskich mrzonek, zwichnęła sobie całe istnienie i, wyszedłszy z własnej hierarchji, spadła do stanowiska pani doktorowej na jednej wiosce.

Bieda, a i ta w dzisiejszych stosunkach przyjść mogła, złym jest doradcą,—żądło jej więc obróciłoby się przeciw Jerzemu, zatruwając swym jadem wzajemny ich stosunek, niwecząc kwiat uczuć i gorącą poezję miłości.

Jerzy wzdrygnął się cały. Nie! raczej wszystko, niż to! raczej śmierć, niż taki wyrzut sumienia, niż gorycz złamanego życia Zosi, niż podobne upo-

korzenie ambicji i duszy męskiej, niż cios zarówno zabójczy, dla głębokiej, bezinteresownej, potężnej jego miłości!...

Prędowski więc był w swem prawie, kierując według własnego uznania losem swego dziecka. W swem prawie również był Tadeusz Rolicki, gdy, młody, przystojny, wykształcony i bardzo bogaty, wyciągał rękę po dziewczynę, równą mu stanowiskiem, urodzeniem i fortuną. O interesowność posadzać go nikt nie miał prawa i nikt nie posadzał, bo sam on przynosił majątek większy nad posag panny Prędowskiej, a przytem z każdego jego spojrzenia, z każdego słowa było tak impulsywne, nieukrywane a szczere uczucie, iż najsroższy sceptyk nawet uwierzyłoby w nie musiał.

Jakaż więc w tem wszystkim była rola Jerzego?

Głowa z upokorzeniem na piersi mu opadła.

Przed Bogiem i sobą był czysty a nieskałany. Czyż przyszła mu kiedy na myśl fortuna posażnej jedynaczki? czy chciał majątkiem jej ułatwić sobie życie lub uwolnić się od obowiązku pracy osobistej, ciążącej na każdym pełnoletnim członku społeczeństwa? Nie, przeniżył!

Ta jutrenka uczucia wzrastała z nim razem, być może, od lat chłopięcych, obejmując stopniowo każdą kroplę krwi, każdy nerw serca,—czaiła się na dnie duszy, tała w najskrytszych jego zakątkach, aż promieniem mózg objawszy, świat cały przysłoniła mu sobą.

Od chwili powrotu Zosi, od czasu, gdy częste wizyty Rolickiego przybrały cechę formalnych konkurów o rękę panny Prędowskiej, Jerzy wobec groźby utracenia jej zrozumiał dopiero, czym była dla niego. Od tej pory też zaczęła się szalona walka wewnętrzna rozumu z sercem, które wczoraj niepodzielnie wzięło nad nim górę. Każde spojrzenie zalotne ślicznego dziewczęcia, każdy jej uśmiech czarowny lub słowo, bądź serdeczne, bądź żartobliwe, zwrócone do Jerzego, przykuwało go nierozzerwalnie do niej, a skierowane ku Rolickiemu, dolewało tylko oliwy do ognia, nagromadzonego w żyłach młodego lekarza. Wczorajsza rozmowa, będąca kulminacyjnym punktem tej rozterki duchowej, zaskoczywszy Jerzego, wyrwała mu gorące słowa wyznania z duszy. Dzisiejsza bolesna rozprawa z samym sobą miała je potwierdzić lub unicestwić.

Pamiętał grę jej żrenic szafirowych, żył wspomnieniem głębszego ich wyrazu, odtwarzał ze wzruszeniem przez całe tygodnie strofy wiersza, jaki deklamowała mu w Prędowie. Nastrój, wspomnieniami temi wywołany, oraz podniecenie wczorajszej pogadanki odebrały mu równowagę, kazały zapomnieć o wszystkim, co ich dzieliło, ustąpić przed porywem serca...

Czy miał jednak do tego prawo?

Jerzy objął głowę obu rękami i siedział chwilę, pasując się sam z sobą.

Tak. Młodość „chmurna i górna“, oddana pracy naukowej, a następnie poświęcona trudnemu zadaniu narodowego uświadamiania ludu,—młodość, nad

którą duch panował, kierując ją ku altruistycznemu ratowaniu i oświecaniu małuczkich,—młodość, żyjąca patriotyczną ideą narodowego odrodzenia Polski, dziś, dopominając się o fizjologiczne i psychiczne swe prawa, mściła się za spychanie jej na plan drugiego i pożar zapalała mu w żyłach.

Jerzy jednak, przyuczony do panowania nad sobą, wybuchowi krwi przeciwstawił wolę twardą, jak stal hartowną.

Gdy po długiej chwili walki zaciętej z samym sobą, po długim zmaganiu się z własną duszą podniósł nareszcie piękną swą głowę, rysy jego jaśniały wyrazem niezłomnego postanowienia.

— Uczciwy człowiek dopełnia przedewszystkiem zadania, które za cel życia sobie obrał—rozumował.—Nie czas więc na egoistyczne mrzonki i egoistyczne marzenia. Jestem własnością i sługą „świętej sprawy“, której przysiągłem oddać duszę całą, i do niej tylko należeć mi dziś wolno. Orecy nie byli nigdy zdrajcami powierzonej im pracy narodowej, nie byli renegatami uczuć obywatelskich i patriotycznego sztandaru. Wtedy, gdy Ty, Polsko święta, podniesiesz dumnie twe oplwane dziś, od cierniowej korony skrwawione czoło, wtedy dopiero wierne twe syny będą mogły myśleć o własnem osobistym szczęściu.

Wstał, mierzając gorączkowymi krokami pokój.

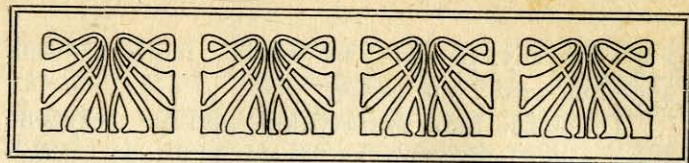
— Niech nikt nie powie—monologował,—że Jerzy Orecki, zapomniawszy o obowiązkach publicznych, pozazdrościł karierowiczowstwu filistrom i sięgnął po posag bogatej jedynaczki! niech nie powie

nikt również, iż zwiechnął życie ukochanej kobiety, przykuwszy ją do szarej doli wyrobnika nauki i inteligencji! Niech ona sama, ta wiosna cudna, nie pomyśli w przyszłości, żem jej na drodze do szczęścia stanął!...

— A serce twoje, Jerzy?

Jęknął głucho i oczy pałające dłonią przysłonił.

— Och, serce musi ustąpić przed głosem dumy i obowiązku! — zdecydował.



XX

Wiosna-odnowicielka, wiosna, życia mi-
strzyni, objęła panowanie nad światem.

Warszawianie, zbudzeni ze snu w dniu 1-ym maja 1905 roku, ujrzeni rozpiętą nad miastem kopułę z przezręczystego lazuru, o brzegach wyłożonych promieniami słońca, którego jasne, ożywcze blaski zalewały ulice, nadając im świąteczny, radosny nieledwie wygląd. Życiodajna siła przyrody żywiej poruszała soki drzew i roślin, silniej krew w żyłach ludzkich. Czar wiosny wywabił ludzi z ciasnych mieszkań; urok majowego poranka nęcił do opuszczenia murów, do zaczerpnięcia szerszego oddechu i skąpania się w blaskach słonecznych.

Cudny miesiąc maj przyzywał do siebie wszystko, co żyje, całą potęgą, przykuwał całą mocą poezji i piękna.

Domy jednak i ulice, wyłączone od góry bogactwem światła i blasków, oswobodzone od szpetnej

swej szarzyzny, na dole, na bruku, mniej radosną i gościnną nosiły już cechę.

Drapieżne ludzkie instynkty potrafią przyćmić nawet czar budzącego się życia przyrody. Duch wiosny, zasmucony krwiożerczem ich piętnem, przysłoniwszy oczy rąbkami skrzydła, z promieni utkanego, pierzchnął dnia tego z ulic Warszawy,—pierzchnął, by nie patrzeć na uragające mu sceny, jakie się tu rozegrać miały.

Głuche pogłoski, obiegające od dni kilku stolicę, wbrew prawdopodobieństwu i zdrowemu rozsądkowi, zostały w czyn wprowadzone.

Dzień 1 maja, „święto robotnicze“, zaznaczył się zupełnem sparaliżowaniem ruchu wielkiego miasta. Warsztaty, fabryki, sklepy, magazyny, biura, od najmniejszych aż do potężnych instytucyj, jak Bank Handlowy, Towarzystwa Kredytowe i Towarzystwa Ubezpieczeń, wszystko stanęło i znieruchomiało,—wszystko zapadło w bezwład letargu, nakazanego przez terrorystyczną organizację socjalistów.

Święto ludu, które powinnyby stać się dniem wytchnienia, swobody i zabawy, przybrało w Warszawie upokarzającą cechę przymusu. Stan wojenny zaś i właściwe mu rozporządzenia nadały tej do rocznej uroczystości charakter pogrzebowego i cmentarnego smutku.

Takie przynajmniej wrażenie odniósł Jerzy Orecki, wyszedłszy rano z domu.

Jeszcze wczoraj, jako w niedzielę przewodnią, która kończyła okres Wielkiejnocy, mieszkańcy Warszawy, ciesząc się wiosną i słońcem, gromadnie wy-

legali na ulice. Jeszcze wczoraj echo ukazów o tolerancji religijnej, ogłoszonego w dzień Zmartwychwstania, radowało dusze, dając im pewność swobody i wolności sumienia, jako przedsmak ogólnych praw człowieka i nietykalności obywatelskiej. Jeszcze wczoraj radosny nastrój nadziei i wiary w lepszą przyszłość unosił się w powietrzu, rozjaśniał oblicza, żywszy ogień zapalał w źrenicach, harmonizując usposobienie ludzi z uroczą szatą i weselnym nastrójem otaczającej ich przyrody.

A dzisiaj? — Jerzy własnym nie wierzył oczom.

Wszak to „święto ludu“ mogło być dalszym ciągiem uroczystości wielkanocnych. Tymczasem jakżeż smutno przedstawiało się miasto, którego lud ten winien być obrońcą i żywicielem!

Ulice, potokami słońca zalane, teraz, w przedpołudniowej porze największego ruchu, martwe były zupełnie. W blasku złotych promieni lśniły tylko lufy karabinów żołnierskich, błyszczała stal bagnietów w ręku niezliczonych placówek wojskowych, rozstawionych na wszystkich rogach i placach, snuły się szeregi patroli konnych i pieszych, krążących o kilkaset kroków jeden od drugiego.

O, cudny miesiącu maju! dobo sielanek poetycznych i miłości! jakimże zdziwionem okiem musiałeś dnia tego spoglądać na starą stolicę Mazowsza!

Jerzy nie mógł jej poznać wcale. Na razie chciał zawołać: O maju! o maju! o wiosno! czyż promienie twe stworzone zostały tylko dla rozjaśniania bagnietów? Lecz satyryczne to pytanie pierzchno-

natychmiast wobec troski, zasępiającej nagle czoło, i niepokoju, jaki szarpnął jego sercem.

Troska dotyczyła tych tłumów, nad którymi pracował od dawna cały zastęp ludzi dobrej woli, tłumacząc, by nie dali się unieść dnia tego podszeptom agitacji socjalistycznej, by nie mnożyli bezcelowych ofiar i nieszczęść. Niepokój zrodził się na myśl, iż Zosia, taka śmiała, a pragnąca brać żywy udział we wszystkich dziejowych wypadkach chwili, mogła się znaleźć nieopatrznie w towarzystwie tylko Maryni na tych pustych ulicach, wśród rozlanego po nich żoldactwa, oraz cichych postaci robotniczych, przewijających się po chodnikach przez sznur patroli i oddziałów wojskowych.

Jerzy stanął w tej chwili na przecięciu Marszałkowskiej i alei Jerozolimskich. Wspaniała perspektywa dwóch tych krzyżujących się ulic smutnie czyniła wrażenie. Publiczność świeciła nieobecnością; natomiast roily się wojska. Nastrój jednak wydał się Jerzemu względnie spokojny, więcej pojednawczy, niż zaczepny, co naturalne było przecież.

Pomimo tego Orecki, nie czekając, aż groźne „nielzia“ przetnie mu drogę, skreślił na lewo w Aleje, ciągnące się wzdłuż kolei wiedeńskiej. W pierwszej i drugiej już bramie, w posesji Hozerów wreszcie zauważył oddziały wojskowe, ukryte w głębi dziedzińca.

To nabierało cech groźniejszych,—wskazywało, iż w razie najbliższej manifestacji robotniczej tłum może być wzięty we dwa ognie, płacąc życiem lub kalectwem za czyny, z którymi nie miał nic wspól-

nego, mnożąc niewinne ofiary, których tyle padło w ostatnim roku.

Jerzemu zdawało się, iż widzi wysmukłą, szczupłą postać Zosi, przesuwającą się wśród tych zbrojnych oddziałów, a przeprowadzaną przez srogie i dzikie ich spojrzenia,—że wśród lic jej pobladłych oczu strwożone przywołują go błagalnie na pomoc.

I serce w nim stężało prawie z trwogi. Obawa o to dziecko czyste, o to ukochanie swej duszy, przypinała mu skrzydła do ramion. Byłby chciał lotem ptaka stanąć u drzwi pani Korczyńskiej i wołać:

— Nie wiercie słońcu! nie dajcie się skusić lazurom niebios!... Dziś w czterech ścianach tylko bezpiecznym być można.

Pomimo jednak podszeptów tych, siedł miarowym, spokojnym krokiem, bowiem rozsądek mówił, że, jeżeli chce dotrzeć do mieszkania pani Marceliny, nie powinien nerwowym ruchem zwracać na siebie uwagi patrolów.

Przed nim w blaskach słonecznych skąpiana świeża zielenią okryta, w bulwarowe szerokie chodniki wyposażona biegła hen, aż ku rogatom, prosta, widna, jak na dłoni, linja Alei Jerozolimskich.

Nagle jednak, zanim Jerzy doszedł do ulicy Składowej, z załamu tejże wysunął się mały oddział wojska i, rozwinąwszy się chyżo, zwartą linją przeciął perspektywę tę wpoprzek.

Nie było tu żadnych wątpliwości: kordon ów, miał przerwać komunikację, oraz powstrzymać wszelki ruch w obu kierunkach. Orecki przyspieszył

kroku i w chwili, gdy żołnierze ustawiali się przez środek ulicy, przesunął się jeszcze bocznym chodnikiem, nie zatrzymany przez nikogo.

Teraz, zachowując pozorny spokój, biegł coraz szybciej. Zaledwie jednak uszedł tysiąc kroków, drugi taki sam oddział przeciął zwartą linją Aleje na rogu Wielkiej, zamykając bocznice celem uniemożliwienia przejścia zarówno w kierunku miasta, jak rogatek.

Jerzy i tym jeszcze razem minął szczęśliwie zbrojny łańcuch. Od mieszkania pani Korczyńskiej, tam, na rogu Leopoldyny, dzieliło go już tylko parę tysięcy kroków,—lecz rozumiał, że, jeżeli jeden jeszcze utworzy się kordon, kamienica ta będzie ze wszech stron osaczona, tak, iż dostęp do niej uczyni się niemożliwym.

Pięć minut zwłoki, a stanie u celu. Tymczasem wyteżał oczy, czy nie dojrzy kogo na znanym sobie strojnym w kwiaty balkonie.

Pochłonięty myślą tą, nie spostrzegł dążącej z przeciwległej strony, ciemno ubranej, wysmukłej postaci niewieściej. Zrównawszy się z nim, stanęła na chwilę.

— Pan doktor do nas idzie? — zapytała.

Jerzy drgnął. Ujrawszy Marynię Kołkowską, a opanowany, jak halucynacją, obawą niebezpieczeństwa dla Zosi, nie witając się, nie uchyliwszy nawet kapelusza, zawołał gorączkowo:

— Gdzie panie? gdzie wujenka i panna Prędowska?

Dziewczyna spojrzała na niego badawczo, poczem jakiś wpół bolesny, wpół lekceważący uśmiech usta jej wykrzywił.

— W mieszkaniu... zupełnie bezpieczne... — rzuciła z mimowolną ironją.

— Żeby czasem nie wybrały się na miasto!

— Nie miały nawet tego zamiaru — zapewniła z pewnem rozdrażnieniem.—Układają spis książek dla czytelników ludowych.

Zamienili słowa te szybko, momentalnie prawie.

Jerzy odetchnął, jak gdyby zmora gnębiąca z piersi mu spadła. Równocześnie jednak zrozumiał, iż troska o tamtą ukochaną czyni go egoistą i brutalnym względem tej, równie młodej i ładnej, a której obecność na ulicy była także niewłaściwą w podobnej chwili.

— A po cóż panna Marynia wyszła na miasto? — pytał, tonąc już wzrokiem w perspektywie Alei, u której wylotu zaczęła wylaniać się jakaś czarna, zbita masa.

W oczach dziewczyny i na pełnych jej wargach wyzywający zaigrał wyraz.

— Po co? — powtórzyła.— Wszak jestem dziećciem ludu... cóż więc dziwnego, że chcę zobaczyć święto tego ludu, że pragnę w radości jego żywy wziąć udział?

Jerzy był już wzrokiem, słuchem i duszą gdzie indziej, tam, wśród tej masy czerniejącej, która u wysuniętego ku rogatce krańca Alei powiększała się z każdą chwilą, rosła i zbliżała do miasta.

— Dziś na ulicach niebezpiecznie—przestrzegał jeszcze mimochodem.

Marynia wyprostowała hardo swą smukłą jak topola postać.

— Tyle kul błąka się dokoła, iż los nie skrzywdzi nikogo, gdy jedną z nich dla mnie przeznaczy—odparła.

Jerzy nie słyszał już odpowiedzi. Od kordonów wojskowych wybiegł bowiem w tej chwili kozak kubański i popędził, co koń wyskoczy, ku ciemnemu tłumowi, widniejącemu nieopodal. Mignęła tylko wielka jego „papacha“ z długowłosej baraniej skóry i czarna, rozwiana „dacha“, spływająca aż na ogon wierzchowca, a iskry posypały się z pod jego kopyt.

— Jezus! Marja! Ratować ich! ratować!... — przebiegło przez umysł Jerzego z błyskawiczną szybkością.

— Na miłość boską! proszę powiedzieć paniom, aby nie opuszczały mieszkań!—zawołał odruchowo i, nie patrząc na smutną, śledzącą go bacznie dziewczynę, nie myśląc nawet o tamtej, jedynej a wybranej, puścił się całą siłą nóg młodych, całą wolą duszy, która chce innych od zguby ocalić, ku nadciągającemu od rogatki pochodowi.

Za nim przygarbiona w tej chwili, jak gdyby brzemień troski spadło na młode jej barki, a wierna, jak cień nieodstępny, podążyła Marynia.

Jerzy, smagany poczuciem niebezpieczeństwa, niesiony na czarnych skrzydłach obawy i troski o dziesiątki, a może o setki istnień ludzkich, biegł już teraz co tchu, korzystając, iż w tem miejscu nie

było patroli, któreby go za ruch pośpieszny, a więc podejrzany, zatrzymać mogły. Przeleciał koło niego z powrotem, jak błyskawica, ten sam kozak kubański, na zwiady snadź wysłany. Zadygotała tylko ziemia pod koniem rozhukanym, prysnęły iskry, przez podkowy skrzesane. Kudłata czarna „papacha“ i kosmata, a rozwiana „dacha“, jak złowrogi żalobny proporzec, mignęły mu przed oczyma i popędziły ku Marszałkowskiej.

Jerzy, minawszy już ulicę Teodora, zbliżał się do graniczących z nią parkanów. Przed nim o kilkaset kroków zaledwie szła ciemna masa robotniczego pochodu.

Przystanął i w tył się obejrzał. Tak; nie omyliły go spostrzeżenia i obawy. Obok kordonu przy ulicy Wielkiej stał już sformowany oddział piechoty. Rozległ się donośny rozkaz; zatańczyły konie towarzyszących oddziałowi ułanów i wyciągniętym marszem rzuciły się ku uwięzionemu wśród parkanów ludowi.

Jerzy zdążył atak wyprzedzić.

— Na miłość boską!—zawołał, dopadając tłumowi.—Rozwagi! Wojsko już pędzi na was! Zwińcie i schowajcie czerwone sztandary! rzućcie je! rozchodzić się! cofać! tu o życie idzie!

— My nie chowamy, nie rzucamy sztandarów! my giniemy w ich obronie, bo na sztandarze tym „robotników krew“!—huknął wyzywająco jakiś agitator zaciekle.

— Ale nie krew kobiet i dzieci, które tu widzę między wami—rzucił Jerzy.—Ocalcie wasze żony

i dzieci! Cofajcie się, rozchodźcie! Po co ludzi na rzeź wystawiać? Usuniecie czerwoną chorągiew!

Wołał głosem donośnym, rozkazująco, błagalnie, byle opamiętać prowodyrów, czy prowokatorów, którzy obalamucony tłum ten na pewną wiedli zgubę.

— Na rany Chrystusa, na dobro waszych dzieci zaklinam was, cofajcie się, ukryjcie sztandary! — nawolywał z mocą Orecki.

— Szpicel! Widzicie go! moskiewski szpicel! — wrzasnął agitator z pogardą, chcąc widocznie wywołać oburzenie robotników i sąd doraźny na śmiałka, który mu w planach przeszkadzał.

— Szpicel! szpicel! — wołano z boku.

Jerzy rozkrzyżował ręce, jak gdyby biorąc Boga na świadka, iż pragnie ratować ich tylko. Pod niezasłużoną jednak obelgą głos zamarł mu w piersi. I tak wszakże niktby go nie był posłyszał wśród szatańskiej sarabandy, jaką na urągowisko ludziom zagrały piekła w tej chwili.

Głuchy tętent wstrząsnął ziemią. Odważni prowodyrzy pierzchnęli, łamiąc parkany, grzmot zaś salwy karabinowej, nie poprzedzonej ani zwykłą pobudką bojową, ani żadnym znakiem ostrzegawczym, grzmot, jak piorun z tego jasnego spadły błękitu, rozzerwał ciszę wiosennego poranka, ciszę spokoju i letargu, w jakim pogrążone było od rana miasto, bezrobociem ogarnięte.

Za pierwszą ryknęły dalsze salwy. Przerażający, a w przeczystej atmosferze przez echo powtarzany

huk ich zagłuszył jęki i krzyki rannych, stłumił świst kul, padających w tę zbityą masę ciał ludzkich.

Pierwsza z nich (o tajemnico bożych wyroków!) nie w agitatora, który rzeź tę przygotował, lecz ugodziła w Jerzego, tak, jak stał przed tłumem, protestując rozkrzyżowanymi ramionami przeciw hańbie, niesionej przez słowo „szpicel“, ugodziła błagającego, by się cofnęli i nie narażali życia setek ludzi.

Kula, w chwili, gdy zwrócił się, by sprawdzić odległość wojska, przeszła mu piersi i podcięła jak kosa młode jego istnienie. Zatrzepotał rękami, obrócił się wirowo około siebie i... padł, krwią zbroczony.

Zadudniło ponownie. Ziemia uginać się zdawała pod ohydny brzemieniem, jakie jej narzucano, mordując bezbronnych. Po salwach karabinowych, wymierzonych w zbity, unieruchomioną wśród dwóch parkanów masę ciał ludzkich, wojsko rzuciło się z bagnetami na tych, którzy nie mieli gdzie uciec, nie mieli gdzie się schronić. Wśród jęków ranionych i umierających, wśród krzyków dobijanych, tłum, obłąkany przerażeniem, gnany rozpaczą, pod grozą kul, bagnetów i szabel, naporem ciał własnych wyłamał wreszcie potężne, wysokie ogrodzenie i, ściągany dalej przez upojonych krwią wojowników, szukał ratunku w ucieczce, kryjąc się po pustych placach, po drewnianych szopach i zabudowaniach, po dołach od kartofli i prywatnych mieszkaniach wreszcie.

Na dantejskie sceny, jakie się tam rozgrywały, lepiej opuścić zasłonę. Wojna nie przestanie być nigdy klątwą ludzkości i wymysłem szatanów. Wojna

domowa zaś, w której człowiek - zwierzę, ścigając bezbronnych, dochodzi do rozpasania krwiożerczych instynktów, jest chyba dziełem wszystkich mocy piekielnych, złączonych w destrukcyjnej sile celem ponizienia i upodlenia duszy, celem starcia z niej cech człowieczeństwa i nieśmiertelnego pierwiastku bożego.

O, Chryste! kiedyż ludzkość przestanie krzyżować, nie ciało już Twoje, lecz ducha? Kiedyż, miast nienawiści, zaplonie miłością i dopuści do panowania królestwa Twego na ziemi?

„Bitwa“, a raczej uśmierzenie „groźnego buntu“ pod parkanami Alei Jerozolimskiej, krótko trwała.

Na pobojuwisku zostały trupy i ranni: mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci, niemowlęta nawet.

Wśród płaczu i krzyku, wśród szlochań i jęków rozbrzmiewało słowo: „z a s a d z k a, z a s a d z k a!“

Plac otaczała jeszcze siła zbrojna, lecz nie przeskadzała usuwać zabitych, ratować ranionych i umierających. Rzucono się więc nieść pomoc nieszczęsnym, nie czekając na furgony pod zmarłych i na Pogotowie Ratunkowe, przez władze zawezwane.

Gdy Jerzy Orecki padł rażony pierwszą kulą, jak żołnierz na posterunku, w chwili, gdy tych nieszczęśnych chciał od śmierci ratować, nadbiegający oddział wojska cudem jakimś nie zmiażdżył go, lecz jak huragan popędził dalej. Zaledwie zaś nawała ta minęła, od parkanu oderwała się smukła, czarna postać, przytulona wpierw w załamie ogrodzenia, i podbiegłszy, bez względu na niebezpieczeństwo życia, do powalonego na ziemię, uniosła go szybko w młodych krzepkich swych ramionach.

Kto znał z widzenia tylko Marynię, nigdy nie byłby uwierzył, iż ta szczupła, elastyczna, lecz wśród robót wiejskich wychowana dziewczyna tyle posiada siły. A jednak mocą ducha, naprężeniem nerwów, rozkazem woli i serca podniecona, niosła ona ciało Jerzego w ramionach z nieustraszonem bohaterstwem wielkiego uczucia, szybko, zdecydowanie, rozważnie.

Złożywszy je w załamie parkanu, tam, gdzie sama uniknęła śmierci przed chwilą, odetchnęła dopiero. Miejsce osłaniało ich trochę, a więc było bezpieczniejsze od środka ulicy. Teraz oparłszy plecy rannego o deski, uklękła i ucho do serca jego przyłożyła.

Bilo... słabo, zaledwie dosłyszalnie, lecz bilo...

Dwa sznury lez potoczyły się po wybladłych liściach Maryni.

Powstała, a widząc strumyk krwi, spływający z piersi, sięgnęła szybko do kieszeni. Znalazł się w niej obok chustki mały flakoniczek z wodą kolońską. Chustką zatamowała, jak mogła, krew, — wodą kolońską natarła czoło, oczy i usta chorego. Odetchnął głębiej, lecz wpadł natychmiast w omdlenie.

W piekle, jakie ich otaczało, nie wiedziała, co robić; domyślała się, iż nadjedzie Pogotowie, postanowiła więc nie opuszczać rannego, lecz czekać tu na pomoc.

— Kara boża!... kara boża!... Wzywałam jej.. chciałam, by pierwsza kula ugodziła we mnie, a oto trafiła w niego.

Zdawało się jej, iż te piękne czarne Jerzego oczy nigdy się już nie otworzą. Dawniej gniewało ją, że tak obojętnie prześlizgiwały się po niej, jak gdyby była meblem, nie zaś żywą istotą; dziś spojrzenie ich, nawet przelotne, własnem okupiłaby życiem.

— Moja wina! — szeptała kornie, powtarzając ciągle jedno zdanie. — Ja los wyzywałem, a Bóg za karę ugodził w niego.

I znów, niepomna, co się dzieje dokoła, nasłuchiwała, czy serce bić nie przestaje, — aż, klęcząc tak pochylona, ustami przywarła do zimnej ręki Jerzego.

— Przebacz! To moja wina!..

Wtem zagrała trąbka Pogotowia. Marynia, z dwoma sznurami leż na kredowo białych licach, podniosła się, jak na wezwanie zbawczej pobudki, i w chwili, gdy karetka zatrzymała się wobec skłębienia ciała, ona już u drzwiczek jej stała.

— Panie doktorze — meldowała głosem błagalnym, — obok leży śmiertelnie raniony dr. Jerzy Orecki. Sądzę, że, jako towarzysz i kolega panów, ma on pierwsze prawa do ratunku.

Młody lekarz obrócił się żywo.

— Jerzy Orecki?... A cóż on tu robił?

— Niósł ratunek i... sam zginął — objaśniła, wiodąc sanitariuszów i doktora za sobą.

Ten ostatni pochylił się, obejrzał ranę, dotknął pulsu i rozkazał krótko:

— Bierście do karety!... bardzo ostrożnie, żeby nie wywołać krwotoku... Do dzieciątka Jezus...

— Może do mieszkania? — podsunęła Marynia.

— Nie. Trzeba natychmiast zrobić operację i wyjąć kulę, a do tego najlepszem miejscem jest szpital.

— Panie doktorze — zawahała się i zająknęła, — czy... czy rana jest ciężka?

Ten głos łamiący się, bólem wezbrany, uderzył lekarza. Podniósł on głowę i spojrzał badawczo na młodą; teraz dopiero spostrzegł, że jest bardzo młoda, że twarz ma bladą ze wzruszenia, że drży cała.

— Pani należy do krewnych rannego?

— Nie. Pan Orecki jest synem moich opiekunów, dla których wypadek ten strasznym będzie ciosem. Mieszkam tu, w Warszawie, u jego rodziny, którą mogę o wszystkim, co zaszło, natychmiast zawiadomić.

— Proszę to uczynić. Jerzy będzie potrzebował starania i opieki rąk życzliwych. A pani samej radzę położyć się natychmiast; okrutny widok tego pobojuwiska zbyt był wstrząsającym na młode jej nerwy.

Uchylił czapki, zajął miejsce, i karetka, usuwając trąbką ludzi z swej drogi, potoczyła się z wolna ku ulicy Teodora.

Marynia pozostała sama wśród jęków i krzyku, wśród trwogi i grozy, szlochań i płaczu, jaki rozbrzmiewał dokoła.

Do szpitala było zaledwie pięć minut drogi. Skręciwszy w eichą, wiodącą do niego uliczkę, Marynia, wyrwana z piekła leż, jęków, huku strzałów i świstu kul, oprzytomniała nieco. Gmachy „Dzieciątka Jezus“, jak wszystko dokoła, otaczało zwar-

tym kordonem wojsko. Nie bojaźń bagnetów, lecz wstydlivość dziewicza i zdrowy instynkt uczciwej natury mówił jej, że tam za Jerzym iść nie powinna, że iść jej nie wolno, bo nie ma do tego prawa. Przeprowadziwszy więc wzrokiem karetkę aż do jej wjazdu na terytorjum szpitalne, skrzyła w ulicę Nowogrodzką i zwolna, omijając Aleje, zalane żołdactwem, skierowała się ku domowi.



XXI

Drzwi balkonowe popielato-różowego salonu pani Korczyńskiej na oścież były otwarte. Cudowny poranek majowy słał przez nie falę ożywczego powietrza i glorię przeczystych blasków słonecznych, których refleks, przefiltrowany przez cienką storę koronkową, zdawał się całować wytworne sprzęty, artystyczne drobiazgi i dzieła sztuki.

Balkon, zamieniony w jeden kosz kwiecica i izieleni, śmiał się cały w tej słonecznej kąpieli, a pierwsze bzy i odurzające śnieżne tuberozy, wybijając się nad ławę narcyzów, podnosiły z rozkoszą mleczne swe płatki ku nieskażonym błękitom sklepienia.

Szczęśliwe rośliny, wolne od ludzkich trosk i niedoli, zamieniały małe to gniazdo, do murów przy-czepione, w oazę ciszy, spokoju i wiośnianego piękna.

Wtem w powietrzu, wśród martwej ciszy ogólnego bezrobocia i „święta ludu“, rozległ się tętent potężny, jakby grzmot głuchy.

Dłoń delikatna podniosła równocześnie zasłonę z przejrzystej koronki, a na balkonie wśród kwiatów

stała siostrzyca ich, Zosia Prędowska, sama do mistycznego kwiatu podobna.

Stała i, ogarnąwszy szafirem źrenic szeroką panoramę w dwie strony biegnących Alei Jerozolimskich, zatrzymała wzrok na oddziale wojska, pędzącego w stronę ulicy Teodora, i pobladła nagle.

— Ciociu! — zawołała trwożnie, zwracając głowę ku salonowi. — Ciociu! nowe jakieś nieszczęście!..

Obok niej stała już pani Marcelina. Rzuciła okiem i przerażona załamała ręce.

Zanim jednak zdążyła przemówić, potężny grzmot salwy karabinowej wstrząsnął powietrzem.

Zosia, wychylona poza rośliny, teraz dopiero zrozumiała sytuację.

— Do ludzi strzelają!... Boże! do ludzi, zbitych w gęstą masę!

Biała, jak płótno, zachwiała się z wrażenia.

Pani Korczyńska objęła ją szybko opiekuńczo ramieniem.

Druga i trzecia salwa zastała je tak złączone. Grzmot śmiertelnych piekielnych tych strzałów, odbijając się o mury, zatrzęsł podstawą balkonu. Pani Korczyńska i Zosia, widmowo blade, jakby zamarło w nich źródło życia, jakby śmierć, zbierająca opodal cmentarne swe żniwo, dotknęła je swem skrzydłem, stały przytulone do siebie, zmartwiały ze zgryzoty i przerażenia, jak posąg wielkiego bólu, uwieńczony zielenią i kwieciami.

Słońce i ziemia śmiały się dokoła, a powiew wiosenny niósł jęki ludzkie i łzy ludzkie, niósł wy-

raz bólu i krzyk rozpaczny hen, ku niebiosom, przed tron Boga, Boga miłości i przebaczenia!..

Jak długo tak stały — wieczność, czy godzinę, nie umiałyby określić, czas ten bowiem nieskończonością im się wydawał.

Pani Korczyńska po chwili oprzytomniała wreszcie pierwsza.

— Tam są ranni... tam trzeba nieść pomoc! — zawołała, wychylając się za balustradę, by dojrzeć, co się dzieje na pobojuwisku.

Nie wiedziała jednak, iż w czasie starć ulicznych okna i balkony, według rozporządzenia władzy, powinny być szczelnie zamknięte. Przypomniał jej to pędzący obok balkonu ułan, podniósłszy obnażoną szablę do góry i potrzásając nią groźnie w kierunku obu kobiet.

Zrozumiałwszy nakazujący ruch ten, pani Marcelina pociągnęła przerażoną Zosię szybko przez próg i zapuściła storę.

Zadzwońiła raz, drugi; nikt nie odpowiadał. Służba rozpięchła się w grozie i przestrachu. Pozostawiona więc sama sobie z Zosią, przytuloną do kolan, siedziała, uspokajając dziewczę, pozbawioną świadomości tego, co rzeczywiście zaszło na ulicy.

Zosia powstała wreszcie, wyprostowała się, a z oczu jej iskry strzeliły.

— Ciociu — mówiła, — ciociu! po raz pierwszy uwierzyłam w moc złego... Bo tylko Duch Ciemności może czynami takimi kierować! Tylko szatan wymyślił i rzucił za karę świata przekleństwo militarzmu! Dla Boga Miłosierdzia, Boga, który wszyst-

kim ludziom dał równe prawa, niema miejsca w takich chwilach na ziemi.

— Proś, Zosiu, Boga Miłosierdzia i Litości, by nad rannymi, którzy dziś padli, rozciągnął swoją opiekę.

Jeszcze słowa te brzmiały na ustach pani Korczyńskiej, gdy na progu salonu stanęła Marynia Kołowska.

Była bardzo blada, lecz hart woli dziecięcia ludu, hart, w twardej doli długich pokoleń zdobyty, przywrócił jej spokój pozorny, spokój tak niezłomny, że aż młodzieńczym jej rysom nadawał twardy wyraz.

— Maryniu — zawołała pani Marcelina, — czy wiesz, co się dzieje? czy słyszałaś strzały?

— Byłam tam i przyszedłam paniom powiedzieć, że pan Jerzy Orecki został ciężko raniony.

— Jerzy? — wybiegł okrzyk podwójny.

— Kula przeszła piersi — oznajmiła dziewczyna z jakimś okrutnym, spokojnym stoicyzmem.

Teraz Zosia nadludzkim prawie wysiłkiem woli zacisnęła ręce na brzegu stołu i, blada, jak całun śmiertelny, z rozszerzonymi żrenicami, zdławiła łkanie, które jej gardło żelazną ścisnęło obręczą.

Stały na wprost siebie, mierząc się wzrokiem. Obie w tej chwili znały swoją tajemnicę, jak oddawna uczucia obu nieobce były pani Marcelinie.

I rzecz dziwna, — miljonowa panna Prędowska, wychowana w pałacach, a mająca na skinienie swe wszystko, co tylko świat dać może, nie zatrzymała się w tej chwili myślą nad faktem, że rywalizuje w uczuciach z córką chłopskiej zagrody, z ubo-

gą nauczycielką szkółki ludowej, wychowaną i kształconą z łaski Oreckich. Wąż dumy rodowej i pychy bogaczyw nie opasał jej serca i nie zapuścił w nie żądla; niskie instynkty nie miały przystępu do czystej tej duszy. Z całą siłą, skoncentrowaną w żrenicach, stała zdumiona, trwożna, jak wobec objawienia, wobec tej odkrytej nagle miłości, tego potężnego uczucia, które, była pewną tego, rzuciło śliczną dziewczynę na ratunek Jerzemu pod grad kul karabinowych. I nie gniew, nie zazdrość, nie obrażona duma, lecz podziw dla bohaterstwa Maryni, oraz obawa, iż poświęceniem takim mogła na zawsze kupić Jerzego, wirowały w skłębionych myślach Zosi.

Rzecz zaś dziwniejsza jeszcze, że cała zaciętość w duszy Maryni, cały bunt głuchy, nagromadzony w jej sercu przeciw Opatrzności, która, uwięńczywszy życie panny Prędowskiej wszystkimi darami swymi, rzuciła jej jeszcze Jerzego pod nogi, stopniał odrazu i prysnął wobec kredowej bladości Zosi i tych jej żrenic cudnych, rozszerzonych, a trwogą i bólem przejętych, — wobec rąk, kurczowo zacisniętych, które mi trzymała się krawędzi stołu, by nie zachwiać się i nie upaść w omdleniu.

Na widok ten zniknęła w oczach Maryni można powiedzieć, zabierająca jej najwyższe dobro życia, a pozostało niewinne dziecko-dziewica, w którą u progu istnienia ugodził ból śmiertelny.

Serce wiejskiej dziewczyny roztajało nagle całą wezbraną potęgą uczucia, wszystkimi łzami, jakimi od godziny męka serdeczna dławiła jej piersi. Zbliżyła się szybko i z całą impulsywną siłą serca oto-

czyła silnemi ramionami chwiejącą się kibić Zosi, mówiąc, jak do dziecka:

— Cicho... cicho!... Nie trzeba się tak martwić... Może Bóg da, że go uratują.

I, wspólną troską zbliżone, padły sobie w ramiona.

Pani Marcelina, obserwując je ze wzruszeniem, szybkim ruchem łzę z powiek starła i usunęła się dyskretnie na bok, pozostawiając je razem.

W chwilę później Zosia, ochłonawszy już z pierwszego druzgocącego wrażenia, jakie cios ten niespodziany wywarł na niej, stanęła przed panią Korczyńską. Była jeszcze blada bardzo, lecz w źrenicach jej jaśniała moc niezłomnego postanowienia.

— Ciociu—mówiła,—pan Jerzy jest twoim siostrzeńcem, a moim blizkim krewnym. Wzrastaliśmy prawie razem... Prócz nas nie ma tu on nikogo blizkiego; rodzice jego daleko, a nawet matka chora od paru tygodni. Sądzę, że powinniśmy natychmiast pojechać ratować go i rozciągnąć nad nim wszelką możliwą opiekę.

Pani Marcelina, która na propozycję tę czekała od kwadransa, spróbowała jednak, ze względów formalnych, a dla spokoju własnego sumienia, stawić jej opór.

— Co do mnie, tak, jadę tam bezzwłocznie, by, jak kochająca siostra, jak matka nieledwie, pielegnować Jerzego. Dla ciebie jednak, Zosiu, jako dla zaledwie dorosłej panienki, nie miejsce ani w szpitalu, ani przy łóżku młodego człowieka.

— Jak siostra, mówisz, ciociu? Alboż ja nie jestem także blizką jego krewną, blizką mu duchem i sercem?

— Nie, Zosiu. To nie tytuł do podobnego poświęcenia. Twój ojciec nigdyby mi tego nie przebaczył; powiedziałby, że ci pozwoliłam afiszować się; zarzuciłby mi, jako twej opiekunce, lekkomyślność i złą wolę.

— Mój ojciec nie zwykł rządzić się sercem; ty jednak, ciociu, powinnaś mnie zrozumieć.

Lzy wielkie błyszczały w jej oczach.

— Nie mogę, dziecko. Taki czyn impulsywny mógłby źle wpłynąć na twoją przyszłość; mogłabyś wyrzucać mi go później.

Panna Prędowska, sprawdziwszy rzutem oka, iż pozostawiono je same, osunęła się na kolana przy foteliku pani Marceliny.

— Ciociu—mówiła cichutko, jakby powierzając największą tajemnicę,—przyszłość, o której mówisz, jest związana nierozzerwalnie z życiem Jerzego.

— Aa!...—wybiegło na usta opiekunki.

— Nie chciałam ci tego mówić, choć przecież domyslałaś się sama; cios jednak, jaki go ugodził, zmusza mnie do wyznania. Wczoraj zamieniliśmy słowa bardzo na pozór nieuchwytnie, które jednak, według wyrażenia pana Jerzego, dla niego mają wagę przysięgi, dla mnie zaś stają się podstawą przyszłego życia...

Zamilkła, drząc cała,—po bledziutkich zaś jej licach grube toczyły się perły.

Pani Korczyńska przygarnęła ją ku sobie, a przyluliwszy do piersi tę głowę biedną, skłopotaną, wstrząśniętą pierwszym bólem moralnym, ucałowała ją ze wzruszeniem.

Zosia podniosła czoło i zwróciła ku niej łzami błyszczące błagalne źrenice.

— Ciociu, czy i teraz jeszcze będziesz mi broniła tego, co jest prawem mojem i obowiązkiem?

Młoda kobieta zastanowiła się chwilę.

— Tak, moje dziecko, to prawo twoje i obowiązek; przyznaję ci rację. Nie wolno mi jednak być lekkomyślną, gdy chodzi o ciebie... Ulice obsadzone są wojskiem, ludność wzburzona...

Dziewczę załamało ręce.

— My tu dysputujemy, a Jerzy leży może wśród krzyku i jęków bez żadnej pomocy. Czy chcesz, ciociu, abym bez ciebie tam poszła?

Drżała nerwowo cała.

Pani Korczyńska podźwignęła ją z kłeczek i sama powstała. Nie czas było na wahania.

— Słuchaj, Zosiu. Jadę natychmiast i zażądam przeniesienia Jerzego tu, do pokoju, przeznaczonego na odczyty, który się urządzi na prędce. Pod jednym dachem, bez przechodzenia przez wojskiem zalane ulice, będziesz go mogła wraz ze mną pielęgnować. Jeżeli jednak chcesz, abym plan ten doprowadziła do skutku, proszę zastosować się do mego życzenia. A teraz zostań w imię boże. Za parę godzin zdam ci sprawę ze wszystkiego, co zaszło.

Pani Korczyńska wróciła jednak wcześniej, niż sądziła.

Szpital „Dzieciątka Jezus“, otoczony wojskiem, oblegany przez wzburzoną ludność, która wśród zabitych i rannych szukała tu swoich najbliższych, przedstawiał dla wytwornej, delikatnej kobiety twierdzącej nie do zdobycia. Pomimo tego, mocą uprzejmości i hojnych datków dotarła do głównego korpusu i kancelarii zarządu. Na salach, do których znoszono rannych, panował na razie taki zamęt i niesłychany nawał roboty, iż nie dopuszczano tu nikogo. Pani Marcelinie udało się tylko rzucić zdala okiem na te rzędy łózek, ustawionych po obu stronach długiego, rozległego pokoju z przejściem po środku, na te twarze żółte, wynędzniałe, woskowe, jak teraz, częścią obandażowane, częścią pokrwawione, które jednolita liberja szpitalnej pościeli i kołder równała do jednego poziomu nędzy człowieczej.

Okrutny ten obraz ogólnego bólu, nieszczęścia i choroby, krzywd ludzkich i ludzkiej niedoli wstrząsnął nią do głębi, na zawsze ryjąc się w pamięci. Myśl, iż Jerzy mógł się tam znajdować wśród innych, traktowany jak „numer“, jak przedmiot bezimienny nieledwie, dotknęła ją głęboko. Jeden z lekarzy wreszcie, zatrzymany w przelocie, wyjaśnił sytuację.

Pomimo zakasanych rękawów i białego fartucha, stroju, który wydawał się pani Korczyńskiej symbolem misji rzeźniczej, doktor okazał się człowiekiem bardzo uprzejmym, najlepszej woli, który odrazu jasno kwestję postawił. Jerzy Orecki był pod

dobrą opieką kolegów. Raniony ciężko, potrzebował natychmiastowego opatrunku i wyjęcia kuli. O przewiezieniu go do prywatnego mieszkania nie mogło być mowy. Pokój osobny i wszelką możliwą opiekę dostanie. Dziś w nocy będą dyżurowali przy nim, prócz siostry miłosierdzia, młodzi koledzy-lekarze. Jutro, jeżeli po operacji chory miałby się względnie dobrze, jeżeli nie nastąpią komplikacje, rodzina może być dopuszczona do łóża jego.—Oto wszystko, co mógł powiedzieć. Obecnie nie rozporządza ani jedną minutą więcej.

Zdawało się, że i tak zrobił tylko wyjątek dla wytwornej i pięknej kobiety, odrywając się na chwil kilka od krwawej a dobroczynnej swej pracy.

Pani Korczyńska ze smutkiem opuściła głowę. Widziała, że nie ma tu co robić. Pomimo męstwa charakteru, była jednak cieplarnianym kwiatem, który w atmosferze szpitala, popłochu, jęków i krwi drżał, jak mimoza. Groźna postawa wojska i wzburzone tłumy ludności odbierały jej do reszty świadomość i pewność siebie.

Przed szpitalem zastała dorożkę. W chwili jednak, gdy miała wsiadać do niej, ujrzała na poduszkach krew,—z dreszczem więc zgrozy wyskoczyła i pieszo wśród wojska oraz tłumu ludu wróciła do siebie.

Na progu własnego domu uderzyła ją dopiero myśl zbawcza: zawiadomić natychmiast Lipowieckiego o nieszczęściu, jakie spotkało Jerzego; on jeden dotrze w szpitalu do jego łóża, doniesie im, co zaszło, a będzie rannemu pociechą i otuchą na razie.

Następne godziny nadały cechę żaloby domowi pani Korczyńskiej. W murach tych, znajdujących dotąd szczęście i radość tylko, zapanowała martwa cisza. Absolutny brak ruchu na ulicy, obsadzonej wojskiem, podnosił jeszcze ten ementarny nastrój. Czułeś, iż anioł niedoli przeleciał tędy na posępnych swych skrzydłach, siejąc troskę i smutek serdeczny.

Marynia, trochę tylko twarda i sztywna w ruchach, jakby automatycznych, o rysach bladych bardzo, lecz spokojnych, w wyrazie znieczulenia skamieniałych, nieprzeniknionych, cicha i łagodna, przesuwiała się bez szmeru po pokojach, spełniając z całą dobrą wolą wszystkie drobne zajęcia domowe, do których odurzonej wypadkami rozpięchłej służby niepodobna było nawołać. Siła ducha, panowanie nad sobą i hart woli tej młodej dziewczyny, która się dobrowolnie na plan drugi usuwała, zdumiewać mogły.

I czoło białe, aureolą ciemnych uwieńczone włosów, pochyliło się ku ziemi przed majestatem Bogarodzicy, a usta szeptały kornie:

— Pani święta, orędowniczkę sierot! oddaję Ci w opiekę przyszłość naszą; ślubuję w imię Twoje być uczciwą i dobrą kobietą; lecz błagam, błogosław nam! niech karząca ręka Syna Twego mnie raczej niż jego dosięgnie!...

I szafiry źrenic jej, brylantami łez zasnuw, odzyskały pogodną, przezroczystą toń swoją.

Pani Marcelina, mniej pewna, co jej wobec postanowienia Zosi uczynić należy, czekała z niepokojem na wieści od Lipowieckiego.

Niespodzianie on sam stanął na progu salonu.

— Pan idzie od Jerzego? Ja się tam dostać nie mogłam! I cóż? — zapytała, wyciągając rękę.

Lipowiecki, podniósłszy drżące jej palce do ust, zatrzymał je dłużej w swej dłoni.

— Żle! — odparł, obejmując słiczną twarz jej głębokiem spojrzeniem. — Żle, że się pani narażała na przejście podobne, zamiast od razu mnie zawezwać... Bo gdzież pakt naszej przyjaźni?... I z Jerzym źle także...

Młoda kobieta podniosła szybko palec do ust, jako przestrożę, aby mówił ciszej, poczem cofnęła się zażenowana, iż ruchem tym powiedziała może zbyt wiele.

Mężczyzna uśmiechnął się pobłażliwie.

— Domyślał się — mówił, — o co chodzi, i... rozumiem wszystko.

A zajmwszy miejsce na małym foteliku przy kanapie pani Korczyńskiej, pochyłony ku niej, ciągnął głosem stłumionym:

— Sądzę, iż zarówno ofiarowany mi królewski dar przyjaźni pani, jak waga chwili obecnej, upoważniają mnie do rozmowy zupełnie poufnej, do poruszenia delikatnych nawet tematów i szczerego wypowiedzenia myśli, jakie mi one podsuwają.

— Proszę właśnie o szczerość i najzupełniej upoważniam pana do niej.

Pochylił głowę na znak podziękii i ciągnął zicha bez dalszych ogródek:

— Stan Jerzego jest ciężki, a rana poważne budzi obawy. Kulę, która, przebiwszy piersi, uwieźla pod obojczykiem, już wyjęto; chory jednak wskutek dużej utraty krwi i poprzedniego wyczerpania natężoną pracą wpada w ciągłe omdlenie. Doktorzy obawiają się komplikacyj i gorączki, która mogłaby okazać się zgubną dla niego.

— Czy przytomny?

— Tak; nastąpiła jednak zupełna prostracja ducha i ciała. Taki nagły upadek sił, takie znieczulenie umysłu nie bywa dobrą wróżbą. Obecności mojej prawie nie zauważył; gdy jednakże, pochyliwszy się nad nim, powiedziałem, iż pani Korczyńska była tu i chciała koniecznie zobaczyć go, duch ocknął się: otworzył szeroko oczy w jakimś oczekiwaniu, w jakiejś nadziei i poruszył parokrotnie wargami, na które cisnęło się widocznie ważne dla niego pytanie; ostatnim jednak odruchem woli powstrzymał je, lub nie miał siły wypowiedzieć.

Lipowiecki zamilkł, patrząc badawczo na młodą kobietę. Po chwili dopiero dodał:

— Pani! i ja i ty wiemy, że na tych biednych, zbielałych ustach zawisło jedno tylko imię: Zosia!...

— Ona sama chciała natychmiast iść do niego, tam, do szpitala. Siłą powstrzymałam ją tylko.

— A więc niech idzie, niech idzie natychmiast! To jej posłannictwo i obowiązek. Nie trzeba paraliżować takich cudnych odruchów serca, bo one ludzkość uszlachetniają i okupują szary ich filisteryzm.

Szczęście najlepszym bywa lekarzem, najzbawienniejszym źródłem siły. Przełamiemy więc zakaz doktorów, niosąc Jerzemu talizman zdrowia i przywołując go ze świata cieniów.

— Jaki z pana wymowny obrońca zakochałych!

— Bo przed panną Zofją, za jej dzisiejsze samorzutne postanowienie, za tę czystość duszy, która kłamać nie chce i nie umie, z szacunkiem pochylam głowę. Zresztą... po co ukrywać? Widok tej pary młodzieńczej, tak jasnej, takiej mającej prawo do szczęścia, a tak bezwiednie ogarniętej wszechpotężnym uczuciem, wzruszał mnie zawsze i sympatycznie dla nich usposabiał. Miłość idealna, na szlachetnych oparta pierwiastkach, to wielka dźwignia i wielkie źródło cichego ukojenia w życiu.

W głosie jego stłumionym, jakim prowadzono całą rozmowę, zdawało się drgać osobiste wzruszenie.

— Czy pani na widok ich nie rosło także serce? — pytał z cicha, pochylając się i patrząc w oczy ślicznej kobiecie.

Zarumieniła się aż po firankę rzes ciemnych i, cofnąwszy spojrzenie swe, odparła zmieszana:

— Nie wiem... nie znałam nigdy tego uczucia.

— „Nigdy“, czy „dotąd“? — pytał ciszej jeszcze, szukając jej wzroku, a wyczytawszy w nim snadź niemą odpowiedź, wyprostował się, a śląc promienne, pełne zapału spojrzenie w przestrzeń, dodał z głębiem przejęciem:

— O, jutrzeńko pierwszego uczucia! jakążbyś

ty siłą, jakim upojeniem stać się mogła w połączeniu z pierwszą zorzą wolności!

Zamilkł, a głęboka cisza nadała słowom tym podwójną moc i znaczenie.

W tejże chwili na progu stanęła Zosia Prędowska.

— Panie Lipowiecki, co się dzieje z Jerzym? — pytała drżącym głosem.

Stanisław powstał.

— Jest bardzo chory — objaśnił. — Przyszedłem też po panie, bo sędzę, że, jako najbliższe krewne, zechcecie wziąć go pod swoją opiekę; tkliwa ręka niewieścia najlepiej leczy wszelkie rany.

— Prosiłam już o to ciocię, lecz bezskutecznie. Pan lepiej mnie odczuł i zrozumiał.

— Tak, zrozumiałem panią... Nie traćmy więc czasu, lecz chodźmy zaraz.

Zaledwie słów tych domówił, ogłuszający huk, podobny do potrójnego strasznego grzmotu, rozdarł powietrze, zatrząsł potężnie szybami w oknach i poruszył nieledwie mury w posadach.

Panie zachwiały się i pobladły.

— Co to? Jakieś nowe nieszczęście? — pytały.

— Wybuch bomby — objaśnił Lipowiecki, rzucając się do otwartego balkonu. — Tak, bomba, i to bardzo blisko: prawdopodobnie na Marszałkowskiej, w stronie dworca kolei. Mogli ją rzucić szaleńcy tylko, albo zbrodniarze, których zaślepią błędny kierunek polityczny... Boże! czyż mało ofiar? mało krwi i niedoli? czy musi zginąć wszelki lepszy posiew na

tej ziemi, a ci obłąkańcy nie przestaną krzyżować własnego narodu?

Lipowiecki głęboko był dotknięty nowym tym krwawym wypadkiem. Ujrzawszy jednak blade, przeobrażone rysy obu kobiet i załamane ręce pani Korczyńskiej, ujął je troskliwie we własne dłonie.

— Nie trzeba się tak przejmować—prosił.—Polka powinna mieć dzisiaj duszę kryształową, a nerwy ze stali. Potrzebne one są paniom tem więcej, że musimy iść natychmiast. Wskutek bowiem wybuchu bomby dostęp do szpitala może być za pół godziny zamknięty, ulice zaś zostaną pewno otoczone kordonem wojskowym.

Spostrzeżenie było słuszne. Zaledwie bowiem, wyszedłszy z własnej bramy, skręcili przezornie ku ulicy Nowogrodzkiej, tętent rozrukanych koni zaświadczył, iż oddziały wojska pędzą na miejsce katastrofy.

I wśród tego piekła, wśród szczęku broni i głuchych uderzeń o bruk kopyt końskich, wśród echa wybuchu bomb, a terroru i przerażenia, drgającego w powietrzu, w którym zapach krwi zdawał się również unosić, wypieszczona miljonowa jedynaczka pana radcy Prędowskiego szła pieszo, tuląc się pod osłonę muru, świeżemi kulami poszczerbionego,—szła do szpitala, do tej otchłani nędzy i bólu, by nieść słowa otuchy i pociechy wybranemu przez siebie człowiekowi.

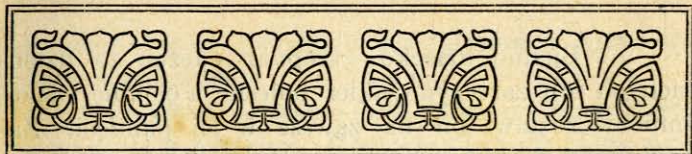
Spojrzawszy na lica jej, jak opłatek białe, Lipowiecki pochylił się ku pani Marcelinie.

— Biedne dziecko — szepnął. — Jeżeli to dzień cichych ich zaręczyn, jakież bolesne a ciemne wspomnienie zostawi on na zawsze w jej pamięci! Za czyje winy pokutuje czysta ta dusza, że u wstępu do życia spotyka taką krwawą przepaść niedoli i cierpienia?

W powietrzu od strony ulicy Marszałkowskiej zagrzmiwały strzały.

A niebo przeczyste, o tonach ciemnego, słońcem wyłoczonego szafiru, zdawało się śmiać do kwiatów i przyrody, siejąc dokoła radosne swe blaski.

Bóg panował we wszechświecie, złość ludzka — na ziemi.



XXII

Jerzy Orecki, przebudziwszy się snadź ze snu, a nie otwierając oczu, przemówił głosem wycieńczonym :

— Kolego, pić!... pić... proszę!

Krzesło, stojące przy łóżku, poruszyło się; „kolega“ ujął szklankę z chłodzącym napojem i zbliżył ją do spieczonych warg chorego.

Ruch był lekki i delikatny. Równocześnie nozdrza Jerzego poruszyły się, wciągając smugę powietrza, w której zdawało mu się, że odczuwa subtelna woń fijołków. Musiała mu ona przypominać jakieś miłe wrażenia, rysy bowiem, pozbawione jednej kropli krwi, kredowo blade, a bólem ściągnięte, rozpogodziły się, usta zaś błogi okrasiał wyraz. Dla podtrzymania złudzenia, nie próbował wcale podnieść powiek, lecz z sybarytyzmem, na który chorzy pozwalają sobie często, wyszeptał :

— Pić jeszcze!

Przysunięto mu z całą ostrożnością szklankę do ust, równocześnie zaś silniejsza fala fijołków wypełniła powietrze. Chory mimowoli rozchylił rzęsy i jeszcze prędzej zawarł je silnie, jakby w obawie, iż dojrzane zjawisko, które za halucynację, za złudzenie rozigranych nerwów uważał, pierzchnie niepowrotnie. Ust jednak nie odrywał od szklanki, a wyciągawszy dłoń drżącą, ujął rękę kolegi, która mu napój chłodzący podawała, i... drgnął cały.

„Kolega“, chłop rosły a tęgi, pocziwy z kośćciami, lecz zwykle w stroju zaniedbany, miał dzisiaj rękawy, otoczone... miękkimi koronkami. Palce Jerzego wpily się w tę pajęczą tkaninę, jak w zbawczą deskę ratunku, a wyczuwszy pod nią dłoń drobną i miękką, otworzył dopiero ostrożnie i powoli oczy.

Patrzył checiwie, pijąc czar pochyłonej nad nim postaci, jak gdyby dorwał się do źródła siły i życia. W miarę zaś, jak pojmował, że nie stał się ofiarą chorej wyobraźni, że zjawisko nabiera cech prawdy i rzeczywistości, rysy jego, tak bardzo dotąd zmienione, rozjaśnił wyraz radości i cichego upojenia.

Podczas też, gdy Zosia, drżąca cała, odstawiła lewą ręką szklankę na stoliczek, on, tuląc do piersi, do tej biednej, zranionej piersi dłoń jej prawa, szeptał z głęboką mocą uczucia :

— Szlachetna, dobra, święta!... Przyszła tutaj!... Moja, moja, moja!...

Na drugim końcu pokoju, u okna, do którego cofnęli się, by nie krępować młodych w każdym ich spojrzeniu i słowie, Lipowiecki mówił równocześnie do pani Marceliny:

— Gdyby nie obowiązki społeczne i narodowe, którym ucziwy człowiek, gdy je raz weźmie na siebie, nie ma prawa się sprzeniewierzyć, gotówbym zazdrościć Jerzemu jego rany ciężkiej.

— Zazdrościć Jerzemu? — podjęła młoda kobieta.

— Tak, bo kosztem cierpienia fizycznego okupuje możność rozporządzania sobą w dziedzinie moralnej i uczuciowej; bo wolno mu żyć własnym życiem i prześnić niepowrotną najczęściej godzinę szczęścia. Czy w dzisiejszych warunkach rozkładu i klęsk narodowych wybije ona dla mnie kiedy?... Któż może odgadnąć?

Pochylił smutnie głowę.

— Człowiek honoru — ciągnął po chwili, — bez względu na osobiste uczucia, pozostaje wiernym sztandarowi, któremu służyć zaprzysiągł... Serce prawe nie przywiązuje do siebie drugiego istnienia, gdy samo nie jest pewne własnego jutra...

Zamilkł. Pani Marcelina tu, w tem otoczeniu, niezdolną była rzucić mu jednego słowa otuchy lub zachęty.

— Straszne przeżywamy czasy — podjął znów smutnie. — Zdawałoby się, iż w chwili próby, w chwili świtających nadziei lepszej przyszłości, powinniśmy zespolić się wszyscy w dążeniach, żyć jedną myślą oswobodzenia Ojczyzny, iść wspólnie dłoń przy

dłoni do tego świętego celu. Stuletnia jednak niewola zrobiła swoje: upodliła małe dusze, znikczemniła małe charaktery. „*Divide et impera!*“ mówili zaborecy, i oto waśń, siana między dziećmi tej samej ziemi, przynosi dziś zatrute a krwawe swe owoce. Wróg zbiera plony, a my jad gadzinowych podszeptów i rozłam we własnym społeczeństwie. Strejki i socjalizm, podtrzymywany za niemieckie pieniądze, prowadzi pod rosyjskie kule polskich robotników, polski lud. Międzynarodowy czerwony sztandar zastępuje im chorągiew z Orłem Białym, godłem, pod którym walczyli dziadowie i pradziadowie nasi. Litwini i Rusini dążą do oderwania się od lechickiej macierzy, a to początek dopiero ruchu, który daleko zajść może. Żydzi wzamian za 500 lat trwającą gościnę, dążąc do własnych celów, brużdżą i spiskują z rewolucją rosyjską. Miast zgody i jedności, miast wspólnej walki o dobro najwyższe, wszędzie rozmyślane łamanie i osłabianie szeregów. Wrogowie zaś zacierają ręce, bo ów rozdźwięk moralny to gwarancja, iż niewolnik nigdy nie wzmoże się na siłach i nie skruszy kajdan, w jakie go okuto.

— Cóż za okrutny a pesymistyczny horoskop!

— Nie, pan! to nie horoskop, lecz wierny obraz chwili, wizerunek panującego u nas zamętu pojęć. Tylko niestrudzona praca serca, przejętych gorącym uczuciem narodowym, może wyłonić z tego chaosu uśpione pierwiastki miłości dla Polski, tradycji jej i chwały, zdoła zbudzić zapadłe w letarg, stłumione nikiemnem tełórzostwem lub filisterskim ego-

izmem zasady i pojęcia obowiązków względem nie-szczęśliwego, ujarzmionego przez wrogów kraju.

Zatrzymał się, a patrząc z nieukrywanem wzruszeniem na piękne, uduchowione rysy kobiety, ciągnął dalej:

— I dlatego zazdrościłem przed chwilą Jerzemu, iż mocą wyroków bożych, a kosztem krwi własnej odzyskał możność rozporządzania sobą. My bowiem, pracownicy na niwie narodowej, posiadziemy przywilej ten wówczas jedynie, gdy chorągiew z Orłem Białym, złączywszy pod znakiem swoim większość synów tej ziemi, zaszumi swobodnie na ulicach Warszawy, a jutrzienka wolności zbudzi ziemię naszą z długiego omdlenia, bólów i niedoli. Wtedy dopiero odzyskamy prawo rozporządzania sobą, prawo do własnego szczęścia, do ziszczenia snów i marzeń.

Zamilkł, a w smutnym pokoju szpitalnym, rozjaśnionym przez różowy odblask zorzy wieczornej, głęboka zapanała cisza.

Miłość i szczęście, dwa te leki cudotwórcze, zdołały nie tylko wyrwać Jerzego z prostracji ducha, lecz natchnęły go ochotą do życia i silnem postanowieniem odzyskania zdrowia. Niemniej praw fizjologicznych zmienić to nie mogło; rana ciężka wymagała zupełnego spokoju i dłuższej kuracji.

Pani Korczyńska i Zosia, zająwszy z całą prostotą miejsce u jego wezgłowia, czyniły wszystko, co było w ich mocy, by mu złagodzić chwile cierpienia

i przymusowej bezczynności, tak przykrej dla pełnego życia, energicznego charakteru. Kwiaty, wykwintne potrawy, wzmacniające wina i napoje, — wszystko to miał pod ręką, a co więcej, w promieniu jego wzroku siedziała lub krzątała się Zosia, poważna, spokojna, ze słodkim spojrzeniem i pełnym otuchy uśmiechem na ustach.

Chory, któremu doktorzy nakazali milczenie, mówił jednak wzrokiem, niewolniczo posuwającym się za cudnem, ciemnowłosem dziewczęciem, — ujawniał uczucia swe wyrazem twarzy, słowami wreszcie, dowodząc, że pierwsze to od lat wielu wakacje jego, pierwsza chwila, w której wolno mu żyć sobą... nie! widokiem Zosi, upojeniem szczęścia i marzeniami o przyszłości.

Panna Prędowska, której blado-błękitna batystowa suknia nadawała powiewnością swą jakąś nieuchwytną cechę anielskości, podniosła paluszek do ust na zak, że siostra miłosierdzia się zbliża, i zaproponowała, iż, wobec niesforności chorego, który zapomina ciągle, że mu mówić niewolno, woli już czytać głośno ostatnie dzienniki.

Był to jednak postrach tylko. Jerzy bowiem nie miał dość sił do skupienia uwagi na postronnych, obojętnych wiadomościach; nawet to milczenie, nawet cisza z możliwością patrzenia w oczy Zosi miłszą mu była nad wszelkie polityczne dysertacje.

Nazajutrz po wypadku, gdy pisma podały już przybliżoną listę ofiar owej nieszczęsnej rzezi w Alejach Jerozolimskich i nadmienili, iż pierwszy wśród

nich padł śmiertelnie raniony Jerzy Orecki, na progu szpitalnego pokoju stanął Tadeusz Rolicki.

Biegł tu z trwogą i niepokojem, z serdecznem współczuciem dla Jerzego, śpiesząc, by druhowi w pracy społecznej przynieść pierwsze, jak sądził, wyrazy otuchy, by ofiarować mu pomoc swą i usługi.

Zamiast beznadziejnej, a w smutku swym okrutnej sali szpitalnej, otworzono przed nim drzwi komnatki, pełnej słońca i kwiatów, strojonej w jasne postacie kobiece.

Rolicki własnym nie wierzył oczom. Na łóżku, zarzuconem ciemną kapą koronkową, przywiezioną od pani Korczyńskiej, leżał Jerzy, tak blady, jak gdyby wszystką krew z niego wytoczono. Oczy jego wszakże, tem większe i ciemniejsze wśród lic mizerynych i zeszczupiałych, podniosły się z wewnętrznem ukojeniem, z rozradowaniem nieledwie, ku wysmukłej, w błękitne przezrocza ubranej postaci, która, pochylona nad chorym z pękiem fijołków w dłoni, pokazywała mu wśród nich jakieś nadzwyczajne okazy, pozwalając równocześnie napawać się wonią cudnych tych kwiatów.

Rolicki oniemiał i o krok wtył się cofnął. Tę postać uroczą, tę główkę klasyczną, o koronie włosów ciemnych, znał zbyt dobrze, by mu mogła pozostać najlżejsza wątpliwość. Zresztą wszak opodal siedziała pani Korczyńska, rozmawiając półgłosem z siostrą miłosierdzia, której biały kornet służył za ekran, zasłaniający w tej chwili Rolickiego.

— Ach, więc tak!... — pomyślał i, nie ociągając się dłużej, postąpił naprzód. — Więc tak!...

Na skrzyp drzwi zamykanych i szelest kroków Zosia pierwsza odwróciła głowę i, nie tracąc spokoju, wyprostowała się z życzliwem skinieniem dla przybyłego.

Jeżeli ona, dziecko prawie, tak panowała nad sobą, to przecież Rolicki, człowiek dorosły i skończony, nie da jej się wyprzedzić w oznakach wytrawności i taktu towarzyskiego.

Powitał panie, poczem, zwróciwszy się z wyrazami serdecznego współczucia do Jerzego, przeprosił, iż, zaniepokojony żywo nieszczęściem, jakiego tenże padł ofiarą, narzuca mu się zbyt wcześnie może.

— Cóż znowu! — zaprzeczyła pani Korczyńska. — Chorzy i dzieci czują taką instynktową potrzebę sere ludzkich i życzliwej opieki, iż starania krewnych i rodziny nie wystarczają im zwykle.

Rolicki pojął w lot daną sobie wskazówkę: obie panie były tu jedynie w charakterze krewnych; obowiązek rodzinny, — nie więcej!

Zrozumiał i potrafił się do tego zastosować. Z ust jego nie wyjdzie z pewnością cień nawet nieprzychylnego komentarza. Z drugiej jednak strony znał zbyt dobrze zasady pana radcy i stosunki, panujące w Prędowie, aby go ten nacisk, położony na pokrewieństwo, zdołał w błąd wprowadzić.

Pani Marcelina zajęła w tej chwili naczelne miejsce u wezgłowia chorego, a rozmowa potoczyła się żywo o wczorajszem bezrobociu i wywołanych przez nie krwawych wypadkach. Rolicki przynosił wiadomości i komentarze z miasta, opowiadał szczegóły o śmiertelnych strzałach na Pradze, wyrażał

wreszcie Jerzemu obok współczucia całą gotowość i gorącą chęć zastąpienia go w pracach, które za najpilniejsze uważa.

Równocześnie jednak potrafił tak pokierować rozmową, iż pod pozorem niemęczenia chorego pościągł Zosię ku oknu. Idący za nimi wzrok Jerzego był mu jedną jeszcze wskazówką i przestrogą.

Stanąwszy w pełnym świetle, objął wymownem spojrzeniem młodzieńczą jej postać, strojną w zwoje błękitnego muślinu i puch białych koronek, a przechodząc od blado-niebieskiej wstążki, opasującej kibić jej i szyję, do oczów o ciemniejszej barwie bławatu, zauważył smutnie:

— Co za szkoda, że nie jestem malarzem! Zamiast bowiem unosić obraz pani w pamięci, uwieczniłbym go, jak typ „niezapominajki“, i schował na pamiątkę dnia dzisiejszego.

— Na pamiątkę? Alboż dzień ten różni się od poprzednich?

— Dla mnie bardzo! Wychodzę stąd innym człowiekiem. Chyląc też głowę przed panią, jako uosobieniem szlachetnej, polskiej kobiety, przepraszam równocześnie za natręctwo, jakim może narażiłem się jej niejednokrotnie.

— Nie rozumiem. Niech pan raczy wytłómaczyć się jaśniej — prosiła, zajmując miejsce i wskazując mu przeciwnie krzesło.

— Nieobcem jest pani zapewne — mówił, obejmując ją wzruszonym spojrzeniem, — iż od pierwszego spotkania uległem jej urokowi... że, oczarowany pięknością twą i wdziękiem, dałem się unieść wrażeniu

i olśnieniu, które, nie będąc miłością płomienną, zapożyczało od niej ezaru i skrzydeł, a z czasem mogło zapożyczyć i ognia. Nie jestem temperamentem zapalnym, lecz naturą skoncentrowaną w sobie, głęboko czującą. Marzenie też moje krystalizowało się, utrzymywało i nabierało siły, jakkolwiek na straży jego stała ciągle obawa, iż sen ten złoty może się rozbić o wzajemną sympatię pani i pana Jerzego...

Dziewczę podniosło żywo rękę.

Rolicki nie dał sobie przerwać.

— Obawa ta, powstrzymując uczucia me na wzdzy, ocaliła je może dzisiaj od rozbicia. Stanąwszy na progu tym, zrozumiałem, iż szlachetne serce pani dało się ująć nieszczęściu, jakie spotkało pana Oreckiego... że wobec anioła śmierci roztajała duma dziewczęca, broniąca panią dotąd przed uczuciem, jakie, zdaje się, wzrastało z wami razem. A że, znając stosunki, przeczuwam, iż na drodze swej sporo spotkacie trudności, zależało mi więc na tem, aby powiedzieć pani, że ja niezem nie przyczynię się do nich; przeciwnie, wyciągając do pani rękę oddanego jej na zawsze przyjaciela, ośmielam się zrzec praw, do jakich mnie poniekąd ojciec jej upoważnił.

Dziewczę wyciągnęło ku niemu dłoń swoją.

Rolicki ujął ją ze wzruszeniem i braterską serdecznością.

— Miejsce więc natrętnego konkurenta zajmie życzliwy a szczerzy przyjaciel. Czy zgoda, panno Zofjo?

— A czy przyjaciel potrafi być nietylko ry-cersko-szlachetnym, lecz i dyskretnym?

— Ach, więc tajemnica przed światem?

— Przed wszystkimi... nawet przed ojcem moim i rodzicami pana Jerzego, dopóki nie ukończy on prac swych i zadań... tajemnica do... do mojej pełnoletności może...

Zrozumiał, że chodzi o pana radcę, o czas potrzebny na złamanie jego opozycji.

— Dzielne dziecko! — wyszeptał. — Nietylko zobowiązuję się słowem honoru do milczenia, lecz przysięgam być wiernym sojusznikiem pani — zakończył.

Podali sobie szczerze, serdecznie dłonie, poczem Rolicki, złożywszy jeszcze głęboki ukłon Zosi, pożegnał się z resztą towarzystwa.

Pani Marcelina w lot pojęła sytuację. Gdy gość wyszedł, odwołała też na chwilę dziewczę od łóżka chorego.

— Zosiu — zapytała wprost, — pan Rolicki pożegnał się na zawsze?

— Tak, ciociu.

— Jakżeż ojciec twój zniesie zawód podobny? To cios dotkliwy dla jego ambicji i planów na przyszłość. Wszak ta „najpierwsza“, jak mówił, partja w kraju była gorącym marzeniem jego dla ciebie.

— Ciociu, papa ożenił się także swego czasu, by zrobić „świetną partję“. I dlatego moja matka a twoja rodzona siostra zmarła tak młodo z nadmiaru szczęścia w Prędomie. Gdy Bóg da, że Jerzy wyzdrowieje, nasze życie musi inną pójść koleją.

Pani Korczyńska ucałowała ją w milczeniu.

Stan Jerzego nie przestawał tymczasem poważnych budzić obaw.

Chory, jako lekarz, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Jasne barwy w strojach pań, kwiaty, jakimi go otaczano, słońce wiosenne, płynące ciepłą falą przez okno otwarte, — wszystko to powinno było podniecać jego ducha i siły, działać suggestywnie na umysł i wolę, a więc poniekąd i na organizm. Niemniej z chwilą, gdy Zosia znikła choćby na krótko z jego oczu, nie mógł się opędzić apatji lub czarnym myślom i przecuciom. Dziewczę też czuwało u jego wezglowia z niezmordowaną cierpliwością i słodyczą, z troską serdeczną, jakiej zorza miłości i marzeń młodzieńczych dziwnie poetyczną nadawała cechę.

W dwa dni po krwawej tragedji w Alejach u łóża rannego stanęła niespodziewanie jego matka. Stała, jak posąg bólu, chłonąc tylko w siebie, w duszę matki, obraz jedynego dziecka, które pożegnała niedawno w rozkwicie sił i młodości, a odnajdywała podcięte kosą śmierci nieledwie na łóżu szpitalnem.

Porażenie jednak, jakiego doznała, ustąpiło natychmiast wobec woli silnej. Pani Julja Orecka wiedziała, iż przy chorym nie miejsce na lament lub rozpacz, — że powinien on widzieć tylko pogodne oblicza, któreby mu siły i otuchy dodawały. Wzruszona więc, lecz na pozór spokojna, osunęła się na kolana przy łóżku syna.

— Jerzy! dziecko moje! — mówiła miękkim, pieszczotliwym głosem, w którym dusza jej cała drgała,

skoncentrowana a wibrująca, jak struna napięta. — Jerzy, dziś dopiero dowiedziałam się przypadkiem z gazet o nieszczęściu, jakie w ciebie i w nas uderzyło. Synu mój jedyny, czy bardzo cierpisz?

— Nie, matko! — odparł z bladym uśmiechem.

Ten głos słaby, nikły wzruszył ją tak głęboko, iż przyłgnęła ustami do złożonej na kołdrze białej ręki chorego.

— Matko, co robisz! — bronił się zgorzony.

Pani Orecka, bojąc się dotknąć rany nieuważnym ruchem, głaskała tylko włosy syna i do tej głowy ukochanej, bladej i zbiedzonej, przytuliła z niewymowną pieśczęcią własne lica.

Złączeni tak oboje, ona, kobieta już dojrzała, lecz piękna jeszcze, i ten młodzieniec, będący żywym jej odbiciem, stanowili w wyrazie swym i w połodniowej, spotęgowanej u niego urodzie wzruszający obraz miłości matczynej, gotowej walczyć z losem, ze śmiercią nawet, o tę krew z krwi i kość z kości swojej.

— Jurku, dziecię moje! gdzie cię ten strzał zranił?

— W piersi. Kula już wyjęta.

— Dlaczego nie kazałeś telegrafować natychmiast po matkę?

— Byłem nieprzytomny; zresztą wiedziałem, że sama jesteś chora.

— Och, nie czas myśleć o mnie.

— A ojciec? czy jest tutaj?

— Ojciec?

Pani Orecka zawahała się i zacięła, jak gdyby nie była przygotowana na to, naturalne zresztą, pytanie. Szczęściem pani Korczyńska, trzymając się dotąd zdala, aby nie przeszkadzać powitaniu matki i syna, przystąpiła do klęczącej.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę uprzedzić, że Jerzemu mówić nie wolno.

Pani Orecka teraz dopiero spostrzegła młodą kobietę. Rysy jej rozjaśniły się radością. Powstała, obie ku niej wyciągając dłonie.

— Marcelko, ty tutaj?... jak anioł pocieszenia i opieki? Niechże ci Bóg stokrotnie to nagrodzi! Gdy ty go strzegłaś, chłopcu memu nie brakło pomocy; wiem o tem.

Przygarnęła ją do piersi i z wdzięcznością ucałowała.

Młoda kobieta serdecznym odplaciła jej uściskiem.

— Wujenko, nie jestem sama; starania około ранnego dzieli ze mną siostrzenica moja i twoja potrosze.

I, biorąc za rękę dziewczę, przedstawiła je:

— Panna Zofja Prędowska.

— Córka Marty Horeckiej, twojej siostry, Marcelko? córka pana radcy Prędowskiego? — pytała z niedowierzaniem i zdumieniem.

— Tak, pani. Zmarłej mej matce było Marta na imię.

Stały naprzeciw siebie — ta piękna, poważna Junona i to dziecko śliczne, — jedna u schyłku rozkwitu życia, druga u wstępu do niego, — obie, przywiedzione

tu głosem serca, obie, przywołane technieniem odrębnego, a jednak równego w sile swej uczucia. Stały, patrząc na siebie, a podczas, gdy w źrenicach dziewczęcia odzwierciedlało się zaniepokojenie i obawa, wzrok starszej kobiety po niedowierzaniu przybrał cechę badawczą nieledwie.

— Jak wiesz, wujenko, Zosia Prędowska jest w Warszawie pod moją opieką. Nie mogłam więc w chwili krwawych zamieszek w mieście samej jej w domu zostawić — tłumaczyła pani Korczyńska, chcąc ocalić pozory, a nie odsłaniać od razu kart przed przybyłą.

Niewinne to jednak kłamstwo oblało purpurą brzoskwiniowe lica dziewczęcia.

Błysk świadomości przebiegł przez serce matki. Spojrzała na syna: w zapadłych oczach Jerzego palił się płomień cichej radości i szczęścia. Iskra ta skryształizowała błyskawicznie w umyśle pani Julji wszystkie na temat ów przypuszczenia, snute jeszcze w Orecku, a dłonie jej obie wyciągnęły się ku ślicznej postaci, spowitej w błękitne muśliny.

— Córnka Marty Horeckiej była i będzie zawsze drogą memu sercu. Chodź, dziecię; jesteś mi bliska krwią i duszą. Jeżeli zaś okoliczności oddaliły nas od siebie w ostatnich latach, to wzamian pamiętam dobrze niezbyt odległe jeszcze czasy, w których twoja matka gościła dość często w Orecku, wnosząc zawsze pod dach nasz promień radości i ciepła rodzinnego.

Zosia pochyliła się do ręki matrony, pani Julja zaś, nie dopuszczając do złożenia pocałunku na dło-

ni swej, przygarnęła ją ku piersi i ucałowała po macierzyńsku.

— Matko! — zabrzmiał głos jego.

Zwrócili się ku niemu; on zaś wyciągnął drżącą rękę, a ujawszy złęczone ich dłonie, obie razem w tem ścisłym zjednoczeniu do białych ust swoich podniósł i ucałował serdecznie. Równocześnie po licach chorego z wolna gruba łza się staczała.

Pani Orecka zrozumiała wszystko, lecz i pojęła, że nie chcą, że względu na stan rannego może, lub dla innych przyczyn, aby o tem mówiła w tej chwili, aby tej złotej, przeczystej przedży marzeń żywym dotykano słowem.

Przyciągnawszy więc tylko Zosię, ucałowała ją raz jeszcze, poczem, spojrzawszy głęboko w toń szafirowych jej źrenic, szepnęła cichutko:

— Dziękuję ci, moje dziecię.

— Wujenko — zaczęła pani Korczyńska zeicha.

— Moja Marcelo, odkądże ty mnie nazywasz „wujenką“? — przerwała jej pani Orecka.

— Nie mogę inaczej!... Jurek już taki duży... — i wskazała wzrokiem młodą parę. — Należy ci się podobny tytuł dla samej powagi. W wielu rodzinach zmienia się w ten sposób pokrewieństwo, stosownie do wieku i okoliczności.

Uśmiechnęły się obie.

— Otóż, wujenko, wiem o zaszyłych u was wypadkach i nie sądziłam, że będziesz mogła przyjechać. Jestem przytem zdania, iż nie należy ich

przed Jerzym ukrywać; gorączki nie ma; niebezpieczeństwo bezpośrednie żadne mu nie grozi; apatię zaś, w jaką wpadł wskutek osłabienia, należy, według lekarzy, zwalczać moralnymi środkami. Dobrze wieści usypiają ducha; złe może go podniecać.

A chory, jakby przeczuwał, o co chodzi, pytał tymczasem:

— Matko moja, gdzie ojciec? dlaczego niema go tutaj?

Pani Orecka usiadła przy synu i rękę jego, jakby dla uspokojenia, ujęła w swe dłonie.

— Ojciec twój, Jurku, jest w Warszawie. Do niego właśnie jechałam, gdy w drodze dostałam dzienniki z opisem krwawego zajścia w Alejach, którego ty padłeś niewinnie ofiarą. Przeczytawszy wieść tę straszną, przybiegłam najpierw tu, do ciebie, dziecię moje jedyne, bo niepokój matki wziął górę nad troską małżonki.

— Ale ojciec... gdzie ojciec?

— Widzisz — ciągnęła łagodnie, okrążając złą wieść zdaleka, — u nas zaszły w ostatnim tygodniu rozmaite wypadki... Zjechało wojsko z policją, zarządzono najsurowszą rewizję, przetrząsnęto dom cały, nawet łóżko, w którym, jako rekonwalescentka, chora jeszcze leżałam, i pomimo, że poszukiwania, najcisłejsze nawet, żadnego nie przyniosły rezultatu...

— Uwięziono ojca! — przerwał silnie.

— Tak, Jurku; zabrano go do cytadeli.

— Ach! — zacisnął obie pięści z całą mocą, na

jaką mu brak sił dozwalał. — Ach! a ja leżę i nie zrobić nie mogę! Boże sprawiedliwy, gdzie jesteś?

— Cicho, synu! Nie byłabym tutaj nawet, gdyby ojcu groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo; ale jadę od władz powiatowych żandarmskich, które mnie objaśniły, iż uwięziony został i wtrącony do cytadeli za przeprowadzenie uchwały gminnej w Orecku, mocą której włościanie postanowili odtąd używać w gminie rodzinnego swego, polskiego języka. Za „występek“ ten, czy „przestępstwo polityczne“ grozi ojcu kara pieniężna lub przymusowy wyjazd zagranicę.

Jerzy odetchnął z ulgą.

— Pieniądze potrzebne przywiozłam właśnie. Chodzi więc o to jedynie, by nie dopuścić do zbyt długiego trzymania go w więzieniu, a więc wyjednać jak najprędzej wyrok. Jeżeli ojca skazą na wyjazd zagranicę, w takim razie, gdy tylko wyzdrowiejesz trochę, podążę tam za nim.

Nie zdradzała się z własnym bólem, z własnym zmartwieniem dojmującym; mimo to cisza troski i smutku zaległa wśród zebranych.

Pani Orecka pośpieszyła ją przerwać.

— Jak widzisz, Jurku, w podwójnem nieszczęściu, jakie nas dotknęło, nie szczędzi mi Bóg pociechy. Ojciec okupi się pewną sumą pieniężną, ty zaś jesteś poza niebezpieczeństwem. Mordercza kula nie zabrała mi ciebie, pociecho moja jedyne, a szlachetne, słodkie ręce, w jakich cię widzę tutaj, pozwolą mi poczynić starania w celu ulżenia doli ojca.

Mówiła dla dodania mu otuchy z takim spartańskim spokojem i pogodą, jak gdyby roztrząsała najnaturalniejsze wypadki. Jedna pani Marcelina tylko, znająca ją oddawna, widziała cały wysiłek nerwów i woli, z jakim, choć jeszcze chora i osłabiona, umiała jednak panować nad sobą, nad głosem swoim i grą rysów nawet. I przypomniawszy sobie słowa Li-powieckiego: „Polka powinna mieć dzisiaj duszę kryształową, a nerwy ze stali“, pochyliła mimowoli głowę przed tą żoną i matką, która podwójny śmiertelny cios nieszczęścia, jaki ugodził w jej serce, umiała znieść z taką odwagą ducha i stoicyzmem.

Czuł to i pojmował Jerzy, a niezdolny mówić, rozluźnił dłoń, zaciśniętą w pięść, ów znak bólu, niewiści i bezsilnego gniewu, by, ujawszy rękę matki, w milczeniu do ust ją przycisnąć.

Pani Orecka przesuwiała palce pieszczotliwie po jego głowie, a nie chcąc, by dał się opanować wzruszeniu, ciągnęła z pozorną pogodą i spokojem:

— Jak widzisz, u nas wszystko składa się ku dobremu i niema racji do szemrania przeciw Opatrzności... Gorzej z Hetmanikiem...

— Więc i jego? — wyszeptał Jerzy.

— Tak, i on uwięziony. Tu jednak sprawa się wickła. Prócz udziału w reformie gminnej, oskarżają go na zasadzie pochwyconych papierów o tajne szeregzenie oświaty i ogólną narodową propagandę. W kraju konstytucyjnym — dodała ze smutnym uśmiechem — byłby to tytuł do zasługi obywatelskiej i odznaczeń; w Rosji XX-go wieku inaczej... inaczej... Znalaziono przytem u niego w brogu z sianem tak

zwaną „literaturę nielegalną“, oraz przygotowany do druku tom gorących, patriotycznych poezyj. To wszystko obciąża podobno bardzo jego sprawę, tak, iż na razie przynajmniej nie dla niego uczynić nie mogę.

— Biedny Karol! — zawołał chory. — Więc wszyscy daliśmy okup za siebie!...

— Wszyscy, synu... a ja podwójny — przyznała z bolesnym uśmiechem. — Na większe jednak ode mnie współczucie zasługuje matka Hetmanika, bo ta umie tylko płakać i w osamotnieniu swem krzyżem leżeć przed obrazem Orędowniczki uciśnionych. Błagała mnie też, by koniecznie przywieźć do domu Marynię...

Zosia i pani Marcelina zamieniły z sobą szybkie spojrzenie.

Chory nie spostrzegł tego.

— Marynia nie może jechać — zaprzeczył żywo. — Skoro Karol jest tu, w cytadeli, obowiązkiem jej pozostać w Warszawie, być mu siłą i pociechą, nie pozostawiać go samego w tej otchłani bólu i niedoli.

Promienne oczy Zosi pobiegły ku niemu z radością i podzięką, jak gdyby chciały powiedzieć, iż słowami temi kamień zdjął z jej serca. Jerzy, spojrzeniem tem upojony, wyciągnął ku niej rękę. A gdy, korzystając, iż obie panie usunęły się trochę, podeszła ku niemu, on dłoń jej miękką, białą położył sobie na czole, mówiąc zeicha, jak modlitwę świętą:

— Za to, że i ty w chwili przełomu nie pozostałaś mnie samego... że, gdy ciało omdlewało, a duch

szamotał się, by je opuścić na zawsze, ty byłaś mocą, która go przywołała na ziemię... że stałaś mi się siłą i pociechą, promieniem bożym w tej otehlani bólu i niedoli... za wpływ twój jasny, o ukochana moja, bądź błogosławioną!

Gdy w godzinę później* panie odprowadzały matkę Jerzego do głównego wyjścia, zastępująca ją szarytka złożyła na koldrze chorego małą, starannie uprasowaną chusteczkę.

— Co to, siostrze?

— Chustka do nosa, którą panu ktoś najpierw krew, płynącą z rany zatamował. Ponieważ bardzo ładnie haftowana, więc kazałam uprać i oddaję.

Jerzy ujął kwadrat z cienkiego płótna i podniósł go do oczu. Tak, znał ten haft; pokazywano mu go kiedyś, jako okaz sztuki hafciarskiej i benedyktyńskiej cierpliwości. W rogu, na godłach rolniczych, pod snopem kłosów pszenicznych, tuliły się dwie powiązane misternie litery: M. K.

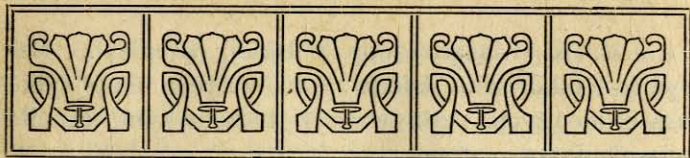
Marynia Kolkowska! Nie było wątpliwości... Przypomniawszy sobie teraz, iż szła jak cień za nim; przypomniał, że padając rażony kulą, czy też później może, widział ją pochyloną nad sobą; pamiętał, że, pogrążony w półomdleniu, czuł jednak, iż go ktoś z ziemi podnosi i dźwiga dalej,—że czyjeś wargi gorące do ręki jego przywarły.

Boże! byłaby to ona? wychowanka jego rodziców, marzenie towarzysza lat dziecięcych, przyjaciela, któremu w młodości, wśród kaźni i kajdan, była ona może ostatnim promykiem słońca i nadziei?

M. K., wiążące snop polskiej pszenicy... Marynia Kolkowska, dziecię ludu, które mu nie tylko uratowało życie, lecz wraz z haftem tym rzuciło własną duszę pod nogi...

Jerzy szybko ukrył chusteczkę pod poduszkę, by niedyskretne nie dojrzało oko.

Dlaczego losy, jakby przez złośliwą ironję, tak niemiłosiernie gmatwają życia ludzkie?...



XXIII

Jerzy Orecki, przeniesiony już od tygodnia do lokalu, zajmowanego dawniej na pogadanki popularne i wykłady dla analfabetów, a przytykające do mieszkania pani Korczyńskiej, przychodził zwolna do siebie, gdy, zameldowany ceremonjalnie, według wszelkich prawideł etykiety, na progu różowego salonu stanął pan radca Prędowski.

Wyprostowany był i uroczysty. Głęboka zmarszczka jowiszowym marsem osiadła mu na czole; szarawa bladeść pokrywała lica. Pomimo przybranej wyniosłe surowej pozy, zdawał się zmieniony i postarzały, jak gdyby wicher rzeczywistej niedoli przeleciał nad dumną jego głową, jak gdyby troska ukryta zapuściła jadowite swe żądło w serce, do którego pancerz chłodu i egoizmu nie dopuszczał dotąd żadnych zmartwień.

Salon był pusty. Pani Korczyńska, uwiadomiona o przybyciu szwagra, zbierała odwagę, aby wyjść na jego spotkanie.

Pan radca postąpił kilka kroków naprzód, stanął i czekał z kapeluszem w ręku. Zdawało się, że tak jest obcym tutaj, tak nie ma, czy nie chce mieć w tym domu żadnych praw i przywilejów, iż nie przystoi mu nawet posunąć się ku środkowi lub zając miejsce pod nieobecność pani domu.

W miarę czekania troska, wyglądająca mu ze spojrzenia, a zdająca się zjadać duszę, ustępowała porywowi gniewnemu. Nozdrza mu drżały,—powieki, opadające na oczy, tłumily w nich iskry złowieszcze.

Zasześciły dyskretnie jedwabie, biała ręka rozsunęła naprzeciwległą portjerę, i w obramowaniu jej stanęła pani Marcelina.

Rysy jej, bladejsze może niż zwykle, lecz spokojne, nosiły cechę powagi i słodyczy. Była w swoim domu, pomimo więc braku sympatji dla tego człowieka, chciała możliwie złagodzić cios, jaki miał w niego uderzyć.

Niezwykła wszakże mina Prędowskiego wskazała jej, że pocisk ów, wymierzony prawdopodobnie ręką obcą, ugodzić go już musiał.

Złożyli sobie ceremonjalny ukłon. Pan radca, nie przyjmując krzesła, które mu wskazała na wprost zajętej przez siebie kanapki, przystąpił od razu do rzeczy.

— Wracam dopiero z Petersburga, gdzie nie służba obywatelska, nie służba dla kraju, jak sądziłem, lecz zatrzymała mnie widocznie zła dola. Dowiaduję

się bowiem na wstępie do Warszawy rzeczy tak potwornej, iż uwierzę wieści tej dopiero, gdy ty mi ją, Marcelino, potwierdzisz...

— Co się stało? — zapytała. — Zaprzędano nas Prusom może? Tak; wieść o najściu ich tutaj i zajęciu Warszawy powtarza się coraz uporniej. Pan, kochany radco, tam, nad Newą, u wielkiego ołtarza biurokracji i rządu, musiałeś pewnych co do tego zasięgnąć informacji.

Chciała mu zwrotem tym ułatwić panowanie nad sobą. Prędowski jednak wziął słowa jej i ton spokojny za drwiny, jeżeli nie za urąganie. Porzucając więc omówienia, zaatakował otwarcie:

— Wybiegi niegodne są ani ciebie, ani mnie, Marcelino. Proszę, odpowiedz mi wprost: czy prawda jest, że Jerzy Orecki, schwytany z czerwonym sztandarem na czele socjalistycznej manifestacji...

— Nie prawda! — przerwała, — to niegodne oszczerstwo! Dziwię się, iż, znając go od dziecka i będąc jego krewnym, pozwoliłeś pan, by go w ten sposób w twojej obecności szkalowano, by znieważano wypróbowane jego i wyższe nad wszelką insynuację polskie uczucia. Wiesz przecież, że zarówno on, jak jego ojciec, a więc i moja cała rodzina, wyznaje gorące zasady narodowe; wiesz, że z poświęceniem życia walczy i pracuje od lat kilku w ich obronie.

— Zasady tego pana nie mnie nie obchodzą, a do owych lilipucich walk, w których, jak głodne szczury, zjadają się tu wszyscy nawzajem, małą przywiązuję wagę. Porzucmy więc szczegóły i drobiazgi... Ze sztandarem, czy bez, to mi obojętne. Przejdźmy

do faktów. Czy prawda, że, raniony w starciu ulicznym, leczył się w szpitalu, a później przeniesiony został do twojego mieszkania?

— Prawda; leży w lokalu sąsiednim, dotyczącym mego.

— Czy prawda, że pozwalałaś, że dopuściłaś do tego, aby zarówno tam, w miejscu publicznym, jak i tu, pielęgnowała go moja córka?

— Dozorowałyśmy go razem, jako jedyne jego krewne, prócz nas bowiem, nie ma nikogo z rodziny w Warszawie. Czyż chciałaś, kochany Arturze, abym siostrzeńcowi swemu, który się u mnie wychował prawie, a padł ofiarą najszlachetniejszych dążeń, mocą których pragnął lud ten ocalić od zguby, abym człowiekowi, bliskiemu mi krwią i sercem, pozwoliła zginąć i umrzeć bez pomocy o kilka minut drogi od mego mieszkania? Czy chciałaś, abym rażonemu kulą morderczą na tej samej ulicy, tu, prawie pod memi oknami, nie pośpieszyła z ratunkiem?

— A cóż mnie śmierć jego czy życie obchodzi? Żałuję, że nie padł trupem na miejscu.

— Panie radco, to słowa niegodne obywatela takiej jak ty miary. Jeżeli nie poczucie ludzkości, to przyzwoitość powinna by je na ustach twych powstrzymać.

Łagodny ten wyrzut dołał tylko oliwy do ognia gniewu i oburzenia, jaki szarpał sercem Prędowskiego.

— Nie jestem kobietą, w której nerwy i sentymentalny romantyzm miałyby prawo zabić rzeczywiste uczucia i jasny, praktyczny pogląd na rzeczy.

Marcelino, wyrządziłaś mi najwyższą krzywdę, jaką ludzka istota człowiekowi wyrządzić może. Powołujesz się na pokrewieństwo z Oreckim, a przecież nikt ci być bliższym nie powinien nad sierotę po rodzonej twej siostrze. Cóżes jednak zrobiła z dzieckiem tem, tak ufnie oddanem pod twą „macierzyńską“ opiekę? Oto zwichnęłaś przyszłość i życie całej mej córki, zgubiłaś ją w opinii świata, rzuciłaś czyste jej imię na pastwę ulicy, na łaskę gawęd i komentarzy brukowych. To nie lekkomyślność, nie grzech, lecz zbrodnia!

— Biorę ją na swoje sumienie—odparła, śmiało podnosząc ku niemu spojrzenie, jak kryształ czyste.

— A czy mi sumienie twoje zwróci dziecko, którego znać teraz nie chcę, które umarło dla mnie? czy zdejmie żalobę i wstyd z mego domu? czy zapewni córce mej majątek i stanowisko, jakie niezbacnym swym krokiem straciła? czy odda mi przeszłość nieskalaną? czy zetrze piętno sromu z nazwiska i naprawi złamane moje życie?

Nie boleść ojca, nie troska głęboka o dziecko, lecz głuchy gniew zawiedzionej ambicji brzmiał niepodzielnie w jego głosie.

Pani Korczyńska patrzyła ze zdumieniem w te rysy, wykrzywione wściekłością, i w oczy mężczyzny, tryskające iskrami źle hamowanego uniesienia.

— Panie Prędowski!—przemówiła głosem znizowanym, a pełnym powagi i spokoju,—gniew cię zaślepia, a bywa on zwykle złym doradcą. Ludzie naszej sfery wobec najbardziej wrogich usposobień,

pojedyunkując się nawet i odbierając sobie życie, czynią to jeszcze z zachowaniem wszelkich form towarzyskich. Do przywileju tego, jako kobieta, mam przedewszystkiem prawo. Ty jednak wpadasz z burzą, nie chcesz nawet usiąść pod moim dachem i prawiś rzeczy, z potworności których nie zdajesz sobie widzieć sprawy. Proszę, zajmij miejsce i wysłuchaj mnie spokojnie. Wszak tu nie o nas, lecz o przyszłość Zosi chodzi.

Zachnął się, jak gdyby rozpalonem żelazem serca mu dotknięto,—lecz po sekundzie namysłu zdołał opanować się i zadość uczynił jej woli.

— Arturze — zaznaczyła. — Mówię teraz *do ojca*; odwołuję się do jego serca i sumienia; a powiem prawdę, jak na świętej spowiedzi. Gdy po tych salwach nieszczęsnych, od których mury się zatrzęsły, dano nam znać, że Jerzy padł ich ofiarą i, śmiertelnie raniony, zabrany został do szpitala, córka twoja zażądała natychmiast wśród łez i zaklęć, abyśmy poszli go ratować i wziąć pod swoją opiekę.

— Jako kobieta dojrzała, znająca świat i życie, nie powinnaś była nigdy pozwolić na podobne szaleństwo! — wybuchnął.

— Oparłam się też jej żądaniu, a wtedy... po co tać prawdę?... Zosia wyznała mi, że już od dwóch dni jest po słowie z Jerzym, że zatem, zwiąawszy z nim swe życie na zawsze, ma prawo i obowiązek być przy nim w chwili nieszczęścia.

— Pensjonarskie romanse! Należało wybić jej z głowy... Takie fantazje niedługo trwają.

— Mylisz się, mój szwagrze. Na pierwszą perswazję z mej strony Zosia oświadczyła, iż w razie dłuższego oporu pójdzie bez mnie do szpitala i sama tam przy Jerzym pozostanie.

— To pani wina! Tyś jej tak przewróciła w głowie! tyś ją wychowała!

— Aaa! Wobec tego zarzutu pozwól, że przytoczę ci własne jej słowa. Oto na uwagi, iż marzyłeś dla niej o innym losie, odpowiedziała mi, że już matka jej dosyć odpokutowała za zrobienie „światnej partji“, bo umarła młodo... „z nadmiaru szczęścia w Prędowie“.

Radca drgnął, lecz opanowawszy się, machnął ręką.

— To fałsz! dziecinne gadanie!

— Nie! To wspomnienie rzeczywistości, która, nie pozostawszy bez wpływu na jej serce i umysł, świadczy najlepiej, że nie tylko ziarna, ręką moją rzucane, kiełkują w sercu Zosi. Nie wierzy ona, by jedynie majątek i stanowisko dawały szczęście na świecie, i postanowiła też życie swe według własnego pokierować sercem. Powtarzając jednak to wszystko, nie chcę ani zrobić ci przykrości, ani oskarżać Zosi; pragnę tylko, abyś zrozumiał, iż należy pogodzić się z dokonanymi faktami.

— Przenigdy!

— Arturze! tu chodzi o przyszłość i szczęście Zosi. Ona kocha Jerzego. Ta miłość czysta wzrastała razem z niemi.

— A pani — przerwał porywczo — podsycalaś ją świadomości. Piękny planik, mocą którego ten hołysz

i demagog, biorąc was na lep patryjotycznych słówek, zapewniał sobie istną karierę: duży posag i dostatki na całe życie. Że młodej panience, dziecku nieledwie, łatwo było zawrócić w głowie, to rzecz zrozumiała; ale żebyś pani poza memi plecami do równie niskich zabiegów mogła przyłożyć rękę, tego ci nigdy nie przebaczę!

— Panie Prędowski! znieważając mnie podobnem posądzeniem, ubliżasz sam sobie przedewszystkiem!

— Frazes! Mnie zaś nie o cześć słowa, lecz o życie idzie. Jeżeli nie twą wolą i tajnemi machinacjami, to zgrzeszyłaś pani egoizmem i brakiem opieki nad powierzonym ci dziecięciem... Cała też odpowiedzialność za zwichnięte jej i moje istnienie spada na ciebie jedynie! Niech krzywdą naszą ciężka na duszę twą padnie! niech ci będzie rdzą, przegryzającą sumienie! Nie mam odtąd córki!... umarła dla mnie! Wydziedziczę! wyrwę z cerca i pamięci! Niech wie, iż córka-jedynaczka radcy Prędowskiego nie wyciera się po szpitalach i nie kompromituje publicznie!

— Pójdzie pod opieką ciotki do szpitala na ratunek złożonemu nieszczęściem krewnemu i narzeczonemu zarazem to nie kompromitacja; największe damy, kobiety niepokalane przytem, pielegnowały tam nieraz chorych, zupełnie sobie obcych.

Radca nie słyszał jej uwagi, — w załamanie portjery bowiem spostrzegł przy ostatnich swych wyrazach pod grozą słów jego, jakby pod uderzeniem maczugi, przykurczoną, widmowo bladą postać Zosi.

Oczy ich spotkały się. Radca drgnął, dziewczę zaś błagalnie wyciągnęło ręce.

— Ojczel!—zawołała.—Ojczel!

Chwila wzruszenia jednak, krótka jak mgnienie oka, minęła u radcy pod naporem gniewu.

— Ojczel!

— Precz!—odparł z pogardą.—Precz! Nie masz ojca!...

— Ojczel, litości! Błagam cię w imię zmarłej mej matki, nie bądź tak srogil... przebacz!...

Prędowski zastanowił się chwilę.

— Dobrze... Znalazłaś święte zakłęcie... W imię twej matki gotów jestem niesłychaną twą winę darować. Zawiozę cię jednak natychmiast zagranicę, gdzie pozostaniesz w klasztorze *Sacré-Coeur* do dnia pełnoletności, poczem wyjdiesz za mąż za wybranego przeze mnie człowieka.

— Nie mogę, papo! nie mogę! Dałam słowo, równe przysiędze...!

W takim razie nie masz odtąd ojca! nie istniejeś dla mnie! nie znam cię!

I odwróciwszy się, ruchem gwałtownym salon opuścił.

Zosia osunęła się z jękiem na kolana, kryjąc twarz w poduszkach kanapki.

Pani Marcelina załamała ręce.

— Zamarło w nim serce!—wyszeptała.—Pozostał tylko gniew i gorycz zawiedzionych ambicij!...

Zosia nie ukazała się już dnia tego w pokoju Jerzego, który, znacznie zdrowszy, czytał, rozmyślał i z utęsknieniem jej wyglądał.

Wieczorem dopiero pani Marcelina, nie poruszając szczegółów, wspomniała mu o bytności Prędowskiego i o przykrem starciu jego z córką. Wystarczyło mu to do zrozumienia i ocenienia sytuacji.

Gdy więc nazajutrz Zosia, bledsza od jasnej swej sukienki, a w powadze swej i smutku podwójnie uroczą, stanęła na progu pamiętnej dla nich prelekcyjnej salki, Jerzy, siedząc już w fotelu u otwartego okna, lecz będący cieniem zaledwo dawnego, tryskającego życiem i zapałem prelegenta, obie ku niej wyciągnął ręce. Podala mu swoje, a podczas, gdy do ust je tulił, patrzyła z rozrzwinięciem w zeszczupiałe, zbielałe jego rysy, wśród których czarne oczy zdawały się większe jeszcze, jakby je rozszerzał czy pogłębiał wyraz cierpienia i poczucie własnej niemocy.

— Wiem—mówił ze skoncentrowaną cichą mocą uczucia,—że miałaś przykre przejście ze swym ojcem... Wszystko to dla mnie i przeze mnie!... Czyż ja ci poświęceniem życia całego potrafię odśłużyć tę niewysłowioną, pełną poświęcenia dobroć, jakiej dajesz dowody?!

Usiadła obok, kładąc mu na kolana pęk świeżego kwiecia.

Jerzy ujął bzy cudne, zmieszane ze śnieżnemi konwaljami, i do ust je podniósł.

— Za wiosną, panią przyrody, której los nie da mi oglądać, Bóg zsyła mi na pocieszenie dwie jej siostrzyce: ciebie, ukochana, i twoje kwiaty. Kwiat

i ty to dwa pojęcia, które zrosły się niepodzielnie w mym umyśle, w mej duszy nawet... I w wyobraźni mej nie widzę cię inaczej, jak całą strojną w te płatki śnieżyste, a do mistycznego, przeczystego kwiatu podobną.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Widzisz, jedyna! widzisz, marzenie moje, mój śnie świetlany! ty nie wiesz jeszcze, co w sercu mem się dzieje, bo nie miałem ani siły, ani sposobności, by tajniki jego przed tobą otworzyć. Maleńką Zosię nosiłem na rękach i tuliłem nieraz do piersi, jak coś niewymownie świętego i drogiego, jak skarb blizki mi, na który zlewałem wszystkie gorące uczucia chłopięce. Przejawiał się w nich późniejszy mężczyzna i człowiek, nieświadomy jeszcze siebie szef i głowa rodziny, poczuwający się do opieki nad takim świętym w bezbronności swej okrucieństwem ludzkim, nad tą drobnią, w której tkwi już snem złotym spowity najcenniejszy skarb ludzkości, to serce, ten zadatek nieśmiertelnego pierwiastka bożego.

— Pamiętasz mnie, gdy tak małą jeszcze byłem?

— Pokażę ci nawet wszystkie fotografie twoje, cały komplet, 'od [pierwszej, w chrzestnej sukience, którą mały Jurek ściągnął z albumu w Orecku, aż do tej ostatniej, w spuszczonej warkoczach na głowie. Po niej długą już dano ci suknię. W tym berreciku, w roli dorastającej panienki, nie jako Zochna, lecz jako kuzyneczka, nie mniej święta i droga mi byłaś. Patrzyłem z dumą na rozwijający się, poważny twój umysł, z radością na piękność, rozkwitającą z dniem każdym. I gdy inni żartowali z fi-

glarnego podlotka, ja jeden traktowałem cię ze względami należnymi udzielnej księżniczce, zaczarowanej królewnie z bajki, królewnie ducha mego...

— Prawda!—przyznała z uśmiechem.

— Gdy powróciłaś do Warszawy, nie jako „kuzyneczka“ już, lecz jako „panna Prędowska“, usunąłem się nieco w przekonaniu, że wolno mi tylko zdala ciche święcić ci hołdy. Wszystkie te jednak trzy fazy: przywiązanie dziecka, uwielbienie chłopięce i gorące ukochanie młodzieńca, zjednoczyły się u dorosłego mężczyzny w miłość jedną, potężną, wielką, w jedno wielkie, nad śmierć silniejsze, pochłaniające wszystko uczucie.

Słuchała słów tych gorących, odsłaniających jej po raz pierwszy duszę jego i serce, jak objawienia, jak świętej spowiedzi, która po przejściach ostatnich ukojenie i radość jej niosła.

— Tak!—powtórzył,—w uczucie nad śmierć silniejsze!... Wierzę bowiem głęboko, że tam, w szpitalu, po wyjęciu kuli tylko ukazanie się twoje śmierć zwyciężyło, tylko obecność twoja i wpływ jej cudotwórczy do życia powołał mnie napowrót. Gdy więc życie to twoim już dziś jest darem, weź-że je w dani, śnie ty mój złoty, weź na własność aż do grobowej deski, aż do ostatniego mego tchnienia...

Wyczerpany, kończył zbielełymi, drżącymi wargami, a pochyliwszy się, rąbek błękitnej jej szarfy ze wzruszeniem do ust przycisnął.

Dwie drobne dłonie wyciągnęły się ku niemu.

— Na dolę i niedolę!—wyszeptały również drżące usta dziewczęcia.

Jerzy zdjął z palca wielki soliter, starą pamiątkę rodzinną, dar, pozostawiony mu przez matkę przed wyjazdem jej z Warszawy, i wsunął go na różowy paluszek dziewczęcia.

— Na szczęście i dobrą dole, ukochana! na życie, kwiatami usłane!—mówił, a nie śmiąc poszukać ust jej koralu, ów paluszek, okuty już w brylantowe kajdany, pocałunkami okrywał.

Przejęci ważnością godziny tej, przez chwilę milczeli oboje.

— Smutne masz zaręczyny, aniele mój słodki!—mówił Jerzy z pokorą.—Ale to wina kuli rosyjskiej i wynikłej z niej mojej choroby... Boże!—dodał, podnosząc oczy ku błękitom niebieskim.—Boże! teraz tylko sił i zdrowia! sił i zdrowia, abym mógł życie twe usłać kwiatami, a moje zamienić w jeden hymn dziękczynny za szczęście, jakim Opatrzność obdarza mnie niezasłużenie.

— Niezasłużenie?—podjęła.—A życie twe, Jerzy, oddane pracy publicznej? a rana śmiertelna, odniesiona w obronie innych?...

— To ofiara, złożona w służbie tej wielkiej a świętej pani, której wszyscy jesteśmy własnością i podporą... Słuchaj, ty maju, ty wiosno moja cudna! chciałbym serce swe wyjąć z piersi i podać ci je na dłoni, abyś w niem, jak w księdze otwartej, czytać mogła. Dojrzałaś wtedy, iż panowały tam wszechwładnie oddawna dwie idee, dwa uzupełniające się dla mnie potężne w sile swej uczucia... że królowały niepodzielnie dwie panie jasne: Ojczyzna, jako po-

jęcie najwyższego obowiązku, i... miłość dla ciebie. To nie paradoks! Ukochana kobieta bowiem bywa dla nas upostaciowaniem rodziny i własnego ogniska domowego, które ze swej strony jest podstawą Ojczyzny; dwa te więc pojęcia, dwa święte uczucia uzupełniają się i uświęcają nawzajem.

— I dlatego w obowiązkach, przez ciebie podjętych, chcę ci być pomocnicą, Jerzy; pragnę, byśmy je razem spełniali.

On ręce jej z wdzięcznością do ust podniósł.

— Masz rację, ty kwiecie mój biały. Szczęście osobiste nie powinno być wyrazem egoistycznego zasklepienia się w sobie, lecz słońcem jasnym, którego moc i potęgą, promieniując na zewnątrz, ciepłem swem najszersze obejmuje koła. A czy wiesz, Zochno, pani moja, dlaczego w chwili najczystszej osobistej radości myśl moja zwraca się ku uciśnionej Ojczyźnie? Bo w dniu tym ojciec mój w cytadeli, a matka upokarza się, objeżdżając [rosyjskich dygnitarzy, by go chorego z owych żelaznych nienawistnych kleszczy wyrwać.

— A mój wyrzekł się mnie wczoraj — uzupełniła.

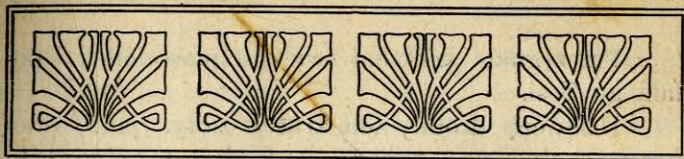
Dwie grube lzy staczały się równocześnie po bladych licach Zosi.

Jerzy objął tym razem kibić jej i, przyciągając dziewczę ku sobie, perły te po raz pierwszy własnymi zdjął ustami.

Podczas zaś, gdy krew żywa zabarwiała jej rysy szeptal z pieczęcią gorącą.

— Cicho, szczęście jedyne! cicho!... Jeszcze go przebłagamy... jeszcze się sercem połączy z nami. Cierpliwości i wytrwania!...

Usta ich złączyły się w gorącym pocałunku, który im niesnaski rodzinne i świat cały przysłonił swą mocą.



XXIV

Gdy w chwilę później pani Korczyńska przyszła odwiedzić Jerzego, chory, pociągając ją ku sobie i ujmując dłoń narzeczonej, obwieścił głosem wzruszonym:

— Wujenko! tobie, która byłaś niejednokrotnie opiekuńczym dla mnie aniołem, należy się przede wszystkim udział w mej radości. Wujenko, Zosia przyrzekła dzisiaj na zawsze przyszłość mą podzielić.

— Nie może być?—zawołała żartobliwie młoda kobieta. — Tego nie byłabym się nigdy spodziewała, ani domyśliła!...

A spostrzegłszy, iż ton lekki może im przykrość sprawić, spoważniała natychmiast,—ucałowawszy zaś serdecznie oboje, zdjęła z palca wielki szafir w starej oprawie i, wręczając go wzruszonemu dziewczęciu, mówiła:

— Zosiu, pierścień ten matka twoja zawsze nosiła; niechże z nim spłynie na was ciche błogosławieństwo! Szafir to godło stałości; dajże go narzeczonemu na znak stałości tej i wiary.

Przeżegnała krzyżem świętym pierścionek i podała go Zosi.

Dziewczę drobny ten kraczek złoty, jako wido-
mą pamiątkę po matce, do ust podniosło i wsunęło
następnie na palec Jerzego.

Złożywszy mu raz jeszcze życzenia szczęścia,
pani Korezyńska dodała głosem drżącym:

— Jasny to i radosny dzień w mem życiu. Na
wzajemną skłonność waszą patrzyłam tak dawno, iż
w trwałość jej i szczęście, jakie wam przyniesie, wie-
rzę głęboko. Oddając ci też, Jerzy, w imieniu jej
matki dziecko to, w którym kryje się jednak skarb
wielki, bo zacna i czysta dusza prawej kobiety, pro-
szę, byś go strzegł, jak najwyższego dobra.

Zosia zarzuciła jej ręce na szyję i twarz zaru-
mienioną ukryła na ramieniu młodej kobiety.

— A czy pamiętasz, ciociu, starą angielską mak-
symę, której nauczyłaś mnie niedawno?

— Pamiętam. Lecz pocóż ten pan ma o niej
wiedzieć cośkolwiek? poco go niepotrzebnie w dumę
wbijać?

— Więc ja mu przysłowie to powtórzę.

I dla zamaskowania wzruszenia stanęła przed
Jerzym, a podnosząc paluszek nakazująco, wydekla-
mowała z namaszczeniem dawny staro-anglo-saksoń-
ski aforyzm:

„Dziewczyno, na kolanach dziękuj Bogu
za miłość uczciwego człowieka!”

Rozśmieli się radośnie, poczem pani Marcelina
zadzwoiła po wino, aby tradycyjnym zwyczajem

wypić zdrowie państwa młodych, i zaproponowała
małą familijną naradę.

Wynikiem jej było postanowienie, bardzo drogie
sercu młodych, aby fakt zaręczyn D-ra Jerzego Ore-
ckiego z panną Zofją Prędowską został świętą ta-
jemnicą, dostępną tylko dla jego rodziców i pani
Marceliny. Po chwili namysłu postanowiono jeszcze
nie kryć go przed Lipcwieckim, jako zaufanym i do-
świadczonym przyjacielem, na którego dyskrecji mo-
żna było polegać. Wszak i tak domyślał się on do-
skonale uczuć młodej pary i jej planów na przy-
szłość.

Poza nim dla wszystkich innych pozostawali
na stopie kuzynowskiej, która przecie najzupełniej
uprawniała Zosię do dotrzymywania w domu ciotki
towarzystwa rekonwalescentowi.

Tajemnicę tę nakazywał cały szereg względów
poważnych. Nie czas było na radosne obchody, gdy
pan młody z przeszytymi kulą piersiami przycho-
dził z ledwością do siebie, — nie czas, gdy ojciec jego
jęczał w okowach cytadeli, a matka, pochłonięta bo-
leścią i troską, napróżno usiłowała wyrwać go stam-
tąd, — nie czas na plany szczęścia i wesela, gdy ro-
dzie Zosi wyrzekł się córki, a w gniewie swym zacię-
ty i nieubłagany, zamknął się w osamotnionym Prę-
dowie.

Poza rodzinnymi zaś stosunkami istniały inne
jeszcze do mileżenia powody.

Cały kraj, a głównie jego stolica, porażona
w życiowej swej mocy, skazana na bezwład strejko-
wy, rządzona terrorem i postrachem, wiodła nieby-

wale w dziejach istnienie rozbitka, niepewnego jutra, gnębionego niepokojem o życie własne. Walki partyjne zaostrzały się z dnia na dzień, wykazując, jak dotąd, przewagę socjalizmu. I nie tylko lud nieuświadomiony, niekulturalny, a często ciemny, nie tylko masy robotnicze, lecz nawet inteligencja tak się zdawała hasłami temi oszołomiona, tak wytraconą z równowagi, że nie odróżniała już złych rzeczy od dobrych, prawa od bezprawia, niegodziwości i zbrodni od czynu patryjotycznego. Dość powiedzieć, że, gdy w maju rozpoczęły się tak zwane „samosady“, to jest: tropienie, wystrzeliwanie czy sztyletowanie, jednym słowem mordowanie ludzi, którzy samowolnym owym ędzim z jakichkolwiek względów wydawali się szkodzić lub niesympatycznymi, inteligencja warszawska wobec tej rozhukanej samowoli, wobec ciągłych gwałtów i zabójstw nie tylko zachowywała się biernie, lecz, zaskoczona znienacka kompletnym zamętem pojęć, radowała się z niego otwarciem.

Gdy w tymże czasie, idąc ulicami syreniego miasta, napotykałeś bruk zasypany pierzem, chodniki zawalone szczątkami drogich materyj, obok zaś wyłamane drzwi, potrząskane okna i obraz ogólnego zniszczenia,—gdy zatrzymywał cię huk siekier, rąbiących fortepiany, obrazy i stylowe meble, lub trzask zwierciadeł, wyrzucanych z piętra oknami,—tysięczny tłum, podziwiający te czyny bohaterskie, nie wyrażał oburzenia swego na gwałt publiczny, rozbój i bezprawie. Przeciwnie, zabłąkani wśród niego przedstawiciele inteligencji szeptali z uśmiechem pobłażania, że jednak takie niszczenie gniazd zepsucia „to ruch

bardzo sympatyczny“. Nie pojmowali oni, iż dalszym ciągiem w logicznym rozwoju tej kampanji powinno być karanie i tych, którzy w owych gniazdach zepsucia bywali, niosąc tam w ofierze nie tylko zło, lecz często honor i sumienie.

Ów zamęt pojęć, ujawniany we wszystkich dziedzinach życia publicznego, a niezdolny odnaleźć granicy między uczuciami polskimi, na wskrós narodo- wemi, a wichrzeniami socjalizmu, anarchji i bandyckiego już podówczas terroru, wymagał zdwojonej pracy ludzi dobrej woli. Tylko wytrwała, wzmożona akcja patryjotyczna mogła rozświetlić te piekielne mroki, w których masy nie tylko ludu, lecz przeciętnej inteligencji grzęzły coraz silniej.

Praca ta była pierwszym obowiązkiem Jerzego; uważał ją za chrzest obywatelski, za chryzmo, które uprawni dopiero wstęp jego do życia i pozwoli o własnem myśleć szczęściu. Młodość Zosi i gniew jej ojca nakazywały także zwłokę,—gorący zaś zapal patryjotyczny narzeczonego tak bardzo ducha jej podnosił, iż po dłuższej naradzie postanowili jednomyślnie zachować tajemnicę uczuć swych na dnie serca, dopóki wielka idea narodowa, jakiej oboje służyli, nie odniesie należnego tryumfu.

I płynęły dni najmilsze dla nich,—dni, wcielające w siebie najśłodszą poezję życia. Jerzy, przychodząc do siebie, odzyskiwał w tem miękkim, pełnem rozkosznego ciepła otoczeniu nie tylko siły, lecz całą młodzieńczą bujność umysłu i radość życia. Szersze koło kolegów, młodzieży, która razem z nim kończyła uniwersytet, przewijało się tu stopniowo, niosąc

z sobą ostatnie wiadomości oraz echo najświeższych prądów społecznych i politycznych, bądź nurtujących w szerokich masach ludowych, bądź tych, które jak błyskawica przebiegały serca, jak iskra elektryczna wstrząsały niemi, budząc nowe uczucia: zapалу i poświęcenia.

Według opowiadań tych ludzi młodych, którzy najlepsze lata życia i wszystkie siły żywotne poświęcili umiłowanej idei narodowej, wskrzeszając zamarłe jej technienia w robotniczych tłumach stolicy, praca ich stopniowo zaczynała dodatnie przynosić plony.

W twardym, zwartym murze zasad socjalistycznych, jakim lud ten odgradzono od reszty społeczeństwa, zaczynały się okazywać pierwsze rysy i szczyrby. Wyżłobiły je: głód, niedola i nędza,—pogłębiało uczucie wstrętu do przemocy, zbrodni i terroru, jakimi szafowali agitatorowie wywrotowych partyj. Reszty przewrotu dokonywało budzące się przywiązanie do ziemi rodzinnej i zdrowy rozsądek, a wreszcie i prawe serce, ten najwyższy regulator dusz polskich.

Były to jednak oznaki nieliczne jeszcze, widome tylko dla wtajemniczonych. Na pozór socjalizm lub strach przed nim panował na całej linii, dzieląc ludność Warszawy na dwie kategorie: ludzi obojętnych, bez wyraźnych przekonań, gotowych tolerować z uśmiechem pobłażania lub podziwiać nawet ów „ruch sympatyczny“,—oraz na zdeklarowanych stronników i agitatorów „Polskiej partji socjalistycznej“, „Bundu“ lub „Socjal-demokracji Polski i Litwy“

O narodowcach, o ludziach, którzyby stawiali nad wszystko ideę polskości, a wierną swą służbą podźwignąć ją chcieli, było poprostu cicho. Zwarty ich zastęp istniał i pracował z zaparciem się siebie nad narodowym odrodzeniem kraju, lecz, ponieważ sfery biurokratyczno-rządowe poczytywały mu tę na wskrós obywatelską działalność za zbrodnię, musiał się z nią ukrywać, tając uczucia przyrodzone, w duszę wrosłe, które są chlubą i honorem uczciwego człowieka.

W tych więc warunkach, gdy stronnictwa rewolucyjne wywierały nacisk grozą swą i siłą, prowadząc jawną nie tylko anti-rosyjską, lecz również anti-polską i anti-społeczną partyzancką wojnę, potrzeba było przedewszystkiem ludzi, oddanych sprawie narodowej,—ludzi, którzyby zdobywali coraz szersze kręgi adeptów, a więc Polaków, świadomych swej *polskości* i obowiązków, jakie nie socjalizm, lecz polskość ta na nich wkłada,—ludzi, którzyby umieli nie tylko podtrzymać, lecz rozszerzyć owe szczyrby, ujawniające się w pancierzu międzynarodowych, rosyjsko-niemiecko-żydowskich narzuconych nam wywrotowych hasel.

Świadomy podobnego stanu rzeczy Jerzy rwał się do czynu, do pracy. Gorące opowiadania kolegów, ścieranie się zdań,—wszystko to podniecało go, wzmagало chęć życia, wzmacniało siłę woli, która często uzdrawia. Zbawienny wpływ domowego otoczenia dokonywał również cudów. Rekonwalescencja też Jerzego, opromieniona blaskiem miłości, jak sielanka

czystej i niewinnej, jak młodość upajającej i silnej, szybkie czyniła postępy.

Ta nić złota wielkiego uczucia, przewijająca się przez szarzyznę ówczesnego ogólnego smutku, przysłoniła im blaskiem swym, nawet grozę bomby, rzuconej na ulicy Miodowej. Dopiero wieść o bitwie pod Tsuszumą, o tej strasznej, niebywalej w dziejach klęsce, poniesionej przez flotę rosyjską, flotę, która od tej pory istnieć przestała, bo całą zatopiono lub skonfiskowano i wzięto do niewoli,—dopiero wieść ta, wykazawszy ważność chwili, była im hasłem do rozstania. Dzień, okrywający wstydem biurokrację, a żałobą centralno-samowładczy system rządów, uprawdopodobniał projekty reform konstytucyjnych. Nowa era wolności zdawała się świtać dla Rosji i państw, przez srogie wyroki losu z nią związanych.

Dla działaczy, których serca przejęte były troską o przyszłość własnej ojczyzny, nie było chwili do stracenia. Na wsi czy w mieście trzeba było rozpocząć pracę demokratyczno-agitacyjną, która przygotowałaby lud, rozmyślnie przedtem pogrążany w ciemnocie, do jawnej, świadomej celów swych, a wytrwałej pracy obywatelskiej.

Jerzy wybrał tym razem wieś. Liczył, iż miesięczny pobyt wśród przepychu wiosny w całym jej rozkwicie zwróci mu resztę sił nadwątlonych, pozwoli ożywić działalność miejscowej organizacji gminnej i powiatowej, a zarazem dopomódz w pracy matce osamotnionej, na którą spadło podwójne brzemień zajęć: za siebie i za męża.

Pani Julia bowiem dokonała podczas choroby syna tyle, iż ojciec jego, odstawiony etapem do granicy, od tygodnia już wolny jak ptak i bezpieczny, bawił u krewnych w Galicji.

Pani Marcelina nalegała przytem na wyjazd Jerzego do Orecka, sądząc, iż praca jego obywatelska tam, pod bokiemy radcy Prędowskiego, prędzej może zjedna mu to serce twarde, w pysze swej zasklepione. Równocześnie sama wybierała się spędzić lato w majątku swym na Podolu, uwożąc z sobą Zosię, która w tych warunkach do ojca powrócić nie mogła.

Pierwsze upały czerwcowe dały hasło do rozstania. Smutną, opustoszałą, terrorem strejkowym wciąż gnębią Warszawę żegnano bez żalu. Osobiście za to uczucia wyjazd ten nader bolesnym czyniły.

Jakkolwiek zasadą obowiązku kierowany Jerzy sam projekt ten poddał, niemniej siły, niezupełnie jeszcze odzyskane, a nerwy i serce, rozpieszczone w tej miękkiej Capui fizycznego komfortu i zbytku a moralnego roztkliwienia, wypowiadały mu wprost posłuszeństwo. Doznawał wrażenia, że rozstanie to grozi mu jakimś niebezpieczeństwem, że, gdy raz Zosię straci z oczu, pan radca Prędowski drogą wpływów i zabiegów potrafi córkę odzyskać, zdoła siłą chociażby zabrać mu ją na zawsze.

— Nie znasz mego ojca — tłumaczyła Zosia. — Żąda on bezwzględного posłuszeństwa i czci należnej, lecz uważałby za ułóżenie dla swej godności wszelkie zabiegi celem odzyskania własnego dziecka.

Odepchnął mnie, odtrącił, gdy błagalnie ku niemu wyciągnęła ręce; rzucił groźbę wydziedziczenia; powiedział, że mnie nie zna, że nie ma córki!... Teraz zaś czeka, abym się upokorzyła, na kolanach prosząc go o przebaczenie. Tylko cud jakiś, tylko zrządzenie Opatrzności może tę wolę jego przełamać.

Mówiła na pozór spokojnie, lecz z delikatnych jej rysów, które zdążyły już z troską się zapoznać, widać było, jak głęboko odczuwa ów wyrok surowy, jaki cień bolesny rzuca on na wiosnę jej szczęścia i życia.

— Papa okrutnym i bezwzględny jest dla mnie — dodała z żalem serdecznym. — A jednak uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, aby go przejednać; nie chcę, by gniew jego i złorzeczenie ciążyło na naszej przyszłości.

— I znów troska ta przeze mnie na ciebie spada — oskarżał się Jerzy z pokorą. — Nie mamy sobie jednak posępnej widmowej ostatniej chwili naszej swobody. Pozwól raczej, abym ci powiedział, jutrenko ty moja cudna, czem byłeś ty dla mnie w tych godzinach niemocy ciała i omdlenia ducha, jakim skarbem nieocenionym, jakim źródłem siły i ukojenia. Byłeś mi aniołem zmartwychwstania, który ducha mego z krainy cieniów przywołał do życia; byłeś krynicą ożywczą, w której duch ten czerpał moc orzeźwienia; byłeś zorzą poranną, bo różanopalcem promienie tak rozświetliły mi mroki szarego, nużącego istnienia; stałaś się dla mnie pociechą i otuchą, najgłębszym upojeniem i najwyższym szczęściem na ziemi.

— Jerzy! Jerzy! — strofowała łagodnie. — Ostrożnie, abyś medycyny na laury poetyckie nie zamienił!

On ujął obie jej dłonie, a patrząc przez szafiry źrenic w głąb duszy dziewiczej, ciągnął wzruszony:

— Bo mowa serca poezją tylko być może, jak ty wcieleniem poezji jesteś, dziewczyno moja jasna, gwiazdo promienna... Poezją jest owoc wielkiego uczucia; poezją miłość czysta, potężna, która Odrodzeniem człowieka i Odkupieniem ludzkości być winna.

Zosia, zasłuchana w słowa narzeczonego, cicha jak kołysanka, upajająca jak nektar pocałunku, pobiegła snadź myślą w tajniki własnego serca, na usta jej bowiem wybiegła tęskna strofa:

„Czasem się duszy trwoga uczepi,
Czasem ją dziwny przejmie lęk,
I niewiedomo wówczas, czy lepiej,
Kiedy się serce w sobie zasklepi
I własnych ogniem trawi się męk,
Czy kiedy, trwożne, schronienia szuka
I do drugiego serca zapuka...” *)

— Trwoga? Cóż ciebie, jasna i śliczna pani moja, niepokoić może?

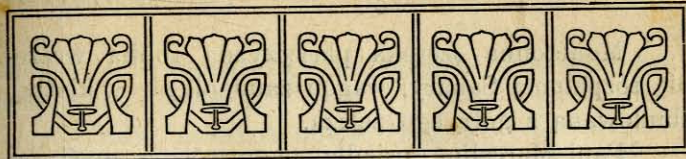
— Lęk o przyszłość naszą, bądź-co-bądź niepewną; obawa, czy w czasach zamętu i rozruchów zobaczę cię szczęśliwie.

Stali w zagłębieniu okna, odgradzeni od reszty salonu kwiatami, osłonięci śnieżną przędzą firanek. Pobladłe rysy Zosi i oczy jej, zapożyczające u nie-

*) Wiersz Z. Dębickiego.

bios barwy, odzwierciadlały tak wymownie trwogę i troskę o dolę ich, że Jerzy, oczarowany i wzruszony, kibić jej opasał ramieniem, szepejąc w upojeniu:

— Ukochana! Miłość głęboka, będąca Odrodzeniem uczciwego człowieka, jest zarazem talizmanem, przed którym pierzchają złe moce...



XXV



Sierpniowe słońce podzwrotnikowym niele dwie żarem prażyło ziemię. Powietrze zgęszczone, przegrzane w każdym calu, wypełniało ciasny przedział wagonowy atmosferą nie do zniesienia, pełną kurzu i węglowego pyłu. Aksamit czerwonych poduszek i poręczy zdawał się parzyć; rozpalone ściany wprost utrudniały oddech, nieznośny ciężar rzucając na piersi.

Na czoło pani Marceliny Korczyńskiej wystąpiły krople potu. Powstała i spróbowała otworzyć okno,—lecz wiatr południowy, pałacy niósł kłęby dymu i sadzy z buchającej iskrami lokomotywy; zamknęła więc co prędzej szybę i patrzyła przez jaśniejszy jej brzeg tylko na pola spieczone, puste już, o pociemniałych ścierniskach,—na drzewa przydrożne, których gałęzie opuszczały w omdleniu szczerinałe, jakby w ukropie ugotowane liście.

Monotonna szeroka płaszczyzna robiła wrażenie rozpalonej Sahary; wagon zamienił się w klatkę, zbudowaną z gorącego żelaza.

Pani Marcelina usiadła napowrót, a myśl jej pobiegła ku chłodnej, przewiewnej werendzie korceńskiego dworu, ku cienistym szpalerom starożytnego parku, w których parusetletnie lipy nie przepuszczały jednego nawet promienia słońca. Dobrze, że Zosia tam została w otoczeniu wiernej służby, a pod opieką sędziwej krewnej Korczyńskich, która tu stała, miała rezydencję.

Zosia, pocziwie, złote dziecko!... Co za dzielne, kochające serce!... Pani Marcelina miała ją w oczach jeszcze, gdy w białej, powiewnej sukience przybiegła do niej na werendę, blada, z listem narzeczonego w drżącej dłoni, i przypadłszy do jej kolan, a patrząc w oczy z serdeczną troską i współczuciem, mówiła:

— Ciociu, ciociu droga! co za zła nowina!... Jerzy, który jest już z powrotem w Warszawie, donosi mi, że... że pana Lipowieckiego aresztowano i... osadzono w cytadeli.

Teraz pani Korczyńska czuła, że błędnie.

— Pokaż ten ustęp listu — wyrzekła z trudnością.

Ale dziewczę otoczyło kibić jej ramieniem, patrząc zaś w oczy z głębią uczucia, kończyło oglądanie:

— Wolę już powiedzieć wszystko od razu. Jerzy pisze, iż szczegółowa rewizja, dokonana w mie-

szkaniu pana Lipowieckiego, wykryła dowody i papiery, które... które...

— Mów, mów na miłość boską!

— Które sprawę jego beznadziejną czynią — dokończyła cicho.

Zapanowało tak głębokie milczenie, że było słychać nieledwie bicie serc ich obu, ku sobie zbliżonych.

— Położenie jego jest tem groźniejsze — uzupełniła po chwili Zosia, — że podobno nie ma nikogo z bliskich, żadnej rodziny, a ci, którzy go uwielbiali i czcili dotąd, w obawie przed odpowiedzialnością, czy wprost z lenistwa lub egoizmu nie troszczą się dziś wcale o dalsze srogie losy, jakie go spotkać mogą.

Zamilkła. Pani Marcelina zrozumiała, że tym razem dziewczę powiedziało wszystko, że list Jerzego nie kryje już dalszych złowieszczych wiadomości. Wyprostowała się, rękę białą przesunęła po czole i oczach, w których natychmiast po przebytem wzruszeniu odbił się wyraz niezłomnego postanowienia.

Zosia w lot je zrozumiała.

— Ciociu, ty pojedziesz do Warszawy?

— Tak, moje dziecko; jadę natychmiast... najpierwszym pociągim.

Spojrzały sobie przeciągle w oczy.

Panna Prędowska ujęła rękę swej opiekunki i za całą odpowiedź do ust ją w milczeniu przycisnęła.

Działo się to wczoraj, o cudnym zachodzie słońca, który świat cały wyzłacał glorią swych blasków,

ścieląc młodej kobiecie purpurę pod nogi, a wieńcząc cały dwór korczański tęczą barw przepysznych, od różowych promieni wieczornej jutrztenki do bogactwa karmazynowych odcieni, przechodzących w powagę złotem lamowanego fioletu.

Wczoraj zaledwo... A jednak bez troski to „wczoraj“ jakże się zdawało młodej kobiecie dalekiem i niepochwytne! Noc bezsenna, spędzona w wagonie, oraz ten dzień upalny, pełen fizycznego i moralnego udręczenia, odsuwał od niej coraz dalej poczucie bezpieczeństwa, błokiego spokoju i ciszy, doznawanej w Korczanach. Wstrząśnięty nagle system nerwowy tracił zwykłą odporność; widok żołnierzy z karabinami i bagnetami przypominał srogość wprowadzonego świeżo stanu wojennego,—uprzytomniał niebezpieczeństwo, grożące w tych warunkach Lipowieckiemu.

W strwożonej duszy kobiety bił czarnymi skrzydłami niepokój o dalsze jego losy, o śmierć nawet, lub życie w długich, niewypowiedzianych męczarniach. W umyśle jej zmartwychwstało wspomnienie pierwszej poufniejszej rozmowy w ów dzień pamiętny zaburzeń styczniowych. Mówił jej, jakby jasnowidzeniem kierowany, iż wskutek osamotnienia rodzinnego w dziwnem jest położeniu: „Gdybym umarł—pamiętała dobrze jego słowa,—połowa inteligentnej Warszawy poszłaby na mój pogrzeb; gdyby mnie jednak zabito lub wsadzono do cytadeli, ani jedna żywa dusza nie zatroszczyłaby się o mnie, nikt pod słońcem nie naraziłby swego bezpieczeństwa lub spo-

koju dla podania mi życzliwej ręki pomocy czy pociechy“.

A na pytanie jej, co to ma znaczyć, tłumaczył: „Pogrzeb to czeza forma, nieledwie rozrywka,—miejsce spotkania znajomych, flirtu i towarzyskiego spaceru. Więzienie, kazamaty to niedola, którą odczuć tylko może życzliwe, kochające serce“.

Czuła jeszcze gorycz w jego słowach; pamiętała, jak lodowaty spokój, którym się opancerzał zwykle, pierzchnął przed promieniem serdecznego uśmiechu, gdy zaproponowała, że, jako ludzie osamotnieni, powinni sobie przyrzec, iż w razie podobnego wypadku jedno drugiemu nieść będzie ratunek i słowa pociechy.

Wtedy to po raz pierwszy podniósł rękę jej z wdzięcznością do ust, a ten serdeczny, przyjazny pocałunek usunął między nimi chłód etykiety, nawiązując nić złotą niewypowiedzianej, a jednak świadomej sobie głębokiej tkliwości.

Przyszła teraz doba nieszczęścia,—godzina spełnienia świętych przyrzeczeń. Pani Korczyńska nie wiedziała, co czyni,—nie zdawała sobie sprawy z własnych uczuć i postanowień,—rozumiała tylko, że chce i musi go ratować, że pragnie w chwili ciężkich wyroków stanąć przy nim, jak brat i przyjaciel, jak wierna towarzyszką pracy dotychczasowej, lub siostra oddana, jak istota...

Nie, nie!... Nie zdoła o tem myśleć!... nie może sanktuarjum duszy swej otwierać i roztrząsać tu, w tem upalnym piekle brudu i hałasu, turkotu i zamętu. Zetknięcie z niem sprofanowałoby to, co dla

niej idealną świętością było, czego nie dotykała nigdy myślą nawet—w obawie, by rajski ptak pieśni serdecznej nie pierzchnął, nie zamienił się w upiora nowej tęsknicy i żaloby.

Przysłoniła ręką oczy, starając się nie myśleć o sobie, lecz o tem, co czynić należy, co zrobić powinna, by poruszyć wszelkie sprężyny w celu uwolnienia Lipowieckiego lub przynajmniej ulżenia jego doli. Nie знаła się na tem; nie miała ze światem urzędowym, z biurokacją i sferami wojskowemi żadnej w życiu styczności. Drżała i kurczyła się w sobie na myśl o osobistych w tym kierunku zabiegach,—a jednak ufała, iż siłą serca i woli cudów dokazać potrafi.

Zanim też dojechała do Warszawy, plan działania był gotów. W ostatnim razie miała do pomocy Jerzego, jego znajomość rzeczy i doświadczenie męskie w tym względzie. A choć nie chciałaby go w sprawę tę mieszać, niemniej w najprzykrzejszych zabiegach po kancelariach wojennych będzie jej może towarzyszył i ułatwiał drobne formalności. Dalsze postępowanie wskażą okoliczności, rada najpierwszych w stolicy prawników i natchnienie chwili, przez obrót sprawy wywołane.

Na dworcu nie było Jerzego; nie dostał snadź w porę depeszy. Mieszkanie zastała zamknięte, służbę rozbiegłą na wsze strony. Nie mając gdzie schronić się na razie, pani Korczyńska pozostawiła rzeczy u szwajcara, a sama, wyszedłszy na rozpalony bruk Warszawy, na miasto, spiekotą zgnębione, zwróciła

się ku kościołowi św. Piotra i Pawła, oddalonemu od domu jej o parę minut drogi załedwo.

Świątynia Pańska, otwarta, jak zwykle, w przedwieczornej godzinie niespor, pusta była prawie. Pani Marcelina, ukrywszy się w bocznej nawie przed suggestywnym obrazem Przemienienia Pańskiego, w tej mrocznej, chłodnej ciszy odzyskała natychmiast siebie samą. Zawisłszy skupionem a natężonem spojrzeniem, które samo w sobie było już modlitwą, na skrwawionej postaci Zbawiciela, wzrokiem tym serce i duszę, siebie i swą przyszłość składała w ofierze u stóp Jego krzyża, błagając wzamian o radę i opiekę, o wskazówkę, co ma czynić, by tamto uratować życie.

Gdy, zrównoważona i spokojna, wróciła po godzinie do domu, czekał tu już na nią Jerzy Orecki z hiobowemi wiadomościami.

Lipowieckiego uwięziono przed tygodniem i osadzono odrazu w cytadeli—nie na zasadzie rewizji jedynie i znalezionych u niego papierów, lecz wskutek nikczemnego tchórzostwa jednego z dawniej aresztowanych współpracowników, który, chcąc denuncjacją i szpiegostwem własną okupić wolność, zdradził w najpodlejszy sposób nie tylko szczegóły organizacji oświatowej, lecz i wszelkie tajniki dalszych prac i planów, związanych z politycznem położeniem Rosji i przyszłością własnego kraju. Policja więc przystąpiła do rewizji z tak ścisłemi wskazówkami, iż każda kartka, każdy świstek, posiadał dla niej z góry określone i z góry wyjaśnione znaczenie. Pomimo też niezmiernej ostrożności, jaką Lipowiecki, ze względu

na siebie i innych, zwykł był zachować, sprawa jego stała na najgorszej drodze i zdawała się poniekąd straconą. Śledztwo zresztą nie jest jeszcze wdrożone, i niewiadomo, jak długo więzień będzie na nie czekał. Jerzy usiłował zobaczyć się z nim, lecz mu odmówiono karty wstępu do cytadeli.

— Kto karty takie wydaje?

— Prokurator.

— Czy w zasadzie do aresztowanych dopuszczane są obce osoby?

— Nie. Z kobiet mogą odwiedzać więźnia tylko matka, siostra, żona lub narzeczona, i to nie zawsze, stosownie do uznania władzy.

— A obrońca?

— Ten jeden ma prawo widywać się z nim sam-na-sam, na cztery oczy.

— Czy znasz nazwiska najgłośniejszych, najbardziej wpływowych w sprawach politycznych adwokatów?

Jerzy wyliczył kilka ogólnie znanych nazwisk.

— Chcesz, wujenko, abym ci do którego z nich towarzyszył?

Zamyśliła się chwilę.

— Dziękuję ci; nie. Idąc do prywatnej kancelarii polskiego prawnika, nie potrzebuję męskiej pomocy ani opieki. Rzecz inna w rosyjskich urzędowych biurach i wojskowych zarządach. Ponieważ jednak nie chcę, abyś szedł władzom w oczy i przypominał się niepotrzebnie szpiegom czy tajnym agentom, postaram się i tak obyć bez twojej pomocy, jeżeli to będzie możebne.

— A co zamierzasz wogóle robić, wujenko?

— Uwolnić Lipowieckiego.

— Rzecz niemożliwa, niedopuszczalna prawie.

Stracony jest dla sprawy narodowej ten najdzielniejszy z jej przodowników! Oby tylko wiernej swej służby zbyt drogo nie przypłacił...

Pani Marcelina pobladała, głowę w milczeniu opuszczając na piersi. Znać było, iż nie chce w plany swe wtajemniczać na razie nawet Jerzego, że pragnie otoczyć je możliwą dyskrecją i milczeniem.

I dziwne dla kobiety tej rozpoczęło się życie. Delikatna, cieplarniana roślina zamieniła się pod działaniem bodźca wewnętrznego w istotę ze stali, której hart, silna wola i umysł jasny a trzeźwy, ubrany w szatę niewieściej słodyczy i towarzyskiego wykwintu, zdumiewał wytrawnych prawników nawet.

— Mecenasio—mówiła do jednego ze starszych a najwybitniejszych przedstawicieli palestry warszawskiej,—pan dowodzi, iż sprawa trudną będzie do wygrania? A więc nie dopuścimy do sprawy! Jeżeli najgorętsza obrona nie może unicestwić faktów notorycznych, z góry dowodami stwierdzonych, to nie pozwólmy, aby fakty te były roztrząsane.

— Ale jakim sposobem?

— Postarajmy się, aby pan Lipowiecki został wypuszczony na wolność, zanim dochodzenie śledcze będzie wdrożone przeciw niemu.

— Pani ma na myśli ryzykowną a niepodobną do przeprowadzenia ucieczkę?

— Broń Boże! W takim razie bowiem byłby zmuszony emigrować, a tem samem zostałby stracony.

ny dla kraju i dla sprawy narodowej; do tak zaś ujemnego wyniku nie należy pod żadnym pozorem dopuszczać.

— A więc?... Nie rozumiem.

— Mecenasio, w XX-tym wieku pieniądz jest taką potęgą, że, szczególnie obecnie, w dobie rozprzeżenia i zamętu, powinien on pod rządami zdemoralizowanej, bo tracącej grunt pod nogami rosyjskiej biurokracji cudów dokonywać. Niech więc magiczna ta siła uwolni pana Lipowieckiego, zanim wina jego dowiedziona zostanie.

— W jaki sposób?

Młoda kobieta, zarumieniona od upału, śliczna w swych czarnych przejrzystych koronkach, pochyliła przed nim piękną swą głowę z poważnym, a jednak prawie zalotnym uśmiechem.

— Mecenasio, pan i pytanie to nie licują z sobą! „W jaki sposób?“ Na to niech odpowiedzą pański rozum i doświadczenie; one również określą potrzebną tu sumę...

Filar palestry kryminalnej, a zarazem ceniony esteta i niepoprawny znawca płci pięknej patrzył z nieukrywaną przyjemnością na pełną uroku sylwetkę wykwintnej swej klientki.

— A gdyby się to przeprowadzić nie dało?

— Wyraz „niemożebność“ nie powinien znajdować się w naszym słowniku — zapewniła z ponownym czarownym uśmiechem. — Zresztą... zaraz: wszak czyta się niemożliwe w pismach publicznie ogłasza-

ne wyroki, w których oskarżony, wbrew bijącym w oczy, namacalnym dowodom, bywa jednak uniewinniany.

— Zdarza się to niekiedy.

— Wszak giną niejednokrotnie akta sprawy; to ją poniekąd umarza...

— I to się przytrafia.

— Jeszcze jedno: kto stanowi skład sądu wojennego? czy jest on zawsze ten sam, złożony ze stałych a wypróbowanych sędziów koronnych?

— Nie; do godności, a raczej czynności tej powoływani bywają wyżsi oficerowie rozmaitych pułków.

— I ja tak słyszałam. Skończyłam, mecenasio — dodała z głębokim spojrzeniem, chyląc ponownie przed nim głowę.

Prawnik zamyślił się sekundę.

— Świat jest pełen niespodzianek — tłumaczyła jeszcze z suggestywną, insynuującą słodyczą. — Wszak ja tu nie mówię wcale o rzeczy tak nieprawdopodobnej, jak wykradzenie dziesięciu więźniów jednej nocy z całym aparatem żandarmów, wojsk, karety więziennej, rozkazów wyższej władzy, dokumentów urzędowych i tym podobnych figlów *à la Gaboriau*; nie poruszam również okropnych pomysłów *à la Edgar Poe*. Wystarczy mi zapewnienie zwycięskiej obrony, a więc *uniewinnienie*, lub, co lepiej, bo wyklucza długotrwałość więzienia w cytadeli, *uwolnienie* pana Lipowieckiego „dla braku dowodów przestępstwa“.

Obrońca jeszcze zastanawiał się chwilę.

— Czy pani działa w swoim własnym tylko imieniu?

— W imieniu osób, które pragną ocalić pana Lipowieckiego.

— Pani jest upoważnioną do ostatecznego traktowania ze mną?

— Tak.

— Do jakiej sumy posunąć mi się wolno?

— Do 50-ciu tysięcy rubli. Czy to wystarczy?

— Pięćdziesiąt tysięcy rubli? Tak sądzę. W jaki sposób płatne?

— Czekami bankowymi na okaziciela lub gotówką, stosownie do woli mecenasa.

— Dobrze. Nie obiecuję nic; nie zobowiązuję się do niczego; lecz sprawę rozważę i za dni kilka dam odpowiedź.

I, wychodząc z urzędowego charakteru, dodał z podziwem:

— Ależ przyjaciele czy rodzina uwięzionego znalazła sobie w pani wymowną a czarującą rzeczniczkę!

Uśmiechnęła się ponownie.

— Skoro szanowny mecenas domyślił się ze znaną swą przenikliwością, że jestem tu pośredniczką tylko, stawiam więc tem śміiej jedyny, lecz nieodwołalny z naszej strony warunek: oto, zależy nam na tem, aby pan Lipowiecki nie dowiedział się ani słowa o przedsiębranej przez nas akcji ratunkowej, mającej na celu ocalenie go i wydobyć z cytadeli.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

Pani Korczyńska złożyła na wielkim dębowym biurku zwój podłużnych banknotów.

— Pan mecenas pozwoli, oto tysiąc rubli na kosztą kroków wstępnych. Przytem proszę o jedną jeszcze łaskę: niech mi pan ułatwi otrzymanie od prokuratora biletu wstępu do cytadeli, coby mi pozwoliło widzieć się z uwięzionym.

Przyrzekł wszystko. Imię pani Marceliny Korczyńskiej, do niedawna gwiazdy salonów warszawskich, nie było mu obce. Wiedział, że należy ona do bardzo zamożnych sfer ziemiańskich, że otaczał ją nawet blask dużej fortuny. Z tych samych kół pochodził Lipowiecki. Propozycja więc cała, jakkolwiek niezwykła, nie była jednak nieprawdopodobną, dawała zaś zupełną gwarancję pieniężną. Strony jej moralnej za to i poświęcenia kobiety, która rzucała na ofiarę własny majątek dla uratowania tego człowieka, szanowny mecenas, widzący tylko swobodny a czarujący jej uśmiech, „ze zwykłą swą przenikliwością“ nie domyślił się wcale.

Gdy w dwa dni później pani Marcelina otrzymała bilet wstępu do cytadeli warszawskiej, upoważniający ją do zobaczenia się z więźniem, silna wola kobiety, podtrzymywana naprężeniem nerwów, uległa nagłemu omdleniu.

Zdawało jej się, że krok ten śmiały, że pójście tam, w czeluście ohydnej i osławionej kazamaty, będzie poniekąd wyznaniem, — że pierwsze słowa, pierwsze spojrzenie odkryją mu głębię jej duszy, zdając moralną jej istotę na łaskę lub nienadgodność mężczyzny. Duma kobiety, przywykłej od dzieciństwa do powi-

jaków form towarzyskich i filisterskiej, ciasnej moralności, cofała się przed próbą, która mogła odsłonić tajniki jej serca przed wybranym, lecz obcym, według pojęć świata, człowiekiem. Umysł jednak szlachetny i serce prawe a czyste oburzyły się przeciw tak małodusznemu pojęciu godności własnej.

Domyśli się uczuć, jakie nią kierują? Ha, jeżeli mu one w chwili tej ciężkiej próby, w godzinie męki i niedoli, od śmierci gorszej a śmiercią grożącej, mogą być najmniejszą choćby pociechą i otuchą, z jakąż rozkoszą rzuci mu je pod nogi! z jaką dumą wyzna pierwsza, okupując spowiedzią tą prawo do bronięcia go przed zgubą, do ocalenia czarnej, złowieszczej przyszłości, która życie jego na zawsze zwiechnąć mogła...

Uspokojona po walce wewnętrznej, znów panująca nad sobą i nad moralną swą istotą pani Korczyńska w godzinę później jechała do cytadeli. Był to jedyny dzień, w którym pozwalano na tak zwane „wizyty“ u więźniów. Należało więc śpieszyć się, by nie szczęśliwego, do którego nie dopuszczano dotąd nikogo, nie pozbawić choć tego słabego promyka pociechy i tej wątpliej łączności ze światem.

Wzruszona do głębi duszy, lecz na pozór spokojna, patrzyła na puste, wskutek spiekoty i niebywałego upału wyludnione ulice, po których jednokonna dorożka jej wolnym sunęła truchtem. Senna atmosfera, zawisnąwszy nad miastem, obezwładniała każdy odruch jego życia, doprowadzała je do omdlenia nieledwie. Placówki wojskowe tylko i liczne patrole, krążące z karabinami i bagnietami w rękę,

z palcem nieledwie na cynglu opartym, dowodziły mocą tego pogotowia, godnego krwawej kampanji w kraju nieprzyjacielskim, iż jeden stan wojenny w Warszawie nie myślał wcale omdlewać.

Ciężka sylweta wałów i fortów, darnią pokrytych, przypawiła serce kobiety o lekkie drżenie. Wszak tam, wśród murów tych tajemniczych a złowieszczych, mogą się rozegrać za chwilę losy całego jej życia; wszak tam zawieszony na włosku, jak miecz Damoklesa, grozi Lipowieckiemu wyrok zabójczy, choć nie hańbiący: stryczek, lub dożywotnia katorga.

Stryczek, podniesiony do godności śmierci zaszczytnej!... Szubienica lub ciężkie roboty, jako nagroda za najszczytniejsze uczucie ludzkie,—jako zapłata dla najlepszych synów Ojczyzny za uczciwe i prawe życie, poświęcone jej służbie!...

O, ironjo wyroków dziejowych! czy tajemnicę twą zrozumie kiedy i oceni umysł ludzki?

Nagle zatrzymanie dorożki przywiodło panią Marcelinę do rzeczywistości. W blasku słonecznym zaświeciły bagnety; straż, stojąca przy pierwszej bramie, zażądała legitymacji. Obejrawszy starannie pozwolenie, wydane przez prokuratora, skierowano dorożkę w stronę 10-go pawilonu, w którym są pomieszczeni więźniowie polityczni.

Przybyła rozglądała się ciekawie dokoła. Groźna twierdza, prawdziwa „cittadella“, panująca nad miastem, przedstawiała się zblizka jako rozległe miasteczko, wałami ze wszech stron zamknięte. Rosyjski typ i styl budowl i zdawał się przenosić widza od-

razu w głąb cesarstwa. Dużo zieleni,—drobne, nędzne sklepiki, koszary, mieszkania starszyny,—wśród tych zaś parterowych lub jednopiętrowych murowanych domów gmachy większe, mieszczące jakiś urząd, zarząd, sztab lub sąd, a dalej znów wały z ukrytymi pod darnią mieszkaniami, wąskie jak strzelnice, wśród trawy ukryte okienka,—kominy, obłożone murawą, i charakterystyczne a tajne drzwiczki, w głąb takiego wału wiodące; na placach i placykach armaty, stosy kul, stráže pod bronią, szyldwachy, bandy żołnierzy bez broni, rozebranych zupełnie wskutek upału i używających wypoczynku,—oto wszystko, co oko kobiety zdołało w przelocie zauważyć.

Dorożka zatrzymała się powtórnie: nowe legitymacje,—poczem wprowadzono panią Korczyńską do kancelarii więziennej, gdzie żandarmi, poddawszy ścisłej ocenie bilet wstępu i papiery, stwierdzające tożsamość osoby, kazali jej zaczekać tutaj, dopóki więzień nie zostanie zawezwany i przyprowadzony.

Onieśmielona otoczeniem, zażenowana tą pierwszą w życiu stycznością z władzą zbrojną, młoda kobieta starała się jednak zachować spokój i równowagę. Wpatrzona w drzwi główne, pewna, iż lada chwila ukaze się w nich Lipowiecki, czekała tylko, by go powitać uśmiechem pogodnym, pełnym otuchy i słodyczy.

Podwoje skrzypnęły. Pani Korczyńska podniosła się szybko. Na progu stał żandarm, zawiadamiając, iż więzień czeka. I poprowadzono ją do niedużej, słabo oświetlonej, sklepionej komnaty, przedzielonej na dwie połowy nie kratą żelazną, lecz gęstą

bardzo na kracie tej przybitą siatką z grubego na palec drutu. Poza pierwszą przegrodą w odległości dwóch łokci może wznosiła się druga ściana poprzeczna z takieżże kraty, potężną a nieprzejrzaną siatką żelazną pokrytej.

Na progu podoficer żandarmerji wyjął z rąk przybyłej pęk kwiatów, objaśniając, iż ani ich więźniowi podać, ani wchodzić tu z nimi nie wolno, oraz dodał, że rozmowa nie może trwać dłużej nad 10 minut.

Nie rozumiejąca po rosyjsku, a do reszty tem wszystkiem wytracona z równowagi pani Korczyńska postąpiła naprzód. Tuż za nią wszedł tenże sam wachmistrz żandarmerji, a dwóch żołnierzy z bagnietami stanęło przy drzwiach.

Okna umieszczone były poza panią Marceliną, w części odgradzonej, przeznaczonej dla gości; druga połowa, przysłonięta kratami, tonęła w ciemności.

Zanim jednak oczy młodej kobiety chciały się w mrok ten wpiły, z poza podwójnej grubej i gęstej siatki wybiegł drżący okrzyk, pełen zdziwienia, radości i bólu zarazem:

— Pani! pani tutaj? pierwsza żywa dusza, która o mnie pomyślała, która się nie ulękła przyjść do pogrzebanego żywcem?

Poskoczyła ku siatce żelaznej, próbując wbić w te okrutne, krwawe, z kajdan ducha ukute ogniw alabaster lic swoich cudnych, zbielałych z natężonego wzruszenia.

Podwójna sieć przeklęta tak ostro przecinała poplątanymi zwojami powietrze, iż pani Marcelina nie mogła dojrzeć dokładnie rysów Lipowieckiego.

Widziała tylko, że stał, tak jak ona, przysunięty do tej drugiej podwójnej ściany niewoli, ze złożonemi jak do modlitwy rękami. Zdawało jej się, iż wśród poblady, zeszczipiałych rysów Lipowieckiego oczy tylko, zwrócone ku niej, goreją natężeniem uczuć i woli.

— Pani tutaj? — powtórzył. — O, dziękuję! dziękuję! — wyszeptał z mocą.

Czuła, że w dwóch tych wyrazach całą duszę swą u stóp jej składa. I wzruszona, wstrząśnięta, nie mogąc z zaciśniętego gardła wydobyć głosu, chciała rękę wyciągnąć ku niemu. Lecz zaporą żelazną zatrzymała dłoń; mały palec tylko, jako najmniejszy, zdołała wsunąć do połowy w okrągły otwór siatki. Zapomniała, że i tak dzieli go od więźnia przestrzeń kilku łokci i druga krata jeszcze.

Wtem przebiegło jej przez myśl błyskawicą, iż mieli tylko dziesięć minut czasu, z których kilka już ubiegło na próżno. W obecności podoficera żandarmerji, słuchającego każdej sylaby, a więc kładącego im pęta na usta, zaczęła się bolesna, urywana rozmowa:

— Dziękuję za promień radości i światła, przyniesiony tutaj, w tę beznadziejną ciemnicę — mówił więzień. — Ale skąd pani w tej porze jest w Warszawie? O takiej radości nie śniłem w marzeniach nawet.

— Przyjechałam umyślnie, gdy tylko wieść o uwięzieniu pana do nas doszła.

— Ach!...

— Niech żywi nie tracą nadziei — rzuciła szep-tem gorącym przez kratę. — Proszę być dobrej myśli... Poruszymy wszystkie sprężyny, aby wykazać pańską zupełną niewinność i pomyłkę, zaszłą przy aresztowaniu. Wyświetleniem jej zajmuje się adwokat Prawiński. Proszę obrać go za swego obrońcę.

Zrozumiał.

— Skoro taka wola pani, zgoda!

Patrzyli przez chwilę w swe oczy z bolesnem, okrutnem natężeniem.

— Panie Stanisławie — po raz pierwszy nazywała go tem mianem, — co panu przywieść w następny czwartek?

— Siebie! tylko siebie!

Uśmiechnęła się mimowoli.

— Nie o to chodzi... Lecz co mogę załatwić? czego tu panu brak najwięcej?

— Teraz już tylko słońca i pani... Teraz pragnę wolności, wolności, wolności...

Zamilkli. Tyle mieli do powiedzenia sobie, a tak trudno było w tych warunkach jedno przemówić słowo.

— Widzenie skończone! Już dziesięć minut! — zabrzmiął po rosyjsku głos podoficera.

Kobieta przywarła ubu rękami do kraty żelaznej.

— Odwagi i wytrwałości! Niech Bóg strzeże pana dla dobra kraju i dla nas wszystkich.

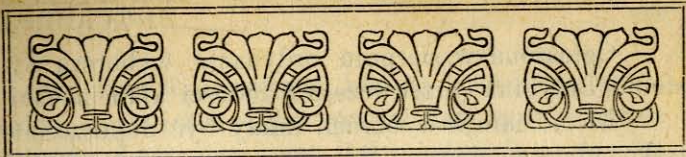
A uśmiechając się z otuchą, dodała weselej:

— Wróćę od dziś za tydzień. Wtedy pomówimy spokojniej, jak dwoje rozsądnych ludzi. Tu z każdej sekundy korzystać potrzeba.

— Proszę wychodzić! — rozległ się rozkaz rosyjski.

Przesłała więźniowi spojrzenie, jak cień rozstania bolesne. Lipowiecki po drugiej stronie podwójnej kraty ugiął kolano.

— Za światło i szczęście, którego w chwili mroków śmiertelnych źródłem się stajesz, dziękuję ... — wyszeptał głosem od wzruszenia stłumionym.



XXVI



smutnym był schylek lata dla pani Korczyńskiej, — smutnym dla tych wszystkich, którzy w owej bolesnej przejściowej dobie napróżno wyglądali jutrzeńki lepszej dla kraju przyszłości.

W zasadzie zdawała się ona błyszczeć na oddalonym horyzoncie ogólnej reorganizacji państwa. Rosja pod naporem żywiołów rewolucyjnych, pod naciskiem ruchu wolnościowego, pod technieniem swobody, przebiegającym olbrzymie jej obszary, z krańca do krańca, — Rosja, upojona hasłami obywatelskiej równości i praw człowieka, zrzuciła biurokratyczno-samowładcze żelazne okowy, by podnieść oczy ku słońcu wolności i w blaskach jego nowe rozpocząć życie.

Ukaz o Dumie, o powołaniu Izby prawodawczej, jako ciała doradczego w rządach, nadzieje te uwierzytelniał i rozkołysał.

Ogłoszona w sierpniu ordynacja wyborcza systemu Bułygina przedwczesnej radości kłam zadawała.

Do udziału w wyborach miały być dopuszczone tylko uprzywilejowane jednostki,—całe więc masy ludowe narodu, usunięte od wszelkiego wpływu na losy państwa, oddane zostały na łup agitacji wywrotowców. Wszystkie pracujące sfery inteligencji znizowano wskutek cenzusu majątkowego do poziomu proletariatu, któremu niewolno przez przedstawicieli swych nawet w rządach brać udziału. Ograniczeni w prawach obywatelskich zwolennicy rewolucji czynnej postanowili bojkotować przyszłą Dumę Bułyginską, jak ją powszechnie nazywano, a wzamian trzymać w szachu rząd dalszym biernym oporem zwartych tłumów robotniczych, o które, jak o skałę granitową, miał się rozbić biurokratyczny system panowania, uciemniający całą Rosję.

Nie pojedyncze więc bezrobocie, lecz sieć strejków opasała i obezwładniała znów Warszawę. Że organizm społeczny, z którego w ten sposób najżywotniejszą krew wypuszczano, traci siły i może wpaść w stan groźnej anemii, o to nikt się nie troszczył. Uczciwsze jednostki obezwładniał terror, obawa samosądów, kary i wywieranej nad opornymi przemocy; męty zaś społeczne, których osławione nożownictwo było tak długo bezkarnie przez władze tolerowane, rzuciwszy się do brauningów, chłoneły w siebie całą piersią zgniliznę, szerząc dokoła gangrenę moralnej trucizny i zepsucia.

Nigdy też, ani przedtem, ani później, Warszawa nie była tak bardzo opętana przez socjalizm. Lud

robotnicy zdawał się ulegać biernie naciskowi agitatorów; sfery inteligentne przyglądały się obojętnie zgubnym doświadczeniom, dokonywanym na żywym organizmie narodu. Ludzie zaś bezkrytyczni lub obojętni i obcy poczuciom patriotycznym twierdzili nawet, że „jednak takie bezrobocie to potężna broń w walce z rządem...”

Ogólna dezorganizacja społeczna,—upadek zupełny przemysłu i handlu,—bieda, szerząca się wśród inteligencji pracującej,—bieda tem bardziej dojmująca, że na pozór złocona,—a nędza w sferach robotniczych. Nędza, siostrzyca upadku, matka występku i zbrodni, mało tych „byстрых“ polityków obchodziły. Hasła socjalizmu, nie jako teorii naukowej i społecznej, lecz jako środka bezpośredniej a dorywczej walki z rządem, obalamowały coraz więcej ogół.

Za strejkami zaś i nędzą szły dotkliwsze z dniem każdym obostrzenia stanu wojennego. Rygory tych praw wyjątkowych dezorganizowały znów i unicestwiały swobodny rozwój życia społecznego. Stan wojenny też, strejki i socjalizm zdawały się tłumić zupełnie w owej dobie hasła narodowe. Warszawa, opanowana w tym czasie przez agitację żydowsko-rosyjską, żyła, na pozór przynajmniej, więcej pod znakiem czerwonego sztandaru, niż pod godłem Orła Białego. I smutna, wyludniona, zgnębiona była stara Piastów stolica.

Smutniejszym zaś jeszcze od niej stał się w tej epoce dom pani Korczyńskiej.

Wszystkie jej starania, wszystkie najgorętsze zabiegi i usiłowania szły, jak dotąd, na marne. Wprawdzie mecenas Prawiński przyjął po namyśle uczynioną sobie propozycję, wprawdzie zgodził się, aby hojna i piękna klientka złożyła umówioną sumę do jego dyspozycji w banku, lecz równocześnie stał się w stosunku do niej niesłychanie małomównym i tajemniczym. Przyjmował ją z dworską uprzejmością, należną kobiecie sfer wykwintnych, ale pytany o sprawę Lipowieckiego, odpowiadał stale, że nie jeszcze nie wie, nie nie mógł zrobić, a gdy będzie miał co do doniesienia, sam jej da znać o tem.

Kilkakrotna bytność w cytadeli nie przyniosła jej także żadnych danych i wyjaśnień, żadnej nawet ulgi w smutku. Dziesięcio-minutowa rozmowa przez podwójną kratę i siatkę żelazną, a przytem w obecności wachmistrza żandarmerji i pod strażą dwóch żołnierzy z bagnietami, nie nadawała się ani do zwierzeń, ani do poufnej gawędki,—była też raczej rozdrażnianiem ran własnego serca, niż ulgą lub pociechą. A jednak wizyty tych przerwać nie mogła; czuła, że dla więźnia stanowiły one jedyny jasny promień w smutnem jego życiu,—że są wytycznymi punktami, według których czas obliczał. Dla niej samej przytem stawały się te wizyty moralną potrzebą i warunkiem uspokojenia. Zobaczywszy choć na te minut kilka więźnia, pewna, że mu się nic nie stało, że żyje i czeka wyzwolenia, tem energiczniej zabiegała następnie i wszelkie poruszała sprężyny, by go z otchłani tej wydobyć.

Tymczasem jednak płynęły dni i tygodnie. Skwarny sierpień przeszedł w mniej upalny wrzesień, który z kolei chylił się ku październikowi, a Lipowiecki, pomimo kilkakrotnych długich konferencyj z mecenasem Prawińskim, wciąż zamknięty był w cytadeli bez rozpoczęcia nawet przez władze śledztwa w jego sprawie.

Pani Marcelinie opadały już ręce, gdy słynny kryminalista, za jakiego adwokat Prawiński ogólnie był uważany, powtarzając własne jej wyrazy, witał ją słowami:

— Niech żywi nie tracą nadziei! Sprawa na dobrej drodze... Ale żądam: czasu, czasu... i żadnych o pośpiech nalegań! Gdy zabiegi moje dojrzeją, wtedy dopiero mogą wydać owoce...

Cofnęła się zatem i w milczeniu zamknęła u siebie, widując rzadko Jerzego nawet. Orecki bowiem, objawszy wraz z innymi, a pod komendą Zbrozka, część działalności Lipowieckiego, pracował nad siły prawie, przeciwdziałając wśród obalamucanego tłumu opętaniu socjalistycznych teoryj.

Walka ze wzmożoną agitacją niełatwa była, dopomagało jej bowiem ogromne rozgoryczenie ludności, drażnionej stanem wojennym oraz masowymi rewizjami i aresztowaniami.

Jerzy więc na krótko tylko przybiegał do pani Korezyńskiej.

Podczas jednej z wizyt takich w salonie zastał, zamiast wujenki, od kilku miesięcy niewidzianą Marynię Kołkowską.

Podniosła się, witając go z pełną słodczy prostotą i wdziękiem, wyrobionym przez dłuższy pobyt w stolicy.

— Pani Korczyńska kończy pilne listy — objaśniła — i prosi, aby pan był łaskaw poczekać na nią.

— Bardzo chętnie — przyznał.

— Skoro tak, pozwoli pan może, iż skorzystam z tego czasu i poproszę go o chwilę rozmowy.

— Z przyjemnością. Czy mogę jednak wiedzieć, gdzie pani ukrywa się przed ludzkimi oczami, że ani tu, ani w Orecku nie widziałem pani od wiosny bodaj.

Nie nazywał jej „panną Marynią“, czując instynktownie, że robiłoby jej to przykrość, że byłoby niewłaściwem może. Dawne wpeł żartobliwe, wpeł poufne miano dobre było w zastosowaniu do młodziutkiej, nieśmiałej dziewczynki w skromnej czarnej sukience i białym fartuszk, do wychowanki jej go rodziców i nauczycielki w szkółce wiejskiej; im baczniej jednak przyglądał jej się dzisiaj, tem silniej uderzała go zmiana, zaszła w powierzchowności jej i całym sposobie życia.

Dziewicza a nie pozbawiona uroku nieśmiałość pierzchnęła przed spokojem i zupełnem panowaniem nad sobą. Marynia zdawała się przytem wyższą i wyśmuklejszą. Figura, bardzo zręczną suknią obcisnięta, nabrała giętkich, miękkich zarysów; włosy, plecione do niedawna w proste warkocz, falowały teraz bujnie dokoła kształtnej główki; spojrzenie, poważną myślą pogłębione, wskazywało nie tylko by-

strą inteligencję, lecz duszę wrażliwą a refleksyjną i do marzeń skłonną.

Skromne dziecię chaty, przekształcone już długoletnim pobytem we dworze oreckim, teraz, pod wpływem wykwintnego salonu pani Korczyńskiej, pod zetknięciem się z obcym światem i technieniem stolicy, zamieniło się nie tylko w oglądzoną i dobrze ubraną, nie tylko w kobietę ładną, lecz w istotę nad wyraz ponętą. Delikatne, smagłe jej rysy w połączeniu z głębokimi oczami, w których zagadkowy jakiś palił się płomień, czyniły dziwne, niepokojące wrażenie.

— Gdzie pani kryła się przez tyle miesięcy? — powtórzył Jerzy, wpatrzony w nią bacznie. — Wszak od wiosny nie widziałem pani wcale.

— Choć mi tęskno było za wsią, nie chciałam wracać do domu... nie chciałam przerywać nauki — poprawiła się oględnie. — Z chwilą też wyjazdu pani Korczyńskiej wyszukałam sobie inne mieszkanie. Drogi więc nasze rozeszły się... — uzupełniła cicho z bezwiedną może goryczą.

Podnosząc zaś głowę i patrząc mu prosto w oczy, zapytała:

— Czy pan wie, że Karola skazano administracyjnie na zesłanie do Archangielska?

— Wiem; byłem wczoraj u niego. Biedny Hetmanik!... Ale skąd ta wieść doszła do pani?

Uśmiechnęła się smutnie.

— Skąd? Z jego ust... Zresztą spodziewał się wyroku tego.

— Pani odwiedzała go w więzieniu?

— Oddawna. Czyż mogłam go zostawić na pastwę rozpaczego osamotnienia i żrącej niedoli? Wszak jesteśmy dziećmi jednego zagonu i jednej chłopskiej strzechy... dziećmi ludu — dodała z goryczą, — który chrztem krwi i poświęcenia się dobija „wolności“ i „braterstwa“.

— Który chrztem krwi i poświęcenia ziemię swą oswobodzić, a prawa obywatelskie dla siebie wywalczyć pragnie — poprawił Jerzy.

Nie podniosła słów jego, jak gdyby nie chciała wdawać się w rozprawę, lecz, patrząc mu znów prosto w oczy, zapytała z powagą:

— Panie Orecki, jako zupełna sierota, nie mając nikogo na szerokim świecie, pozwalam sobie zapytać pana, syna dotychczasowych moich opiekunów, a więc i zastępcę ich tutaj, co mam uczynić wobec wyroku, skazującego Hetmanika „za występłą działalność“ na dziesięć lat osiedlenia w gubernji Archangielskiej.

Była w słowach jej ewangeliczna prostota i siła, która sięga do głębi sumienia, — była moc i czystość, nakazująca szczerą odpowiedź.

— Co mam uczynić?

— Poradzić się własnego serca, bo ono jedno ma prawo rozstrzygać tutaj.

Zmagala się chwilę z sobą i, jakby idąc za silniejszym od woli jej wewnętrznym nakazem, dodała:

— A gdybym zechciała pojechać z nim na wygnanie?

Jerzy objął spojrzeniem ponętą, śliczną jej

postać i rysy uduchowione, mocą woli i cierpienia wyszlachetnione, — a w oku jego łza zabłysła.

— Jedź! — wyrzekł z mocą. — Postąpisz, ak szlachetna i uczciwa kobieta!

Patrzyła chwilę na niego, jakby mierząc głębię niezbadanej przepaści, poczem z wolna delikatne swe rysy ku oknu obróciła.

— Jedź! — powtórzył Jerzy. — Ty jedna możesz duszę jego tam, w lodach północy, od śmierci moralnej ocalić i ukojoną a silną zwrócić później z dumą osieroconej po tych wygnańcach Ojczyźnie.

— Jerzy! Już idę! — zabrzmiał z głębi mieszkania głos pani Korczyńskiej.

Marynia podniosła się i, wysmukła, prosta, ruchem sztywnym, trochę hieratycznym, opuściła salon.

Więźniowie, zsyłani „porządkiem administracyjnym“ na osiedlenie w głąb Rosji, na innych są prawach od tych, którzy podlegają sądowi wojennym wraz z całym aparatem badań, dochodzeń śledczych i roztrząsania sprawy przy pomocy świadków, dowodów rzeczowych, posiedzeń sądowych, oskarżeń prokuratorskich i mów obrończych.

Zsyłka „porządkiem administracyjnym“ załatwiana jest bez żadnych sceneryj i ceremonij, wprost na zasadzie rozkazu generał-gubernatora wojennego.

Dzięki zapewne tej „uproszczonej procedurze“, Marynia Kołkowska bez nakładu wielkich sum i pośrednictwa słynnych prawników dotarła do więźnia. Nie chodziło tu wprawdzie o przewodcę stronnictwa,

lecz o zwykłego chłopca na skromnej wiejskiej zagrodzie; obostrzenia też musiały być mniej silne, bo udało jej się widzieć kilka razy z Hetmanikiem w forcie Aleksandra.

Dziś, gdy, jako skazaniec, przewieziony już był na Pragę, do więzienia, z którego zesłańcy transportowani są wprost na kolej, Marynia, dzięki pomysłowości właściwej ludowi, nową dla porozumienia się z nim wynalazła drogę.

Oto udała się do księdza, powołanego do udzielania pociech religijnych skazanym na śmierć lub deportację i, przedstawivszy mu z prostotą wielkiego poświęcenia projekt swój oraz niezłomne postanowienie towarzyszenia Hetmanikowi na wygnanie, potrafiła zjednać sobie pomoc zacnego kapłana. Dzięki jej, nazajutrz już mogła się zobaczyć z zesłańcem.

Gdy, ubrana w dawną czarną sukienkę, stanęła na progu więzienia, zdumiała się, iż odwaga ją opuszcza. Podniósłszy jednak oczy ku niebiosom, wyszeptała tylko:

— Matko! prowadź i kieruj! daj siłę!...

I przeżegnawszy się znakiem krzyża świętego, tym symbolem najsroźszego na ziemi cierpienia, zdecydowana, śmiało poszła naprzód.

Gdy więźnia wprowadzono do pokoju, w którym czekała na niego, Hetmanik, ujrzawszy ją taką, jaką widział w Orecku, z warkoczami oplecionymi jak koroną dokoła głowy, w tej samej skromnej sukience, zachwiał się i o ścianę oparł. Zdawało mu się, że to nie żywa istota, lecz widmo wymarzonego

niegdyś, a dziś niepowrotnego szczęścia,—zjawia jakaś, czy mara, która uragać mu przysłała. Ta Marynia była tak różną od tamtej, strojnej, którą widział parokrotnie przez kratę, iż własnym nie wierzył oczom.

Rosły i silny do niedawna, jak dąb młody, dziś, troską i niedolą przygarbiony, od braku słońca i powietrza wybladły, stał bezradny. Oczy jego tylko, niebieskie, marzycielskie oczy polskiego chłopca biegły ku niej wzruszone z pytaniem i niedowierzaniem zarazem. Aby oszczędzić mu dalszej męki, Marynia pierwsza postąpiła naprzód, obie ku niemu wyciągając ręce.

— Patrz, Karolu! wyprosiłam dziś półgodziny poufnej swobodnej z tobą rozmowy. Ale czas bieży; musimy się śpieszyć, bo półgodziny szybko minie.

Pochwycił dłonie jej i, patrząc z mocą ducha w smutne oczy dziewczyny, rzucił głosem złamanym:

— Ostatni raz cię widzę, Maryś!... ostatnie w życiu półgodziny z tobą!...

Oslabione nogi zachwiały się pod nim; osunął się na ławę,—i cała męka tylomiesięcznego więzienia, całe zdenerwowanie, spowodowane zamknięciem w ciasnej przestrzeni tego ptaka pól i lasów, wolności i swobody, cała rozpacz, wywołana chwilą rozstania z ukochaną dziewczyną, z krajem, z przeszłością jego i grobami, z przyszłością i nadzieją, zatrzęsła organizmem Hetmanika, łkaniem bolesnem wybiegając na usta. Ten jęk, rozdzierający serce, te łzy, jak groch duże, staczając się po licach człowieka, który był zawsze dla niej uosobieniem spokoju i siły, poruszyły do dna samego duszę dziewczyny. Prześladowany przez

losy, złamany nieszczęściem, tęsknotą i bólem, przemawiał do wrodzonej tkliwości, stawał się drogi sercu jej niedawie.

Ruchem też impulsywnym, słodkim, jak matczy-na pieśczęta, głowę tę skolataną przygarnęła do piersi.

— Na miłość boską, nie płacz! nie płacz tylko! Rok, dwa, a losy się zmieniają, i wrócimy do kraju... Uspokojony i szczęśliwy, będziesz dalej pracował, zapomniawszy o latach próby... Taka podróż daleka otworzy nam tylko nowe widnokreśli, da poznać świat i ludzi.

Podniósł ku niej oczy, w których bolesne natężenie, niedowierzanie i obłęd odzwierciadlały się z kolei.

— „Wrócimy do kraju“? Podróż da *nam* poznać świat i ludzi? Co to ma znaczyć, Maryniu?

Odchyliła głowę i, patrząc mu z prostotą w oczy, wyjaśniła słowa:

— Widzisz, matka twoja da tu sobie doskonale z gospodarstwem radę; jeżeli więc zechcesz mnie wziąć tylko, postanowiłam pojechać z tobą na wygnanie.

— Pojechać ze mną?

— Tak... o ile się na to zgodzisz. Ksiądz, do którego chodziłam po radę, wyjaśnił, że moglibyśmy tu przed wyjazdem wziąć ślub w więzieniu, by jako mąż z żoną dzielić już razem złą czy dobrą dolę. Nie wiem tylko, czy ty mnie zechcesz, Karolu?

Była tak cudną, tak wzniosłą w swej anielskiej prostocie, iż oczy Hetmanika, zawisłe na niej, piły

ten obraz, jak niebiańskie zjawisko, jak święte objawienie bożego miłosierdzia i potęgi.

— Maryniu! tu? tu ślub?... Ty? ty ze mną? ty moją żoną? — ryknął i, wstrząśnięty do głębi szczęściem, które nie zabija, lecz leczy, jak długi do nóg jej runął.



XXVII

Początek jesieni sprowadził do zwykłego gniazdka Zosię Prędomską. Powrót był cichy, uświęcony tylko powodzią kwiatów przez narzeczonego,—cichy, bo ani zewnętrzny stan miasta i zgnębienie mieszkańców Warszawy, ani usposobienie dziewczęcia i stroskanej jego opiekunki nie nadawały się do cech uroczystych i objawów radości..

Jerzy tylko promieniał, po paromiesięcznej rozłące pijąc z czary miłości, z czary snów i marzeń o cichem a upajającym szczęściu zasłużoną mocą pracy obywatelskiej nagrodę.

Godność narzeczonej, oraz dłuższy pobyt wśród spokoju i piękna przyrody podzielał na Zosię w znamienny sposób. Skupiła się w sobie, spoważniała, dojrzała poniekąd. Na zmianę tę wpłynął w znacznej mierze i stosunek jej do ojca. Rozważając czyn swój, który posłużył panu radcy za powód do wyrzeczenia się własnej córki, wiedziała, że, jak na panienkę bardzo młodą, na dziecko prawie, był on z kodeksem

towarzyskim niezgodny i nader śmiały, niemniej na wskrós ludzki, szlachetny i uczciwy. Gdyby też przeszłość dała się powrócić, gdyby chwilę tę okrutną miała przeżyć raz jeszcze, postąpiłaby tak samo i natychmiast podążyłaby do łoża śmiertelnie ranionego Jerzego, bez względu na to, czyby leżał w pałacu prędomskim, czy w szpitalu.

Czyn ten wydawał jej się tak prostym i naturalnym, iż nie pojmowała, jak mógł jej ojciec (nie mówiąc już o gniewie jego na razie, który usprawiedliwiała zupełnie) trwać tyle miesięcy w nieubłaganej zaciętości. Jak zdołało serce jego nie przemówić za dzieckiem rodzonem? Jak mógł zatruwać tak gorzko pierwszy wstęp do życia i pierwsze chwile szczęścia tej jedynaczce swej wybranej, którą zawsze wyróżniał i wyjątkowymi otaczał względami?

Zosia nie rozumiała, iż dotknięte w nim było nie serce, lecz próżność i duma, a te niełatwo rany swe przebaczą.

Wzamian czuła, iż, pomimo głębokiej, z dniem każdym silniejszej, a świadomej siebie miłości dla Jerzego, nie zdoła oderwać się bezkarnie od pnia, z którego wyrosła,—że gniew ojca i wyrzeczenie się jej na zawsze bolesny cień na przyszłość jej rzuci.

Postanowiła więc na przepaść, wykopaną przez ślepe jego uniesienie i zaciekłość, zarzucić złoty most uległości dziecięcej i pokory.

W tym celu podczas samotnego pobytu w Korczanach napisała do pana radcy kilka długich, pełnych rzewnego uczucia listów. Powołując się w nich na pamięć matki i swoje sieroctwo, prosiła, by nie

zrywał ostatniego łączącego ją z domem węzła, by nie zakłócał młodego jej życia i cichego szczęścia zarówno gniewem swym, jak brakiem rodzicielskiego błogosławieństwa.

Po kilku dniach poczta list jej zwróciła. Na odwrotnej stronie koperty widniał charakterystycznym pismem radcy Prędowskiego wypisany wyraz: *Retro!* a poniżej: *Korczany* i nazwa stacji pocztowej.

Dziewczę oblało gorzkimi łzami tę nową a srogą naukę, przez życie mu daną. Pokora jednak dziecięcia i postanowienie pogodzenia Jerzego z ojcem wzięły górę. Udając, że jej ów list powrotny nie doszedł wcale, napisała po jakimś czasie drugi, a potem jeszcze parę. Radca, jakkolwiek nie dał odpowiedzi, nie zwrócił ich tym razem. Córka więc pocieszała się, że może dumne jego serce wobec słów jej gorących mniej nieugiętem się stało.

Pani Marcelina ze swej strony, nie mówiąc nic o tem Zosi, zasięgała także przez Oreckich i Rolickiego wiadomości o panu radcy,—pogodzenie go bowiem z młodą parą należało do najgorętszych jej życzeń.

Wieści, jakich jej udzielono, nie były na razie wesołe.

Prędowski, dotknięty do żywego „skompromitowaniem się“ córki, podobno cios ten bardzo odczuł. Osamotniony przez dzieci, z których jedynaczodepechnął bezwzględnie, a syna, aby go zabezpieczyć „od zarazy nowych prądów“, wysłał na lat kilka zagranicę,—zasklepił się w swej wielkości i odsunął zupełnie od ludzi. Mniej jeszcze przystępny,

dumniejszy niż dawniej, nie brał przez czas jakiś żadnego udziału w życiu publicznem, uważając wrzając dookoła niego cichą pracę narodową za lekkomyślne szaleństwo, które na nowe tylko klęski ogół narazi.

Rolicki do obrazu tego jeden dodawał komentarz.

Oto duma pana radcy odczuwała przedewszystkiem osamotnienie, nie rodzinne, lecz ogólne, w jakim przekonania silnie „ugodowe“ stawiały go wobec nowej pracy: społecznej i narodowej. Zmiany kursu nie rozumiał; kapitulować nie chciał. Skoro zaś w powiecie i gubernji wysuwano na czoło akcji politycznej innych niż on ludzi, obrażony, odsunął się na razie od wszystkich i zamknął w czterech ścianach swego pałacu.

Starał się z początku na dowód mocy przekonania należeć do tych, którzy nie zapomnieć i niczego nauczyć się nie chcą. Były to jednak pozory zewnętrzne tylko. Rolicki, który w wycieczkach swych po okolicy zaczął niedawno o rezydencję Prędowa, twierdził, iż pan radca jest bardzo zmieniony i zdaje się stać obecnie na granicy moralnego przełomu. Osamotnienie wobec żywiołowo wybuchających uczuć narodowych boli go widocznie i dręczy,—nieufność współobywateli upokarza i goryczą serce przejmując. Ostatnią delegację do Petersburga, w której sam przecież brał udział, uważa już dziś za krok chybiony...

„Człowiek to niezupełnie jeszcze dla nas stracony“—zakończył sprawozdanie swe Rolicz.

Nie mogąc nic zrobić na razie w danym kierunku, zarówno Zosia, jak pani Korczyńska, zabrały

się napowrót gorąco do pracy. Własna szkołka i ochrona, rozdawnictwo żywności, odczyty i pogadanki, lekcje dla analfabetów, cała jednym słowem działalność narodowa, dostępna dla polskiej kobiety, pochłaniała czas ich niepodzielnie. Pannie Prędowskiej oślacała nudy częsta obecność narzeczonego i poetyczna, upajająca mocą swą gloria wielkiego uczucia. Pani Korczyńska zaś uważała zadania te za jedyną osłodę w swem życiu smutnem, pełnem udręczeń i serdecznego niepokoju.

Pomimo bowiem wszystkich wysiłków jej, pomimo ciągłych starań i zabiegów, Lipowiecki wciąż jeszcze przebywał w cytadeli. Nieokreślone obietnice adwokata Prawińskiego zawodziły dotąd, a młoda kobieta nie śmiała już nawet nachodzić go i nalegać, w obawie, by szanowny mecenas „ze znaną swą przenikliwością“ nie wziął nareszcie za złe jej gorliwości i nie zaczął dobadywać się jej źródeł. Gdyby jej dano stanowcze zapewnienie, iż, pomimo opóźnienia, więzień napewno ocalony i uwolniony zostanie, pani Marcelina spokojniej znosiłaby tę zwłokę. Obawa jednak, szarpiąca jej sercem, życie nieznośnem czyniła. I chętnie, bez zastrzeżeń, bez egoistycznej myśli o własnej przyszłości lub szczęściu, byłaby rzuciła na pastwę resztę swej fortuny dla ocalenia wybranego człowieka, gdyby wiedziała, gdzie z ofiarą tą się zwrócić,—co zrobić, by go wyrwać z ponurych czeluści więziennych i grożącego mu niebezpieczeństwa.

W drugiej połowie października nadeszła na-

reszcie od słynnego adwokata kartka z lakonicznymi słowami:

„Eureka! Sprawa dobrze stanęła. Dziś wieczorem nadeślę bliższe szczegóły.

Prawiński.“

Pani Marcelinie serce zabiło dawno nieznaną radością. Nareszcie więc, nareszcie wolno jej przynajmniej mieć nadzieję!... wolno wierzyć, że starania jej i zabiegi, że cała troska i wszystkie wysiłki nie pójdą na marne! Pieniądz, ten najsroższy wymysł szatana, niech będzie błogosławiony tym razem, jeżeli, dzięki potędze złota, zdoła przywrócić Lipowieckiemu wolność, a krajowi najlepszego z synów!

Zgorączkowana czekała obiecanych wiadomości. Gdy o 6-tej dzwonek uderzył silniej, sama pobiegła drzwi otworzyć.

Na progu stał Lipowiecki, zeszczupłały, blady, lecz promieniejący jakąś radością, — radością odzyskanych praw do życia.

Pani Korczyńska krzyknęła i zachwiała się z wrażenia.

Trwało to jednak sekundę tylko,—w tej chwili bowiem obie ku niemu wyciągnęły dłonie.

On postąpił naprzód i, dłonie te ujawszy, oczy swe w nich ukrył,—poczem, nie wstydząc się łez, jakie na nie spłynęły, zwilżone do ust przycisnął.

I stali tak minutę w ostrem świetle gazu, patrząc w rysy swe, jak w objawienie, jak w talizman szczęścia i najwyższej radości istnienia.

— Bóg dobry jest, że pozwolił dożyć tej chwili — mówił Lipowiecki zcichą, pojąc oczy czarem jej postaci,

opromienionej zorzą radosnego wzruszenia.—Bóg dobry jest i wielki!—powtórzył kornie.

Oprzytomniała pierwsza z wstrząsającego wrażenia.

— Co za dzień szczęśliwy! Kiedyż pana uwolniono?

— Dziś o 3-ej. Przebrałem się tylko w domu i przybiegłem podziękować pani.

Nie słyszała, czy nie chciała słyszeć słów ostatnich, prowadząc go do salonu w krąg pamiętnej dla nich blado-różowej lampy.

Tu dopiero, gdy zajął naprzeciw niej miejsce, wzrok pani Marceliny spoczął znów badawczo na zeszczupiałych jego licach. Brak słońca i powietrza, a może troska dojmująca wybieliły je i wydelikacyły, rzucając na skronie pierwsze pojedyncze srebrne nitki. Twarz ściągła, okolona jasnym, krótko przystrzyżonym zarostem, jaśniała jednak młodzieńczą siłą i wdziękiem; w szafirowych oczach palił się płomień głębokiego wzruszenia.

— Tam, za tą straszną podwójną kratą, nie mogłam pana zobaczyć dobrze — tłumaczyła natarczywość swego wzroku.

— Pani zaś stała pod światło, i ja więc widziałem tylko jasność, która dla mnie z postaci jej biła.

Zatrzymał się i rozrzuwniony kończył stłumionym, drżącym głosem:

— Za tę jasność, za światło wielkiego serca, rzucane do mojej ciemnicy, za królewski dar otuchy

i pociechy, niesionej osamotnionemu, czemuż, pani, zdołam ci odsłużyć? Aniołowi za opiekę—ciągnął po chwili—odpłaca się modlitwą; słońcu za światło hymnem życia, jaki świat cały na cześć jego zawodzi; a takim, jak pani, przezczystym istotom, które dla nieszczęśliwych aniołem opiekuńczym i słońcem zarazem się stają, czemuż śmiertelnik podziękować może?

— Przyjaźnią—odparła, wyciągając rękę.

Lipowiecki do dłoni tej białej, a dziwnie miękiej i pieściwej w dotknięciu gorącemi przywarł ustami i, podnosząc ku niej oczy, mocą uczucia wymowne, zapytał zeicha:

— Tylko przyjaźnią?

Patrzyli chwilę w głębie swych źrenic, jakby sięgając aż do duszy tajników, jakby mierząc moc ich i siłę. Zorza rumieńca, wybiegająca wraz z falą krwi serdecznej na lica kobiety, oprzytomniła go dopiero.

Wyprostował się i rękę, jakby dla odegnania mirażu, po oczach przesunął.

— Pani!—mówił spokojniejszym już głosem,—słów dziękczynienia nie powtarzam, bo więcej serce moje ich mieści i wypowiedzieć pragnie, niż mowa nasza ojczysta w tym bogatym swym skarbcu wyrażać takich posiada. Że kobieta polska umie w chwili ostrego podmuchu losu zamienić się z cieplarnianej mimozy w istotę z żelaza i stali, w serce jak święty ofiarnik gorejące, a czyste, wszelkiej myśli o sobie obce, to fakt znany, którego pani nowym jest

przykładem... Że metamorfozie tej uległaś dla mnie, obcego sobie, a osamotnionego i opuszczonego przez wszystkich człowieka, za to na kolanach mógłbym tylko dziękować.

— Cóż znowu! Prosty obowiązek przyjaźni i życzliwość Rzecz niewarta wzmianki! — zaprzeczyła żywo.

— Czyn szlachetny a świetlany, o którym nie wolno mi mówić jeszcze — poprawił. — Przy na wskrós moralnych długach wdzięczności, jak przy rozprawie honorowej, według kodeksu uczciwych ludzi, zobowiązania pieniężne powinny być załatwiane przede wszystkim.

— Jakto? nie rozumiem! — wtrąciła pani Korczyńska ze zdumieniem spojrzeniem.

Lipowiecki pochylił piękną swą głowę, a patrząc w jej oczy, mówił spokojnie:

— Pani! mecenas Prawiński, jakkolwiek człowiek znanej dobrej woli i wielkich zdolności, nie mógł troszczyć się o więźnia, którego nigdy na oczy swe nie oglądał. Niezmierna jego oględność i dyskrekcja co do strony finansowej przy konferencjach ze mną w cytadeli, oraz odmowa przyjęcia jakiegokolwiek honorarium dzisiaj wszystko mi powiedziały. Zresztą wobec tajemniczości sprawy zmuszony byłem położyć na niego nacisk, przy którym, jako człowiek honoru, wyznał i słowem stwierdził, że jakoby przyjaciele moi i rodzina złożyli do dyspozycji jego za pośrednictwem pani 50,000 rubli dla ocalenia przyszłości mojej i uwolnienia mnie z prewencyjnego więzienia w twierdzy.

Pani Marcelina zbladła i cofnęła się w głąb fotelu.

Jakkolwiek Lipowiecki starał się mówić spokojnie rzeczowo, jak o zwykłym interesie pieniężnym, niemniej w oczach jego, śledzących bacznie młodą kobietę, wilgotny blask zajaśniał.

— Mecenas Prawiński miesza mnie do opowieści z „Tysiąca i jednej nocy“ — próbowała zaprzeczyć wymijająco.

Mężczyzna rozumiał, jaką męką jest dla niej ta chwila; wiedział, że do królewskiej ofiary przyznać się nie zechce, a jednak kłamstwem ust swych nie skala. I patrzył na nią z rozrzwinięciem, jak na dziecię szlachetne a bezradne, które trzeba ratować z potrzasku, w jaki samo wpadło.

— „Przyjaciele moi i rodzina“ — ciągnął po chwili — z przenikliwością zrozumieli sytuację. Faktycznie tylko uwolnienie przed rozpoczęciem śledztwa, którego wyniki łatwe były do przewidzenia, mogło mnie ocalić. Że wolność moją na tak dużą ocenili sumę i że zaufali mi, zakładając z góry za mnie, za to wdzięczność nigdy w sercu mojem nie wygaśnie. Dziś jednak, skoro ujrzałem napowrót światło słoneczne, pragnąłbym przede wszystkim święty depozyt zwrócić z podziękowaniem.

Nastała chwila kłopotliwej ciszy.

— Zwrócić?... komu? — zabrzmiał stłumiony głos kobiety.

— Szlachetnym a nieocenionym „przyjaciółom moim i rodzinie“... na ręce pani, rzecz prosta.

I sięgnął do bocznej kieszeni po podłużną czekową książeczkę.

Pani Korczyńska zaprzeczyła żywym ruchem ręki.

— Przenigdy! Misji takiej za nic się nie podejmę! To szaleństwo!...

— Pani! czy mógłbym ja, człowiek honoru, mężczyzna zdrowy i silny, przyjmować dar podobny? Pięćdziesiąt tysięcy rubli to majątek, to fortuna nieledwie; nie mam prawa zubożać o nią nikogo. Nie jestem bogaczem ani milionerem, niemniej wolność moją i możność dalszej pracy wyżej nad sumę tę cenię; zwracam też ją z głębokiem, a nie wygasłem nigdy uczuciem wdzięczności.

I położył przed nią kartkę podłużną, wpierw już w domu napisaną.

Pani Marcelina, odtrąciwszy ją z nieugiętą stanowczością, na chwilę ręką oczy przysłoniła.

Tak! wpadła nieogłędnie w pułapkę, w samotrask, z którego nie było innego nad szczerotę wyjścia. Przyjęcie tych pieniędzy stałoby się poniekąd wyznaniem... Wszak, pomimo swej szlachetności, mógł mniemać, że go za cenę owej „fortuny“ kupić poprostu chciała...

Cała nietykalność świętego uczucia, cała wstydlivość serca i duma niewieścia zdrząły w niej na myśl podobnego podejrzenia. Nie posądzała go, aby w skrytości duszy nawet zdolny był do wyrządzenia jej takiej krzywdy lub obelgi. Niemniej pod grozą tego moralnego niebezpieczeństwa zdobyła się od razu na krok pewny a śmiały.

Odsłoniła oczy, w których nie pomieszanie już, lecz widział wyraz powagi i szczerości tylko.

— Nie sądziłam, że wieść ta dojdzie kiedykolwiek do pana — mówiła ze spokojną godnością. — Skoro jednak zle się już stało, nie mogę jej przeczyć. Tak, to ja dostarczyłam sumę, o której pan wspomina, mecenasowi Prawińskiemu; sama mu pomysłu użycia jej poddałam i sama nawet osobiście wreczyłam potrzebne do działania pieniądze. Niemniej zwrotu ich przyjąć nie mogę; nie uważałam bowiem owych pięćdziesięciu tysięcy rubli za pożyczkę, narzuconą panu bez jego upoważnienia i woli, lecz za pomoc, niesioną sprawie narodowej; złożyłam ją jako ofiarę na ołtarzu Ojczyzny, ofiarę, za którą starałam się ocalić i zwrócić Ojczyźnie tej najlepszego z jej synów, najdzielniejszego z wytrwałych jej obrońców.

Lipowiecki pochylił kornie przed nią głowę.

— Cofam więc niedelikatną czy niewczesną propozycję moją i pozostaję odtąd podwójnym dłużnikiem: pani i kraju, któremu powinienem służyć nadal z potrójną gorliwością.

Uśmiechnęła się i na dowód, iż takie postawienie kwestji zgodne jest z jej życzeniem, wyciągnęła ku niemu rękę.

On ją ujął, a podniósłszy do ust, powtarzał za każdym składanym na dłoni pocałunkiem:

— Za oswobodzenie z grozy więziennej... za wolność... za swobodę... za możność dalszej pracy... za ocalenie życia!... za to, że znów cię widzę, o, pani!...

A gdy zmieszana i purpurą aż po aureolę włosów oblana, cofnęła rękę, Lipowiecki, pochylony ku niej, a patrząc w głębię oczów ciemnych, prosił głosem od wzruszenia drżącym:

— Przyjmuję ofiarę... pod tym jednak warunkiem, iż przywróconą mi wolność zechcesz podzielić ze mną. Uczucia moje od dawna nie są obce pani. Wiesz, że byłaś mi zawsze gwiazdą przewodnią, zachętą do pracy i szczęścia nadzieją... Nie śmiałem mówić o tem, bo tamta, ta wielka a wspólna nasza pani, miała pierwsze do życia prawo. Dziś jednak życie to, przez ciebie uratowane, twoją przedewszystkiem jest własnością. Rozwiązuje mi to usta i pozwala powiedzieć nareszcie, że nie rozumiem już istnienia bez ciebie, że od roku marzyłem tylko o chwili, w której mi wolno będzie serce me i duszę, cześć głęboką dla pani i przyszłość całą u stóp twoich złożyć!...

Był bardzo wzruszony. Mówił też prosto, bez ozdób retorycznych, lecz z mocą uczucia, które jemu, dojrzałemu mężczyźnie, głos łamało w piersiach, a krew wszystką rzucało do serca, pozostawiając lica blade jak opłatek. Oczy mu tylko gorzały, a ręce drżały nerwowo.

— Weź przyszłość tę, Maro, i połącz ze swoją, a szczęśna będzie i błogosławiona! Weź serce w miękkie, litościwe swe dłonie, a uleczone samem dotknięciem twojem, zabłyśnie promieniem tak wielkiego uczucia, iż blask jego i moc oboje nas szczęśliwie przez życie przeprowadzi.

Piękny mocą wzruszenia, porywający ogniem zapалу, mówił teraz jak trubadur, uczuciem uniesiony, jak człowiek, który serce swe obnaża i duszę otwiera przed okiem wybranej a ukochanej kobiety.

I rzecz dziwna,—pani Marcelina, która o chwili tej marzyła oddawna, która szczegóły jej odtwarzała niejednokrotnie w swej wyobraźni, teraz, zamiast uledz elektrycznemu prądowi, płynącemu ze słów jego i spojrzeń, w miarę gorących wyrażeń Lipowieckiego, sztywniała coraz bardziej.

Waż niewiary zapuścił nagle żądło w jej serce, dotykając niem boleśnie godność niewieścią i duszę kobiety. „Życie, przez ciebie uratowane, twoją przedewszystkiem jest własnością“ — powiedział Lipowiecki.—A więc to ofiara z jego strony, to zapłata i zadośćuczynienie za ową sumę, której zwrotu nie chciała przyjąć!

Nie! Ani moralnej lichwy brać nie zwykła, ani jałmużny uczucia nie pożąda.

I już—już, podmuchem obrażonej dumy i podszeptem buntu kierowana, miała go jednym odepchnąć słowem, gdy wśród bolesnej walki, w sercu jej powstała, lepsze zwyciężyło uczucie. Kochała go tak dawno... kochała pierwszego w życiu... Szła do niego w chwili grożącego mu niebezpieczeństwa przez ogień i wodę, przez kordony wojskowe i bagnety,—a dziś miałyby, dla porywu fałszywej może ambicji, dla źle zrozumianej delikatności, tworzyć przepaść między nim i sobą?

Spojrzała w dorodne oblicze Lipowieckiego.

Nie; te wzruszone rysy, te oczy, gorącym tchnące uczuciem, nie kłamia... A jednak czy wolno jej korzystać z uniesienia wdzięczności, z porywu chwili? Nigdy!...

I w tem niezwykłym *combat générosité*, w tej walce szlachetnych postanowiła pośrednią wybrać drogę.

Lipowiecki, zawisłszy wzrokiem na grze pięknych jej rysów, a widząc w nich wahanie, błagalnie ku niej wyciągnął dłonie.

— Maro! Umiałas być wyższą nad tuzinkowe formy świata, pozostań więc godną siebie!... bądź wierną sercu swemu! Ono mnie nie zawiedzie, bo wie i odczuwa, jak głęboko miłość do ciebie w krew mi przeszła i duszę całą opanowała, bo rozumie, iż nad życie bez ciebie wołałbym już wygnanie i lody lub dzikie tajgi Syberyi.

Dotknął znów niebaczmem słowem struny bolesnej; przypomniał zadośćuczynienie za ofiarę piękną, jaką go może kupiła.

Decyzja pani Marceliny była tym razem niezłomną.

— Panie Stanisławie! gdybym przyjęła w tej chwili pańską bardzo dla mnie zaszczytną, a nie przeczę temu, nad wyraz drogą i miłą propozycję, nie byłabym ani wierną swemu sercu, ani godną pańskiego uczucia, w które wierzę jednak z głębi duszy—dodała wzruszona.—Podaniem bowiem ręki panu na przyszłość całą, na przyszłość szczęsną i radosną dla mnie, unicestwiłabym poprzednie moje słowa. Ofiara, złożona w imię sprawy narodowej na oł-

tarzu Ojczyzny, równałaby się wtedy ofierze, rzuconej na szalę własnego szczęścia.

Głos jej załamał się; drobne usta drżały.

Lipowiecki złożył dłonie, jak do modlitwy.

— Tem lepiej, ukochana. Niechżeż czyn twój szlachetny swatem nam będzie! niech się stanie zadatkiem złączenia serc naszych i naszej przyszłości! niech spełni marzenia moje, któremi żyję oddawna!

Wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie, panie Stanisławie! — mówiła z wielką słodyczą.—Nię byłabym wtedy godną ciebie. Marną jest kobieta, która staje się kulą u nogi wybranego człowieka... stokroć marną ta, która nie waha się być więzami, krępującymi mu skrzydła. Byłeś dla mnie dotąd orłem, oderwanym od ziemi, a żyjącym wielką, promienną ideą... Pozostań nim i nadal! Niech serce moje wie, że nie wśród ziemskich filisterskich zabiegów, lecz w jasnych przestworzach szukać cię tylko powinno! Spełń swoje zadanie!...

Lipowiecki wyprostował się, jak pod dotknięciem szpicróżgi.

— Ach! więc te piękne słowa znaczą odmowę!... więc uśmiechy twe i spojrzenia kłamały!

Teraz ona pochyliła się ku niemu z zorzą rumieńca i wilgotnym blaskiem w źrenicach.

— Kłamały? Przenigdy! Ale nie jesteśmy dziećmi; potrafimy poczekać. Wszak mówiłeś mi pan tyloktrotnie, że nie do siebie należysz; trzeba więc dopełnić świętych przyrzeczeń. Gdy Polska choć część wolności swej odzyska, wtedy dopiero będziemy mieli prawo mówić o własnych uczuciach i własną roz-

porządzać przyszłością. Dla niej, dla służby jej walczyłam o pana i jej oddaję cię dzisiaj, pewna, iż z pod świętego z ludem sztandaru wrócisz mi tylko droższym, z aureolą spełnionego obowiązku i zasługą u czoła.

— A nie odepchniesz mnie wtedy?

— Przeciwnie! wyciągnę oba ku szczęściu ramiona.

Drobne dłonie jej wysunęły się, jak gdyby szły naprzeciw zapowiedzi tej słodkiej.

Lipowiecki wziął je i ze złością do ust przycisnął.



XXVIII

Dzień 31 października 1905 roku przyniósł Warszawie zapowiedź nowej ery.

Mocą manifestu monarszego nadano Rosji, a więc i narodom, wypadkami losowymi z nią związanym, pierwsze prawa konstytucyjne. Wieść o tym akcie epokowym dla całego państwa nadeszła nazajutrz dopiero po ogłoszeniu go w Petersburgu. Depesze, zwiastujące ją w dziennikach porannych, przyjęte zostały przez ogół chłodno i niedowierzająco.

Po tylu latach prześladowania, tępego bólu i krwawych zawodów naród polski nie ufał już poplepszeniu swego losu, nie wierzył w blask świetlanej jutrzeńki.

„Program nowego rządu“, przyniesiony w dosłownym tekście przez pisma wieczorne, przekonał jednak opornych, iż chodzi tu naprawdę o „akt wielkiej doniosłości państwowej“. Podpisany przez cesarza, poręczał on jego poddanym ogólne przywileje obywatelskie: nietykalność osobistą, wolność słowa,

druku, zebrań i stowarzyszeń, oraz potwierdzał, jako „niewzruszoną zasadę“, charakter prawodawczy przyszłej Izby Poselskiej.

Szeroki powiew przeleciał nad miastem. Piersi polskie, przywalone od lat stu kamieniem niewoli, pozbawione niezbędnej do życia a w krew wrosłej swobody, odetchnęły nareszcie. Pierwotne niedowierzanie zamieniło się w posiew nadziei, w radosne, a jednak niepewne oczekiwanie jutra. Nie śmiano sobie winszować nawet... Bo i czego? Wszak, jakby naszykanę słowom monarszym, wojska krążyły po ulicach; wszak echa salw zbiorowych i strzałów pojedynczych nie milknęły wciąż jeszcze na mieście.

Nazajutrz nawet, dnia 1 listopada, ruch był lękliwy; pobożni tylko płynęli ku świątyniom pańskim, które ich pomieścić nie mogły. Na zebranych przed kościołem Św. Krzyża, u stóp Chrystusa, który w uznojeniu i męce ludowi błogosławi, wypadli z pobliskiego cyrkułu ulani, a tratując modlącą się przed domem bożym publiczność, okładali ją wobec starszyny i komisarza nahajkami po głowach. Wieść ta, w połączeniu z opowiadaniem o zbrojnym wystąpieniu wojska na Marszałkowskiej, o zamordowaniu dwóch niewinnych służących, o strzelaniu do dzieci i wyrostków, znów rzuciła popłoch na ogół. „Konstytucja“ wydawała mu się znowu czemś tak niedościgłym i dalekim, jak Japonja, jak Chiny, lub praworządne postanowienia na księżycu.

Serca jednak drżały w piersiach człowieczych: nadzieja praw do życia nie chciała ustąpić. Zdawało się, że potęga rwącego się do wolności ducha, że moc

teśknoty za jedną bodaj chwilą swobody stawi czoło kulom karabinów, że śmierci spojrzy w oczy.

Od godz. 3-ej z południa ludność Warszawy zaczęła gromadnie wyłegać na miasto. Potrzebowała żywiołowo porozumieć się, zsolidaryzować, oprzeć na sobie nawzajem.

I czarna żywa wstęga płynęła już nieprzerwanie Marszałkowska, ruchoma jak fale morskie i jak one niepowstrzymana. Przed dworcem Wiedeńskim czekała ją pierwsza niespodzianka: zwijano placówki, cofano patrole. Równocześnie w pobliżu miejsca, gdzie przed paru godzinami jeszcze tłum zerwał pomocnikom komisarza szlify oficerskie, jako karę za dobijanie bagnietami po bramach niewinnych dziewcząt z ludu,—w pobliżu miejsca tego inny komisarz obwieścił nareszcie upragnioną swobodę. Objaśnił, iż na mocy manifestu cesarskiego publiczność ma prawo i może odtąd spacerować, śpiewać, bawić się i urządzać pochody, byle spokojnie, a bez naruszenia bezpieczeństwa publicznego.

— Na ramiona go!—zawołano, puszczając w niepamięć wszystkie dotychczasowe krzywdy.—Na ramiona! Niech żyje!

I podniesiony w tryumfie do góry ów satrapa cyrkułowy był pierwszym przykładem przebaczenia i zbrotania się tłumów z dotychczasowym wrogiem własnej Ojczyzny, z wrogiem ludu przedewszystkiem.

O, wolności! jakimże cień twój nawet potężnym staje się czynnikiem!... jakimże ty dla spragnionych nektarem jesteś i haszyszem!... Upojona nim, nadzieją lepszej przyszłości wniebowzięta ludność Warszawy

w ciągu godziny wyległa na ulice. Miasto, od roku martwe, opustoszałe pod grozą wojennych represyj, zawrzało nagle tłumionem dotąd życiem i od sute-ren do poddaszy opuściło mieszkania, łącząc się w jeden olbrzymi korowód, liczący setki tysięcy głów ludzkich. A wieść o wolności na tęczyowych swych skrzydłach obiegnęła lotem błyskawicy domy, zwiększając z każdą godziną nieprzeliczone, bezbrzeżne tłumy na placach i ulicach.

Cały lud starej Piastów stolicy, cały naród polski szedł ręką w rękę, a ramię przy ramieniu, spokojny, karny, kulturalny, trzymany stokroć silniej w karchach przez poczucie godności obywatelskiej, niż przez bagnety strzegących go dotąd patroli.

I patrzono na siebie z niedowierzaniem, lecz i z głębokiem rozrzwinięciem zarazem.

Jakto? wolno żyć? wolno się ruszać, stapać swobodnie po tej tylokrotnie skrwawionej ziemi? wolno płakać i śmiało myśl swoją wyrażać? To niepojęte! to nie w steranej Polsce dzieje się chyba!...

I lzy toczyły się po licach, a ręce wyciągały z uczuciem braterskiem do nieznanomych nawet.

Zwykle oświetlenie ulic nie wystarczało; zażądano iluminacji.—„Święto Wolności dzisiaj“—wołała młodzież.—„Święto Nadziei! Światła nam trzeba...“

I rzuciła się do zapalania kolorowych latarek.

A z krańców miasta nadbiegł tymczasem ku środkowi Marszałkowskiej pierwszy pochód socjalistyczny. Wiodły go chłopcy 7-mio i 8-mio letni, niosący, zamiast zbyt ciężkiego na ręce ich sztandaru, plachetki czerwone, rozpięte na dwóch kijkach. Za ni-

mi sunęła setka wyrostków, zawodząc „Czerwony Sztandar“.

Ludność Warszawy rozstępowała się, pozostawiając im wolne przejście. Do tych dzieci strzelano niedawno—i to już budziło dla nich współczucie. Wśród tłumu ukazali się żołnierze bez karabinów, bagnętów i nahajek,—nie ta ślepa siła niszczycielska, która na rozkaz niesie dokoła śmierć i zniszczenie, lecz zwykli żołnierze, na równi z publicznością bezbronni. Tłum otaczał ich przyjaźnie i bratał się z nimi. Dziś święto wolności—i im zorza jej może zaświta... A lud Warszawy (bo lud to był głównie na ulicach), rozrzewniony, łagodny i do wrażeń podatny, wszystkim dziś dobrze żyzył.

Na stosie ułożonych wysoko kostek brukowych u wylotu ulicy Nowogrodzkiej ukazał się mówca i huczał a grzmiał po rosyjsku na cześć rewolucji i wolności, nawołując do obalenia wszystkiego, co na drodze ku niej stoi. Tłum, niewiele z tego zrozumiawszy, dał mu jednak grzecznie brawo. Opodał na drugiej stercie kostek stał już robotnik-socjalista i wygłaszał hymny na cześć niepożytych zasług swej partji: ona wywalczyła konstytucję; ona zmogła rząd srożej od Japonji; jej wyłączną zasługą dzisiejsze zaranie wolności; jej się cześć niepożyta i chwała za to należy!

I tu klaskano szczerze. Sam wyraz „wolność“, padający jak grot lub pienie anielskie z ust mówcy jawnie, głośno, tu, na wolnem powietrzu, już wszystkich dobrze usposabiał dla niego.

Dalej ktoś przemawiał na cześć chłopu polskiego, pokrzywdzonego, że w uroczystości tej nie bierze udziału. Chłop polski? Ależ ten lud to krew z krwi i kość z kości jego. Serca zadrżały, tłum zaś bezmierny, nieprzeliczony podniósł okrzyk, jakby z jednej wyszedł piersi, a jak grzmot potężny.

— Niech żyje chłop polski!

A ciżba wciąż wzrasta; ramię stoi przy ramieniu, głowa przy głowie.

Następnego mówcę tłum nie może dojrzeć, podnosząc go więc w górę na barach.

— Bracia!—wola. — Gdy pozyskaliśmy zadatek wolności, trzeba nam już tylko pracy, trzeba spójni, jedności i braterstwa. Wróg, kto nas drażni słowami „pan“ i „burzuj“! wróg, kto mówi o partjach i stronnictwach! W zjednoczeniu siła! Dziś jesteśmy przedewszystkiem synami umęczonej tej ziemi, która dotąd w kajdanach jęczała! Dziś jesteśmy tylko Polakami!

Oczy zwilgotniały; dłonie uderzyły frenetyczne brawa.

Pojawiły się czerwone sztandary.

— Na Nowy-Świat! — zakomenderował przewodca.

Tłum posłusznie zwrócił się za nim. Młodzie i starcy, kobiety i dzieci,—wszystko szło w wielkiem skupieniu na cześć Święta Wolności.

Aliści, zaledwo pochód skręcił w Aleje Jerozolimskie, oczy idących pociągnął balkon w jednej z kamienic, rzęsiście oświetlony, a na nim trójka dziatwy jasno ubranej i śpiew jej chórally.

Cherubinowe główki pochyliły się ku czerni pochodu; cienkie głosiki rzuciły mu hasło:

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...“

Tłum oniemiał. Większość jego uczestników słyszała po raz pierwszy w życiu śpiewaną głośno na ulicy rzecz tak występna i zbrodnicza, jak korna modlitwa do Pana wszechświata, jak hymn narodowy własnej swej Ojczyzny.

Głowy podniosły się radośnie. Czerwony sztandar, pochylony ku ziemi, salutował przed majestatem tych ust i tych dusz niewinnych, rzucających w takiej chwili właściwe hasło pierwszemu pochodowi polskiego ludu.

I z dołu, jako odzew na nie, popłynęła z tysięcy piersi korna modlitwa:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,—

Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!“

Wśród tłumu rozległ się głośny szloch i łkanie. Uczestnicy pochodu, tu, w pobliżu ulicy Marszałkowskiej, tego ulubionego terenu socjalistycznych demonstracyj, zapomnieli w tej chwili błogiej a wstrząsającej, że socjalizm i jego hasła istnieją na świecie: byli tylko Polakami.

Przełom ten na rzecz uczuć narodowych silniej jeszcze ujawniał się na Nowym-Świecie.

Cała Warszawa, całe miasto, cały lud polski z inteligencją na czele zdawał się zgromadzony tutaj. Widok był wprost niezapomniany.

„I słyhać było płacz ogromny zmartwychwstania.“

Zmartwychwstania ducha — dodajmy, — ducha, pogrzebitego w ciemnościach niewoli, który jednak odwalił kamień grobowy i, stanawszy na czele narodu swego, zawołał: „Jestem!”

Morze głów zalewało od Alei Jerozolimskiej aż po Plac Zamkowy całą tę olbrzymią a wspaniałą arterję. Tu nie lud już, lecz naród świętował. Radość, wypełniająca mu po brzegi duszę, wylewała się falą potężną, która, jak rzeka wezbrana, z serc ludzkich złożona, płynęła hen do stóp wielkiego Adama, — wzmoconą zaś technieniem ducha jego, czującego za miliony, biegła dalej, by pochylić się pod berłem Zygmunta, by przykłęknąć u murów prastarej katedry, mieszczącej w sobie tyle chlubnych i tyle bolesnych kart naszych.

Naród polski świętował, — naród o wiekowych tradycjach swobody i wysokiej kultury, która tu nawet, w chwili upajającego wybuchu radości, nie zawiodła go ani na sekundę. Zaimprovizowany obchód na cześć wolności i nadziei w spokoju swym wielkim i dostojęństwem imponujące czynił wrażenie.

I napróżno na Nowym-Świecie, gdzie urządzono cały szereg wieców pod gołem niebem, z wyżyny zaimprovizowanych mównic rzucali socjaliści zaciekle hasła, — słabe bowiem oklaski garści ich adherentów tłumili nie ustające z piersi tysięcy rzucane okrzyki: „Niech żyje naród!” „Niech żyje Polska!” „Niech żyją jedność i zgoda!”

Pod naporem wrażenia otwiera się balkon pierwszego piętra i mieszkająca tam artystka, zwrócona do

ludu, odśpiewuje przy dźwiękach fortepjanu „Boże, coś Polskę!”

Pieśń lka i szlocha, wznosząc się błagalnie na skrzydłach potężnego wyrobionego głosu ku tronowi Wszechpana.

Naród płacze, lecz, uniesiony pięknem artystycznego wykonania, nie próbuje wtórować. Milkną wszyscy: mówcy i kierownicy, socjaliści i sceptycy. U góry panuje cudnie śpiewana błagalna skarga Polski, — na dole lży szczęścia i modlitwne skupienie.

Wraz z ostatniem echem pieśni, która wszystkich pod niepodzielne wzięła panowanie, formują się jeden za drugim wielotysięczne pochody. Socjaliści, przyzwyczajeni do manifestacji z czerwonymi sztandarami, rozwijają krwawe swe chorągwie; lud, nieprzygotowany na to, podnosi tymczasowo zaimprovizowane białe proporce. I pod dwoma tymi znakami, połączonymi niejednokrotnie w tym samym orszaku, suną zwartą masą: robotnicy, rzemieślnicy, mieszczaństwo, inteligencja, szlachta, panowie i biedacy, arystokracja i proletarij, — jednym słowem całe miasto, będące sercem narodu. Niema tu podziału na partje, niema różnic klasowych, — jest tylko jeden wybuch wielkiej radości, jedno wszechpotężne, ciche upojenie, wywołane odzyskaniem własnego ducha, ducha wolności...

A wśród tych tłumów niezliczonych, wśród tej niesłychanej ciżby głów ludzkich przeslizgują się i przesuwają z trudnością ci, którzy, spełniając zadanie improwizowanej straży honorowej i obywatelskiej, starają się powstrzymać na miejscu, pomimo

bajecznego tłoku, wzorowy ład i spokój. Na czele ich wszędzie i zawsze przewijają się przedewszystkiem Jerzy i Lipowiecki.

Oto waż wielkiego pochodu, wylaniający się z żywego ludzkiego mrowiska, mija cyrkul X-ty, srogością swą smutnie zapisany w pamięci historii miasta. Oczy jego uczestników, wiedzionych przez Oreckiego, biegną mimowoli w głąb olbrzymiego podwórza, w którym dotąd stało zawsze w pogotowiu ukryte wojsko. I dziś go tam nie brak; zamiast jednak puszczać w ruch, jak to czyniło zrana jeszcze, szable i nahażki, stoi spokojnie, starszyzna zaś, wyległszy na ulicę, odsłania głowy przed majestatem tych głów tysięcy, do których strzelałaby tak chętnie.

Pochód minął szczęśliwie. Aliści tuż za nim formuje się drugi, na wskrós robotniczy, ciągnący z Powiśla przez wąską szyję ulicy Oboźnej. Zaledwie wysypał się około Kopernika przed pamiętne gmach Staszycy i zwrócił ku Krakowskiemu Przedmieściu, gdy z Aleksandrji wypadł oddział wojska, zajął tył tej biednej, szarej masie, i broń przyłożył do oka, wymierzając śmiertcionośne karabiny w mur żywy, z ciał ludzkich złożony.

Sekunda jeszcze, a plac przed Chrystusem, błogosławiącym lud z kruzganku kościoła Św. Krzyża, krwiąby spłynął. Sekunda jeszcze...

Lecz szybszy od myśli, oceniwszy sytuację jedynym rzutem oka, Stanisław Lipowiecki stał już na czele pochodu. Głos jego, jak dzwon donośny, rzucił równocześnie krótki rozkaz: „Na klęczki!“ On sam,

i dum młodości, jakie w ostatnich czasach, niby czerw złowieszczy, toczyły i szarpały mu duszę. Nie był chłystkiem, zmieniającym przekonania w miarę prądu, jaki zapanował dokoła. Miano go zawsze za opokę tendencyj ugodowych, za ostoję praktycznych poglądów i za przedstawiciela niezachwianego lojalizmu. Takim też potrafi pozostać.

Napróżno jednak wmawiał niezłomność tę w siebie. Cisza i zarówno moralna, jak fizyczna samotność, próżnia i pustka dokoła, a przytem wieści, przynoszone przez dzienniki, coraz bardziej osłabiały ten pancerz chłodu i dumy, coraz większe nacinały w nim szczyrby.

— Starzeje się poprostu—mówił sobie pan radca.—Starzeje się, skoro taka przelotna zawierucha polityczna może na mnie wpływ wywierać, skoro wskrzesza w umyśle upiory oddawna pogrzebanych mrzonek młodzieńczych. Precz z majakami! To dobre dla Don-Kichotów narodowych!...

Gdy jednak dzienniki przyniosły manifest monarchy o nadaniu konstytucji, pan radca spoważniał. „Zawierucha polityczna“ zaczynała nabierać cech realnych, konkretnych. Ukaz cesarski sankcjonował poniekąd jej wyniki,—uprawniał więc ruch narodowy, ten ruch wszechpotężny, którego przewodników Prędowski nazywał dotąd „zbrodniczymi szaleńcami“.

Pan radca czytał opisy wypadków zaszłych w Warszawie i własnym nie wierzył oczom. Więc prądów ujawniony, ogarnawszy z żywiołową siłą miliony sere, wybuchnął tak jasnym płomieniem wielkiego, patriotycznego uczucia, iż w godzin kilka rzucił set-

ki tysięcy osób na ulice i dokonał przewrotu w zbiorowym sercu wielkiego miasta?

Nie!... To przechwałki!... to nowy don-kichotyzm polityczny!

I zrywając z osamotnieniem swem, pan radca postanowił pojechać do Warszawy, by sprawdzić naocznie zaszłe w niej zmiany i przeobrażenia.

Panujący wszechwładnie strejk kolejowy utrudniał podróż. Prędowski zdecydował się na uciążliwy przejazd powozem. Gdy stanął u rogatek w pamiętny dzień 5 Listopada 1905 roku, miasto, jak na południową porę niedzielą, spokojny i zwykły miało wygląd. Niezmierna cisza, wywołana bezrobociem tramwajów, dorożek i wszelkiej lokomocji kołowej, nadawała mu uroczystą cechę skupienia. Środkiem ulic ciągnęły liczne gromady rzemieślnicze lub grupy strojnie ubranej publiczności, śpieszące snadź do świątyń pańskich na nabożeństwa. Wśród nich przewijały się patrole i oddziały wojska, lecz zachowywały się biernie, a ludność Warszawy, przyzwyczajona już do tego pogotowia wojennego, zdawała się nie zwracać na nie uwagi.

Prędowski, zagłębiany w powozie, żadnych innych szczegółów charakterystycznych nie widział. Dzień był chmurny i zimny; wiatr i wilgoć jesienna, w polu szczególnie, przejmowały do kości. Znużony też podróżą, machnął lekceważąco ręką.

— Cicho i spokojnie. Miasto wygląda, jak zwykle—mruknął.—W opisach była pewnie zwykła u nas przesada.

Spragniony spoczynku i gorącej herbaty, kazał jechać prosto do hotelu.

Mieszkańcy Warszawy zaś gotowali się tymczasem do największej, najpodnioslejszej w życiu swem uroczystości.

Owe grupy ludności, spotykane przez Prędowskiego, dążyły w rzeczy samej do świątyni.

Od wczesnego ranka już nieskończona procesja pobożnych kierowała się ku prastarym murom archikatedralnego kościoła. Gdy nawy nie mogły ich wreszcie pomieścić, a wąskie starodawne uliczki po brzegi przepełnione zostały, z metropolitalnej świątyni wyruszył korowód z duchowieństwem i krzyżem z chorągwiami i sztandarami na czele. Zaszumiało od proporców w powietrzu, załopotano od serc bijących w tych piersiach, wzruszeniem targanych, rozrzewnieniem ściśnionych.

Tu, u progów katedry, w której koronowano królów polskich,—tu, gdzie Orzeł srebrnopióry unosił się przez wieki w majestacie i dostojeństwie,—tu po stu latach niewoli i niedoli rozszerzył on nagle śnieżne swe skrzydła i poszybował nad głowami narodu na tle amarantowej chorągwi, na której widniał napis: *Za Ojczyznę, Wolność i Lud!*

Spazm wzruszenia, targający serca, zamienił się w szloch i łkanie. Krew uderzyła ogniem w żyłach i wybiegła na usta pieśnią świętą:

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały...”

Odwieczne mury Starego Miasta zadrżały. Przeszłość wracała ku nim... przeszłość niezapomniana,

wymarzona, a wsparta potęgą teraźniejszości, z morza ludzkiego złożonej. Nad ruchliwą zaś jego falą powiewały najświętsze narodowe pamiątki: kulami poszarpane, krwią zbryzgane sztandary bojowe z 1831 i 1863 roku, za nimi zaś, za tym widowym znakiem męstwa dziadów i ojców, szła chorągiew, składająca hold ostatnim bohaterom; na amarancie jej wypisano kanon nowych idei: *Robotnikowi Polskiemu Cześć!*

A tę przeszłość świętą łączył z krwawą dobą współczesną proporzec z Orłem Białym i okrzykiem, wyrwanym ze zbiorowego serca narodu, a streszczonym w napisie: *Boże! Zbaw Polskę!*

Boże, zbaw Polskę! Z tysięcy więc piersi popłynęła kornie modlitwa:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!"

I morze głów ludzkich, spokojne, karne, w dostojęństwie swem i namaszczeniu imponujące, jakby nie z serc polskich, lecz z półbogów złożone, posuwało się poważnie wzdłuż wązkich ulic staromiejskich, budząc wśród murów ich potęgę, stłumioną chwilowo, lecz nigdy nie zwalezoną, bo potęgę nieśmiertelnego ducha wielkiego narodu.

A hymn niezapomniany, na skrzydłach pieśni niesiony, rozbrzmiewał tysięcznem echem w każdym atomie powietrza i, biegnąc od suterenu do poddaszy, wskrósł murów nawet, zdawał się poruszać mogiły, zabierać serca żywym, zaś nad kołyskami nie-

mowłat kładł krzyż swoich ukochań i swoich przeznaczeń.

„Przed twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!"

Korowód przyszłości i pamiątek, procesja narodowego ducha wysunęła się wreszcie na szeroką przestrzeń ulicy Miodowej i Krakowskiego-Przedmieścia. I tu jednak mury musiały rozstępować się gościnnie przed morzem głów polskich, które każda świeżo przypływająca fala nowego pochodu w ocean żywy zamieniała.

Bo pomimo pogłosek o „czarnych secinach“, które jakoby miały urządzić pogrom narodowego pochodu, pomimo napaści prowokatorów, grożących, iż wojsko idzie, ze wszystkich świątyń szły z chorągwiami i sztandarami procesje, by u stóp posagu wieszczą połączyć się z tą jedyną, olbrzymią a niebywałą manifestacją narodową.

I spiżowe serce Adama musiało drgnąć i ożyć choć na chwilę,—musiało wezbrać prawowitą, szlachetną dumą nad tym ukochanym ludem swoim, który, spętany przez złe moce i zmiażdżony na pozór, umiał jednak na pierwszy powiew wolności, na pierwsze hasło powstać z martwych, przyjść, jak jeden mąż, tu, do stóp jego i zawołać: Jestem!

— Jestem! żywy, nieśmiertelny, praw swych pamiętny, a do skruszenia kajdan gotowy!

Tak! To Duch Polski zmartwychwstał! Ocknął się Duch Narodu i odwalil kamień grobowy! To *resurrexit* ducha!

Zrozumiał to jeden z mówców, których kilku staowało z kolei na wzniesieniu,—zrozumiał i u posagu Adama przypomniał prorocze słowa Zygmunta z *Psalmu Miłości*:

„Polsko moja! Polsko święta!
Nad zwycięstwa stoisz progiem:
Kres do męki twej ostatni —
Niechaj tylko uwydatni,
Żeś wszechzłego wiecznym wrogiem!
Potem prysną śmierci pęta,
I ty będziesz wniebowzięta,
Bo aż w śmierci byłeś z Bogiem!”

Poczem zaznaczywszy, iż obchód ten jest wielkiem świętem nadziei, zakończył mowę okrzykiem:
Niech żyje Polska!

— Niech żyje Polska! — odpowiedziano mu echem, z ćwierć miljona piersi wybiegłem, a więc jak grom potężnem i mury wstrząsającym w posadach.

I grzmot ten, niby piorun jowiszowy, wzniosł się ponad dachy i wieże, przeniknął w każdy zakątek, by popłynąć na drgających falach powietrza hen, ku polom i łąnom, ku chatom wieśniaczym i ostępom leśnym.

A pochód-olbrzym podjął jeszcze i gromem rzucił w powietrze:

— Niech żyje lud polski! Niech żyje przyszłość narodu!

Na odgłos ten potężny, jakby z piersi tytanów wyszły, pan radca Prędowski, który, ogrzany już

i wyświeżony, kończył właśnie w pokoju swym śniadanie, szarpnął drzwiami i zaniepokojony wybiegł na balkon.

Mieszkał w Hotelu Europejskim, a pochód, idący od katedry, był jeszcze przy Mickiewiczu. Na razie więc Prędowski, jakkolwiek widział zdala szczelnie zapelnioną ulicę, nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

Ale tłum-naród, pokłoniwszy się wieszczowi i zniżywszy przed nim sztandary, ruszył w tej chwili naprzód. Z piersi jego, z piersi setek tysięcy ludzi popłynęło nad miastem, jak hymn potężny, kruszący okowy:

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...”

Prędowski skamieniał. Czterdzieści kilka lat nie słyszał słów tych cudnych,—nie śmiał i *nie chciał* marzyć nawet o nich.

Aż naraz jak grom z żywych wybiegły piersi, a poruszając murami w posadach, skarżyły się one jawnie i głośno Bogu i ludziom na krzywdę, na niewolę i ucisk, błagając:

„Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!”

Wrażenie było tak wstrząsające, tak potężne, iż, wskrzeszając przeszłość z przed lat 40-tu i zamarłe widmo jego młodości, pogrzebanej, jak sądził, na zawsze, zamieniło pana radcę w posąg zdumienia, trwogi i obłędu nieledwie. To, co dla innych było od roku treścią życia, jemu, odgradzającemu się od wszelkiego ruchu patryjotycznego, pozostało niezna-

nem. Nie mógł więc pojąć, iż od pomnika wieszczą, dzwignionego przez serce narodu,—tu, w stolicy lojalizmu, w gnieździe pracy legalnej, nagradzanej orderami,—tu, gdzie do niedawna każdy bał się swego cienia nieledwie, płyną ku niemu rozpięte na amarantowych polach, święte Orły Białe z godłem: „*Za Ojczyznę, Wolność i Lud!*“—idzie korowód z ćwierć miliona głów złożony, pochód, który sam w sobie jest już narodem całym, bo duszę narodu uosabia.

Pod balkonem rozległ się donośny rozkaz:

— Panowie! odkryjcie głowy! Polska idzie!

I pochylają się czoła w czei, holdzie i wzruszeniu.

Prędowski przetarł oczy gwałtownym ruchem.

Nie! to nie fatamorgana, nie gorączkowe mamiłło! Pochód uroczyście, majestatycznie posuwa się naprzód i zbliża. Jak okiem sięgnąć, rzeka ciemna, rozlewna, o falach ruchomych, z głów ludzkich złożonych. A okrzyk „*Niech żyje Polska!*“ jak grom wszechwładny, jak objawienie boże, z tych setek tysięcy piersi wybiega i miasto otacza, do nowego budząc je życia.

Pan radca wstrząsnął się cały, zadrżał i ruchem gwałtownym krawat rozerwał na szyi, bo go coś dusiło, żar do mózgu pędząc.

Jakieś potężne, dawno zapomniane uczucia zbudziły się nagle w jego sercu i, wstrząsając niem ciałem, rozpierały piersi, głuszac w nich wszelkie inne względy, łamiąc pancierz z dumy, egoizmu i pozomych interesów, w jaki zakuwał je dotąd.

Olbrzymie zaś ruchome morze głów ludzkich, płynące w skalistym obramowaniu wysokich kamienic, przysuwało się coraz bliżej, coraz bliżej... W powietrzu powiewały chorągwie, sztandary i proporce, unosiły się Orły i Pogonie, szeleściły srebrnymi skrzydłami królewskie ptaki Piastów, Jagiellonów i Zygmuntów, zaś ponad smugami bieli i amarantów królowała pieśń wiekopomna:

„Boże, coś Polskę...”

Ten tłum, jak kapłan-ofiarnik, palił serca swe żywe na cześć świętego hymnu, który, choć wiecznie królować tu winien, do niedawna za zbrodnię poczytywany i, jak występki, więzieniem karany bywał. Pieśń ukochana, pieśń, dzwignia ducha narodowego, odzyskiwała swe prawa, a tłum-olbrzym, wzruszony, drżący, dusze jej swoje rzucił pod nogi i w upojeniu słał ku niebiosom największą skargę i korną prośbę zarazem:

„Boże, coś Polskę...”

Prędowski słuchał jej, jak objawienia, jak harfy archanielskiej lub głosu nie z tego świata. A żywe morze ludzkie tuż-tuż dosięgło już balkonu, ponad lasem zaś sztandarów i chorągwi królowały słowa:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie...”

Pan radca się zachwiał, chwycił za kratę balkonu i, nagle przed majestatem tym uginając kolano, zawtórował:

„Ojczyźnie, wolność racz nam wrócić, Panie!”

I pod działaniem cudotwórczych słów tych, pod promieniem miłości, jaką z martwych wskrzeszały, płomień nagły ogrzał mu serce, a blok lodu, stępujący je dotąd, zaczął topnieć, spływając grubemi łzami z oczu, które od lat 40-tu lez nie widziały. Jakas radość i błogość nieopisana duszą jego wstrząsnęła. Patrzył i patrzył, nie mogąc wzroku nasycić. A dołem na czele nieznanego w dziejach naszych pochodu, wśród zwartego łańcucha straży honorowej, szło duchowieństwo, a więc księża i pastory z krzyżem męki pańskiej; kroczyli przedstawiciele arystokracji — jedni z chryzantemami w ręku, inni zaś ze starymi, poszarpanymi od kul sztandarami. korporacje z chorągwiami narodowymi o Orlach Białych i Pogoniach, młodzież szkolna, inteligencja, szlachta, mieszczaństwo, cechy rzemieślnicze, *in corpore* robotnicy, wszystkie stany, starcy, chorzy i zdrowi, kobiety, dzieci, cały lud, szła cała Warszawa, szedł naród cały, szło serce i dusza Polski.

A ponad tem mrowiem, ponad ciżbą setek tysięcy ludzi płynęły znów amaranty, trzepotały w powietrzu Orły Białe, bratały się z nimi Pogonie. Ujrzawszy sztandar od kobiet polskich, niesiony przez dziewczę w kontusiku błękitnym i konfederatce, Prędowski, wzruszony, wstrząśnięty do głębi, zaczął liczyć chorągwie ze srebrnopiórym herbem lechickim. Przy trzydziestym proporce zatrzymał się, bo czoło pochodu było już na Nowym Świecie, a koniec jego sięgał jeszcze Starego-Miasta.

Pan radca zapragnął nagle raz jeszcze nakarmić oczy całą jego wspaniałością. Przebiec się przez tę

ciżbę, przez ten tłok niesłychany, niepodobna było. Teraz dopiero spostrzegł, że okna, balkony, że dachy nawet od głów się roily; a wszędzie dywany, kwiaty, bandery i proporce z Orlami,—wszędzie wzdłuż pochodu jeden wstrząsający okrzyk:

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje lud polski!

— Niech żyje polska młodzież i polskie dzieci!

Nie! nie dać zniknąć tej majestatycznej manifestacji, nie dać jej rozwiać się, jak zjawie, jak fantasmagorji!... zobaczyć ją raz jeszcze w całej potędze i uroku!

Pan radca chwycił za kapelusz i wiążąc na schodach już drżącemi rękami krawatę, zbiegł na ulicę; skreślił w Królewską, chcąc wyminąć tłum, i boczną drogą pędził jak młodzik, aby dogonić czoło pochodu, aby raz jeszcze całą jego wspaniałość zobaczyć i przeżyć.

Dopiął celu.

Oto idą pierwsze sztandary, a z boku nich Jerzy i Zosia, — jego Zosia... z pękiem chryzantemów w dłoni i z godłami narodowymi u piersi.

Na widok jedynaczki Prędowski zbłądł, zahwiał się i oczy przymknął. Gdy jednak podniósł powieki i, obecności jej zgłodniały, wzrok ku świetlanej a ukochanej zwrócił postaci, spostrzegł, iż nad Jerzym i Zosią powiewa cudnie na amarancie tkany wielki Orzeł Biały i poblakła, o rdzawych z krwi znakach, poszarpana chorągiew z 1831 roku.

Żrenice, utkwione w córkę, łzami mu zasły. A powietrze drżało całe od grzmiących, gromowład-

nych okrzyków: Niech żyje Polska! Niech żyje nasza Ojczyzna! Niech żyje wolność, jedność i zgoda!

Pochód stanął. Na mównicy ukazał się Zbrozek.

Zanim jednak do słowa przyszedł, z boku jakiś starzec, stuletni blisko, na wózku tu przywieziony, ostatni — jak mówił — weteran rewolucji z 31-go roku, błogosławił tłum i chorągwie polskie, a żyły szczęścia, jak groch, po sędziwych jego staczały się licach.

Wtem Zosia, poczuwszy siłę spojrzenia na sobie, zwróciła głowę i spostrzegła zmienione, głębokiem wzruszeniem wstrząśnięte rysy ojca. Krzyknęła więc i poskoczyła radośnie ku niemu.

Panu radcy znów wszystko zakotłowało się w piersiach.

Ujrawszy tę cudną, ukochaną, a cierpieniem wyszlachetnioną główkę, pochyloną ku sobie, otworzył ramiona i, jak ów weteran rewolucji, ryknawszy płaczem, córkę, którą miał przecież wydziedziczyć, przytulił do serca, nie zwracając już uwagi, iż wraz z nią i Jerzego także do piersi przygarnia.

A gdy Zosia, przebaczeniem tem szczęśliwa i przeżeniejąca, wyprostowała się wreszcie, na klapie od surduta pana radcy zawisła z wiązanki jej wypadkiem urwana wielka chryzantema, ów herb Japonji, który nie marzył pewno, iż na tak „realnych“ do niedawna i lojalnych spocznie piersiach.

Radca jednak, szczęśliwy, odmłodzony, pełen życia, nie zauważył tego, — jednocześnie bowiem wy-

ciągali ku niemu serdecznie przyjazne dłonie: pani Marcelina Korczyńska i Lipowiecki.

Na mównicy tymczasem, w narodowe barwy przybranej, Zbrozek wyprostował potężną swą postać i podniósł głowę, na którą szron życia i pracy białe rzucił już nici. Poważne, skupione jego oblicze wielką jaśniało radością.

— Ludu polski! — mówił. — Dziękuję ci w imieniu Ojczyzny, w imieniu przeszłości i przyszłości jej, w imieniu wreszcie tych wszystkich, którzy przez długie lata pracowali u podstaw wraz z tobą, iż nie zawiodłeś nadziei naszych i wiary. Dziękuję, iż w chwili dziejowego przełomu potrafiłeś otrząsnąć się z obcych narzuconych ci haseł, że, wierny uczuciu, w pierwiastkach krwi płynącemu, wierny miłości do ziemi ojczystej, za którą rozum i serce przemawia, a której żadna potęga z duszy wyrwać jej nie może, zjednoczyłeś się dzisiaj dokoła narodowych sztandarów. Precz ze sporami partyjnymi! precz z rozdźwiękiem i niezgodą! Gdy wybiła godzina narodowego *odrodzenia*, każdy, kto się Polakiem mieni, a więc realiści czy ugodowcy, konserwatyści, postępowcy, socjał-demokraci czy socjaliści, powinniśmy znać jedno tylko bożyszcze, *kraj swój*, i jednego ziemskiego boga, *naród*! Żeś to zrozumiał, ludu polski, że, gdy tylko Orzeł Biały rozwinął skrzydła swe do lotu, zgromadziły się dokoła niego wszyscy, w których żyłach krew polska płynie, to prawo natury, to dziejowa konieczność. Za to jednak, że ta chwila *odrodzenia* tak szybko zajaśniała i tak potężnym

wybuchnęła płomieniem, cześć ci, ludu polski, cześć!
Niech żyje lud polski! niech żyje naród!

— Niech żyje Polska! — rzucił w odzew tłum
olbrzym i pochylił przed wiernym pracownikiem
tym sztandary.

— Ojczel! — szeptała Zosia, uwieszona u ramienia
Prędowskiego, — podwójne to dziś dla mnie święto!

— Tak. Tryumf idei przyszedł twego męża
i odrodzenie ducha narodu, a więc i mego, — przy-
znał z radosną dumą.

A dokoła na skrzydłach pieśni ogarniała mia-
sto i kraj cały, biegła przez błękitne przestworza,
hen, ku niebiosom, do stóp Pana wszechświata, jedna
wielka, potężna prośba:

„Ojczyzno, wolność racz nam wrócić, Panie!”

K O N I E C.

Warszawa, w grudniu 1906 r.



77043

112